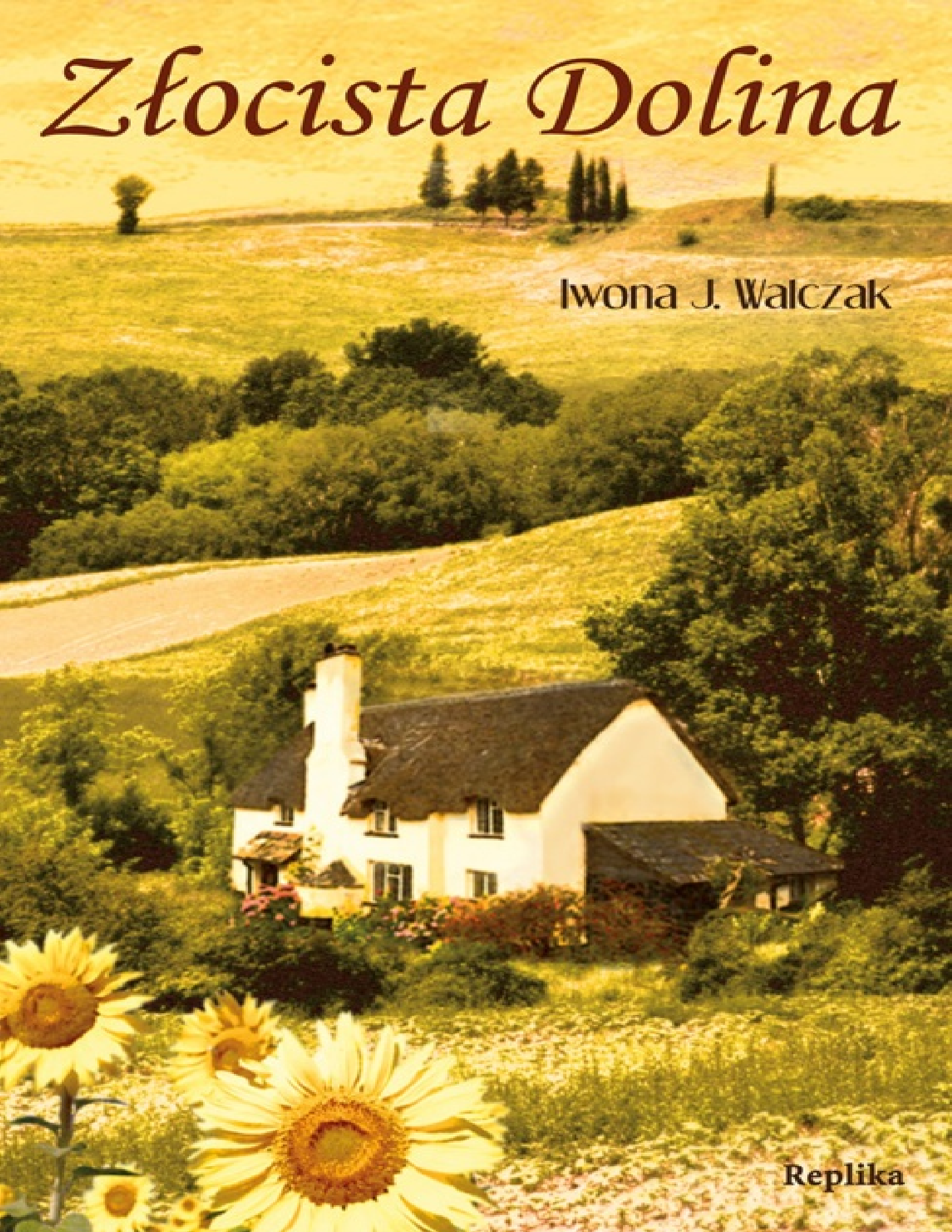


Złocista Dolina

Iwona J. Walczak



Replika

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Część pierwsza:
Szczęście ma zapach wanilii

Ależ czardasz! Dźwięk skrzypiec odbijał się od zakamarków Starego Rynku. Kasia chciała zatańczyć! Teraz, tutaj, w centrum wielkiego miasta! Zdjęła, zarzucony do tej pory niedbale na ramiona, granatowy żakiet i powiesiła go na eleganckiej, lakierowanej torebce. Szerokie, srebrne bransolety z wielkimi geometrycznymi figurami pobrzękiwały rytmicznie na jej nadgarstku, a długie, szczupłe nogi w granatowych czółenkach wtórowały grajkowi, wystukując obcasem na bruku rytm czardasza.

– *Jo mulatast!* – przypomniała sobie z madziarskich wojaży.

Miłej zabawy – wyrażały już po polsku jej oczy, teraz uśmiechnięte i pełne ognia. W jednym momencie jej smutna twarz pojaśniała, odzwierciedlając stan jej duszy. Grajek, siedzący w kucki w bramie jednej z kamienic, spoglądał spod kapelusza, jak kobieta rwie się do tańca. Jak coraz śmieiej ulega melodii znad Balatonu. Jak wiruje.

Był początek weekendu. Kasia Bzdowska-Rybak wracała po pracy do domu tanecznym krokiem. Czekala ją wspaniała perspektywa. Przed nią zaległy urlop. Luz, spokój, wyciszenie, wolność! Dwa tygodnie bez firmy! Zachłystywała się tą wizją. Od dawna planowała wyjazd do Dory, do Frankfurtu nad Menem. Rejsowy autobus jedzie kilkanaście godzin, będzie miała sporo czasu, żeby pomyśleć, co dalej. Wprawdzie w sobotę rano musi jeszcze zajrzeć na chwilę do banku, zakończyć dwa projekty kredytowe. Ale potem... pełny luz!

– Przyjedź do mnie wieczorem – kategorycznie zażądał Marcin, gdy dotarła do domu.

– Przestań! Nie mogę – wymówiła się pośpiesznie, odsuwając słuchawkę od ucha. Głos Marcina brzmiał jeszcze bardziej nieprzyjemnie niż samo żądanie.

– No przyjedź! Wiesz dobrze, że świetnie działałam na... hmmm... twoje braki.

– Źle się czuję – wykręciła się, zawstydzona.

Marcina poznała w pracy, był jednym z klientów banku, w zasadzie kredytobiorcą, którego wniosek opiniowała. Papiery, jakie złożył, wymagały głębokiej korekty, nic tam nie pasowało już na pierwszy rzut oka. Gdy go poinformowała, że wniosek wymaga dopracowania, poprosił o pomoc. W zasadzie nie powinna się na coś takiego zgodzić, ale był uparty, co w dużej mierze sprawiło, że zaczęli się spotykać. A później jakoś samo się potoczyło. I nieraz uwierało.

Przecież on jest dla mnie tylko ersatzem kogoś na stałe – myślała, wchodząc do mieszkania i rzucając na sofę żakiet i torebkę. – Nieźle wyglądającym facetem, osobą do towarzystwa, bardzo średnim kochankiem. W sumie niezobowiązującym partnerem. A ja? Kim jestem dla niego? Ciałem? Nie. Nie chcę takiej nierównowagi. Koniec! – Odstawiła czółenka do białej szafki w przedpokoju.

– Ostatnio zawsze źle się czujesz. Cholera, ja już nie wiem: mam kobietę czy jej nie mam?! Masz kogoś?! – wrzasnęła.

– Kurczę, przestań. Mówiłam, że coś mnie dopadło. – Uznała, że powinna się wytłumaczyć. Zawsze tak było, on zarzucał jej bierność, a ona nie znajdowała argumentu, by odeprzeć owe insynuacje. I czuła się winna.

– Potem wyjeżdżasz, więc kiedy się zobaczymy? A może ja do ciebie przyjadę? – usłyszała w jego głosie radosne tony. – Mógłbym być już za chwilę.

– Nie możesz! Nie postawię Piotrka przed faktem dokonany – zdecydowała od razu. Wizja zapoznania syna z Marcinem wywołała w niej uczucie paniki.

Nie chcę. To nie ma sensu – pomyślała.

– Zdecyduj się wreszcie na coś, bo mam dosyć ukrywania się przed twoją rodziną i znajomymi. Dawkowania wszystkiego. Jak ty mnie traktujesz?! Dłużej nie mogę żyć w ten sposób! – Trzasnęła słuchawką.

Kasia też rzuciła telefon na stolik. Zakłęła, a potem siadła na fotelu i zaczęła płakać. Umknął gdzieś ten radosny nastrój, jaki ogarnął ją podczas koncertu niemłodego skrzypka skrywającego twarz pod wielkim rondem czarnego kapelusza.

– Tamaro, obrałaś już te ziemniaki?!

Dorota Borecka, po byłym mężu Dębska, wbiegła w pośpiechu do swojego mieszkania na drugim piętrze frankfurckiej kamienicy, znajdującego się tuż nad kawalerką uczulonej na najdrobniejszy nawet szmer Frau Sztompke. Dorota i jej córka Tamara zajmowały ten dwupokojowy lokal już od kilku lat, zasadniczo nie zmieniając w nim nic. Jedynie czasem na ścianie pojawił się nowy obrazek w złotej albo inkrustowanej ramce, a na stole wykrochmalony lniany obrus, zaśniedziały srebrny półmisek czy świecznik. Dorota urządziła wnętrze po staroświecku, gromadząc stare, ciemne, typowo niemieckie meble z imponującymi, ciężkimi okuciami i żółtymi szybami. Mosiężne uchwyty błyszcząły jak nowe, drewniane elementy, przecierane codziennie pastą do polerowania mebli, prezentowały się równie znakomicie. Zza okien, które wychodziły na południe, do mieszkania zaglądały olbrzymie platany, rosnące tutaj wszędzie. Rozpraszały ostre już, choć dopiero majowe, promienie słoneczne i tworzyły miłe półcień. Na balkonie w wielkich żółtych skrzyniach rosły krwistoczerwone pelargonie, podsypywane nawozem dały dorodne kwiaty, a w wielkich, imitujących antyczne, donicach panoszyły się cyprysy i żywotniki.

– Jeszcze nie, zaraz obiorę.

Dziewczyna pochylała się nad zlewozmywakiem. Długie, ciemne włosy zasłaniały jej szczupłą buzię. W drobnej ręce trzymała mały, metalowy obierak z pomarańczowym trzonkiem. Sprawiała wrażenie nieporadnej i wystraszonej, wciąż skrobała ten sam ziemniak.

– Dlaczego jeszcze tego nie zrobiłaś?! Czy ja zawsze muszę ci o wszystkim przypominać?! Odpowiedz natychmiast! – Dora biegła nerwowo po domu, ostro strofując córkę. Jej mocny, surowy głos docierał do uszu dziewczyny, stresując ją jeszcze bardziej. W podłogę w przedpokoju zaczęła stukać nerwowo, jak zwykle, zamieszkująca lokal na niższym piętrze Frau Sztompke.

Tamara skończyła niedawno dziewiętnaście lat. Od piętnastu mieszkała razem z matką w Niemczech i nauczyła się przede wszystkim ustępować jej z drogi. Dorota zawsze robiła wszystko w biegu, wszędzie się śpieszyła i ten nieustający pośpiech chciała zaszcześcić także swojej córce.

– Dlaczego zawsze muszę za ciebie myśleć? Mnie matka nie musiała tak długo uczyć. Pomagałam jej opiekować się moimi braćmi, czyli twoimi wujkami. A ty... Dlaczego nic nie potrafisz dobrze zrobić? Gdybym nagle zachorowała, nie dałabyś sobie beze mnie rady – westchnęła zirytowana Dorota, kiwając z dezaprobatą głową.

Dziewczyna obierała ziemniaki powoli i dokładnie, później każdego oglądała i ścierała jeszcze małą tarką. Powinny być czyste i okrągłe. Tak przygotowane myła pod bieżącą wodą i wrzucała do emaliowanego, czerwonego garnka stojącego na nieskazitelnie białej kuchence gazowej. Marmurowy blat na szafkach i okrągły, nierdzewny zlewozmywak zaraz przecierała irchową ścierką i polerowała. Nie mogło na nim być ani jednej smugi. Mleczko do polerowania i płyny do pielęgnacji urządzeń kuchennych zakręcała dokładnie, sprawdzając po kilka razy, i ustawiała równo na półce w dębowej szafce wiszącej nad zlewozmywakiem.

– Znowu wszystko na mojej głowie! Nie zdążę odebrać z dworca autobusowego cioci Kasi! Wielka pani! Mogłaby sama tutaj dojechać, ale co by potem powiedziała? Że jej nie ugościłyśmy! Gdyby trochę pożyła w Niemczech, zobaczyłaby, że tu nikt nikogo nie odbiera z dworca. Tamaro!!! Szybko poustawiaj talerze na tym zielonym obrusie po babci Tylmanowej! Postaw świecznik po babci Krause! – wołała Dorota, poprawiając misternie upiętą na oknie w pokoju firankę. – Taxi! Taxi już stoi pod domem! Muszę lecieć! – wrzeszczała już z przedpokoju.

Skulona Tamara w milczeniu słuchała tego potoku komend. Drgnęła, gdy trzasnęły drzwi wejściowe.

Jej ręce wciąż się trzęsły, kiedy po kilku minutach od wyjścia matki otwierała zabytkowy kredens, żeby wyciągnąć wskazany obrus. Leżał na samym dnie przepastnej szuflady. Musiała nim bezwiednie szarpnąć, bo ciasno poukładana sterta kilkunastu sztywnych od krochmalu bieżników i serwet wypadła z szelestem. Rozsypała się na stojącym obok stole, przewracając stary wazonik w biało-niebieskie wzory z gałązką białego bzu w środku. Tamara patrzyła jak zahipnotyzowana, jak wazonik toczy się płynnie po stole niczym mała, pękata bryłka, wiruje, a wreszcie – zanim zdążyła wyciągnąć ręce – spada z trzaskiem na ceramiczną posadzkę i rozbija się na kawałki. Pod stołem leżały trzy postrzępione, żałośnie wyglądające porcelanowe części. Dziewczyna trzęsącymi się rękoma zaczęła wycierać rozlaną na stole i podłodze wodę, potem zebrała potłuczone resztki. Trzęsła się i siłą woli tłumiała płacz. Z szuflady wyciągnęła fiolkę z tabletkami, wysypała kilka na dłoń, zawahała się, po czym zjadła jedną, a pozostałe wrzuciła z powrotem do szuflady.

– Zamówiłeś już olej grzewczy na zimę? – zapytała swojego męża Majka Szalek. – Jesienią może znowu odwiedzi nas Dora i jak zwykle będzie miała o wszystko pretensje. A już na pewno o to, że mamy niedogrzany dom i przeziębimy jej malutką Tamarę. Bobaska w pieluchach! Nadopiekuńcza wariatka! Za taki charakter nie dałby jej rozgrzeszenia nawet sam przeor Jasnej Góry! – dodała złośliwie, kręcąc z dezaprobatą głową.

Potwornie zmienia Dorotę ta emigracja – pomyślała Majka. Podczas Wielkanocy ścięły się dość ostro, rozmawiając na temat życia na obczyźnie. Stwierdziła wtedy, że koniecznie musi wziąć urlop od kontaktów z Dorotą i jej zahukaną Tamarą. Mając rodzinę, pasję, malarstwo, nie musi przecież na siłę umartwiać się kontaktami z toksycznymi ludźmi.

– Po co teraz zamrażać pieniądze? – Jarek, mąż Majki, wzruszył ramionami. Jego zachowanie zastanowiło ją, bo to on przecież wpadł kiedyś na pomysł, by kupować paliwo do grzania domu grubo przed sezonem. To fakt, że trzeba było zainwestować spore pieniądze wcześniej, ale dzięki temu było dużo taniej. Coś za coś, jak zwykle kończyły spory o wydatki w swoim domu.

– Nie będę się wtrącać, zrobisz, jak zechcesz. – Tego typu zmartwienia nie zaprzętały zwykle głowy Majki. Porzuciła więc temat z wyraźną ulgą, w międzyczasie zbliżając się do schodów, po których zaczęła wolno wchodzić na piętro, a potem w stronę wielkiego, zadaszonego balkonu. Mieszkali w Częstochowie, w dużym domu, na sporej, w części zalesionej działce. Wszędzie było czuć zapach drewna. Między innymi w pokojach, gdzie dominowała woń niedawno heblowanej sosny, co nie było niezwykłe, bo zaledwie kilka dni temu robotnicy skończyli układać podłogę i osadzać drewniane balustrady przy antresoli na piętrze. Pozostało jeszcze lakierowanie, co wiązało się nieuchronnie z utratą zapachu świeżego drewna. Pokój z balkonikiem był letnią pracownią malarską Majki. Miała tam rozstawioną sztalugę, a na jasnej, sękatą, lekko tylko zagruntowanej podłodze stało kilka gotowych do malowania blejtramów.

Majka ubrała rudy nieprzemakalny fartuch, a po chwili sięgnęła po kubek z pędzlami i siadła przed sztalugą. Z zawodu była geografem, tego przedmiotu uczyła też w szkole, ale całkiem niedawno znów powróciła do malarstwa, którego się wyrzekła dawno temu, gdy nie dostała się na wymarzoną Akademię Sztuk Pięknych.

– Muszę robić coś jeszcze, poza szkołą, bo zwariuję – tłumaczyła znajomym, preferującym bardziej stateczne zajęcia pozazawodowe niż ona. – Poza tym, mam bardzo duży dom, więc czym zapełnić ściany? – dodawała szybko, napotykać zazwyczaj pełne zdziwienia spojrzenia zaskoczonych i niezbyt rozumiejących jej pasję znajomych.

W tegoroczne wakacje postanowiła wziąć kilka lekcji rysunku u znanego w regionie artysty, Zbyszka Waligóry. Zawsze podziwiała tego ekscentryka, niedostępnego dla wielu mistrza, uznanego w środowisku nauczyciela malarstwa. Zgodził się po długim wahaniu, a to już mogła poczytać sobie za spory sukces, bo byłaby jedyną osobą w Stowarzyszeniu Malarzy, dla której zechciałby zrobić wyjątek.

Jarek przyszedł na balkon z żółtym kubkiem pełnym aromatycznej herbaty. Usiadł i przez chwilę w milczeniu przyglądał się, jak Majka miesza farby. W końcu chrząknął i powiedział cicho:

– Nie wiem, czy przedłużą mi umowę na politechnice.

– Jak to? Przecież robisz habilitację, zapraszają cię na wykłady. Jak tak można? – zapytała, ustawiając tuby z farbami na półce pod oknem.

Jarek siedział zgarbiony na wiklinowym stołku. Zamyślił się. Z pokoju na dole dobiegały dźwięki fortepianu, to ich córka Zuza ćwiczyła przed koncertem galowym w szkole muzycznej, którą właśnie kończyła.

– No, wiesz, niestety z tym jest pewien problem... – próbował zaoponować zduszonym głosem. Westchnął zrezygnowany.

– Oj, nie przesadzaj. Dlaczego mieliby zwolnić kogoś, kto tyle lat rzetelnie pracuje?

Majka nie podniosła nawet głowy. Mieszała na drewnianej deseczce wyciśnięte z tub farby olejne: zieloną i szarą. Później dodała nieco białej i od razu uzyskała odcień, jakiego szukała. Skupiona na farbach, zdawała się być myślami w innym miejscu. Jarek siedział bez ruchu, z opuszczoną głową, opierając ją na dłoniach. Zapomniana herbata w żółtym porcelanowym kubku stała na parapecie, całkiem już wystygła.

– Może masz rację? – zaczął niepewnie po chwili. – Jeszcze dwa miesiące do wakacji, pewnie w mojej sprawie coś się jeszcze wyjaśni... A może dobrze byłoby zmienić pracę i otworzyć biznes? W ostateczności przecież mógłbym tak zrobić. Co o tym myślisz?

Niewątpliwie oczekiwał porady. Wstał z fotela, doszedł do drzwi balkonowych, westchnął, odwrócił się i spojrzał na Majkę.

– Właśnie! – ożywiła się. Na jej twarzy pojawił się przelotny uśmiech. Zanurzyła pędzel w słoiku z farbą. – Tak! Już dawno temu powinieneś zmienić pracę. Może wreszcie byłyby jakieś pieniądze. Zobacz, ile jeszcze potrzeba, by dom wyglądał jak należy! Samochód też się rozpada. Wczoraj zamówiłam dębowe tralki na schody i balkoniki, sporo zaśpiewali, nie powiem, ale przecież musimy jakoś mieszkać. O właśnie! Nie zapomnij pobrać pieniędzy z banku, napiszę ci na kartce, ile potrzeba. Wiesz... – zawiesiła głos, zagryzła wargi, po czym bawełnianą ścierką zaczęła zmywać kolorową plamę na podłodze. Beżowa farba rozmazała się i utworzyła widoczny ciemniejszy zaciek. – Psiakrew! – zakląła, mocząc szmatkę w rozpuszczalniku. Po chwili kontynuowała, nadal zajmując się podłogą: – Wiesz, dzisiaj rano znowu widziałam jakichś ludzi, którzy podziwiali naszą posesję. Stali przed furką z rozdziawionymi ustami, jakby pierwszy raz w życiu widzieli dom! Śmieszne! Ten morelowy kolor elewacji był znakomitym pomysłem, dobrze pasuje do kamiennego wykończenia ościeżnicy przy wejściu. Pospacerowałam po dzielnicy i stwierdzam, że z całą pewnością nie ma drugiego tak ładnego domu na Stradomiu. Naprawdę tak uważam. Myślisz, że taka jasnozielona tonacja mogłaby być na tym obrazku? – Wyciskała z tubki pistacjową farbkę. – Tak, taki biało-kremowy bukiet na zielonym tle będzie pasował do oliwkowych ścian w naszej sypialni – ciągnęła, nie czekając na odpowiedź.

Z płótna wyłaniał się wielki bukiet złożony z herbacianych róż, białych margaretek i kremowych irysów. Majka stała przed sztalugą, zagryzając usta. Precyzyjnie, ze szczegółami tworzyła kwiatowy zapis na płótnie. Jarek przyjrzał się szkicowi, popatrzył na Majkę, po czym, nie doczekawszy się z jej strony żadnej reakcji, wziął kubek z zimną herbatą i powoli zaczął schodzić na parter. Majka spojrzała na jego sylwetkę znikającą za załamaniem schodów, wzruszyła ramionami i wróciła do swojego ulubionego zajęcia.

Był wczesny majowy poranek. Nad łąkami przy niemieckiej autostradzie osiadały mgły. Po gorącym wieczorze nie było zbyt ciepło, jak to bywa wiosną rano. Autobus mknął z równą prędkością. Kasia, obolała i zmęczona całonocną jazdą, docierała do Frankfurtu. Niecałą godzinę temu zatrzymali się w Giessen, gdzie wysiadło kilka osób. Zdjęła gruby sweter, który zarzuciła na siebie do snu, i podkuliła nogi na sąsiednim siedzeniu. Nie mieściły się. Ożeż ty! Nie lubiła swojej sylwetki. Czowała się za wysoka, zbyt dobrze zbudowana, ale lubiła jeść, co przy jej tendencji do tycia przynosiło wiadomy efekt. Miała wrażenie, że po każdym posiłku jej waga idzie w górę. Wypróbowała wiele diet odchudzających, ale zwykle te same kilogramy wracały do niej jako efekt jo-jo. W końcu polubiła siebie taką, jaką była, z wyjątkiem momentów, kiedy najlepiej byłoby się zwinąć w pozycji embriona na siedzeniu czy podkulić nogi. Niestety, ta sztuka w jej przypadku nie mogła się udać.

Podobnie jak nie udało jej się życie zawodowe. No, może nie tylko jej. Wiele lat temu, gdy kończyły studia, były przekonane, że będą pracować w branży turystycznej – prowadzić ekskluzywne hotele albo zarabiać twardą walutę jako rezydentki w najbardziej malowniczych kurortach świata. A teraz Majka Szalek, nazywana przez nie Majszą, pracuje w szkole podstawowej w Częstochowie. Dora, czyli Dorota Borecka, obecnie Dębska, siedzi już od dawna w Niemczech, gdzie opiekuje się niemieckimi babciami i dziadkami tak skutecznie, że nawet nie próbowała nostryfikować swojego dyplomu. A ona, czyli Kasia Bzdowska, po mężu Rybak, też odeszła dość daleko od turystyki i zajęła się nietwórczą dziedziną, czyli nudnymi i bardzo przyziemnymi ocenami wniosków kredytowych pod kątem ryzyka. Od kilkunastu lat robiła to samo.

O nierówność tyłka trzasnąć to ryzyko! To jest katorga z własnego wyboru – myślała z żalem. I z niesmakiem. Mieć własny biznes! Na przykład miejsce integracji środowisk zawodowych, w rodzinnych stronach, niedaleko Poznania, to byłoby najlepsze. Gdybyż to było przy okazji bardzo zyskowne przedsięwzięcie... Superopcja! Bądź w ogóle miejsce spotkań i eventów... hmmm. Kasia bywała nieraz na takich spotkaniach. Czowała, że teraz to byłoby dla niej najlepsze. A gdyby tak sprzedać mieszkanie, kupić od rodziny działkę nad jeziorem i tam właśnie wybudować taki obiekt? Ale za co żyć? Gdzie mieszkać podczas budowy? Piotrusiowi na pewno by się to nie spodobało. Gdzie chodziłby do szkoły? Poza tym mieszkania po dziadkach, w dobrym punkcie dużego miasta, nie sprzedaje się ot, tak sobie, tylko dlatego, że zrodził się jakiś pomysł. I na pewno nie wtedy, kiedy ceny mieszkań tego typu nie są jeszcze wygórowane, a wręcz można założyć, że za kilka lat na pewno wzrosną. Zwłaszcza takie jak jej, w centrum Poznania, w odrestaurowanej zabytkowej kamienicy.

Prawdopodobnie jestem za mało mobilna i niedostatecznie zdeterminowana. Ciekawe, czy Dora przyjedzie po mnie na dworzec – zastanawiała się Kasia, pośpiesznie zbierając porozrzucane po siedzeniach drobiazgi. Autobus wjeżdżał na przedmieścia Frankfurtu nad Menem. Z daleka widać było olbrzymie, połyskujące w słońcu wieżowce, siedziby wszystkich najważniejszych światowych organizacji finansowych, stanowiących jądro i nadzieję tego miasta.

Majsza ostrzegła ją przed wyjazdem: – Weź ze sobą trochę pieniędzy, mapę Niemiec i samego Frankfurtu też, bo Dora ma wyskoki. Nerwuska! Pamiętasz, opowiadałam ci, że musiałam czekać na nią zimą, na dworcu autobusowym, cztery niekończące się godziny – przypominała. – Rozumiem, że są wypadki i różne inne katastrofy, ale żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku! Nie ma problemu, żeby się z kimś skontaktować, wszyscy mamy komputery i telefony komórkowe, więc nic jej nie usprawiedliwia. Choć wierz mi, tak byłoby łatwiej – dodała ciszej.

– Nie słuchaj jej, sama wiesz, jaka ona jest! Poza tym życie ją rozpieszcza i jest egoistką, do tego egzaltowaną – oburzyła się Dorota, gdy Kasia próbowała u źródła zweryfikować refleksje Majki

z pobytu we Frankfurcie. – Tamara miała wypadek, komórki nie używam, nie dam się naszpikować elektroniką. Jak można ciągle mnie nagabywać o ten telefon komórkowy? Nie mam i już. Wiedziała o tym i nie mogła spokojnie na dworcu na mnie poczekać? Myślisz, że musiała jechać taksówką do jednego z droższych hoteli w centrum Frankfurtu? – wściekała się. – Potem nie była wcale tym faktem zakłopotana i sugerowała mi, że powinnam jej oddać pieniądze, które wydała – dodała z pogardą. – I niby ona, polska nauczycielka, nie czuła, jak duże pieniądze płaci za hotel? Rozpieszczona damulka! Musiałaby tutaj trochę pożyć – dowodziła wtedy, usprawiedliwiając się z powodu niefortunnych dla obydwu przyjaciółek okoliczności.

Kasia nie zakładała, że podobna sytuacja może się powtórzyć i teraz, nie była jednak pewna, czy Dora będzie na tym dworcu czekać, tak jak zapowiadała. Wyciągnęła z kieszeni komórkę. Kiedy ją włączyła, natychmiast wyświetliło się kilka wiadomości. Czytała je po kolei, kasując, jak się okazało, reklamy niemieckich sieci, potem wybrała numer domowy Doroty.

– Dorotko, dojeżdżam – zawołała do słuchawki.

– Mama pojechała po ciocię na dworzec – usłyszała w odpowiedzi.

Pomyliłam je – pomyślała rozbawiona Katarzyna. Tamara i Dorota miały bardzo podobne głosy, tyle że teraz tony w głosie przyjaciółki coraz częściej nabierały ostrej, surowej barwy, a Tamara mówiła cicho, bez emocji, z lekkim niemieckim akcentem.

Świetnie – pomyślała Kasia, szykując się do opuszczenia autobusu, który brał ostatni wiraż na placu przed dworcem. Majsza jednak przesadziła z ostrzeżeniami – odsapnęła z ulgą, bo przez okno autobusu dostrzegła Dorotę, która wysiadła z taksówki, jak zawsze z rozwianym kasztanowym włosiem i otwartą torebką, i pędem biegła przez plac. – Zadzwoń i powiem Majce, że Dorota przywitała mnie bardzo elegancko – zaśmiała się na głos Kasia. – Niech wie i zazdrości.

– Nie ma mowy, żeby u mnie gość został poczęstowany tylko jednodaniowym obiadem – chwaliła się Dorota. Wbiegła do pokoju z wielką paterą pełną naleśników. Z daleka zapachniało wanilią, malinami i skórką cytrynową. Kasia pomyślała, że jej przenigdy nie udało się zrobić naleśników wszystkich tej samej wielkości, równych, cienkich i bez postrzępionych brzegów. Patrzyła na talerz zachwycona.

– Siadaj z nami, nie biegaj – poprosiła, stwierdzając, że Dorota wcale nie ma zamiaru usiąść. Krzątała się, tworząc nastrój niepokoju, niesprzyjający dobremu trawieniu. Właśnie zbierała brudne naczynia po pierwszym daniu i zaraz pobiegła z nimi do kuchni. Myśla. Kasię ta atmosfera przytłaczała. Zauważyła, że nie jest w tym poczuciu odosobniona, bo Tamara nadal dziobała łyżką w talerzu pełnym zielonkawej zupy. Jakaż ona jest apatyczna, pomyślała, mając na myśli dziewczynę.

– Przepyszna była ta twoja ogórkowa, Doroto. Już się objadłam, ale przecież taki łakomczuch jak ja nie odmówi sobie pyszności. – Kasia nałożyła sobie na talerz wielki naleśnik w kształcie sakiewki i popatrzyła na Tamarę, która nie podnosiła głowy znad talerza. Pychota – pomyślała, pałaszując naleśnik. Wypełniony malinowym farszem, polany sosem waniliowym i posypyany tartą skórką pomarańczową rozpląwał się po prostu w ustach.

Tamara nadal siedziała nad talerzem z zupą, mieszała w nim łyżką i ze wzrokiem pełnym obaw wypatrywała powrotu matki do jadalni. Kasia zerkała na dziewczynę, ich spojrzenia kilkakrotnie się spotkały. Musiała się samej sobie przyznać, że zasadniczo nie znosiła spotkań, na których ktoś chciał ją jedynie ugościć, a nie potowarzyszyć, porozmawiać, pobyć razem, niechby nawet przy samej herbacie. Również, podobnie jak Tamara, zerkała na drzwi wiodące do kuchni, najwyraźniej czekała na Dorotę.

– Mama nie jest spokojna – powiedziała cicho dziewczyna, nie podnosząc wzroku znad talerza. – Ja ją denerwuję tylko tym, że jestem. – Mówiąc to, spojrzała krótko na Kasię, ale zaraz opuściła oczy i znów zaczęła mieszać łyżką w zupie.

Kasia wyczuła, że Tamara chce jej coś powiedzieć, ale najwyraźniej boi się matki. O sobie czy o relacjach z matką? Co by to miało być? Kasia milczała. Istotnie, Dora do najspokojniejszych nie należała, zawsze ją nosiło. Była ewidentną choleryczką. Ale bycie cholerykiem nie jest przecież niczym nadzwyczajnym, takich raptusów jest na świecie wielu. Ot, zwykła dziewczęca egzaltacja – pomyślała Kasia o Tamarze, wyciągając z futerału aparat fotograficzny.

– Tamarko – zmieniła temat – chodź ze mną do kuchni.

Gdy weszły, Dora chwyciła talerzyki do ciasta i pognęła do jadalni. Kasia słyszała brzdękanie sztućców i talerzy, kątem oka dostrzegła też, że zmienia obrus. Wzruszyła ramionami i zwróciła się do Tamary:

– Stań, kochanie, tak trochę bardziej w lewo. Wtedy jesteś częściowo w świetle dziennym, a jednocześnie nieco w półcieniu. To na pewno da dobry efekt. Przydałby się jakiś kwiatek.

Kasia w jednej dłoni trzymała aparat fotograficzny, a drugą sięgała po gałązkę białego bzu, która stała w uroczym zabytkowym wazoniku na stole kuchennym.

Jakiś czas temu zaczęła na poważnie zajmować się fotografią, najbardziej interesowało ją portretowanie ludzi. Na razie nie miała dobrego sprzętu, tylko zwykłą cyfrową minoltę. Planowała, że z czasem kupi sobie lepszy i znacznie bardziej profesjonalny, a do tego obiektyw. Kiedyś? – zastanowiła się. Z moją lekką ręką do wydawania pieniędzy? Westchnęła i skupiła się na fotografowaniu. Jednak dzisiaj bardzo trudno było jej ustawić Tamarę w kadrze i sprawić, aby dziewczyna zapomniała, że jest fotografowana. Kaśka zrobiła kilkadziesiąt zdjęć, ale na każdym oczy dziewczyny były zupełnie nieme. Albo przymknięte, bez tak w tym wieku charakterystycznej i niekłamanej radości życia, wdzięku płynącego z naiwnej i jakże naturalnej jeszcze spontaniczności.

Kasia pamiętała Tamarę jako zawsze bardzo ładne dziecko.

– Nie widziałam tak ładnego bobasa. – Większość ludzi w ten sposób zwracała się do Dory, gdy mieszkając jeszcze w Polsce, spacerowała z malutką córeczką po parku Chopina. Nadal tak było: dziewczyna miała długie, lekko falowane, ciemne i gęste włosy, bardzo regularne rysy twarzy, duże, fiołkowe oczy, ładnie wykrojone usta i zgrabny, mały nosek. W jej sylwetce było wiele kociej zwinności, harmonii oraz kruchości. Gdy była małą dziewczynką, jeździła figurowo na łyżwach, tańczyła też w balecie. Z szerokiego uśmiechu przypominała ojca – Kicia, a z wiotkiej figury, pięknych ruchów i delikatności – Dorę.

– O kurczę! To ja go rozbiłam? – wystraszyła się Kasia. Bo gdy wyciągała gałązkę bzu, wazonik rozleciał się na trzy nieregularne części. – To niemożliwe, żeby rozpadł się ot, tak sobie. Nawet nie dotknęłam go ręką – tłumaczyła się gorączkowo wchodzącej do kuchni Dorze, bardzo zmieszana. Skąd we mnie to poczucie winy? – myślała, z niepokojem oczekując reakcji przyjaciółki. Miała powód – Dorota wydeła usta i zaczęła kiwać głową z dezaprobatą.

– Na pewno go nie trąciłaś? – zaczęła dochodzenie, bardzo niezadowolona, jednocześnie starając się dopasować trzy nierówne części do siebie. Poszarpane fragmenty zasklepiły się, można było go na chwilę postawić na stole.

– No nie i wcale nie brałam niczego gwałtownie. Sama nie wiem, jak to się stało – powiedziała zawstydzona Kasia. Poczula, jak się czerwieni. Chciała powiedzieć, że zapłaci za wazonik albo odkupi. Sama już nie wiedziała, czy to jej wina czy kogoś innego. Kogóż jeszcze? Przecież rozleciał się w jej dłoniach, to chyba jasne, że musiał pęknąć, gdy go dotykała...

– To była dla mnie bardzo cenna rzecz. Pamiątka po matce. Zawsze stał na stole kuchennym w Mordkach. Jak miałam pięć lat, stał, jak dwanaście – też stał, no i gdy wracałam na wakacje z Poznania, też tam stał. Nie zdołał stołu tylko po śmierci matki. W końcu na strychu go znalazłam, bo nikt o niego nie zadbał. Jak mnie tam nie było, wszystko szło w ruinę. Ale znalazłam wazon i przywiozłam tutaj. Może pękł, bo Niemcy to nie jest miejsce nawet dla niego?

– To tylko martwy przedmiot...

– Tak, ale wszystko, co się nam zdarza czy przytrafia, jest jakimś znakiem, trzeba to tylko dostrzec. Może to tajemna wiadomość, że mój świat pryśnie i nie będę mogła go złożyć? Albo matka podpowiada nam, że powinniśmy wrócić do Polski? – zastanawiała się pobladła Dora, zwracając się w stronę córki. Tamara odwzajemniła się jej równie niespokojnym spojrzeniem. Obie się przeżegnały. Kasia chciała zrobić to samo, tak podziałał na nią nastrój tworzony przez Dorę, ale się powstrzymała, gdy dotarły do niej słowa przyjaciółki o powrocie do Polski.

– Chciałybyście wrócić?! – krzyknęła zdziwiona.

Dorota skubała lnianą serwetkę. Potem usiadła bokiem do Kasi, a twarzą do okna. Kasia patrzyła na piękny, wręcz idealny profil przyjaciółki. Dora zachowała drobne, regularne rysy i coś bardzo szlachetnego, niezwykle miękkiego w twarzy. Coś, co ujawniało się tylko wtedy, gdy mówiła o marzeniach albo o Polsce i domu rodzinnym w Mordkach.

– Może... Ale nie mam pomysłu, co miałabym tam robić. – Dorota wstała i swoim zwyczajem zaczęła się krzątać. Wzięła ścierkę, którą zaczęła przecierać niezwykle czysty, jak na standardy Kasi, kredens.

– Bardzo trudno teraz u nas znaleźć pracę, a jeszcze trudniej się utrzymać. Nie mówię ci tego, żeby cię straszyc, sama wiesz.

Kasia, spoglądając na plecy Doroty, ciągle skupionej na machaniu szmatką, absolutnie nie potrafiła wyobrazić sobie jej teraz, po tych piętnastu czy szesnastu latach nieobecności, rzuconej na polski rynek pracy.

– Najlepiej by mi było w Mordkach. Nigdzie nie było takiej atmosfery jak tam. Nic bez mnie nie robią w tym domu, zmarnowałyby się... – Dorota zachnęła się i spojrzała na Tamarę.

Mordki to niewielka wioska koło Olecka na Pojezierzu Ełckim. Dorota często powracała myślami do radosnego i beztroskiego dzieciństwa, pełnego gwaru dziecięcych rozmów, śmiechów i psot. Miejsca, do którego zawsze mogła wrócić. I do którego chciała wracać, odkąd wyjechała stamtąd dawno temu – najpierw do liceum w Olsztynie, a potem do Poznania na studia. Później jeszcze dalej. Bezskutecznie starała się odnaleźć w Niemczech choćby namiastkę tej spontaniczności. Wieczorami, przy kolacji, często snuła opowieści o Mordkach, o beztrosce i panującej tam kiedyś atmosferze, rozbudzając w córce tęsknotę za czymś, co było. Za światem wyidealizowanym, zapamiętanym, minionym. Dla Doroty jednak ciągle obecnym, trwającym.

– Mamo, dlaczego tutaj tak nie jest? – pytała matkę dziewczyna. – Dlaczego, żeby się spotkać z koleżanką ze szkoły, muszę wcześniej się z nią umówić? – dodawała rozżalona.

Teraz Kasia siedziała na rzeźbionej narożnikowej ławce przy stole kuchennym. Przeglądała w aparacie fotograficznym zdjęcia Tamary, kasowała niektóre, zostawiła kilkadziesiąt do przejrzania na ekranie komputera. Potem odłożyła aparat na ławkę. Odechciało jej się fotografowania, myślała o rewelacji, którą usłyszała przed chwilą. Nigdy nie przewidywała, że Dorota po wielu latach życia w wielkiej europejskiej metropolii, krainie rododendronów, będzie rozważać powrót do maleńkich Mordek na wschodnim i jakże klimatycznie surowym krańcu Polski.

– Kto tam teraz mieszka? – zapytała.

Kiedyś, dawno temu, gdy jeszcze żył Borecki, ojciec Doroty, Kasia bywała często zapraszana do Mordek na wakacje, jednak kiedy przychodziło do konkretyzacji planów, nie mogły zgrać terminów urlopów i pomysł zwykle nie wypalał. Zresztą w tamtych czasach Kasi nie ciągnęło do głuszy. Owszem, też urodziła się na wsi, ale od dawna nie odpowiadały jej wiejska mentalność, małostkowość, wiara w zabobony i wolne tempo życia. Gdyby przyszło jej przebywać dłużej w wiejskim środowisku, na pewno postarałaby się wprowadzić więcej nowoczesności, zwłaszcza w komunikowaniu się ze światem. Dzisiaj nie ma już większego problemu, żeby i na wsi zainstalować Internet, więc zdarzało jej się czasem powracać do myśli o zamieszkaniu gdzieś na odludziu. Bo czymże, jeśli nie myślami o powrocie, były jej ostatnie wizje zakupu działki od rodziny nad jeziorem pod Poznaniem?

– Dom i ziemia wokół należą do Witka, któremu rodzice przepisali całą ojcowiznę. Pospłacał już wszystkich oprócz mnie – powiedziała po chwili Dora, mając na myśli swego starszego brata.

– Witek? Ten, który mieszka w Stanach? Rodzice przepisali dom komuś, kto mieszka w Stanach? Nie było nikogo do obdarowania w pobliżu? – zdziwiła się Kasia.

– No tak, ale tylko on miał pieniądze na spłatę wszystkich. To wydaje się sprawiedliwe, ale nie wypominając, dom jest zazwyczaj pusty.

– Poza tym on chyba nie ma żony. Trudno utrzymać dom na poziomie, mieszkając bez kobiety.

– Pozostali bracia mają żony i co? Proste wieśniary, bez wykształcenia, a co najważniejsze, niewiedzące, co to wdzięczność. Latami im wozilałam słodycze, jedzenie, ubranka dla dzieci, żeby im lżej było. W Polsce nie miały takiego wyboru, a teraz śmieją się ze mnie i z Tamary. Ponoć są na mnie obrażone, bo jednej z nich powiedziałam do słuchu.

– Wracasz po uznanie, ale uznania nie masz. Wdajesz się w niepotrzebne pyskówki, które nic nie zmieniają, bo na Pojezierzu Ełckim one są „stąd”, a ty „stamtąd”. Mądrość polega na tym, by zrozumieć, że coś się kończy. Nie wiem, czy słusznie myślisz o powrocie...

– Czyli one są głupie? Dlaczego takie są? Dlaczego zapomniały, kto im pomagał? Bo tak jest lepiej? Mniej obciążająco?

– To nie tak. Jeden woli golonkę, inny rosół. Nie ma pytania „dlaczego”. Dzieci pytają „dlaczego”,

bo myślą, że jest odpowiedź na wszystkie pytania. A nie ma... Zastanów się jeszcze raz, czy w Mordkach rzeczywiście byłoby wam dobrze.

– Tam będę miała do czynienia tylko z Witkiem. Braci najwyżej zaproszę od czasu do czasu, ale bez żon. Witek jest w porządku, on zaznał świata, zresztą, już w ubiegłym roku proponował mi, żebym pomyślała, co z tym kłopotem zrobić. Chciał, żebym się tam przeprowadziła na stałe. – Dorota uśmiechnęła się do swoich myśli.

– A wiesz, że ostatnio przypominałam sobie, jak kiedyś planowałyśmy, że będziemy się parać zajęciami zgodnymi z naszym wykształceniem? I co z tego wyszło? Każda z nas wzięła wielki zawodowy zakręt, nie wiem, czy to dobrze, że tak się stało. Teraz jestem na rozdrożu i znowu zaczęłam myśleć, jakby ten plan urzeczywistnić. Chyba się starzeję... – Kasia zaczęła nagle śmieiej wyjawiać swoje myśli. Zerknęła na Dorę. Ta słuchała zaskoczona.

Kilka dni po tej rozmowie, w poniedziałkowe przedpołudnie Dorota z Kasią wysiadły z kolejki podmiejskiej na stacji w Kronbergu. Kasia od razu poczuła, jak czyste, muskające jej twarz powietrze pachnie. Zaczęła głęboko oddychać, sycić komórki życiodajnym tlenem. Takie samo wrażenie miała kiedyś, gdy pierwszy raz od wielu lat odwiedziła podpoznańskie Puszczykowo.

– Wiesz, myślę o tym, co powiedziałaś. Że mogłybyśmy wrócić do naszych pomysłów sprzed lat... – zaczęła jeszcze na dworcu Dorota.

– Mogłybyśmy. Tylko mogłybyśmy, niestety. Nie mam pieniędzy i to mnie denerwuje najbardziej. Zobacz – Kasia zatrzymała się, żywo gestykulując – przecież sporo pracuję i nic nie mogę odłożyć. Kobiety mają jednak gorzej, nie ma sprawiedliwości. Teraz też wydaje mi się, że trzymają mnie w pracy, bo jestem tańsza od każdego faceta w moim wieku i z moim doświadczeniem. Ciągłe szuka się oszczędności, obsesyjnie wręcz, a wtedy najłatwiej zrobić redukcję etatów. Zresztą wszystkie banki się centralizują, wiele czynności przejmują komputery. Niby powstają punkty obsługi detalicznej, ale tam raczej nie zobaczysz naszych roczników. Chyba że gdzieś pochowane.

– W skarbcach na przykład. – Dorota zachichotała.

Po chwili obie zaniosły się śmiechem. Co spojrzwały na siebie, znów wpadały w wesołość. Nie mogły przestać, zupełnie nie zwracały uwagi na przyglądające się im z dezaprobatą ortodoksyjne Turczynki, których tutaj, w centrum Niemiec, żyło sporo. Kasia była niemile zaskoczona tymi społecznymi obserwacjami, zauważyła ze zdumieniem, że od kilku dni podświadomie wypatruje wszędzie rdzennych Niemców. Blondynów i blondynek, po prostu.

– No i z czego się tak śmiejemy? – zapytała w końcu Kasia, lekko poważniejąc.

– Nie wiem. – Dorota, nadal chichocząc, wycierała łzy papierową chusteczką.

Jak ona ładnie wygląda, gdy się śmieje – pomyślała Kasia, przyglądając się Dorocie. Była już tutaj całe pięć dni, ale dotąd nie widziała jej tak roześmianej. A spędzały ze sobą mnóstwo czasu. Razem zwiedziły Frankfurt. Podziwiały panoramę miasta z położonego na wysokości dwustu metrów tarasu widokowego na wieży Maintower. Kasia zrobiła wiele zdjęć, ale według niej atmosferę tego miasta najlepiej oddawało to, na którym widać było dwa wielkie wieżowce, całe z kobaltowego szkła, na tle mieszczańskich kilkupiętrowych kamienic, które przeważały w tym zielonym, pełnym platanów i rododendronów mieście. Były też w zrekonstruowanej Starej Operze, zbudowanej jeszcze w okresie grynderskim. Tam w jednej z sal o znakomitej akustyce wysłuchały koncertu orkiestry kameralnej z Pragi. Tak, tam spotkała wielu eleganckich gości o cechach, jakie przypisywano Niemcom. Czuła się wśród tej „śmietanki” – jak jej się zdawało, materialnie świetnie zabezpieczonej – dość obco. I jak ktoś drugiego gatunku. Ubrana w białą satynową bluzkę i czarne spodnie nie zadawała szyku, to wiedziała na pewno.

– Mówię ci, to miasto było ładniejsze, zanim wyrosły te drapacze chmur – narzekała Dora. – Wiesz co? Frankfurt od razu mnie zachwyił. Zaraz, natychmiast, gdy przyjechałam. Z tymi wieżowcami nic już tutaj nie jest takie jak dawniej. Nic. Zupełnie.

Zwiedziły także Darmstadt, Mainz, Bad Homburg i kilka wiosek w Nadrenii. W każdej z nich znajduje się kilkunastu producentów wina znanego jako reńskie, a wokół, na niewielkich pagórkach, rozciągają się olbrzymie tereny zajęte prawie wyłącznie przez winnice.

– Zobaczysz – mówiła Dora przed wyjazdem na wieś – jak bardzo oni są zabarykadowani w tych swoich wsiach. W każdym domu na oknach zainstalowane są elektryczne rolety. Swoją drogą, wyobraź sobie: brak prądu, na przykład z powodu śnieżycy, a oni siedzą w zupełnych ciemnościach i nie mogą odsunąć rolet! Śmieszne, prawda? Poza tym taka posesja otoczona jest szczelnym, wysokim na kilka metrów, betonowym płotem. W ogóle nie widać ludzi, nawet psy nie szczekają, bo są tak zmanierowane.

– Przesadzałaś – oponowała Kasia po powrocie. – Ich wioski są ładne. Mnóstwo wyluzowanych ludzi siedzi sobie spokojnie w winiarniach na świeżym powietrzu i sączy to swoje wino. Inni spacerują dróżkami pomiędzy winnicami, jeszcze inni biegają czy jeżdżą rowerami. To u nas na wsi w ogóle nie widać ludzi. Albo widać, ale wyłącznie powykręcane od pracy babcie. Psy tylko szczekają jak oszalałe, bo całkiem zdziczały z tej samotności. Zresztą, zatrząsienie psów i w konsekwencji całe mnóstwo ich gówien to nasza narodowa specjalność!

– W Mordkach tak nie jest, tam dopiero czuć życie. Mówię ci, Kaśka, nie dałabyś sobie w Niemczech rady – zawyrokowała przyjaciółka. – Jak dojść do tego zamku? Niech pomyślę – zastanawiała się na głos. – Byłam tutaj kilkanaście lat temu, ale jakoś nie pamiętam. Wiesz co? Poczekaj. Wejdę do tego sklepu i zapytam.

Kasia usiadła przy stoliku w kawiarnianym ogródku obok sklepu spożywczego, w którym zniknęła Dorota. Zdjęła błękitny bawełniany sweter, przerzuciła go przez torebkę, wyciągnęła z etui okulary słoneczne i zaczęła je przecierać specjalną ściereczką. Pomyślała, że nie znając realiów życia we współczesnej Polsce, jak to miało miejsce w przypadku Doroty, nie można wyrokować, czy ktoś jest słabego usposobienia czy też nie. Czy któryś z Polaków dałby sobie radę w Niemczech czy nie. Ale postanowiła nie wałkować tego tematu, bo i po co? Dora nie miała ugodowej natury, niestety. Raczej dyktatorską.

Przy stoliku, tuż obok Katarzyny usiadła starsza kobieta o nordyckiej urodzie.

– *Schone Tag.*

– *Bitte?* – zapytała Kasia.

– *Schone Tag* – powtórzyła kobieta, robiąc półkolisty ruch ręką.

– Już wiem, możemy iść. Tam, pod górę. – Powracająca Dora wskazywała kierunek wędrówki. Spod przymrużonych powiek zerknęła na Niemkę.

– Poczekaj, ta Niemka coś mówiła. Zapytaj ją, czego chciała. – Kasia nie chciała wstać i odejść, ignorując starszą bądź co bądź kobietę.

– Idziemy. Nie rozmawiaj z nią. – Dorota z pogardą spoglądała na Niemkę. – No mówię ci, chodź! Ja je wszystkie znam, one nie mają nikogo i tylko szukają towarzystwa.

– Tym bardziej posiedzmy z nią chwilę – zaproponowała skłonna do dużo większej empatii Kasia.

– Chodź i nie wydziwiaj! Ona wcale nie chce z nami rozmawiać, ona chce tylko do nas mówić. Naprawdę, uwierz mi, ja je wszystkie dobrze znam. Ona cię wcale nie słyszy. Chce tylko klepać swoje – powtarzała Dorota. Ciągnęła Kasię, milcząca i oglądająca się na Niemkę, za rękę. Szły w kierunku drogi do zamku. Nie śpieszyły się. Minęły dwie przecznice i dotarły do dużego, soczyście zielonego i wypielęgowanego parku w centrum miasteczka. Rozmawiając ze sobą, zatrzymywały się co chwilę, urzeczone jakimś nowym, inspirującym widokiem. Teraz też przystanąły na jednej z alejek. Wokół nich, na polanie i pod drzewami, rosły wielkie krzewy różnobarwnych rododendronów i azalii, tworząc malownicze, zwarte kobierce.

– Zobacz, u nas nie ma takiej roślinności jak tutaj. Ale to zrozumiałe, bo nasze srogie zimy absolutnie nie sprzyjają przyrodzie – zauważyła Kasia. – Tutaj można się w tych kwiatach tarzać bez końca.

Kępa kwitnących krzewów tworzyła wielką, różnokolorową plamę na tle wszechobecnych zielonych trawników.

– Ja tam wolę nasze polne kwiaty. Modraki, kaczeńce, maki... O, wiem już, musimy iść tą drogą w górę. Tutaj, w Niemczech, drażni mnie, że to wszystko jest takie wypielęgowane – dodała po chwili.

– Poczekaj, zrobię kilka fotek tym rododendronom.

Kasia przecierała obiektyw aparatu fotograficznego. Używała już drugiej karty pamięci, zdjęć miała prawie pięćset, ale co rusz w oko wpadał jej jakiś wart uwiecznienia obrazek. Otoczenie inspirowało ją

jak żadne inne przedtem. Często myślała, że zbyt rzadko kontempluje świat gołym okiem, bo patrząc przez obiektyw, nie zauważa się innych, być może ciekawszych miejsc i sytuacji. W życiu nie można zobaczyć wszystkiego – pocieszała się jednak.

– Jaki widok! – krzyknęła z zachwytem, gdy znalazły się na górze.

Ich oczom ukazały się najpierw rozciągające się wokół olbrzymie połacie nieskazitelnie zielonych, dokładnie wystrzyżonych pól golfowych, a potem – na ich tle, w głębi – monumentalny popielatoszary zamek ze strzelistymi wieżami.

Pogoda była iście majowa, bardzo odpowiednia na wycieczkę. Niebo oszołamiało błękitem, a powietrze – niezwykłą świeżością i klarownością. Lekki wiatr orzeźwiał, bo słońce przygrzewało już mocno. Wokół, na olbrzymich polach, widać było kilku spokojnie poruszających się golfistów w bieli. A na kawiarnianym tarasie – wielu eleganckich, nigdzie nieśpieszących się, zapewne bogatych gości. Niemców, pięknych jak z żurnali, nazywając według kryteriów społecznych Kasi. Na parkingu przed zamkiem stał sznur najnowszych aut światowych marek, a wejścia strzegł dostojny portier w czarno-czerwonej liberii. Popołudnie wlokło się tutaj ospale.

Kasia w skupieniu robiła zdjęcia. Ustawiała się z aparatem w różnych miejscach, czasem kucąca, innym razem wychylała się między drzewami albo wyginała w pałąk jak kot, żeby znaleźć właściwy kontekst dla fotografii.

– Chodź na taras, zapraszam cię na herbatę albo jakiś sok. Stamtąd też możesz fotografować. – Dorota wskazywała ręką taras zamku, na którym zwolnił się właśnie stolik przy wejściu.

– Co? Poczekaj, bo chyba baterie mi się wyczerpały. Kurczę, że też w takim pięknym miejscu! – Kasia majstrowała przy aparacie.

– Chodź, chodź. Tam sprawdzisz, co z aparatem – nie dawała spokoju Dorota.

Katarzyna milczała, niby sprawdzała stan baterii w minolcie, ale co chwilę zerkała na Dorotę, jakby bała się, co powie.

– Nie mogę... – wydukała w końcu zduszonym głosem.

– Czego nie możesz?!

– Przepraszam cię, ale ja nie mogę tam pójść. – Kasia poczerwieniała. Wyglądała, jakby się miała za chwilę rozplakać.

Zapadło grobowe milczenie.

Kasia niewątpliwie była onieśmielona. Stała wystraszona, gotowa do natychmiastowego odwrotu. Nigdy jeszcze nie czuła się tak niestosownie jak tutaj. Schowała się pod wielkim platanem, w torebce szukała zapasowych baterii. Zazwyczaj starała się mieć je ze sobą.

Spojrzenie Dory emanowało zdziwieniem. I pogardą.

– Dlaczego?! No, nie wygłupiaj się. Posiedzimy sobie na świeżym powietrzu, będzie miło. Ja zapraszam. – Przyglądała się Kasi, zniecierpliwiona.

– Wiesz co? Nie mogę, nie będzie mi miło. Nie rozumiesz? To nie jest miejsce dla mnie. Źle bym się czuła wśród tych bogaczy! – Widząc minę Doroty, Kasia nie mogła opanować wzbierającego gniewu. – Nie dość, że przyszyliśmy tutaj pieszo, to jeszcze nie jestem odpowiednio ubrana. Nawet narodowości nie mam właściwej!

– Co ty mówisz?! Że przyszyliśmy pieszo? Tutaj to nie ma żadnego znaczenia! Nie ma znaczenia, że nie jestem Niemką! Mieszkam tutaj, pracuję na siebie i Tamarę, więc mam prawo bywać, gdzie mi się podoba! A akurat tutaj mi się bardzo podoba! – krzyczała Dora. Kawiarniani goście zaczęli spoglądać w ich stronę i szeptać coś pomiędzy sobą.

Wyznanie Katarzyny Bzdowskiej niewątpliwie zaskoczyło Dorę. Jak to? Herbata czy sok nie są jakimś wielkim wydatkiem ani dziwnym zamówieniem. Czyli zaproszenie na odrobinę soku do niczego

nie zobowiązuje. O co jej tym razem chodzi? Tylko o to, że nie przyjechały samochodem? Tylko w Polsce samochód jest dowodem bogactwa, ale nie tutaj, w Niemczech, gdzie jest powszechny jak torba na zakupy czy worek na ziemniaki. Przesadza – pomyślała o Kasi z niechęcią. Jak zawsze przesadza!

– Nie dałabyś sobie tutaj rady, Kaśka! Zupełnie byś przepadła, to jest pewne jak dwa razy dwa! – Dora westchnęła zirytowana.

– Dlaczego mnie nie rozumiesz?! – Kasia zaczęła mówić powoli, ale podniesionym głosem. – Nawet nie starasz się mnie zrozumieć! – denerwowała się coraz bardziej. – To proste! Nie chcę po prostu być w takich miejscach, gdzie nie czuję się dobrze. Wyobraź sobie, że nie czuję się swobodnie, gdy muszę pieszo, spocona, w trampkach i pomiętych spodniach, nawet nie lnianych, wejść gdzieś, gdzie panują zupełnie inne standardy. Czuję się jak szczur, rozumiesz to? Jak nędzny, przemykający po kanałach, szary, wielki i do tego polski szczur!

Rozpłakała się. Dawno już nic tak mocno jej nie dopiekło. Co Dorota może wiedzieć o tym, czy jej też nie jest trudno? Gdyby żyła w Polsce, też by się nie utrzymała, przepadłaby z kretelem. Gdyby u nas opiekowała się starszymi ludźmi, dostałaby z tysiąc złotych co miesiąc. Ile by jej zostało? Nic. Rozżalona Kasia poczuła, jakby przeżywała jakąś zasuszoną w podświadomości traumę. Płakała już na dobre. Usiadła pod wielkim platanem, zdjęła z szyi aparat, rzuciła go niedbale na trawę i, płacząc, szukała w torbie papierowych chusteczek.

– Zobacz, nawet baterie mi wysiadły. To też chyba coś znaczy, prawda? – dodała przez łzy.

Dora nadal nie rozumiała fanaberii przyjaciółki. A przynajmniej sprawiała takie wrażenie.

– Nie dałabyś sobie tutaj rady. Teraz widzisz, ile ja musiałam przejść? Dopiero gdybyś miała tak ciężko, jak ja miałam, i takie kłopoty, jakie ja mam z Tamarą, zrozumiałabyś mnie. Dlatego właśnie wiem, że mogę tu wejść. I wchodzę, jeśli chcę.

– Posłuchaj mnie jeszcze raz i wejdź na chwilę w moją skórę – zaczęła cicho Kasia. – Chciałabym siedzieć teraz na tym tarasie, ale gdybym była bogatsza. Bo ja chcę mieć więcej pieniędzy! – mówiła coraz szybciej i głośniejsze. Wstała z trawy, zrobiła kilka kroków. – Mam już dość, że o moim losie stanowi ktoś poza mną. Zapłaci mi albo i nie. Potrzymano mnie jeszcze trochę w pracy albo zwolni. Nie zapyta, czy będę miała z czego żyć. Mężatka, powie, to mąż ją utrzyma – zachnęła się. – Czym ja mam się chwalić? – Podeszła do Doroty i spojrzała na nią. – Pawłem nie mogę. Teraz chce mi się krzyczeć: pragnę być bogata! Nigdzie tak mi się nie chciało tego wykrzyczeć, jak tutaj. – Znowu usiadła na trawie. Siedziała pochylona, z głową schowaną w dłoniach. Po chwili od nowa zaczęła popłakiwać żałośnie i wycierać nos.

– No dobrze, nie becz już. Nie masz powodu, żeby się aż tak rozklejać. Zapomnij o nim raz na zawsze... Słuchaj! To może pomyślmy o propozycji mojego brata? – spytała po chwili Dorota, siadając na trawie obok przyjaciółki. Spoglądając na kawiarniany taras, obie oddały się swoim myślom, które, zdawało się, połączyły je w tymczasowym zrozumieniu.

Uroczystości zakończenia roku szkolnego w szkole, gdzie uczyła Majsza, dobiegły końca. W pokoju nauczycielskim nie było już nikogo, jedynie ona i dyrektor, prywatnie dobry kolega jej i jej męża.

– W przyszłym roku szkolnym dałbym ci czwartą klasę – oznajmił Majce.

– Mówiłeś, że będę ciągnęła szóstą, po Ninie – przypomniała mu zaskoczona. Nie lubiła małych dzieci, wolała starsze. Przez ostatnie lata była wychowawczynią starszych klas, dzisiaj też zakończyła rok szkolny z szóstoklasistami. Teraz, chwilę po uroczystościach, szykowała się do domu. Pakowała bukiety kwiatów w papier, a drobne prezenty – do papierowej torby. Jarek obiecał, że przyjedzie po nią zaraz po swoich zajęciach. Potem mieli razem jechać do liceum muzycznego po Zużę, a jeszcze później na uroczysty obiad, bo dzisiaj mijała dwudziesta rocznica ich ślubu. Stolik w jednej z bardziej prestiżowych restauracji w mieście został zarezerwowany już miesiąc temu.

– Nina zdecydowała się wrócić do nas zaraz po urlopie macierzyńskim. Coś tam z pieniędzmi się u nich porobiło i teraz dzieckiem ma się zajmować babcia – tłumaczył dyrektor, pakując sprawozdania, zestawienia do podsumowania oraz inne dokumenty do teczki. Jak co roku z tymi obowiązkami rozprawiał się w domu, podczas wakacji, ku niezadowoleniu niepracującej zawodowo żony.

– Przecież dziecku na początku najbardziej potrzebna jest matka. Nina ma męża. On nie może zapracować na rodzinę? – Według Majki odpowiedzialny i utrzymujący rodzinę mąż był standardem, nie luksusem.

– Nie wiem. Nie ma pracy albo coś podobnego. To ich sprawa. Moi chodzili do żłobka i wyrosli na całkiem do rzeczy facetów. – Dyrektor, uporawszy się z papierami, usiadł wreszcie przy biurku i nalał sobie kawy.

– Zuzka była taka delikatna, jak mogłabym ją oddać do żłobka? Jarek też by nie chciał. Gdzie on jest? Znowu się spóźnia! – Majka zmieniła temat. Kręciła się niespokojnie na krześle, zerkając na zegarek, włączała i wyłączała komórkę. Od dłuższego czasu próbowała się skontaktować z mężem, ale słyszała jedynie: „Dzień dobry, Jarosław Szalek”, co znaczyło, że telefon komórkowy ma wyłączony. Telefon w jego gabinecie na uczelni też nie odpowiadał, w domu zresztą również. Była to, jak na ich rodzinne układy, sytuacja niezwykła, więc Majka co chwilę wstawiała z krzesła i spacerowała nerwowo od okna do okna, wyglądała za drzwi.

– Nie denerwuj się, zaraz będzie. To słowny gość – pocieszał ją dyrektor, widząc, jak jest niespokojna.

Rzeczywiście, w tym momencie ich granatowy citroen z Jarkiem w środku podjechał pod budynek. Majka bardzo się ucieszyła, pobierała swoje rzeczy, pokiwała dyrektorowi, po czym wybiegła ze szkoły z bukietami kwiatów i pakunkami w ręce. I zamknęła za sobą odrapane drzwi na całe dwa, wolne od nieciekawej pracy, miesiące!

– Ojej, bo nie zdążymy po Zuzkę! – Cmoknęła Jarka w policzek. – Zobacz, ile kwiatów dostałam! Tak się cieszę, że prawie wszystkie są kremowo-żółte, nawet te herbaciane też pasują. Widzisz, wszyscy się przyzwyczaili, że tylko takie kwiaty lubię. Wiedzą, że nie pasuje mi róż, fioleto i prawie wszystkie te zimne tonacje. – Wydeła z dumą swoje niewielkie usta. – Jakbym wyglądała, gdybym teraz, w tej zielonej garsonce, umalowana na łososiowo, dostała fioletowe i wściekle różowe kwiaty? Bukiet powinien pasować do ubrania, a potem do ścian i w ogóle kolorystyki pokoju, w którym będzie stał. I do wazonu oczywiście.

– Majka, źle się czuję. Może innym razem pojedziemy na tę kolację? – szepnął Jarek. Drżącą ręką wkładał kluczyk do stacyjki.

– Jak to? To nasza rocznica! – krzyknęła zdziwiona, wsiadając do samochodu. Kwiaty i prezenty

położyła na siedzeniach z tyłu. Z fotela obok kierowcy podniosła napoczętą fiolkę z lekarstwami. Bez żadnego zainteresowania, mechanicznie wrzuciła ją do schowka z mapami. Dopiero teraz spojrzała na Jarka. Nie wyglądał dobrze, był jakby nieobecny, przygaszony, szary na twarzy i zmęczony. Ponadto sprawiał wrażenie, jakby był smutny.

– Może przez jakieś nieświeże jedzenie? Jadłeś coś poza domem? Teraz nie wiadomo, co pakują do tych wszystkich fast foodów. Wiadomo, gospodarka rynkowa, pieniądz się liczy, a pojedynczy człowiek z potrzebami swojego organizmu i duszy jest zupełnie nieważny...

Nie przyszło jej na myśl, że mógłby mieć inne zmartwienia. Wprawdzie sygnalizował, że w instytucie coś się dzieje, ale zbagatelizowała tę informację, bo nie dopuszczała do siebie myśli, że jej mąż nie rozwiąże problemu. Mężczyzna powinien radzić sobie w pracy, a nie uciekać się do wyżalania żonie, tak uważała.

– Posłuchaj, Majeczko, tylko przez moment nic nie mów! Dostałem wypowiedzenie z pracy – powiedział cicho i wyłączył silnik. Siedział z dłońmi na kierownicy, patrząc przed siebie.

Maja zamilkła, bo zauważyła, że po przedniej szybie, od wewnętrznej strony auta, przechadza się wielka mucha. Sięgnęła do schowka i wyciągnęła starą mapę samochodową, po czym zaczęła ją zwijać, mierząc owada groźnym wzrokiem.

– Rozmawiałem już na ten temat z profesorem – dodał po chwili. – Poprosiłem o wsparcie w mojej sprawie, ale chyba nic z tego nie wyjdzie. Niby obiecywał, że rozpatrzy moją sytuację, ale wyczuwam, że to była z jego strony jedynie kurtuazja. Nie pisałem ostatnio artykułów, habilitacji też nie zrobiłem na czas. To wystarczyło, a teraz mogę mieć pretensje do siebie samego, że się nie postarałem.

– Jak to?! – wykrzyknęła oburzona. Uderzyła muchę zwiniętą mapą. Celnie. Zwłoki zawięła w chusteczkę i wyrzuciła za okno. Na jej drobnej twarzy pojawiło się obrzydzenie. Jak zawsze w takim stanie ducha, wydeła usta. – Przecież byś napisał. Jak mogli ci to zrobić? Ktoś musiał ci bruździć, dzisiaj nie ma serdeczności w pracy. U mnie w szkole, wyobraź sobie, nie zarabiamy dużych pieniędzy, a mimo to cały czas toczy się wojna podjazdowa. – Patrzyła na Jarka z miną wyrażającą niesmak i oburzenie. Gestykulowała wąskimi dłońmi przyozdobionymi wielkimi srebrnymi pierścieniami. – A zresztą, kto wie? – zawahała się. – Może tak będzie lepiej? Przecież poszukasz sobie czegoś lepszego. Potrzebują dyrektorów w fabrykach albo kompetentnych specjalistów od zarządzania. – Zaczęła bębnić palcami o deskę rozdzielczą. Pierścienie, uderzając o siebie, wydawały cichy brzęk.

Jarek włączył silnik, nacisnął na gaz, ruszył ostro. Majka zapięła pasy, potem położyła torebkę na kolanach i wygładziła niewidzialne zmarszczki na eleganckiej spódnicy. Zamyśliła się. Zapadła głucha cisza, jak w studni, zakłócana jednakże cichym i monotonnym dźwiękiem silnika.

– Wiesz... – zaczęła po namyśle. – Mężowie moich koleżanek pracują w różnych firmach i nie narzekają, a wręcz chwalą to sobie. Zarabiają godziwe pieniądze i nie muszą, tak jak my, się z nimi liczyć. Nie wyobrażam sobie, żeby w naszym przypadku mogło być inaczej. Szczerze mówiąc, dziwię się koleżankom, które muszą same pracować na rodzinę. Wyobraź sobie, że przez to dostałam teraz wychowawstwo w czwartej klasie! Psiakrew! Jarku, ty nie możesz się równać z jakimiś słabo wykształconymi nierobami! Zresztą, jeśli ktoś chce, pracę zawsze znajdzie.

– Oby – skwitował zrezygnowany.

A Majsza od razu zaczęła snuć bardzo optymistyczne plany. Mógłby przecież być nawet dyrektorem – pomyślała, uśmiechnęła się do siebie i spojrzała na Jarka. – A ja wtedy byłabym dyrektorem. – Wyprostowała się na siedzeniu, poprawiła niesforną grzywkę, z kieszeni żakietu wyciągnęła błyszczący przejechała nim po ustach. – I po cóż zamartwiać się na zapas, kiedy los niesie nowe możliwości? – powiedziała sobie w duchu.

Uśmiechnęła się do Jarka, pogodzona, że nie pojedą jednak na obiad do najlepszej restauracji w alei

Najświętszej Marii Panny, i zadowolona, że w końcu zostanie dyrektorem i wreszcie ich rodzinę będzie stać na dużo więcej. Och, życie płata jednak czasem bardzo miłe figle – pomyślała i spojrzała w okno, gdzie wysokie słońce zdawało się zwiastować, a może i znaczyć ich drogę do dobrobytu.

– To odbierzmy Zuzę i jedźmy do domu – szepnęła.

Po powrocie z Niemiec Kasia nadal nie czuła się najlepiej. Zwłaszcza gdy pomyślała, że znowu musi przekroczyć drzwi banku i za tymi drzwiami pozostać na minimum osiem godzin dziennie. Co robić? – myślała.

Wyluzować, to po pierwsze. Pójść do fryzjera, to po drugie. Załatwić sobie aqua aerobic – po trzecie. Pogadać o tym z Piotrkim – po czwarte. Nie dać się życiu – po piąte. Nie dzwonić do Marcina – po szóste. Tak! Pod żadnym pozorem nie ciągnąć już tego obciążającego i mdłego związku! Udawać przed mamą, że nic złego się przecież nie dzieje – po siódme! A po ósme?

Dorota! Tak! Jej propozycja była rzeczywiście jakąś alternatywą! Najlepiej byłoby, gdybyśmy już teraz, zaraz – myślała gorączkowo – nawet od tegorocznego lata próbowały stworzyć miejsce integracji niewielkich grup zawodowych, a może tylko zwykły dom pracy twórczej, ośrodek spotkań. Mogłaby to być nawet mała szkoła dla uzdolnionych dzieci. Czas pokaże, co to będzie za twór w tych Mordkach. Nic by owo przedsięwzięcie na razie nie kosztowało, a może i wyniknęłoby z tego coś ciekawego i na lata? Kto powiedział, że nie uda się jednocześnie pracować w Poznaniu i po cichu szukać pracy na podobnych stanowiskach w Olecku albo Ełku? A jeśli zaszłaby taka konieczność, to i doglądać interesu w Mordkach – oczywiście nie codziennie, a na przykład w weekendy.

Droga do pieniędzy nie jest wysłana różami. Zresztą, te, które teraz zarabiała, też będą potrzebne, na przykład do pomnożenia. Czuła, że wstępuje w nią nowy duch. Zaskakująca nawet ją twórcza energia i chęć do działania. Poczwała, że entuzjazm ją uskrzydla. Nie mogła się doczekać, aż wieczorem zakomunikuje telefonicznie swoją decyzję przyjaciółce. Co też się stało:

– Dora, cześć. Dobra, niech ci będzie, możemy spróbować robić biznes w Mordkach, pod warunkiem że usmażysz dla mnie te swoje przepyszne naleśniki. Uwielbiam je.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Ogarnęło ją tak pozytywne podekscytowanie, jakiego nie zaznała chyba nigdy. Była przekonana, że teraz musi się w jej życiu wreszcie coś wydarzyć. Tej nocy nie dałaby wiary, że taka decyzja obarczona jest także sporym ryzykiem. Poczwała się tak bardzo zdeterminowana do działania, aż szalona.

– Strasznie długo się tutaj jedzie – powiedziała Kasia do Doroty, gdy pod koniec czerwca razem z synem Piotrkim wysiedli z pociągu – zmęczeni, a raczej znużeni całodniową jazdą – na dworcu w Ełku.

Syn Kasi początkowo wykrecał się od wyjazdu, ale gdy usłyszał, że będzie też Tamara, po znużających pertraktacjach wspólnie się zgodził. Wakacje dopiero się zaczęły, więc poświęcił się dla sprawy – skwitował w końcu.

– Można się przyzwyczać. Pomyśl, ile my z Tamarą musimy się namęczyć, jadąc do Mordek z Frankfurtu! Dwadzieścia godzin!

– Od Olsztyna pociąg co się rozpędził, to się zatrzymał. Przystawał na każdej małej stacji. Koszmar – narzekał Piotrek, ciągnąc wielką walizkę po nierównym peronie.

Przeszli z dworca do czekającego na nich w zielonym cinquecento na parkingu przed dworcem brata Dory, Dzik z Ełku. Zapakowali bagaż, wsiedli do ciasnego auta i po niecałych trzydziestu minutach ostrej jazdy byli już prawie u celu. Kręta droga wiodła przez rozświetloną żółtym, południowym światłem senną wioskę, z rzadko rozmieszczonymi, przycupniętymi wśród dużych owocowych drzew i krzewów domami, które wyglądały na niezamieszkałe.

– To tutaj – powiedziała Dorota, gdy Dzidek zatrzymał się w dolinie, przed dużym domem z szerokim wejściem z rudobezowego kamienia i drewnianymi, rzeźbionymi balkonikami na piętrze. Podobny do domu Majszy – pomyślała Kasia. – Tyle że ten jest większy, ponemiecki, wyremontowany, a dom Majszy wystylizowany w zasadzie od podstaw. Kasia rozglądała się po okolicy zaciekawiona.

Z tyłu budynku widać było łagodne wzgórze morenowe, porośnięte dzikimi trawami różnej wysokości, z drugiej zaś strony, w dolince kilkadziesiąt metrów od domu – niewielkie jezioro rynnowe, zarośnięte trzciną, rzęsą i szuwarami. Przeciwległy brzeg jeziora porastały lasy, a od strony bliższej domu brata Doroty – duże pojedyncze drzewa liściaste. Z ganku przed domem widać było całą surowość i majestatyczne ukształtowanie krajobrazu. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągały się pola uprawne porośnięte zbożem, łubinem i rzepakiem. W dolinie tej, tuż obok, bliżej jeziora, soczyste zielone trawy tworzyły połacie łąk, na których pasło się bydło. Kaśka dojrzała też cztery kare konie – i mimo że pasły się daleko stąd, widać było od razu, że są rasowe. W gładkiej jak szkło tafli jeziora w dolinie odbijało się pomarańczowe, zachodzące słońce.

Na powitanie przy furtce dopadła ich sfora czterech rosłych, szarych wilczurów, poszczekujących donośnie i merdających z wielką radością ogonami.

– Atos, Portos, Aramis, Dartanian, grzecznie! – komenderowała Dora. – Tamaro, zrób coś z tymi psami! Dlaczego nie uwiązałaś ich przy budach?! Znowu zapomniałaś?!

– Nigdy wcześniej nie widziałam naraz u nikogo czterech takich wielkich psów. O kurczę, ile one żrą?! – dziwiła się Kasia.

– Tutaj, na wsi, pies z łatwością się wyżywi. Zapraszam, no proszę, tędy. Dom chyba nie jest zły? Kiedyś w połowie była to szkoła, teraz i ta część jest już nasza. W poprzednim roku robiłam remont. Witek przesłał trochę pieniędzy i udało się kilka rzeczy wymienić. Te okna ze szprosami są nowe, drzwi i dach też. Zaczęłam wymieniać rynny i ganek chciałam ucywilizować, ale trzeba dokończyć. Z szopy za chwilę zrobi się budynek mieszkalny. To co, Kaśka? Podoba ci się? Wyobrażasz sobie, że mogłybyśmy tutaj coś stworzyć i zarabiać? – dopytywała Dora.

Kasia w milczeniu przystanąła na ganku. Na starej kamiennej posadzce przy wejściu do domu stało osiem różnokolorowych plastikowych krzeseł ogrodowych. Nie było dwóch takich samych. Rozglądała się po okolicy, głęboko wdychając rześkie powietrze od jezior. Od razu poczuła się właścicielką,

podniosła wyżej brodę. Odwróciła się w stronę Dory, podeszła do niej, dała jej buziaka i udzieliła odpowiedzi zarówno obiecującej, jak i enigmatycznej:

– Spróbujemy, skoro kiedyś planowałyśmy. Bo co innego nam pozostaje? – Po czym obie spojrzały na siebie i usiadły na plastikowych krzeselkach. Podały sobie dłonie. O czym myślały? Licho wie, ale czuły, że coś się między nimi właśnie wydarzyło. Coś ważnego i wymagającego absolutnej powagi. Przynajmniej na wstępie.

W Częstochowie był ciepły, czerwcowy, pachnący akacjami wieczór. Majsza wracała do domu. W ręce trzymała rulon ze swoją dzisiejszą grafiką. Była rozpromieniona. Zbyszek Waligóra nie szczędził jej wreszcie uprzejmości. Zapewniał ją, że po kilkunastu lekcjach najpierw kreski, a potem różnych innych technik malarstwa będą z niej ludzie. W swoim stowarzyszeniu też odniosła sukces, jej prace z majowego pleneru powieszono na honorowym miejscu na wystawie poplenerowej w domu kultury. Wracała stamtąd pełna dobrych wrażeń.

Zuza od kilku dni była na obozie w Chorwacji, Jarek powinien siedzieć w domu, bo nie miał na ten dzień żadnych specjalnych planów, jedynie rano kolejną rozmowę o pracę.

Kiedy weszła do domu, zaniósła rulon z grafiką do pracowni na górze. Przebrała się w krótkie, białe spodnie i białą koszulkę z błękitnymi napisami, wcisnęła stopy w wygodne, skórzane białe klapki. Była opalona, co podkreślał ów biały strój. Przejrzała się w lustrze, wyszczotkowała kręcone, ciemnopopielate włosy, wzięła szklankę z wodą i wyszła do ogrodu. Jarek siedział na drewnianej, wygodnej ławie pod pergolą, wolno odwrócił się na jej widok:

– Jesteś wreszcie! – W jego głosie usłyszała zimne, nieprzyjemne, zupełnie nieznane jej u niego do tej pory tony.

– Mówiłam, że będę później. – Zdziwiła się, że nie pamięta. On, umysł ścisły, precyzyjny, do tej pory za takiego go miała. – Wyobraź sobie – odniosłam sukces! Te moje obrazki z pleneru w Ojcowie powiesili na samym środku wystawy. Teraz będę musiała się dopasować do nich strojem, bo na uroczystym otwarciu wystawy każdy autor prezentuje sam swoje dzieła. Mówię ci, Jarku, dobrze, że kiedyś zaczęłam malować, bo o moje pejzaże już dwie osoby się dopytywały i chciały je koniecznie kupić. Nie będę ich sprzedawać, to by było tak, jakbym własne dziecko sprzedawała. To nietakt, żeby mi to w ogóle sugerować – spuentowała oburzona.

– Nietakt... Sukces... Jakieś trywialne plenery i wystawy! Dzieła, mówisz? – Jarek prychnął i zaśmiał się półgębkiem. – Te nachlapane mazgaje to jeszcze nie dzieła! Czy nie słyszysz, jak trajkoczesz? – wycedził ze złością, wrogo spoglądając spod przymkniętych powiek.

Znieruchomiała. Nigdy nie widziała go takim. Bardzo często dziwiła się, jak to możliwe, że kobiety godzą się na nietaktowne i niegrzeczne zachowanie swoich mężów czy partnerów. Niestety, nie reagowały na tego typu ekscesy, według niej, należycie. Ot i cała przyczyna niemego przyzwolenia na tę pewnego rodzaju zasłużoną jednak martyrologię. Ona nie mogłaby tak żyć – myślała kiedyś.

Teraz jednak i ona mu na to pozwalała! Co powiedzieć? Jak zareagować? Czy w ogóle zareagować? Te pytania ściagały się w jej głowie. Ale ponad wszystko była oburzona i zdezorientowana jednocześnie i do tych stanów musiała się przed sobą przyznać. Bała się. Najzwyczajniej wystraszyła się swojego męża!

– Co ci jest? O co ci chodzi? – wykrztusiła po dłuższej chwili.

– Co mi jest, co mi jest?! Nagle się mną zainteresowałaś?! A co ma mi być?! – Wstał z ławki i wyrwał niewielki otoczek z obrzeża oczka wodnego. Majsza pobladła. Przez chwilę ważył go w dłoni, po czym rzucił nim o taflę oczka wodnego, płosząc kilka kolorowych rybek. Czmychnęły z pluskiem w głębinę. – Zaraz zacznie się drugi miesiąc, jak szukam pracy i siedzę w domu. Co mam sobie myśleć? Zostawisz mnie! Znowu mnie zostawisz! Wracasz późno, może się z kimś znowu spotykasz?! Odpowiedz zaraz! – krzyczał, nie robiąc sobie zupełnie nic z faktu, że na sąsiednich ogródkach toczyło się życie. Ktoś kosił trawnik, inny pluskał się w basenie, jeszcze ktoś siedział na wielkiej wiśni i zrywał owoce.

Majsza patrzyła na niego z przestachem. Onieśmielał ją.

– Z nikim ważnym się nie spotykam! A na pewno nie w ten sposób, jak myślisz. Co ci jest? Nie

możesz tak normalnie, po ludzku, powiedzieć? – powtórzyła.

– Po ludzku powiedzieć... Trzeba było zawsze tak do mnie mówić! Boję się, co będzie dalej, rozumiesz? – powiedział po dłuższej chwili, ponownie siadając na ławce. Chwycił ją za rękę. – Chodź tutaj, dotknij mnie, wiesz jak, przytul.

Mógłby już wreszcie przestać we mnie wątpić. To było, owszem, ale minęło przecież – buntowała się Majka. Nieśmiało podeszła bliżej, pochyliła się i dotknęła jego ramienia. Do jej nozdrzy wdarła się ostra, kwaśna i nieprzyjemna woń.

– Psiakrew! Piłeś! – krzyknęła, odskakując od niego, jakby parzył. Biegiem puściła się w kierunku domu, potem po schodach do góry, wreszcie wpadła do swojej pachnącej heblowanym drewnem pracowni na piętrze i zamknęła drzwi na klucz. W końcu rzuciła się na sofę i zaczęła głośno płakać. Tak zastał ją ranek kolejnego dnia.

W Mordkach była dopiero ósma rano, ale wszyscy z wielką ochotą powychodzili już z łóżek. Nawet Piotrek i Tamara, mimo że kładli się spać bardzo późno, sporo po północy. Niezatrute środowisko, zwłaszcza czyste i świeże powietrze, dodawało sił i trochę także entuzjazmu.

– Pójdziecie po jajka i mleko do Solińskich! Usmażę na obiad te obiecane naleśniki. Miałam w planach coś innego, ale Kaśka ciągle o nie prosi, to zrobię – zawołała Dora zza drzwi do łazienki.

– A gdzie mieszkają Solińscy? Daleko? – spytał Piotrek.

– Tamara wie. Niedaleko, to ten duży, biały dom na górcie.

Od przyjazdu Kasi i Piotra do Mordek minęły dwa dni, a jeszcze nie znalazły czasu, aby ze sobą porozmawiać, bo Dorota codziennie zapraszała tutaj swoich braci. Później zawsze były już tak zmęczone, że po zrobieniu wieczornych porządków nie miały siły na nic. Rzucały się tylko na łóżka i od razu zasypiały. Rankiem zaś Dora jeździła do miasta, do urzędów, aby zasięgnąć języka na temat możliwości prawnych ich ewentualnego projektu. Piotrek kopał piłkę na polanie przy jeziorze, Tamara moczyła nogi w wodzie, przyglądając się jego popisom, a Kasia spędzała czas na leżaku przed domem.

– Z przyjemnością zrobiłabym dla nas wszystkich obiad – zasugerowała Dorocie zaraz po przyjeździe. Nie lubiła stanów swojej bezużyteczności i męczącego jednak lenistwa, ponad wszystko nie chciała też być obsługiwana.

– Nie, sama zrobię. Nie obraź się, ale ja nie lubię jeść potraw, które ktoś inny przyrządza. Najbardziej mi smakuje moje jedzenie. Kiedyś bratowa zrobiła młode ziemniaki z cebulką, ale tak je jakoś podduśiła i chyba dodała do nich mleka, że się brzydziłam tę breję jeść – gderała Dora. Wiadomo już było, że trudno będzie przeskoczyć ten jej perfekcjonizm albo wiarę w swoją doskonałość. – Ale ukopać ich w polu trochę możesz – dodała już z ulicy, śpiesząc się na wyłaniający się zza zakrętu na górcie autobus. Przystanek znajdował się zaraz przed ich domem, ale pekaes do Olecka jeździł wtedy tylko dwa razy dziennie.

Dorka, myślałaś kiedyś o jakimś samochodzie?, pytała Kasia jeszcze we Frankfurcie. Nie lubię zbytków, odpowiedziała wtedy krótko Dorota.

Byłoby nam dużo łatwiej, gdybyśmy miały jakiś pojazd. Mogłabym jeździć – myślała Kasia. Od kilkunastu lat posiadała prawo jazdy. Kiedyś, gdy jeszcze mieli niewielkie auto, jeździła sporo, potem, gdy dorobili się chryslera voyagera, codziennym użytkownikiem auta stał się Paweł. Prawdopodobnie nadal go ma, bo gdyby próbował sprzedać, ona jako żona musiałaby wyrazić na to zgodę. Przydałby się teraz – myślała o pojeździe, widząc, jak przyjaciółka traci prawie pół dnia, żeby załatwić coś, co z pomocą samochodu zajęłoby zaledwie godzinę.

Dzisiaj Dora nie miała planów wyjazdowych, od rana biegała z miotłą i szufelką po domu. Gdy uporała się nieco ze środkiem kuchni, postawiła miotłę w kącie i ścierką zaczęła przecierać olbrzymi, dębowy stół w jadalni, a już po chwili znów obmiatała pod wyciosanymi z grubego pnia, wygodnymi ławami, które stały wokół stołu. Biegała to tu, to tam. Cała ta jej organizacja pracy wyglądała nieprofesjonalnie, wręcz chaotycznie. Kasia przyglądała się, jak wstawia suche i czyste naczynia do kredensu w kącie kuchni, a żółte i brązowe filiżanki i talerzyki wiesza na specjalnych uchwytach na kredensie. Ta bieranina Doroty, dźwięki przestawianej porcelany i garnków na piecu, a także nieustający pośpiech sprawiły, że Kasia poczuła się podenerwowana.

W domu było ładnie i wygodnie. Jadalnia mogła pomieścić naraz ponad dwadzieścia osób, a mimo to nie sprawiała wrażenia ciasnej. Celem Doroty, jak zapewniała, było tak urządzić to domostwo, żeby nadal odgrywało rolę zajazdu rodzinnego i gościło krewnych tak często, jak się tylko da. Chwilowo Dorota nic nie wspominała o bratowych.

– Chodź, Kaśka, pokażę ci coś. – Dorota przerwała bieganie po domu. – Spójrz na tamto okno – powiedziała, ciągnąc Kasię na podwórze i wskazując szopę. – Widzisz ten rysunek na szybie?

Szopa niedawno przestała służyć do magazynowania urządzeń i narzędzi rolniczych. Była solidnym, murowanym budynkiem z czerwonej cegły, niedawno przerobionym i dostosowanym do potrzeb innych niż rolnicze. Układ nowych, jednopółcieniowych okien w kolorze złotego dębu wskazywał, że wewnątrz znajdowały się dwa poziomy. Już samo wstawienie okien sprawiło, że na zewnątrz obiekt zaczynał nabierać cech domu mieszkalnego. Od Doroty dowiedziała się, że jesienią uzyskają tam kilkanaście zmodernizowanych pokoi, niektóre z nich będą nawet z łazienkami.

– No i co? Widzisz? – dopytywała go przyjaciółka.

– Nie. – Kasia intensywnie wpatrywała się w szybę. To niewielkie i nowe okno nie różniło się, w jej ocenie, niczym od pozostałych, także nowych, ale nieco większych. – A cóż takiego mam w nim dostrzec? – Wzruszyła ramionami. – Bo widzę jedynie odbijające się słońce i cienie, prawdopodobnie domu i drzew.

– No właśnie! Przyjrzyj się dokładnie tym ceniom. Nie widzisz twarzy? – zdenerwowała się Dorota.

– Nie, zupełnie nie. Czyjej? – zdziwiła się Kasia.

– W tym oknie jest twarz mojej matki. Nawet po wymianie okna tam jest! Ona cały czas patrzy na mnie i oczekuje, że nie zmarnuję tego domu. Chce, by rodzina się nie rozsypała, troszczy się. To matula każe mi zabiegać o dobre relacje rodzinne, byśmy wszyscy trzymali się w kupie! – mówiła roztrzęsiona. – Ta twarz jest tam zawsze, od lat! Nigdy, nawet na moment nie znika.

– Dora, tam nie ma żadnej twarzy! Twoja mama patrzy na ciebie z dumą, ale z nieba. Po co się tak obciążasz?

Ileż ona ma moli, co ją gryzą – pomyślała Kasia. Życie połamało ją nie tak jak każdego, jak mnie czy Majsę. Mocniej, dużo bardziej, skoro ucieka się aż do takich symboli! Dlaczego szuka oparcia w zmarłej matce? Dlaczego nie w żywych? Zawiodła się? Czy nie ma autorytetów?

– Kiedy ci mówię, że to jej twarz, to mi uwierz! Czasem słyszę, jak spaceruje po strychu, w tę i z powrotem... Ona zawsze tak dreptała, gdy miała jakiś problem do rozwiązania. A wyobraź sobie, ile ich mogła mieć przy takiej liczbie dzieci! Jak ja za nią tęsknię! – Dora zamilkła, wpatrując się w okno w szopie. Obie milczały. Kasia nie wiedziała, co powiedzieć, a Dora? Dora po chwili przerwała głąchą ciszę. – Nie mogłam jej nawet pożegnać, naprawdę nie mogłam! – Dorotą targały emocje. – Tamarka miała wtedy trzy lata, nie miałam jej z kim zostawić. Dostała czterdziestostopniowej gorączki. Cały czas tłumaczę to matce nad grobem, ale ona nie chce mi przebaczyć! – Dora krzyczała coraz głośniejszym głosem, aż w końcu opadła na kamień pod szopą, a z jej piersi wydobył się dźwięk podobny do skowytu młodego, krzywdzonego psiaka.

Nieopodal domu stali nieśmiało Tamara z Piotrkim. Już od dłuższego czasu przysłuchiwali się rozmowie. A raczej dramatycznej mowie Doroty. Spoglądali na siebie z obawą, co z tego wyniknie. Oby tylko nie jakaś kłótnia. Gdy Dorota zamilkła, Tamara z ulgą siadła na stopniu przed tylnym wejściem do domu, a Piotrek – też już uspokojony – postawił obok wytłoczkę pełną dużych, beżowych jajek i emaliowaną, białą bańkę pełną mleka. Psy najpierw to obwąchały, a potem wróciły do ogrodu i położyły się na trawie, w półcieniu, obok czterech małych kotków. Tutaj wszystkie zwierzęta żyły ze sobą w pełnej symbiozie.

Był późny poranek. Promienie słoneczne odbijały się w jeziorze w dolinie, tworząc świetlne refleksy. Wokół panowała cisza, słychać było tylko bzyczenie pszczoł, które obsiadły kwitnące polne kwiaty. Drogą od czasu do czasu przejechał jakiś rowerzysta, raz na dwie godziny samochód albo ciągnik rolniczy czy kosiarka. Był czas sianokosów. W bezpośrednim sąsiedztwie stał stary i zniszczony dom, z dziurawym dachem i niemodnymi już, mocno odrapanymi oknami. Odkąd przyjechali, ani w tym

częściowo porośłym winogronem, ale w większości zieliskiem różnej maści ogrodzie, ani też w domu, nie było widać żywej duszy. Wieczorem nie zapaliły się światła. Ta posesja też pewnie należy do jakiegoś emigranta – pomyślała Kasia. Dorota prędko wyczuła, o czym myśli.

– Tam mieszka babcia Kondratowicz, kompletna dzikuska. Zmieniła się bardzo, zbabiała i zdziwaczała, odkąd uciekły od niej dzieci.

Budynek z czerwonej cegły na działce z drugiej strony stykającej się płotem z ich polem, oddalony od ich posiadłości dość sporo, bo nawet może i z dwieście metrów, był bardziej zadbane. Ale tam też panowała cisza, prawdopodobnie jego mieszkańcy wyjechali gdzieś na wakacje. Dora wspominała, że ten sąsiad większość czasu pracuje w Niemczech, do Mordek przyjeżdża tylko kilka razy w roku, czasem na dłuższe letnie wakacje.

– Nie interesuj się nim – ostrzegła Kasię. – To bufon. Wydaje mu się, że jest panem, bo się w tych Niemczech trochę dorobił. Zresztą – kontynuowała – chodziłam do podstawówki z jego żoną i mówię ci, jechała na samych trójczynach, a teraz zrobiła się z niej wielka pani. Wyobraź sobie: nową, bo ledwie dwuletnią pralkę wymieniała na nowszą. A kiedyś powiesiła dywan na tyłach domu, widać było, że drogi jak zaraza, i zapomniała o nim. *Szajse!* Jak można zapomnieć, że kilka dni temu zostawiło się kosztowny dywan na deszczu? Potem się chwaliła, że zbutwiał i musi kupić nowy. Kaśka, jak w Polsce ludzie mogą się czegoś dorobić, jeśli tak właśnie się gospodarują?

– Ona to jeszcze nie wszyscy – zaoponowała Kasia.

Przyjaciółka wlewała do wysokiego porcelanowego dzbanka kremowe mleko, wbijała jajka o intensywnie żółtych żółtkach i sypała mąkę. Potem włączyła mikser i krótko, na wysokich obrotach, ubijała ciasto naleśnikowe na jednolitą masę. W dwóch innych naczyniach miała już przygotowane gęste polewy do naleśników, cytrynową i malinową, a w małych miseczkach – ser o smaku cytrynowym i waniliowym. Kasia zanurzyła palec w polewie cytrynowej i zaczęła zlizywać. W kuchni pachniało owocami i wanilią, pomyślała, że szczęście ma zapach wanilii.

Dora tymczasem do jednej części ciasta dodała bakalie, które wystawały z cienkich naleśników, tworząc skojarzenie z krajobrazem na Marsie. Po chwili na dużej, ornamentowanej paterze i na talerzu obok leżało ich już kilkanaście.

– Pani Solińska prosiła, żebyśmy przyszli do nich dzisiaj wieczorem na kolację. Mówiła, że pan Jasiu mógłby przygotować ognisko u nich na polanie – przypomniało się Tamarze.

– Nigdzie nie będziemy chodzić. Co odpowiedziałaś? – spytała Dora, nie odrywając się od żółtego kamiennego garnka z powidłami śliwkowymi.

– Nic. Tylko że ci przekażę. – Tamara wzruszyła lekko ramionami. Spojrzała porozumiewawczo na Piotrkę, ale potem z niepokojem zerknęła na matkę, która tym razem tego nie skomentowała.

– A wiecie, jak u nich jest ładnie? – dodał Piotrek. – Przy stawie w ogrodzie stoi olbrzymi kamienny grill. Mają poprowadzony prąd i można zapalić sobie wieczorem światło albo włączyć laptopa. Pan Jasiu zbudował, tak na wszelki wypadek, własne źródło zasilania i mówił, że możemy sobie z Tamarą do niego przychodzić, bo ma dostęp do Internetu. Was też zapraszał.

– Jasiu, jaki Jasiu? – dopytywała się rozbawiona sytuacją Kasia. Doskonale zdawała sobie sprawę, że tenże Jasiu jest dla Doroty bardzo ważny. Stara miłość? – zastanawiała się.

– Pan Jasiu pytał, czy mój ojciec też przyjechał – dodała Tamara, dolewając tym samym przysłowiowej oliwy do ognia.

– Co powiedziałaś? Po co wdajesz się w rozmowę z jakimś nieznanym ci Jasiem? – strofowała córkę Dora.

– Powiedziałam, że się rozwiedliście. Prawdę powiedziałam.

Tamara stała nieśmiało, jak to ona. Zrobiła smutną minę.

– On jest bardzo fajny. Ma łódkę i powiedział, że jak chcemy, to możemy z nim popłynąć nocą na jezioro. Mamo, pozwoliłabyś mi? – spytał Piotrek, który tym samym przyszedł Tamarze na odsiecz.

– Czemu nie? Tylko muszę zapytać ciocię, czy ten Jasiu jest godny zaufania. To co, Dorotko? Znasz go dobrze? Bo może czegoś nie wiem? – spytała Kasia, uśmiechając się porozumiewawczo do młodzieży.

– A dajcie mi spokój z jakimś Jasiem. Też pewno nie jest godny zaufania – burknęła Dora, myjąc dokładnie miseczkę po konfiturach. Ale Kasia dostrzegła jednak coś, co przyjaciółka miała na pewno życzenie ukryć – rumieniec na buzi i trzęsące się ręce, tak bardzo, że Kasia miała obawy co do losu miski po konfiturach. A żal by było, była to bowiem piękna stara porcelana.

– Piotrek, słyszysz? – Kasia szarpała syna za ramię.

Była to kolejna noc spędzana w Mordkach. Od dawna przewracała się na łóżku, nie mogła zasnąć. W ogóle źle znosiła, gdy o dziesiątej wieczorem we wsi gasły światła latarni, zwłaszcza podczas takich gwiazdzistych nocy jak dzisiejsza. Wtedy droga i domy w oddalonym od nich z kilometr centrum wsi zatapiały się w złowrogich, gęstych i trwających aż do rana ciemnościach. Do obrazu jak z dreszczowca brakowało tylko mgieł, ale to też nie było wykluczone, dom znajdował się w dolinie, blisko wody, wystarczyłaby więc tylko duża różnica temperatur między nocą a dniem.

Ledwie gasły uliczne światła, a odzywały się psy. Dlaczego one tak szczekają? Na kogo? – myślała ogarnięta paniką Kasia. Wydawało jej się, że pod oknami słyszy hałas kroków zastępu skradających się, pełnych niecznych zamiarów złoczyńców. Bała się, że usłyszą, jak głośno wali jej serce. Niech chociaż Piotrek przestanie chrapać, bo przez te świsty i charchoty nie mogą zidentyfikować, co to za hałasy! – złościła się w swoim bezsensnym „duchu”.

– Mamo! Nic nie słyszę. Przesadzasz! Weź się połóż, spać mi się chce – odpowiedział Piotrek i przewrócił się na drugi bok.

Kasia wstała z łóżka. Bezszelestnie, na palcach zbliżyła się do okna i cicho je zamknęła. Ufff. Poczowała niewielką ulgę. Na zewnątrz nie było zupełnie nic widać, tylko na tle granatowego, gęsto upstrzonego gwiazdami nieba majaczyła ciemna i przez to jeszcze bardziej posępnie i monumentalnie wyglądająca szopa. Dlaczego te psy tak ujadają? Narzuciła na siebie chustę leżącą na brzegu fotela. Powoli i cicho otworzyła drzwi od pokoju, który zajmowali, wreszcie wyszła na korytarz. Zobaczę, może dzieje się coś z drugiej strony domu, od strony drogi i jeziora – Kaśka walczyła z panicznym strachem. Przeszła bosą kilka kroków, stąpając delikatnie po starej drewnianej podłodze korytarza, która teraz zaskrzypiała pod jej ciężarem. W domu nikt się nie poruszył, wszyscy spali. Śmieiej przeszła dalej, w stronę wielkiego okna i szklanych drzwi prowadzących na ganek. Ciemnogrnatowe jezioro spowite było srebrną poświatą, a olbrzymi księżyc oślepił ją i nadał widokom metafizyczny wymiar. Po chwili, gdy oczy przywykły do ciemności za oknem, nie dostrzegła niczego niesamowitego czy niepokojącego. Nie było widać nic ponad to, co widziała rano.

Przesadzam! Cholera z tą podłogą – pomyślała, gdy w drodze powrotnej do łóżka znowu usłyszała znajome już, ale demaskujące ją skrzypienie.

– Tamaro, obudź się! Słyszałaś? – z pokoju przy schodach dobiegł nerwowy szept Dory.

– Słyszałam, to już drugi raz.

– Chodź, zobaczymy, co to jest – szept Doroty przestraszył Kasię. Chwilę później po murach myszkował snop światła z zapalanej przez nią latarki. O kurczę, jeszcze mnie opieprzy, że chodzę po domu w nocy! A niby tak się boi – myślała Kasia, w popłochu kierując się do pokoju. Z wielką ulgą zniknęła w nim, cicho zamykając drzwi, które, jak na złość, jeszcze raz wydały nieprzyjemny dźwięk.

– Słyszałaś, znowu skrzypienie... – dogonił ją nerwowy szept.

Kaśka szybko przykryła się kołdrą po same oczy. Psy czekały nadal, ale to już jej tak nie przerażało. Teraz bała się jedynie, że wyda się, iż ona sama tak bardzo się boi. Na dworze zaczynało świtać, ale dopiero teraz, trochę już uspokojona, czuła, że może wreszcie uda jej się zasnąć.

– To chyba u cioci Kasi i Piotrka – zastanawiała się Tamara.

– Chodź, zajrzyjmy – głos Dory był jeszcze bardziej nerwowy niż zwykle.

– Śpią – szepnęła Tamara, omiatając snopem światła łóżko Piotrka i kanapę Kasi.

– Mówiłam, że w tym domu straszy, a ona mi nie wierzyła. To na pewno babcia obchodziła dom, nie może uwierzyć, że nie pozwolę, by się zmarnował. A ja przecież wszystko bym zrobiła, by ją zadowolić

– słyhać było, jak Dora mówi do córki, wracając do pokoju.

– Hi, hi – zachichotała pod kołdrą Kaśka, gdy głosy Tamary i Doroty oddaliły się na bezpieczną odległość. Ta noc już nie wydawała się Kasi tak straszna, uspokojona czekała pod kołdrą na spokojny sen, który w końcu musiał przyjść. Kilka minut później już poświstywała miarowo, w duecie z Piotrkiem znakomicie sypiającym nawet podczas jazgotu wszystkich psów z okolicy.

– Zadzwonimy do Majszy? Ciekawe, co u niej słyhać – zastanawiała się Kasia podczas popołudniowego spaceru po okolicznych polach. Kochała te chwile, gdy można było iść bez celu polnymi drogami, potem dać się prowadzić leśnym duktom, by znów wrócić do pól i w końcu do domu zmęczonym fizycznie, jak dawno jej się to nie zdarzyło.

– A, nie chce mi się z nią rozmawiać. – Dorota już we Frankfurcie wspomniała Kasi, że będzie potrzebowała sporo czasu, żeby wrócić do poprzedniej zażyłości z Majszą. – To potworna egoistka. Przekonałam się o tym, kiedy byłyśmy u niej z Tamarą na Wielkanoc. Zresztą, ty to musisz wiedzieć najlepiej. Jaką ona ma postawę roszczeniową wobec swojego Jarka! On dwoił się wtedy i troił, a Majsza, niby wielka artystka, zostawiała nas i czmychała na górę do swojego pokoju. Malować! Miała mi zrobić taki widok z jeziorem, by przypominał mi Mordki. Namalowała, rzeczywiście, ale dała go siostrze Jarka. Potem chciała mi ofiarować malowidło z kwiatami, ale nie wzięłam tych bohomazów, bo mnie się podobał tylko tamten obrazek. Potem przyjechały córki jakiegoś nauczyciela malarstwa i oczywiście zajęła się nimi, a nie nami, chociaż my przyjechałyśmy z tak daleka, a one tylko spod Częstochowy. Żal mi było Jarka.

Dorota patrzyła na świat tylko poprzez pryzmat krzywdy. Kasia nie usłyszała od niej jeszcze żadnej pochwały czegoś czy kogoś, brakowało jej optymizmu bądź choćby śladowej radości. Nic, tylko narzekanie. Westchnęła i wyciągnęła komórkę z kieszeni. Dopiero tutaj, na górce za domem, złapała zasięg, bo w domu i we wsi telefon był zupełnie bezużyteczny. Jakie to dziwne, że są jeszcze takie miejsca, gdzie nie ma możliwości komunikacji ze światem przez telefon komórkowy – pomyślała. Tutaj w razie jakiegoś niebezpieczeństwa byłyby zdane tylko na telefon stacjonarny. Już nie taki pewny, bo uzależniony od napowietrznej linii, co, według opowieści Dory, było szczególnie dokuczliwe zimą – z uwagi na częste w tym rejonie kraju wichury lub zadymki śnieżne druty się zrywały i prądu nie było nawet kilka dni.

– Majsza, dzwonię do ciebie z Mordek. No, jesteśmy tutaj u Dory z Piotrkiem. A co u was? – zapytała Kasia, gdy uzyskała połączenie.

– Kaśka? Gdzie jesteście? W Mordkach? U Doroty? A skąd żeście się tam wzięli? Zadzwonię do was wieczorem. U mnie nie jest dobrze, pogadamy później. Kasia, a może zapytałabyś Dorę, czy i ja mogłabym do was przyjechać? – zapytała Majka prawie szeptem.

Brzmiała żałośnie. Było dziwne, że chce się pojawić w Mordkach. Dotąd zawsze razem z Jarkiem i Zuzą wyjeżdżali latem na egzotyczne wakacje, a potem ona sama na dwa, a nawet trzy plenery malarskie. Ta jej obecna propozycja, a właściwie dziwnie brzmiąca w jej ustach prośba zaskoczyła Kasię.

– Przesadza jak zwykle – skomentowała Dora, gdy przedstawiła jej propozycję Majszy. – Przypomnij sobie, ona zawsze płakała i użalała się nad sobą. Nawet przed egzaminami tak było, a potem zdawała z nas najlepiej. Zresztą, jeśli chce, niech przyjedzie – dodała po chwili. I wzruszyła ramionami.

Tymczasem do wyjazdu Kasi do Poznania zostało jeszcze prawie dziesięć dni. Czy jest możliwe, żeby udało nam się szybko stworzyć w Mordkach ten ośrodek? – zastanawiała się, pełna wątpliwości. Stało na tym, że spróbują, według pomysłu Kasi, stworzyć miejsce pobytów grup zawodowych. Choć szkoła także była rozważana, między innymi z uwagi na tradycje w tym miejscu, to jednak (mimo budżetowych dotacji) owo przedsięwzięcie oceniły jako ryzykowne. Pomysł pensjonatu upadł, nie chciały mieć kłopotu z rozdrobnioną klientelą, często o bardzo różnych upodobaniach, wymaganiach i wręcz dziwactwach. Przez jesienne tygodnie postanowiły, że we dwie dokończą modernizację domu i szopy na tyle, żeby uzyskać kilka pokoi z łazienkami i ze dwa apartamenty. Na parterze domu, w lewym,

wykończonym już skrzydle, byłyby, tak jak obecnie, jadalnia, a w prawej, po szkole, nieużywanej do tej pory części domu – spora sala konferencyjna i ze dwa gabinety.

Dora miała wrócić do Frankfurtu we wrześniu, żeby pozamykać swoje sprawy, sprzedać kilka zbędnych sprzętów i niektóre przewieźć do Polski. Jej powrót do kraju zaczynał się stawać realny.

– Tamaro, zobaczysz, że i dla ciebie będzie lepiej mieszkać w Polsce. Tutaj jest jednak dużo większa gościnność, to znaczy, jest w ogóle gościnność, spontaniczność, masz koleżanki, z którymi na pewno nie musisz się umawiać, jak w Niemczech, telefonicznie, na kilka dni przed. Zobaczysz, będziesz się tutaj lepiej czuć – przekonywała córkę do swojej decyzji Dorota.

Umówiły się, że na czas ich nieobecności Kasia przyjedzie do Mordek i będzie doglądać ekip remontowych. Potem, gdy już wrócą w Ełckie na stałe, będzie przyjeżdżała co drugi weekend na cztery dni. W ten sposób wykorzysta swój zaległy urlop, a nie było go mało, bowiem aż kilkadziesiąt dni. O pieniądze na razie zupełnie się nie martwiły, bo Witek, jak dotąd, zaopatrywał je w nie dość chętnie. Był zresztą bardzo zadowolony z takiego obrotu spraw, bo przecież zdecydowały się realizować jego wizję, a może nawet bardziej – marzenie.

Wyjechał z Polski pod koniec lat dziewięćdziesiątych, po rozwodzie z żoną. Zaprosił go do siebie, do Nowego Jorku, przyjaciel z klasy. Potem, gdy znudziło mu się życie w tak dużej metropolii, postanowił się przenieść do Teksasu, gdzie dostał pracę elektromechanika w dużym koncernie energetycznym. Nadal nie zmienił stanu cywilnego, a ze swojego byłego związku nie miał też dzieci. Nic go zatem do Polski czy raczej do Mordek nie ciągnęło. Nic, z wyjątkiem marzeń o utrzymaniu ojcowizny w stanie należytej świetności.

Dorota i Kasia uzgodniły, że chciałyby zorganizować zamknięty pobyt świąteczny z zabawą sylwestrową. Mogłoby to być na razie tylko kilka osób, niechby to była nawet sama rodzina, tak, żeby przetrzeć szlaki, ale godzina zero została wyznaczona. I tego postanowiły się trzymać.

– Dobrze, że wójtem jest Klaudiusz Miazek – zauważyła Dora. – To mój kolega ze szkoły średniej, więc możemy liczyć na jakieś względy. Kiedy już uruchomimy ten interes, będziemy musiały zaprosić go na jakąś imprezę. Dobrze, że sam z siebie obiecał polecić nas dyrektorowi banku, słuchaj, ten też w razie czego się przyda. Może kiedyś będziemy brały jakiś kredyt... Klaudiusz mówił, że jak się nazywa ten dyrektor?

– Mówił o nim Artur, wydawało mi się Wróbel. Zapamiętaj, Dora, bo ja nie mam pamięci do nazwisk – poprosiła Kasia.

– Zapiszę w notesie. Wiesz już, kiedy ma przyjechać Majsza? – zapytała Dora.

– No właśnie, wiesz... Dla mnie to wszystko jest bardzo dziwne, ale kiedy dzwoniła, mówiła, że chyba pojutrze. Zastanawiająca sprawa, naprawdę. Ta żalność, szeptanie w słuchawkę, to nie było do niej, jednak często narzucającej swoją wolę, podobne. – Kasi ta sprawa tłuła się po głowie już od kilku dni. Zadawała sobie w myślach pytanie, jak ułoży im się tutaj wspólny pobyt. Trzy razem? Już dawno nie spędzały ze sobą dłuższego czasu, zasadniczo mało rozmawiały na tematy nieogólne, a przecież dzieliło je bardzo wiele jeszcze innych spraw i zadr. Trzeba przyznać, że od jakiegoś czasu zdecydowanie więcej niż łączyło.

Hm – zatroskała się Kasia i westchnęła. – Będzie dobrze – pomyślała jednak po chwili inwentaryzowania wszystkich za i przeciw.

Nadszedł dzień przyjazdu Majszy. Kolejny upalny i następny pachnący owocami. Lato, rozgrzane i parne, rodziło różne stany ducha. U Dory dominował jednak ten co zawsze, nerwowo biegała po obejściu.

– Gdzie ten Dzidek? No, kurczę, gdzie on jest? Spóźnia się, gdy mi akurat zależy, by był punktualny. Ale jeśli by go bratowa poprosiła, to by gnał na złamanie karku. Teraz mnie za nic mają, a jak byli mali, to z nosami do podtarcia do mnie przychodzili. No powiedz mi, Kaśka, czy to sprawiedliwe?

Brat obiecał zawieźć je na dworzec w Ełku. Początkowo chciały, żeby on sam odebrał Majszę, bo przecież tam mieszkał i pracował. Nie musiałyby jeździć samochodem dwa razy i w ogóle ta operacja zajęłaby dużo mniej czasu. Potem jednak Dora zdecydowała:

– Nie możemy tak zrobić. Dzidek jej nie zna ani ona jego, może z tego wyjść jakaś zawiła historia. No nie wypada. Jak nic powie, że jej nie ugościłyśmy.

Kaśka chciała wygłosić swoją zwykłą formułkę, że przecież nikt podczas narodzin nie spisywał z nami umowy, że życie będzie sprawiedliwe, ale wreszcie przed dom podjechało z wielkim piskiem zakurzone do granic możliwości cinquecento ze spoconym Dzidkiem w środku.

– Wsiadajcie, dziewczyny, zwawo, bo pociąg podjedzie, a ta wasza nieboga zapłacze się na peronie, jak was tam nie będzie – poganiał, otwierając im drugie drzwi od samochodu.

– Trzeba było jeszcze dłużej się ślimaczyć – burknęła Dorota.

– Powiedzcie mi, jeszcze jakieś dziewczyny planują do was przyjechać? – zapytał Dzidek, ignorując przytyk Doroty. Szybko ulokowały się w środku i ruszyli.

– Nie bądź taki bystry. Pilnuj swojej Elki, żeby ci do miasta nie uciekła. Zresztą miazgę by z ciebie najpierw zrobiła – prychnęła Dora.

– Wcale nie pytam w związku z sobą, ale niektóre egzemplarze do wzięcia już mnie o was pytają, a jak jeszcze jedna przyjedzie, to się jeszcze bardziej podochocą – śmiał się Dzidek, biorąc ostry zakręt za wsią.

– Powiedz im, żeby nie robili sobie nadziei, nam trutnie nie są do niczego potrzebne. My tutaj chcemy tylko zarabiać pieniądze – skwitowała Dora.

– A nawet bardzo duże pieniądze, których z rynku towarzysko-matrymonialnego na pewno nie wyciśniemy. Tam się nie zarabia, co najwyżej traci... – dodała Kasia, śmiejąc się, i uszczypnęła Dorotę w plecy. Dorota odwróciła się i zaczęła wtórować Kasi. Po chwili śmiali się wszyscy, a Dzidek najgłośniej. Po kilkudziesięciu minutach dotarli na dworzec. Dziewczyny wyskoczyły z auta, nie zamykając za sobą drzwi. Dzidek został przed budynkiem.

– Obetrę trochę samochód, żeby się za bardzo nie wystraszyła. To światowa kobieta – zawołał za nimi.

Tego już nie słyszały. Wpadły biegiem na dworzec. Pociąg z Warszawy miał przyjechać pięć minut temu, ale ku ich zdziwieniu perony były puste. Wyglądało na to, że jeszcze jest w drodze. W informacji, gdzie powędrowały z peronu, miła pracownica powiedziała im, że pociąg przyjedzie później, a spóźnienie na razie oscyluje wokół dwudziestu minut. Odetchnęły z ulgą. Ufff, miały czas. Już bardzo spokojne usiadły na ławce na peronie, nogi i twarze ustawiły w stronę słońca, zamyśliły się i po chwili jednocześnie zawołały do siebie:

– A pamiętasz...?

– Dora, tylko proszę, nie mów nic na razie. Policzę do trzech i jednocześnie powiem pierwszą literę tego miejsca, które chciałyśmy sobie przypomnieć. Liczę: raz, dwa, trzy! – zaśmiała się Kasia.

– Ssssss – zawołały jednocześnie, śmiejąc się pełną piersią. Tak, niewątpliwie zgorzkniały przez te

lata po studiach, ale chociaż bawią je wspomnienia z tamtych lat! To pewnie nie jest jeszcze tak źle!

– Sieraków!!! Od razu mi się przypomniał, kiedy wysiadłam na tym dworcu. Z czego były wtedy te praktyki? – zastanawiała się Kasia.

– Chyba z geomorfologii. Wydaje mi się, że po kolorze wierzchniej warstwy ziemi określaliśmy jej wiek. Dzisiaj już nie pamiętam tych wszystkich er i okresów. Trzeciorzęd i czwartorzęd, wiadomo, ale reszty nie. – Dorota starała się wygrzebać coś z pamięci, ale na próżno.

– Trias, jura, kreda – wyliczała Kasia – kambry, ordowik, sylur, dewon, karbon, perm.

– Pamiętam, że na tych praktykach nie było najciekawiej. Roje much i my kopiący w upale doły! Tak pogryziona i zmęczona nigdy potem na studiach już nie byłam.

– No, kilka dołów w ciągu dwóch tygodni ukopać... Trzymetrowych. Stamtąd mam jak najgorsze wspomnienia...

– Ja też...

– A wiesz, co jeszcze geograficznego pamiętam? Rzeki Półwyspu Pirenejskiego: Gwadalkiwir, Gwadiana, Tag, Duero, Ebro. Zobacz, jaka jestem dobra!

– Tylko że do niczego zawodowo nam się to nie przydało.

Pociąg wjechał powoli na dworzec. Kasia i Dorota wstały z ławki i wypatrywały Majki. Tymczasem z pociągu wysiadło sporo młodzieży z namiotami i karimatami, kilku wędkarzy i rozgadane, wesole panie po pięćdziesiątce, z plecakami. Wreszcie, z drugiego wagonu wychyliła się głowa Majszy. Nie mogły jej poznać, bo kręcone, popielate włosy zebrane miała na czubku głowy. Za nią w tyle zamajaczyła dziewczęca głowa w długich, jasnych włosach, jak się okazało, należąca do uśmiechniętej Zuzy.

– To ty, Zuzka? – spytała zaskoczona Kasia. – Nie poznałabym ciebie, zmieniłaś *image*, kobieteczko. No bomba! Super. Naprawdę.

– Majsza, Zuza wsiadajcie. Będzie tłok w samochodzie, ale policji na drodze nie było, jakoś dojedziemy. Gdybyś powiedziała Kasi, że będziecie obie, to nie pchałybyśmy się Dzikowi do samochodu. A tak będzie ciasnota – gderła Dorota.

– Jeśli mamy się pomieścić, to i musimy! – Dzidek jako kierownik auta podjął decyzję.

– No dobra, jakoś się przemęczymy... Bagaże i blejtramy damy do bagażnika, a gitarę Zuza weźmie do samochodu – dodała też, już cieplej, Dorota.

– Nie lepiej, jak da ją też do bagażnika? Pamiętaj, że jest nas pięć osób – zaproponował Dzidek.

Kasia przysłuchiwała się biernie tym rodzinnym przekomarzaniom, w końcu spojrzała na Majkę, która stała z boku z jakoś tak nieszczęśliwie zwieszoną głową, że Kasia poczuła przymus zmiany tematu.

– Majsza, czy tobie ten dworzec kojarzy się z jakimś miejscem? – zapytała.

Majka spojrzała na nią ze zdziwieniem. Długo się nie odzywała, aż Kasię korciło, by samej odpowiedzieć na zadane wcześniej pytanie.

– Pewnie, że tak. Z Sierakowem. Ledwie wyjrzałam przez okno, od razu wróciły wspomnienia – usłyszały w końcu bezbarwny i smutny głos Majszy.

Kasia chciała coś jeszcze powiedzieć, ale powstrzymała się, bo pomyślała, że skoro Majsza pielęgnuje ów stan swej duszy, to nie należy jej w tym przeszkadzać. Chociaż coś jej mówiło, że się myli, że nie ma racji co do tego przeszkadzania. Nie pierwszy zresztą w przypadku Majszy raz.

Wszystkie bagaże zostały prędko umieszczone w odpowiednim do tego miejscu, bagażniku, i wsiadły wreszcie do samochodu. Kasia z przodu, Dora, Zuza i Majsza z tyłu. Siedziały tam stłoczone, nic do siebie nie mówiąc.

– Chociaż raz mi się na coś moja tusza przydała – zaśmiała się Kasia, ignorując własne kompleksy.

– Ile was tam kobiet będzie teraz? Niech policzę. Pięć i tylko jeden facet. Piotrek jest ledwo co pełnoletni. Dopiero będą mnie ci wszyscy rozbitkowie podpytywać, teraz będę miał wielu kolegów.

A Jasiu już u was był? – zapytał niezrażony Dzidek. Spojrzał przez ramię na Dorotę, po czym uśmiechnął się porozumiewawczo do Kasi.

– Dajcie mi wszyscy wreszcie spokój z tym Jasiem! Ciągłe tylko słyszę „Jasiu” i „Jasiu”. Nic więcej, tylko „Jasiu” i „Jasiu” – powtórzyła Dorota, przedrzeźniając brata.

– Opieprzył mnie wczoraj, bo mu nie powiedziałem, że się już dawno temu rozwiodłaś z Kiciusiem – kontynuował temat nadal niezrażony Dzidek.

Kasia przyglądała się relacjom Dory i Dzidka, siostry i brata. Sama była jedynaczką, kiedyś bardzo tęskniącą za rodzeństwem, zatem zawsze idealistycznie wyobrażała sobie siostrzano-braterskie związki. Te między Dorotą i Dzidkiem złe nie były, ale przecież nieraz słyszała narzekania przyjaciółki na braci, bratowe i ich dzieci.

– Majsza, wyglądasz na zmęczoną – zwróciła się do koleżanki Kasia.

Śmiała się w duchu z przekomarzań Doroty z Dzidkiem. Widziała też, że Dorotę rozmowa o sąsiedzie bardzo onieśmiela i że nie potrafi do tego tematu nabrać dystansu, potraktować go tak lekko, jak na to zasługuje. Ale milczenie Majki było jeszcze bardziej wymowne. To właśnie jako pierwsze rzuciło im się w oczy. A później to, że była przygaszona i smutna, i jakaś taka szara mimo śniadej cery, której jej zawsze zazdrościły. Wyczuwały, że boryka się z trudnym problemem, co było dziwne, bo jako jedyna z ich trójki nigdy do tej pory nie miała większych powodów do zmartwień.

Raz miała dylemat, chyba... – myślała Kasia.

Przez nią tylko inni mieli tąpnięcie życiowe, a Kasia nawet straciła wiarę w przyjaźń... – przypominała sobie Dora.

Wyimaginowane dylematy Majsza miewała często, owszem, ale zwykle chodziło jej o pobiadolenie i współczucie. Dzisiaj jednak nie wykazywała ochoty ani na uzalanie się nad sobą, ani tym bardziej na narzekanie. Milczała, siedząc nieruchomo, niezainteresowana czymkolwiek, mocno pogrążona w jakichś tajemnych i, zdawałoby się, niekończących się myślach.

Kasia i Dora zerkały na siebie zdziwione. W końcu ta druga prychnęła i wzruszyła ramionami, Kasia zaś patrzyła jeszcze chwilę na Majkę, ale nie znajdując z jej strony zachęty do dalszej rozmowy, odwróciła się w stronę kierunku jazdy i powiedziała do Dzidka:

– To się pan z nami tego lata najeździ...

– Przynajmniej mam jakieś urozmaicenie – odpowiedział skupiony na jeździe Dzidek. – Na ryby rzadziej przez to wyjeżdżam... – roześmiał się, spoglądając porozumiewawczo na siedzącą obok pasażerkę.

No tak – pomyślała Kasia. Ja uciekłam tutaj z Poznania, Dora ma zamiar uciec od ponurych Niemców, Majsza od czegoś jeszcze nam niewiadomego. A Dzidek? Dzidek uciekł do Mordek, bo nudzi go łowienie ryb! Ciekawe towarzystwo, pomyślała Kasia, uśmiechając się od ucha do ucha. To spostrzeżenie niewątpliwie bardzo ją rozbawiło. I oby tak dalej! – pomyślała.

– Majka, Zuza! Obudźcie się, zobaczcie, jaki piękny ranek. A może dopadł was szok tlenowy? – zawołała Kasia kolejnego dnia rano.

Gdzieś czytała, że nadmiar tlenu może wywołać objawy podobne do tych związanych z jego brakiem. Sama tego dnia wstała rześka jak nigdy. Od godziny paradowała po jadalni w błyszczącym, granatowym szlafroczku, spod którego wystawała tylko krótka koszulka z takiej samej tkaniny, wykończona na brzegach tiulem. Przeczesła włosy palcami, jej fryzura wymagała jedynie, aby włosom nadać kierunek. W ekspresie nastawiła kawę, w opiekaczu dochodziły grzanki, a na patelni smażył się omlet z pomidorem, cebulką i suchą, mocno wędzoną kiełbasą.

Dora z Tamarą od samego rana przygotowywały na drewnianym stole w ogrodzie małe, zgrabne ogórki do zakiszenia w brązowej beczulce, którą znalazły na strychu. Na kuchence gotowała się woda z solą. Kasia przeciągała się zmysłowo. Zaczynała się tutaj dobrze czuć. Siadła w jadalni na ustawionej pod oknem ławce. Na ciemnym, drewnianym stole leżały żółte serwetki, a pośrodku stała duża, biała misa, pełna dojrzałych czereśni.

Coś ta Dora dospać nie może. W gruncie rzeczy podziwiała przyjaciółkę za energię i pracowitość, ale nie dawała jej spokoju troska i niepokój o drugą przyjaciółkę. Co się dzieje z Majką? – myślała. Wczoraj, po przyjeździe z dworca, wcale ze sobą nie rozmawiały. Maja rozpakowywała się w pokoju, potem się odświeżyła, ale gdy zawołały ją na kolację i potem zajrzały do jej pokoju, bo bardzo długo nie wychodziła, okazało się, że już zasnęła. Za to Zuza z Tamarą i Piotrkim siedzieli do późnego wieczoru i potem jeszcze w nocy w ogrodzie. Jeszcze około drugiej słychać było ich śmiechy i dźwięki gitary.

– Musimy jutro z nią pogadać – zasugerowała Kasia Dorze poprzedniego dnia przed pójściem spać. – Według mnie dzieje się z nią coś niedobrego.

– Zobacz, ile blejtramów przywiozła! Ostatnio dowodziła, że nie może malować na akord, bo to nie jest trywialna praca rzemieślnicza, ale sztuka – dorzuciła Dora – i że nie ma się codziennie natchnienia. Twierdziła, że malowanie to nie to samo, co moje bieganie wokół babć i dziadków. Nawet mi tym dokopała – kontynuowała dalej cierpko Dora.

Tak było wieczorem poprzedniego dnia. Teraz zaś obie z córką wpadły do domu, dźwigając beczkę pełną ogórków. Postawiły ją w kącie przy kuchni, zalały solanką i przykryły talerzykiem, który obciążyły dość dużym, zgrabnym otoczakiem wziętym z leżącej na podwórzu wielkiej sterty polnych kamieni. Uwijały się, jakby brały udział w wyścigach. Prym, jak zawsze, wiodła Dora.

– Tamaro, żebyś nie musiała ci więcej pokazywać, jak się kisi ogórki. Mnie matka raz powiedziała i to wystarczyło. Kaśka, ładnie podałaś śniadanie i jak pachnie smażoną cebulą i wędzonką! Ale dlaczego nie wkroiłaś szczypiorku? Niepotrzebnie się za to zabrałaś, ja miałam to zrobić. – Dorota przyglądała się krytycznie daniom. Uszczknęła kilka listków z rosnącej w doniczce na parapecie bazylii, część wrzuciła na patelnię, a resztą przyozdobiła gotowy omlet. – Wstała już? – zapytała, ręką wskazując drzwi do sypialni Majki. – Bo chyba nie przyjechała, żeby całe dnie leżeć w łóżku. U nas nie mogłaby sobie na to pozwolić, w Niemczech każdy uczciwie pracuje... Co za kraj! I jak ma tutaj nastać dobrobyt! – ciągnęła dalej.

– No nie, jeszcze śpi. Wołałam, ale nic to nie dało. Teraz chyba wtargnę tam bez skrpułów. Jest już prawie południe – odgrażała się Kasia.

– Nie musisz, wstałyśmy już i siadamy z wami.

Za drzwi prowadzących do pokoju wychyliła się Majsza, a za nią podążała uśmiechnięta Zuza. Wyglądały jak siostry, Zuza była bardzo podobna do mamy. Obie drobne, niewysokie, ciemnookie, a jednocześnie jasnowłose. I opalone, co dawało ładny kontrast z białymi sportowymi ubraniami, które

włożyły.

– Zobaczcie, jakie olbrzymie czereśnie wyrosły w tym roku. Trzeba je prędko oberwać i zjeść, bo szpaki będą szybsze – zapraszała Dora, stawiając na stole miskę pełną owoców.

– O, jaki pyszny omlecek. Kto robił? – spytała Majsza.

– Zimna woda zmniejsza głoda – śmiała się Kasia, nalewając sobie do szklanki wodę mineralną. – To mnie udało się prześcignąć Dorę, a zapewniam cię, że nie było to łatwe – dokończyła, przysuwając misę z czereśniami bliżej Majszy i siebie.

– Mamo, co tak zagarniasz je do siebie? – zaproponował Piotrek, wkładając rękę do miski i nabierając w garść owoce.

– Wystarczy dla wszystkich, są jeszcze na drzewie – stwierdziła Dora, miksując w wielkim szklanym dzbanie zsiadłe mleko z dojrzałymi morelami.

W tyle zabudowań, na polu, ale także za byłą szopą rosło kilkanaście wielkich drzew owocowych. Wczesna odmiana papierówki i nieco późniejsza malinówka rodziły owoce właściwie przez cały sezon. Rosły też dwie śliwki, grusza, kilka drzew wiśni, czereśnia i całe mnóstwo winorośli oplatających drewniane, pobejcowane na rudo pergole. Dora opowiadała, że kiedyś był tam spory sad, ale wiele drzew zrakowaciało, a kilka też kazał wyciąć Witek w pierwszym roku, jak mu ojcowizna przypadła w udziale.

– Majsza, mogę zapytać? Wczoraj źle się czułaś? A może chciałabyś pogadać? – Kasia odważyła się zadać wreszcie to pytanie. Obie jednocześnie sięgały ręką do miski z czereśniami. Sięgały i...

– Aaa! – wykrzyknęły w tym samym momencie głośno i histerycznie.

Na serwecie, obok miski, w misce też, a może nawet bardziej w niej, wiła się cała masa tłustych, śliskich, białych i bardzo ruchliwych robaków. Wypełzły właśnie bez żadnych obaw z tych pięknych jak malowane czereśni. Wszystkie kobiety w jednym momencie odskoczyły od stołu, wypadły w popłochu z jadalni i uciekły na podwórze, gdzie zaczęły się śmiać jak opętane. Piotrek z miską pełną czereśni i białych robali zmierzał w stronę kompostu.

– Błę, jakie brzydale! Nienawidzę robactwa – zdołała wyksztusić Kasia.

– Dobrze, że nie jedliśmy tych czereśni, kiedy te stwory były jeszcze wewnątrz – zauważył Piotrek, wycierając pustą miskę wielkim liściem chrzanu.

– Ja zjadłam kilka. Chyba zaraz zwymiotuję – zauważyła Zuza.

– Wiem już! Dzidek wczoraj mówił, że jacyś samotni czy porzuceni panowie się nami interesują. Przeznaczmy te czereśnie dla nich, jeśli nie będzie sposobu, żeby ich spławić – śmiała się Kasia.

– Jacy porzuceni mają tutaj przychodzić? Faceci? Po co? Ja przyjechałam tutaj, bo chcę zebrać myśli. Malować, a nie zajmować się jakimiś nieudacznikami – powiedziała Majsza z wielką niechęcią. Nawet jej twarz znaczył cień zniesmaczenia. Potem wstała od stołu i wyszła z domu. Dokąd poszła? Dlaczego wyszła?

Dora z Kasią spojrzały na siebie ze zdumieniem.

Mijał tydzień od przyjazdu Majki z Zużą do Mordek. Nic się nie zmieniło w relacjach między nimi trzema. Kasia uczyła się akceptować zachowania Doroty, zwłaszcza jej nerwowość. A obie z Dorotą pilnowały się, by nie wykonać fałszywego kroku w związku z, jak obie myślały, dziwactwami Majszy.

– Widziałaś, Kaśka? Ona ciągle zaszywa się nad jeziorem, wcale jej nie widać. Ciekawe, co tam robi? Jeszcze jakaś nimfa wodna rzuci na nią czar i wtedy w ogóle nie damy rady z nią wytrzymać. Jak długo ma zamiar tutaj zostać? – Dora nigdy nie akceptowała egzaltowanych zachowań Majki.

– Ona jest w takim stanie, że nawet nimfy czułyby przed nią respekt. Z jakąś zaciętością traktuje blejtramy, dziwnie to wygląda w jej przypadku. Wczoraj mówiła, że musi tutaj odpocząć i zrozumieć, co tak naprawdę jest dla niej ważne – westchnęła Kasia, prasując. Nie była w nastroju, by zajmować się tematem „Majsza”. Jakżeż ta pościel pięknie pachnie – pomyślała. Pranie, które wcześniej schło na łące za stodołą, wniosło do domu zapach rosnących tam kwiatów i ziół. Co chwilę przybliżała szeleszczącą bieliznę do nosa i upajała się przywołującym dzieciństwo zapachem świeżego wiejskiego powietrza.

– A swoją drogą, jakoś nie mogę uwierzyć, że Jarek pije. Ale jeśli nawet tak jest, to, wierz mi, to wyłącznie jej wina. Majsza nie rozumie ludzi słabszych, a on poczuł się taki, bez tej pracy. Zresztą, kto wie, czy to nie przez nią. Sama miałaś próbkę nędznych zachowań Majki – przypomniała jej Dora.

Tak, miałam. Ale to nie była wina tylko Majszy – pomyślała. Nie ona sama uczestniczyła w „świństwie”, które Kasia odchorowywała długo, niestety. Wprawdzie przed światem udawała, że nic się nie stało, ale w głębi duszy czuła ogromny żal, bo poczuła się gorsza. Zawsze wszystko brała do siebie, a gdy czuła, że jest mało warta, dawała kilka kroków do tyłu, wycofywała się z walki. Zawsze tak było. Bardzo często odpuszczała. A może starała się rozgrzeszyć? Kogo? Wszystkich nieuczciwych?

– Chodź, pokażę ci jej obrazy. Dzisiaj rano odkryłam, że są na strychu. O kurczę, żeby tylko nie zauważyła, że grzebałyśmy w jej rzeczach – szeptała konspiracyjnie Kasia, prowadząc Dorę trzeszczącymi schodami na strych.

– Coś takiego! Na strychu? Leżą te bohomazy i moja matka musi na nie codziennie spoglądać! Wprawdzie była życzliwa ludziom, ale jeśli chodzi o malarstwo, to tylko realistyczne preferowała. Najbardziej kochała hafty... Sama siedziała przy lampie z nikłą żarówką i haftowała. Całą pościel mieliśmy z kordonkowymi wstawkami. I obrusy w wielkie łańcuchy kwiatów. A ta się nawet nie zapytała, czy może te swoje malowidła tam magazynować! – Dora z nerwów potrzęsała głową, aż jej się rozsypały luźno związane włosy. Schody też trzeszczały niemiłosiernie, jakby solidaryzowały się z Dorotą. Je akurat trzeba będzie ponaprawiać albo po prostu zbudować nowe – myślała Kasia. – Najlepiej byłoby wybrać to drugie rozwiązanie. Stare deski spróchniały i uginały się pod ich ciężarem. No i wejście na strych było zbyt wąskie, żeby zmieściły się na nich jednocześnie dwie, nawet szczupłe osoby.

– No, jeśli Maja tak tajemniczo się zachowuje, to niech się nie dziwi, że ją sprawdzamy. To przecież z troski o nią – powiedziała Dora, usprawiedliwiając przed sobą samą własne wścibstwo.

W najdalszym zakurczonym kącie strychu stał wielki, okuty żelazem kufer po rodzicach Dory przyozdobiony zardzewiałą kłódką. Od wielu lat zamknięty, sprawiał wrażenie, jakby zawierał cenne bibeloty z minionych epok. Jeszcze kilka dni temu kufer poopatany był wieloletnią pajęczyną, teraz wyczyszczony na błysk ukazał się w całej swojej krasie i przyciągał uwagę. Prawdopodobnie Majsza starła kurze – pomyślała Dora, bo to zza niego właśnie wystawały kolorowe grzbiety kilku pomalowanych blejtramów. Rozejrzały się po strychu i spojrzały nawet, czy ktoś niepowołany nie wchodzi za nimi bądź nie kręci się w dolnej części domu. Potem Kasia wyciągnęła trzy płótna i oparła o ścianę. Cofnęła się kilka kroków i przekrzywiła głowę.

– Przecież ona nigdy nie lubiła tych kolorów – odezwała się po chwili milczenia.

– No właśnie, tak się zapierała na temat tego różu i fioletu, a tutaj zobacz... Wydziwiała, jak zwykle – dodała z nutką sarkazmu w głosie Dorota, obracając w ręce jeden z obrazów. Pokręciła głową.

– Wiesz, kurczę, nie podobają mi się te obrazki. Są naładowane niepokojem. Brrrr, już jestem podenerwowana. – Kasia zasadniczo była bardzo optymistycznie nastawiona do rzeczywistości, jednak patrząc na twory myśli czy głębi podświadomości Majszy, wyraźnie zmarnotniała.

– Powiedziała mi na początku, że kilka z nich zostawi tutaj, jako swój wkład w tworzenie naszego ośrodka. Żeby one tylko nie przywiodły do nas złych duchów. Matka by nie... – marudziła Dorota.

– Co ty masz z tymi duchami? – przerwała jej Kasia, zmierzając w stronę okienka w dachu. Otworzyła je i wychyliła się zaciekawiona, bo do jej uszu dobiegły absolutnie nowe w tym środowisku dźwięki. Po chwili zamachała ręką, przywołując przyjaciółkę. Zaintrygowana Dora podeszła do drugiego okna.

Na sąsiedniej posesji, tuż przy ich płocie, wysoki, masywnie zbudowany mężczyzna w krótkich granatowych spodenkach i białej koszulce na ramiączkach kosił trawnik dużą spalinową kosiarką. Na zielonym leżaku pod wielkim orzechem odpoczywała opalona, drobna szatynka. Na stoliczku obok niej stało radio tranzystorowe, wydające teraz głośne trzaski.

– Endi, chodźże ustaw to radio. Pomóż mi, płytki nie mogę włożyć! – wołała kobieta.

– Zaraz, zaraz, Danuśka. Spokojnie. Zabierz mi tylko tego psa! – Endi próbował przekrzyczeć warkot kosiarki, po czym wrzasnął tubalnie na małego szarego kundla: – Zamknij mordę, Lady!

Niesłychanie rozczochrane i niezgrabne zwierze ujadło z histerycznym piskiem na pracującą kosiarkę, obskakując ją z jednej i drugiej strony. Mężczyzna, nie spiesząc się, wyłączył silnik, podszedł powoli do radia i zaczął kręcić pokrętkiem we wszystkie strony. Odbiornik najpierw zawył przeraźliwie, ale później – zza trzasków – zaczęły wydobywać się od czasu do czasu jakieś strzępy melodii, nadal jednak zagłuszane przez znajome już charkoty. Manipulując nerwowo gałką i ułamaną anteną, Endi ustawił wreszcie radio i do ich uszu dobiegły potwornie głośne dźwięki *One way ticket*.

One way ticket, one way ticket, uuuu – brzmiało już na całą wieś, a Kasia mogłaby się założyć, że wody niosły tę melodię dużo, dużo dalej.

– Cóż to za agresor mieszka obok? – zapytała wieczorem Majsza. – Zupełnie nie mogłam się skupić! Jeśli jutro będzie podobnie, to pójde do niego i powiem, co myślę o takim zachowaniu. A zresztą, za kilka dni wyjeżdżam. Może jakoś tę jego agresję wytrzymam.

Kolejnego dnia około południa Majsza ustawiła swoją sztalugę na wzniesieniu zaraz za stodołą. Od rana jak zawsze malowała nad jeziorem, ale tego dnia nie było to komfortowe miejsce. Endi nadrabiał emocjonalne niedobory i zabawiał się z Lady, kosił, ścinał i w ogóle czynił dużo hałasu. Tak jakby w Mordkach mieszkał sam. Zwyczajny spasiony dziad, a zachowuje się jak panisko, denerwowała się Majsza. Nie lubiła go. Na wzniesieniu, kawałek za stodołą było zdecydowanie ciszej, od razu zyskała potrzebne jej ostatnimi czasy poczucie intymności. Wzięła duży pędzel, umoczyła w słoiku z fioletową farbą i zamasyście przejechała nim po płótnie. Ta fioletowa baza jest bardzo odpowiednia dla uchwycenia kolorów lata w tej części Polski. Beżowe łąny zbóż dają wyciszenie – rozmyślała. – I w życiu, i w sztuce.

Cisza wokół oraz leniwa atmosfera sennej, wyludnionej wsi uspokajały ją. Co jakiś czas z oddali dobiegało jednak histeryczne psie ujadanie i okrzyki Endiego: „Zamknij mordę, Lady!”. To była już codzienność.

Majsza kadrowała sobie w myślach kawałek pola, jaki miał posłużyć jej za tło obrazu, którego malowanie planowała tego dnia rozpocząć. Rękoma tworzyła w powietrzu prostokątny ekran i przesuwała nim po widokach pól. Nagle zatrzymała się w tej czynności. Znieruchomiła. Wraz z delikatnym wiatrem do jej uszu dobiegł cichy, jednostajny odgłos, podobny do poruszającego się w powietrzu chrabąszcza.

Rozejrzała się. Zdecydowanie nie znosiła wszelkich owadów ani robaków. Po chwili dźwięk zmienił się w zbliżający się, monotony szum. Rozejrzała się po okolicy, początkowo nie dostrzegając niczego szczególnego, wreszcie na wąskiej dróżce pośród pól dojrzała przesuwany się błyszczący obiekt. Odbijające się od niego ostre południowe słońce raziło wzrok, więc pośpiesznie założyła duże okulary przeciwsłoneczne.

Stała bez ruchu i patrzyła. W oddali, polną drogą mknęła nieśpiesznie wielka srebrno-czarna maszyna z roslym motocyklistą. Jego pośladki i muskularne uda opinały czarne skórzane spodnie, a na piersi mężczyzny trzepotała rozchełstana skórzana kamizelka, także czarna. Jasne, o ciekawym słomkowym odcieniu, kręcone i lekko przydługie włosy spięte miał na karku w kucyk, który odcinał się kolorem od wszechobecnej w jego ubiorze czerni. Olbrzymi czarny kask motocyklowy podrygiwał, przyczepiony do siodła.

Majsza wystraszyła się, że nieznajomy zbliży się zanadto do miejsca, w którym stała, i ją zauważy. Kucnęła, kiedy zbliżał się w jej stronę, szybko chowając się w zbożu.

– Psiakrew, to jest to! – zaklęła, poruszona nieoczekiwanym widokiem.

Motocyklista mknął powoli i płynnie w stronę jej kryjówki. Im był bliżej, tym wyraźniej niż silnik słyszała muzykę, a dokładniej koncert dobywający się z wielkich srebrno-szarych głośników przymocowanych obok kasku. Romans Szostakowicza z filmu „Szerszeń” rozpoznała od razu.

– Psiakrew, psiakrew – mówiła do siebie. Nie potrafiła wymyślić nic więcej ponad to siarczyste przekleństwo.

Motocyklista sunął bardzo powoli. Patrzyła na jego profil, który przywiódł jej na myśl rzymskich gladiatorów. Gdy już przejechał tuż obok i oddalił się o kilka metrów, wreszcie odetchnęła z ulgą. Wstała i bez ruchu przyglądała się, jak nieśpiesznie odjeżdża. Widziała połyskujący w słońcu chrom, czerni blach motoru i wielkiego kasku, czarne skóry, pięknie wyrzeźbione ciało i całe mnóstwo odurzającej ją z daleka męskości. Mocno pobudzającej jej zmysły fizyczności. I nadal słyszała tę wielką muzykę, którą wiozł ze sobą. Nigdy wcześniej nie wyobrażała sobie aż tak dużego kiczu w głuszy, gdzieś na krańcu cywilizowanego świata. Prostokątem utworzonym z dłoni zamknęła harleyowca w kadrze.

– Psiakrew, bo życie też jest kiczem! – wytłumaczyła sobie swoją fascynację.

Poraziła ją ta niezwykle harmonizująca z obrazem muzyka. Jednocześnie sprawiła, że stała tam bardzo długo zupełnie nieruchomo, z opuszczonymi wzdłuż ciała dłońmi, urzeczona tym widokiem i onieśmiewiona dźwiękiem. Potem, gdy błyszczący motocykl z malowniczym motocyklistą, nieprzeczuwającym zupełnie niczego, zniknęli w dolince, z wielką pasją i pośpiechem jąta przetranszować zapamiętany obraz na płótno.

– Pani Maria Szalek? – usłyszała Majsza, gdy o piątej po południu w sobotę zadzwoniła do niej nieznajoma kobieta.

Właśnie wchodziła z blejtrmem, sztalugą i farbami na górkę za domem. Tam było ciszej, ciekawiej i... być może znów dróżką pomknie złotowłosa harleyowiec? Stamtąd zresztą rozpościerał się fantastyczny widok na kilka jezior w okolicy, na pobliskie lasy i nieskażone jeszcze jakąkolwiek ludzką ingerencją wzgórze. Łąki i pola uzyskały wypłowiałe kolory lata, na obrzeżach polnych dróg wyrosły całe łany liliowych polnych kwiatów. Gdzieniedzie pasły się krowy, te czarno-białe, łaciate, a trochę dalej, jak zwykle – smukłe, kare konie. Dawno nie padało, dlatego trawa utraciła wiele ze swojej świeżości, a i zboża dojrzewały w tej suchej, zupełnie bezwietrznej i bardzo upalnej aurze szybciej, niżby wskazywał kalendarz rolnika. Asfaltową drogą, wijącą się wśród wypłowiałych pól, z góry w dolinę, blisko ich domu pędzili kilkuletni chłopcy na zbyt dla nich dużych rowerach. Robili przy tym wiele hałasu.

– Tak, słucham – odpowiedziała zasapana.

– Czy pan Jarosław Szalek to pani krewny?

Prawdopodobnie coś narozrabiał po pijanemu, pomyślała. Jak to możliwe, by w tak krótkim czasie bardzo atrakcyjny mężczyzna przemienił się w tak żalosne stworzenie? Jakby zapomniał, że rolą mężczyzny jest utrzymanie na odpowiednim poziomie żony, córki i domu, a nie popadanie w dziwaczne stany. Przyjechała do Mordek, żeby dać mu czas na przemyślenie, ale i sobie też. Jutro miały z Zuzą wracać do Częstochowy, jednak czuła, że i tutaj nie udało jej się znaleźć rozwiązania. Bardzo bała się powrotu, ale pobyt w Mordkach uświadomił jej, że musi stawić temu wszystkiemu czoło, a nie zakopać się na wsi.

– Tak, to mój mąż – odparła z niechęcią – ale jestem obecnie w zupełnie innym rejonie Polski niż on. Więc jeśli chce się pani z nim skontaktować, proszę dzwonić na jego telefon.

– Dzwonię ze szpitala. Zdarzyło się nieszczęście. Rano pod Rawą Mazowiecką pani mąż uczestniczył w karambolu kilkunastu samochodów... Zmarł w południe w szpitalu w Warszawie. Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy... Nie mieliśmy z nim kontaktu, nie odzyskał przytomności... Nie mogliśmy mu pomóc... Bardzo mi przykro.

– Co pani mówi?! Nie, nie, nie... To niemożliwe!!! Proszę mi zaraz, natychmiast powiedzieć, że to nie jest prawda!! Nie wierzę! – krzyczała Majsza. – Dlaczego zostawił mnie w taki sposób? Dlaczego nie czekał na nas w domu? Co on robił pod jakąś Rawą Mazowiecką? – krzyczała coraz głośniej. A potem usiadła na piasku na środku ścieżki wśród zbóż i zaczęła płakać. Nie przestawała. Nie wiadomo, ile to trwało, na pewno długo, bo w końcu zmęczona zasnęła. Zbudziła się, gdy słońce zawędrowało na kraj lasu, gdzie wiodła droga do Psiarek. Wstała i wolnym krokiem powlokła się, zgarbiona jak staruszka, w stronę domu. Późnym wieczorem wyjechała.

Tydzień później w Częstochowie słońce grzało mocno, na przekór temu, co miało się za chwilę wydarzyć. Tak jakby pogoda miała wzmocnić słowa, jakie za chwilę miały paść.

– Prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Majsza z Zuzą, wspierane przez Dorotę i Kasię, płakały cicho, gdy ascetyczna trumna znikiała przysypywana piaskiem w dole, na starym cmentarzu w Częstochowie.

Jarek zginął w wypadku samochodowym, kiedy jechał do Mordek, żeby zrobić niespodziankę Majszy, bo dostał bardzo korzystną ofertę zarządzania firmą produkującą drzwi. Tego dowiedziała się wczoraj od sąsiadów Kasia, gdy tylko przyjechała. – Na razie jej o tym nie mówmy, bo to ją dobije – ustaliły wspólnie z Dorą. – Zacznie się obwiniać. Teraz to byłoby dla niej gorsze niż niewiedza. Kiedyś, później, może będzie okazja... Stały i patrzyły, jak na wieko prostej trumny spadają ostatnie grudki piasku i kwiaty. Słuchały głuchych pacnięć o surowe drewno skrzynki słanej do nikąd. Tak jakby tam nikogo nie było, ale przecież to nieprawda. Kasia chciała wierzyć w życie pozagrobowe.

– Opiekuj się stamtąd nami, proszę – szepnęła Majsza, a po jej wychudzonej twarzy płynęły łzy. Trzymały się z Zuzą za ręce, obie kruche, w długich czarnych sukniach, z herbacianymi różami w zaciśniętych dłoniach. Sprawiały wrażenie, jakby nie pamiętały, że je trzymają.

Cmentarz rozgrzewało ostre południowe słońce. W najbliższym otoczeniu nie było żadnego drzewa, tylko piasek i granitowe, najczęściej popielate nagrobki. W oddali, na spalonej od słońca trawiastej polanie dwóch skrzypków wystrojonych w czarne garnitury grało I kwartet smyczkowy Czajkowskiego. Rude skrzypce i ciemne smyczki połyskiwały w słońcu.

– On bardzo to lubił. Słuchał tego koncertu, kiedy miał jakiś problem. Mówił, że ta wspaniała muzyka powoduje w jego mózgu zwycięstwo rozumu nad złą emocją – wspominała Majsza. – Niech tam też mu pomoże – dodała.

– Tato siadał sobie w tym pokoju na poddaszu i słuchał. Czasem przysiadalam koło niego. Teraz żałuję, że tak rzadko – płakała Zuza. Schyliła głowę i schowała twarz w dłoniach. Jej ciałem wstrząsały dreszcze. Kasia głaskała ją po ramieniu. Dorota i Tamara przyglądały się im ze smutkiem, stojąc kilka kroków od nich, z boku.

– Jak my teraz będziemy żyć? Co mamy robić? Dlaczego zostałyśmy same – pytała cicho Majsza, przyciągając Zużę do siebie. Żałobnicy podchodzili do grobu i układali na nim wiązanki z ciemnymi szarfami. A potem do Majki i Zuzy, aby złożyć kondolencje. Żegnali się i odchodzili.

Dwóch skrzypków nadal grało Czajkowskiego.

– Pójdziemy już? – westchnęła ciężko Kasia.

– Dokąd? – spytała po chwili Majka. Bardzo cicho.

– Do domu. Na Stradom – odpowiedziała Kasia cierpliwie, jak do małego dziecka. Majka, strapiona i w żałobie, wyzwalala w niej macierzyńskie uczucia. Przygarnęła ją do siebie i poczuła na swojej piersi, jak jest drobna, krucha i bezbronna. Jak dygocze.

– Na Stradom nie. Jedźmy do Mordek, tam odbędę żałobę – zdecydowała. Spojrzała na Zużę. – Pojedziesz ze mną? – spytała dziewczynę.

– Nie, jedź sama. – Zuza puściła rękę matki, schyliła się, podniosła z ziemi grudkę żółtego piasku, podeszła do grobu, rozkruszyła grudkę w ręce, rozsiała nad grobem, po czym odwróciła się i pewnym krokiem poczęła iść w kierunku wyjścia z cmentarza. Za nią podążały Dorota z Tamarą, a dopiero za nimi Majka w objęciach Kasi.

Muzycy zakończyli swój koncert. Wkładali rude instrumenty i smyczki do futerałów. Po chwili przenieśli się na drugą stronę cmentarza, gdzie widać było świeżo wykopany dół i gdzie czekała na nich

zapewne nowa smutna ceremonia. A Kasia pomyślała, że to było pożegnanie godne dobrego człowieka, jakim niewątpliwie Jarek był. Bo ten, kto potrafi przebaczyć, na pewno jest dobrym człowiekiem. To wiedziała!

Dwa tygodnie później, w Poznaniu, w niedzielne popołudnie Kasia w końcu przedstawiła rodzicom swój zamiar. Nie bała się, co powiedzą, ale że się zmartwią, a tego nie chciała. Nie chciała przysparzać im trosk, nie byli młodzi, a poza nimi i Piotrkim Kasia nie miała nikogo tak bliskiego.

– Dokąd jedziesz, dziecko? – zapytała Kasię jeszcze raz mama.

– Mówiłam przecież, że próbujemy we dwie skroić jakiś biznes na Pojezierzu Ełckim. Staramy się zbudować klimatyczne miejsce na eventy, integrację, pobyty i inne jeszcze różności – powtórzyła Kasia, udając zniecierpliwienie.

– Zbudować? Czy ty wiesz, ile na to potrzeba pieniędzy? Jak sobie to wyobrażasz? – Bzdowska była oburzona. – Czy dobrze rozumiem? Chcesz zrezygnować z pewnej i dobrze postrzeganej posady? Może tutaj, w Poznaniu, ułożyłabyś sobie jakoś życie, ale nie tam, gdzieś na wschodzie – mówiąc to, starsza kobieta szukała gazety na półce pod oknem. Znalazła ją w końcu. Chwilę wertowała, po czym pokazała Kasi artykuł. – O, nawet tutaj piszą, że w Wielkopolsce jest najmniejsze bezrobocie. A ciebie gdzieś tam znowu gna. I może chcesz ciągnąć tam jeszcze Piotrka? Na to nie wyrażamy zgody, prawda, Wojciechu? – mówiąc to, nałożyła ojcu Kasi na talerzyk znakomicie wyrośnięty, upieczony dzień wcześniej placek. A raczej typowy poznański sernik, na kruchym cieście, mocno polukrowany. W pokoju zapachniało wanilią.

Na kryształowej paterze leżały ciastka deserowe z cukierni. Była niedziela, siedzieli w trójkę przy stole w mieszkaniu rodziców w przedwojennej kamienicy przy ulicy Libelta. Okrągły drewniany mebel pamiętał jeszcze praprzodków. Kasia doceniała różne starocie. Cieszyła się, że rodzice nie pozbyli się masywnych mebli, czuła w tych w końcu martwych przedmiotach duszę. Gdy dotykała stołu, miała wrażenie, że łączy się ze wszystkimi użytkownikami tegoż mebla. I to było bardzo miłe, tak jakby wszyscy poprzednicy chcieli jej przekazać swoje wyłącznie dobre myśli.

Mimo niedzieli za oknami słychać było wielkomiejski gwar: jeżdżące samochody, tramwaje, autobusy. Co chwilę ten szum zakłócał dźwięk karetki pogotowia, widać szpital Raszei miał dyżur. Gdy jeszcze mieszkała z rodzicami na tej przelotowej ulicy miasta, tęskniła za ciszą, jednak w Mordkach wiele by dała, żeby choć w jednej dziesiątej było tak gwarno jak w jej rodzinnym domu.

– Niech jedzie i próbuje. Gdybym był młodszy, też bym wyjechał w rodzinne strony, do Grajewa – rozmarzył się ojciec, dziobiąc widelczykiem w serniku. Zeskrobywał lukier z ciasta. Lekarz już dawno nakazał mu ograniczyć jedzenie słodczy, a lukier o smaku arakowym był niewątpliwie przesłodzony.

– I cóż byś tam robił? Na pewno wiele nie zarabiał. Na całe nasze szczęście posłuchałeś moich rad i zamieszkaliśmy w Poznaniu, dzięki temu masz godziwą emeryturę. – Mama próbowała włączyć pilotem telewizor na „Złotopolskich”. Oglądała prawie wszystkie seriale, czego wcale się nie wstydziła, a wręcz przeciwnie, bo jeśli chodzi o znajomość najdrobniejszych serialowych zawiłości, kasowała wszystkich. Nikt w rodzinie nie miał takiej jak ona wiedzy na temat rozgrywających się w nich wydarzeń.

– Ty, Tereniu, to zawsze tylko o pieniądzach. W was, poznaniakach, jest takie pruskie wyrachowanie, tylko mamona i mamona wam w głowie. Nie to co ja, dobra i ciepła, romantyczna, słowiańska dusza – zaśmiał się ojciec.

– To po tobie ta nasza Kaśka jest taka niepoukładana, nie masz się czym szczycić – zaperzyła się mama.

Teraz Kasia też się obruszyła. O paradoksie, przez matkę była postrzegana jako osoba nierozsądna, a sama siebie uważała za zbyt spiętą i ograniczoną całą masą wewnętrznych i zewnętrznych nakazów. Chętnie pozbyłaby się całego ograniczającego ją balastu. I to od zaraz! Nie lubiła, jak rodzice się przekomarzali, prawie zawsze w takich momentach była po stronie zdominowanego przez mamę ojca.

– Oj, przestańcie, zaraz się pokłócicie. Na razie nie rezygnuję z pracy ani nie wkładam w to jakichkolwiek pieniędzy. Zresztą nawet ich nie mam, to co mam się na zapas denerwować? – Kasi trudno było się przyznać do własnej niegospodarności i niezapobiegliwości. Zerknęła na minę matki. Starsza kobieta była oburzona.

– Jak to nie masz?! Przecież zarabiasz. Katarzyno, tylko mi nie mów, że jeszcze nic nie zaoszczędziłaś! Pojedziesz tam jak jakaś ostatnia bieda? My z twoim ojcem zawsze mamy pieniądze, potrafimy gospodarować. No nie wiem, ja nie umiałabym żyć, nie posiadając żadnych oszczędności. – Mama od zawsze stawiała Kasi siebie na wzór.

– Jadę tam tylko na dwa tygodnie w ramach zaległego urlopu – tłumaczyła się Kasia. – A co do pieniędzy, to Dora także nie inwestuje swoich, w ogóle na razie o pieniądzach nie rozmawiamy. Majsza również tam będzie, bo w szkole bierze roczny urlop zdrowotny. Wszystko sponsoruje Witek, a my wkładamy w to jedynie swoją pracę. Wiesz, że zawsze marzyłam o czymś takim.

Kasia znów pominęła wątek dotyczący gospodarności i oszczędzania. Co tu dużo mówić, nie miała się czym pochwalić. W jednej chwili poczuła się znowu tak jak w Kronbergu: mało zaradna i biedna. Zrobiło jej się smutno, ale optymistyczna myśl o przedsięwzięciu w Mordkach osłodziła jej nieco tę chwilową melancholię. Ojciec, widząc smutek córki, spojrzał na żonę z wyrzutem i lekko kopnął ją pod stołem w łydkę. A potem udawał, że patrzy w okno.

– Stary głupek! Przestań! – ofuknęła ojca mama i zwróciła się w stronę Kasi: – Już się pozbierała ta twoja przyjaciółka? Biedne dziecko, taka tragedia. Jak wy tam takie same, bez żadnego mężczyzny dacie sobie radę? – powątpiewała mama, już cieplej.

Kasia patrzyła na walkę rodzicielskich stóp pod stołem. Było to tak czytelne, a pojedynek – przypominający nieco szermiercze pchnięcia – tak zacięty, że w zasadzie mogła go, jak zawsze, pominąć milczeniem. Tak też się stało, pokręciła tylko głową na znak, że wszystko widzi, ale nie akceptuje.

– Nic już nie mów, Tereniu, niech jedzie. Pomożemy ci, Piotrkim się zaopiekujemy. O nic się nie martw. A może, jak tam będziesz w pobliżu, to poszperasz trochę w archiwach parafialnych? Może wreszcie uda mi się uzupełnić rodzinne drzewo genealogiczne – ruszył córce z pomocą tata.

Kasia uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Przysunęła sobie paterę z ciastem, nałożyła na talerzyk wielkiego kremowego ptysia. Po chwili nałała sobie kawy, dołała śmietanki, uśmiechnęła się do ojca i powiedziała:

– Dzięki, tato. Muszę spróbować coś zmienić. To pięknie, że mnie rozumiesz. Chociaż ty...

A potem, już rozluźniona, rzuciła się na wielkie ciastko, nie myśląc wcale, że to bomba kaloryczna i że będzie to musiała odpokutować, jedząc przez kolejne kilka dni jedynie marchewkę, sałatę i szpinak. Oraz popijając to tą okropną wodą mineralną. Od jutra w Mordkach rozpocznie dietę – pomyślała z buzią pełną śmietankowego kremu.

W poniedziałkowy ranek wyruszyła w kierunku Mordek, eksperymentując z innym niż dotychczas połączeniem kolejowym. Choć każde oznaczało wielogodzinną jazdę pociągiem, to obecne miało tę korzyść, że przynajmniej na odcinku z Poznania do Warszawy jazda odbywała się w komfortowych warunkach i bez postojów na kilku stacjach.

– Pan zajął moje miejsce – zwróciła się cierpko do mężczyzny w średnim wieku, siedzącego w pociągu przy oknie. Według miejscówki, na jej miejscu.

– *Ja?* – zapytał.

Chciała mu natychmiast odpowiedzieć: „Tak, pan”, ale spostrzegła leżącą na jego kolanach niemiecką gazetę. I wtedy zrozumiała, że prawdopodobnie on zapytał po niemiecku, a nie po polsku. Patrzyła na niego chwilę w milczeniu, układając dalszy ciąg dialogu, a on mierzył ją pytającym wzrokiem zza okularów w złotej oprawie.

– Miejsce. To jest moje miejsce. *Platz.* – Kasia starała się mówić wolno, wiedziała, że wychodzi na analfabatkę. To był żalotny skutek jej stałego poglądu, że język niemiecki pasuje jedynie do konwersacji w piekle. A ona do piekła się nie wybierała, więc nauka tego języka, według jej filozofii życiowej, była zbędna.

– Ach, przepraszam, staram się jak najwięcej zatrzymać dla siebie z tych romantycznych, polskich widoków za oknem – odparł ten w jak najbardziej ojczystym języku, zbierając gazety i inne drobiazgi.

– Proszę zostać, siądę obok. Wzięłam pana za Niemca – zaśmiała się Kasia. Próbowwała położyć swój bagaż na półkę na górze wagonu. Mężczyzna podniósł się gwałtownie z miejsca, wziął z ręki Kasi małą walizkę i bez trudu położył na półce. Był sporo wyższy od Kaśki, więc walizka szybko wylądowała na właściwym miejscu. Kasia usiadła przy oknie i wyciągnęła z torebki książkę.

– *Ja...* Dwadzieścia lat mieszkam w Niemczech, a teraz z wielką radością jadę do naszej kochanej stolicy. Jestem ekspertem w dziedzinie narciarstwa, czasem zapraszają mnie na zjazdy i korzystają z mojej wiedzy. A pani? Też do stolicy? – odezwał się mężczyzna, nic sobie nie robiąc z tego, że jego sąsiadka zajęła się czytaniem książki. Zadowolony patrzył, jak na powrót ją zamyka i kładzie na kolanach.

– Nie, w Warszawie się przesiadam i jadę dalej. Aż do Ełku muszę się dostać. I potem jeszcze dalej. Pierwszy raz jadę tą trasą, chyba zajmuje więcej czasu niż przez Olsztyn, ale tak wyszło...

Poczuła jakąś dziwną potrzebę kontynuowania tej rozmowy. Wagon otwarty w „Berolinie” nie był w całości zajęty. Kasia ustawiła klimatyzację i zasunęła roletę do połowy okna. Pomyślała, że stan polskiego kolejnictwa dla mas jest opłakany. Że dla klienteli o zasobniejszej kieszeni oferta jest zdecydowanie lepsza, ale za sporą cenę. Zresztą, w tym wagonie podróżowały prawie wyłącznie osoby dobrze ubrane, wielu cudzoziemców i biznesmeni. I prawie każdy miał włączony laptop. W tak dobrych warunkach podróż upływa dużo przyjemniej – myślała, zerkając przez okno. Otworzyła książkę, specjalnie wzięła ze sobą grubą, czyli „Złoty notes” Doris Lessing. Jeśli chodzi o czytelnictwo, Kaśka niewątpliwie zeszła na psy. Na babskich powieściach nie mogła się skupić, a czytając Doris Lessing w domu, wieczorem, od razu zasypiała.

– Jak się czyta noblistkę? – zapytał sąsiad, zerkając jej przez ramię.

– Trudno, powiem szczerze, nie porywa mnie, a wypada... Gruba jest, a sporo jazdy pociągami przede mną, to wzięłam tomiszczę. Ten drugi argument chyba przeważył – zaśmiała się.

– Do rodziny? – usłyszała przyciszony głos prawie przy swoim uchu i poczuła lekki oddech na swojej szyi.

– Nie, do pracy. Zasadniczo do pracy – powiedziała, nie podnosząc głowy znad książki. Kasia

ogólnie lubiła rozmawiać i nawiązywać znajomości, jednak gdy wsiadała do pociągu i tym samym zaczynała długą podróż, otwierała książkę bądź laptopa i nie uczestniczyła w towarzyskim życiu podróży. Kilkanaście godzin w podróży wymuszało jednak zajęcie myśli, co udawało jej się zwykle bardzo dobrze. Ślizgała się wzrokiem po stronach książki, a myślała zwykle o finansach przedsięwzięcia, co zrobić, by taniej udało się to i tamto, wreszcie o Piotрку. Jak zniosą rozłąkę.

– Z Poznania aż tam? Ciekawe... Ucieczka? – Sąsiad przypatrywał się Kasi bacznie. Nadal mówił tym swoim przyciszonym głosem, nadając słowom taki kierunek, by dobiegły tylko do jej uszu. Spojrzała na niego. Ależ on zadaje bardzo dziwne pytania – pomyślała. Bo jak można z dwóch zaledwie szczegółów wysnuć tak bardzo zastanawiający wniosek? Ucieczka? Czy jej decyzję można nazwać ucieczką?

– Myśli pan, że tak można to określić? Chyba nie. Po prostu staramy się zorganizować tam miejsce do zarabiania pieniędzy. – Czuła, że się tłumaczy.

– Pensjonat na pewno! Teraz w kraju nastąpiła taka moda, i słusznie, w końcu Polacy podpatrzyli u zachodnich sąsiadów model spędzania wolnego czasu i wreszcie zaczynają korzystać z życia. O, to może być dobry interes rodzinny! – wykrzyknął spontanicznie.

– Hm... Pensjonat nie, za dużo kłopotu. Marzy nam się raczej opcja dla grup zorganizowanych, wymagająca mniej tak zwanego zachodu. Byłyby treningi mentalne, psychoterapia, nauka działania w grupie, a przy okazji także wypoczynek. No i zarabianie pieniędzy, ma pan rację... Tyle że w naszym przypadku będzie to interes bardziej przyjacielski niż rodzinny.

– Ach tak...

– Owszem. Bo jesteśmy dwiema przyjaciółkami ze studiów, tak się zgadałyśmy... i w efekcie próbujemy swych sił we wspólnym działaniu. Trzecia też przez jakiś czas będzie nam pomagać...

W momencie, gdy to powiedziała, poczuła żal do siebie, że zwierza się zupełnie nieznanemu mężczyźnie. Że obarcza go swoimi lękami i dylematami. I, co najważniejsze, nie wymieniając przy okazji spółki w Mordkach żadnego mężczyzny, sugeruje swój stan. Kasia nie lubiła się zwierzać komukolwiek ze swoich problemów ani też wysłuchiwać o cudzych. Spojrzała na faceta zawstydzona. Wydawało jej się, że miną wystarczająco daleko do zrozumienia, żeby przestał ją wypytywać czy kontynuować rozmowę.

– Oj, to chyba jest jednak ucieczka – powiedział ciepłej, widząc, że towarzyszka podróży się zmieszała. Machnął ręką i dodał ze sporą dozą pewności siebie: – Nie ma się pani czego wstydzić, każdy od czegoś ucieka. Każdy!

– No, nie wiem...

– Proszę uwierzyć. Ja też. Walczę już długo z uczuciem do kobiety, która nie kocha mnie tak, jakbym chciał. Rozumie pani? Po prostu wystarczająco mocno – ciągnął, wymawiając zdania tym razem głośno, bez jakiegokolwiek nieśmiałości. Kasię zdziwił nowy tembr jego głosu, wysoki jak na tak barczystego mężczyznę, jednocześnie bardzo donośny. Miała ochotę poprosić, by mówił ciszej. Drażnił ją brak dbałości o pozory z jego strony. To, że rozmawiają, jej nie przeszkadzało, ale niechby ta rozmowa dotyczyła spraw mniej intymnych. Pomimo tej obiekcji, zadała jednak kolejne pytanie z serii pytań otwartych, wiedząc, że na nie skwapliwie, zbyt głośno i wyczerpująco odpowie.

– To znaczy?

– Ona mieszka w Kolonii. – Gdy zaczął mówić o tej kobiecie, jego twarz się rozjaśniła, rysy twarzy – ostre i wyraziste – zmiękły. Patrzył w okno, mijali już Koło. – To jest bardzo daleko ode mnie. Kiedy jesteśmy blisko siebie, jestem bardzo szczęśliwy, a potem, gdy się nie widzimy, to chyba nawet nie cierpię. Wiem, że jest, pamięta o mnie, rano w poczcie mam zazwyczaj od niej jakąś miłą wiadomość... Najczęściej erotyczną. – Uśmiechał się. – Ale ostatnio między nami mocno zgrzyta. Miesiąc temu miała urodziny, ale mnie nie zaprosiła! Chciałem do niej pojechać w poprzedni weekend, wykreśliła się, że

spotyka się z koleżanką! – Mężczyzna był coraz bardziej zdenerwowany. – Proponowałem, abyśmy za miesiąc pojechali do Francji na lodowiec, tam jeszcze w wysokich partiach gór można pojeździć na nartach. Najpierw mówiła, że nie dostanie urlopu, a potem przyznała się, że jest już niby umówiona z jakąś znowu koleżanką. A wie pani, co jest dla mnie najbardziej krzywdzące? – Spojrzał na Kasię rozgoryczony. – To ja ją nauczyłem jeździć na nartach. Wyobraża to pani sobie? Ja ją nauczyłem, a ona ma teraz jechać z kimś innym! – zakończył tę część zwierzeń wzburzony. Kasia widziała, jak rusza wielką żuchwą, jak bębni wypielegnowanymi palcami o kolano odziane w szare lniane spodnie, a potem wstaje z siedzenia i robi kilka nerwowych kroków po wagonie. Chciała coś powiedzieć, zawołać, żeby się nie martwił, albo powiedzieć tylko „będzie dobrze”, ale on spojrzał na zajętych swoimi laptopami i telefonami komórkowymi współpasażerów, potem na nią i klapnął z powrotem na miejsce obok. Przez chwilę oboje milczeli, a potem przechylił się w stronę Kasi, aż poczuła cierpki zapach jego wody toaletowej, i zajrzał jej w oczy, jak się zdawało, błagalnie. Zmarszczki na czole mu się pogłębiły, był smutny i, co więcej, sprawiał wrażenie, jakby oczekiwał pocieszenia. Kasia nie mogła się jednak na nie zdobyć. Poczowała solidarność z tamtą kobietą.

– Chyba nie uczył jej pan po to, żeby tylko z panem na tych nartach jeździła? – zapytała oschle. Zdziwiła się, że można mieć aż tak mocno egoistyczne poglądy i na powrót obudziła się w niej skrywana nieufność do mężczyzn.

– Nie, chyba nie – zastanowił się. Zaczął przecierać szkła okularów. – A może trochę tak. Sam nie wiem – zawahał się.

– No właśnie... – Kasia nie wiedziała, co powiedzieć. Nigdy nie dyskutowała z mężczyznami o takich sprawach, nawet kiedyś z Pawłem, mimo że żyli ze sobą sporo lat, czy ostatnio z Marcinem. Rozmawiali zwykle o codzienności, o wspólnie obejrzanych filmach czy przeczytanych książkach. O synu. Poza tym w tych historycznych, niestety, związkach każda strona zawsze miała swój świat. Innych znajomych, inne zainteresowania, inne podejście do sztuki czy wręcz codzienności. Katarzyna posmutniała, bo czuła, że sama popełniła wiele błędów, że uciekała w rozmowy o niczym. Nic dziwnego, że w jej związku szybko wkradały się nuda i rutyna. Spuściła głowę, przewertowała kilka stron książki, a potem zaczęła szukać w torebce butelki z wodą mineralną. A co do współtowarzysza podróży, toż to wyznanie, myślała rozbawiona. Nie każdy jest dzisiaj aż tak bezpośredni. Nie miała praktyki w wysłuchiwanie zwierzeń obcych facetów, zwłaszcza intymnych wynurzeń. Wiedziała, że jest to jeden ze sposobów na tworzenie damsko-męskiej bliskości, wręcz zażyłości, bo kobiety lubią pocieszać dużych chłopczyków, taki funkcjonuje stereotyp. Ale nie sądziła, że takowej konwersacji, notabene w pociągu, sama kiedyś doświadczy. Jak się przekonała, mężczyzna nie zakończył jeszcze rozmowy:

– Wie pani, ona jest o mnie bardzo zazdrosna. Z tego to wszystko się bierze.

– A powinna być? – Kasia udała przyjazną życzliwość, chociaż nie tylko, paradoksalnie zaciekawiała ją opowieść tego mężczyzny. Jako dobrze ubrany, najprawdopodobniej zasobny, dobrze sobie radzący zarówno w Niemczech, jak i w Polsce, co tu dużo mówić, obieżyświat, przy okazji przystojny, po prostu musiał być przez kobiety adorowany. W pytaniu, jakie mu zadała, chciała zawrzeć wątpliwość, czy tamta kobieta mogłaby mieć powód. Czyli w bardzo okrężny sposób pytała go, tak naprawdę, o kobiety w jego życiu. Zrozumiał od razu.

– Pewnie tak – spojrzał na nią zza okularów. Jego ciemne źrenice się rozszerzyły, uśmiechnął się, zadowolony z takiego kierunku rozmowy. – Lubię kobiety, nie będę ukrywał, ale kiedy się poznaliśmy, uprzedziłem ją przecież, że nie jestem gotowy na miłość. Że preferuję bliską przyjaźń o podtekście erotycznym, ale bez syndromu kleszcza. – Spuścił głowę, potem spojrzał na Kasię i, widząc na jej twarzy zdziwienie, czy bardziej, brak akceptacji, dodał, chcąc się zapewne usprawiedliwić: – Bo wspólne mieszkanie z kobietą mogłoby mnie zabić. Obijanie się wzajemnie kilkanaście godzin na dobę w tym

samym pomieszczeniu już teraz przyprawia mnie o mdłości. Nie, to nie dla mnie. Wie pani, ja jestem wolnym ptakiem... Potrzebuję przestrzeni.

– I co dalej? – zapytała zaciekawiona.

Z jednej strony, stawiając się na miejscu tej kobiety, uznała, że taki mężczyzna nie może zagwarantować jej nawet cienia pewności i uczuciowej stabilizacji. Z drugiej strony sama też nie potrafiłaby, podobnie jak on, spędzić życia w zbyt hermetycznym związku nawet z najpiękniejszym i najmądrzejszym facetem w mieście. Musiałaby mieć jednak pewność co do wierności swojego mężczyzny, tak więc poglądy znajomego z pociągu były nie do przyjęcia. Zdążyła się przekonać, a przyczyniła się do tego przed laty niewierność Pawła, jak wiele znaczy dla niej uczuciowa pewność. Rozumiała tamtą kobietę, ale jednocześnie, trzeba przyznać, współpasażer ją zaciekawiał. Bardzo zaciekawiał.

– Chciałbym, żeby z Sofiją było tak jak dawniej – powiedział cicho i westchnął.

– Czyli nadal bez uczuciowych zobowiązań? – skonkretyzowała, odwracając głowę. Za oknem było jeszcze zielono. Pola po żniwach i nieco wypłowiełe łąki na równinie dawały jej – zastanawiające w okolicznościach, jakie zagościły w jej życiu – poczucie stabilizacji. Widziała analogię. Za oknem było tak jak winno być w życiu. Równo. Bo najwygodniej jest, gdy życie toczy się bez podejść w górę i potem nieuchronnych zejść w dół – myślała Kasia.

– Nadal? Sofija jest Polką po przejściach, a i za mną są też burzliwe historie. Wydawało mi się, że jesteśmy tacy sami, że będzie z nas para. Na tym właśnie chciałem oprzeć naszą bliskość. A może przesadzam i to uczucie to nic innego jak zwyczajne przyzwyczajenie, a może nawet pójdzie na łatwiznę? Może powinienem to wszystko jeszcze raz przemyśleć? Co by mi pani doradziła?

Zaskoczył ją tym pytaniem, bezwiednie wszedł w jej dialog wewnętrzny – jaki niewątpliwie prowadziła – na temat meandrów życia.

– No i co ja mogę panu doradzić? Sama mam sytuację może nawet jeszcze bardziej nieuregulowaną niż pan – odpowiedziała od razu. Bez zastanowienia, zapominając, że jeszcze chwilę temu, gdyby on to powiedział, zaprzeczyłaby.

– Czyli to jednak ucieczka! – odkrył. Uśmiechnął się porozumiewawczo, a zaraz potem wykrzyknął radośnie, wskazując ręką na okno: – O, nasza piękna Warszawa na horyzoncie. Jak się tak trochę rozmawia, to czas szybciej leci. Da mi pani kontakt do siebie? Może zaproszę do waszego ośrodka Sofiję i na dziewiczych terenach ełckiej wsi oboje poddamy się treningowi mentalnemu? To zabrzmiało, jakbym rozważał dla siebie i Sofiji psychoterapię dla par, prawda? – Na jego twarzy kolejny raz pojawił się uśmiech. Kasia też się uśmiechnęła, a po chwili wyciągnęła z torebki telefon komórkowy.

– Wpiszę sobie pana do kontaktów, a i panu prześlę moją telefoniczną wizytówkę.

Właściwie cieszyła się ze swojej obecnej spontaniczności, bo chciała taka być. Nie chciała analizować każdej sprawy na wszystkie możliwe sposoby. Wiedziała, że będąc bardzo rozważną, wiele straciła w swoim życiu, może i bezpowrotnie... Kto to wie.

– Georg Nawrocky jestem. – Mężczyzna mocno ścisnął jej dłoń i potrząsał nią.

– Kasia Bzdowska-Rybak – przedstawiała się, odbierając z jego rąk swój bagaż. Pociąg wjeżdżał w tunel dworca Warszawa Centralna. A ona już myślała, żeby jak najprędzej dostać się na peron drugi, skąd za kilka minut miał odjeżdżać pociąg do Ełku.

Mordki powoli przybierały jesienne barwy. Winobluszcz u babci Kondratowicz zaczynał się już czerwienić, a w ich ogrodzie dopiero teraz dojrzewało winogrono. Rano razem z sąsiadką, Danusią od Endiego, zajmowały się obrywaniem jego ciężkich, granatowych kiści.

– Zrobię wino, tylko muszę zadzwonić do rodziców, żeby dali mi przepis – powiedziała Kasia, myjąc w wielkiej misie granatowe, nabrzmiałe sokiem gronka. Żeby nastawić wino, musiałabym mieć ze dwie wielkie butle – pomyślała.

– Nie opłaca się. W sklepie są wina już po osiem złotych. Endi mówi, że takie własnej roboty to sikacze i tylko można się nimi struć, a w efekcie następnego dnia łeb boli – skwitowała sąsiadka.

Jeśli robi je jakiś partacz, to pewnie Endi ma rację – pomyślała z gniewem Kasia. Jeśli ktoś się zabiera za doradztwo, to niechby się oparł na własnej wiedzy, popartej doświadczeniami i teorią, a nie na zasłyszanej. Taaak. Ale butla mojego pysznego czerwonego wina przyda się zimą, będzie jak znalazł na wszelkie smutki. Zapasy na zimę – pojęcie do tej pory wyszydzone przez Kasię, tutaj, z uwagi na mnóstwo wolnego czasu, jakim dysponowała, stały się przedmiotem jej działania. Słoiki tej samej wielkości z różnymi marynatami, marmoladami, powidłami, dżemami, galaretkami i kompotami stały poustawiane równiutko w spiżarni, mieszczącej się zaraz obok jadalni. Wprawdzie nie było tutaj ani Dory, ani Tamary, ale pieczołowitość, z jaką Kasia ustawiała przetwory, wskazywać by mogła, że najwyraźniej chciała im się przypodobać. Majsza, gdy przyjechała po pogrzebie Jarka, namalowała na nich specjalnymi farbami do szkła to, co znajdowało się w środku. Czyli na przykład na kompocie truskawkowym i dżemie rasową truskawkę, na sałatce szwedzkiej – cebulkę i ogórka, a na kompocie wiśniowym – wisienkę jak żywą, nawet z małym ogonkiem i listkiem. Były to jedyne związane z nią kolorowe elementy pośród głębokiej czerni symbolizującej żalobę, w jakiej trwała. I trwać chciała nadal.

– Musisz coś robić, czymś się zająć. Bo chyba nie chcesz zostawić Zuzy samej? – mówiły jej wtedy w ramach pocieszenia. Ale żadnym pocieszeniem, zdawały sobie sprawę, to nie było. Majsza nie przypominała siebie z dawnych czasów. Schudła, a odziana od stóp do głów w głęboką czerń sprawiała wrażenie osoby zupełnie wycofanej, bez ducha, milczącej i całkowicie pogrążonej w swoich smutnych wspomnieniach.

Do dzisiaj, choć upłynęły już prawie dwa miesiące od pogrzebu, Kasia każdego dnia widziała, że jej smutna przyjaciółka siedzi nieruchomo od rana do późnego popołudnia nad jeziorem. Nieobecna, w czarnym turbanie niedbale pozakręcanym na głowie, spod którego wymykały się niesforne, popielate loki. Z pędzlem w ręce, ale zupełnie nic nie malując. Codziennie wychodziła z domu przed wschodem słońca, gdy świat dopiero budził się do życia, a nad pobliskim dzikim jeziorem unosiły się jeszcze gęste poranne mgły. Ustawiała swoją sosnową sztalugę, obok rozkładała małe zielone krzeselko i siedziała tak wiele godzin, patrząc w dal.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby jej nie fotografować – myślała Kasia, przeglądając zdjęcia i wgrzywając je do laptopa. – Jest coś szalenie tajemniczego w kruchej, ubranej na czarno sylwetce, siedzącej o poranku tyłem do mnie, wśród tajemniczych mgieł w kolorze gołębia i z tym magicznym pędzlem w upačkanej farbie ręce. Raz tylko, gdy Endi znów włączył swój trzeszczący i piekielnie zniekształcający jakąkolwiek muzykę odbiornik, kiedy popłynęły znajome dźwięki i zniechęcone już słowa piosenki *One way ticket*, a potem ten mały, obrzydliwy kundel dołączył się ze zwykłym dla siebie piskliwym szczekotem, Majsza wstała z zielonego krzesła i majestatycznym krokiem, w tej czerni, z dużym pędzlem upačkany żółtą farbą w ręce powoli skierowała się w stronę obejścia Endiego. Ten zwykłym sobie sposobem uciszał podskakującego niezgrabnie przy płocie, histerycznie szczekającego psa. Tubalne: „Zamknij mordę, Lady”, rozbrzmiewało po całej okolicy. Majsza podeszła jeszcze bliżej

i powiedziała świdrującym półgłosem, również słyszalnym w całej okolicy:

– Gdy się ma takiego sąsiada jak pan, to... to... – zawahała się – to nawet cierpieć nie można – dokończyła, po czym równie powoli odeszła, wprawiając Endiego – otrzaskanego w świecie, może niezbyt odległym, ale tym sąsiadującym, niemieckim na pewno – w wielkie osłupienie. Nawet Lady zamilkła, jakby zaskoczona. Stała przy nodze swojego pana osłupiała, z tą sterczącą w różne strony sierścią i szpiczastymi, postawionymi teraz wysoko z psiego zdziwienia, nieforemnymi uszami.

Kasia westchnęła ciężko, żal jej było Majszy, to jasne, nie potrafiła jednak do niej dotrzeć, chociaż się starała. W końcu uznała, że Majka widocznie musi jakiś czas pobyć sama ze sobą i zaprzestała dalszych prób nawiązania rozmowy. Ochocho zajęła się obmyślaniami kierunków dalszych remontów oraz adaptacją powierzchni. Prace budowlane posuwały się do przodu w całkiem niezłym tempie, nie tak jak byłoby w mieście. Tutaj, w rejonie sporego bezrobocia, bardziej szanowano pracę. W takim stanie rzeczy była z wynajętych robotników, a także z siebie, bardzo zadowolona.

Ekipy budowlane właśnie zakończyły prace. Szopa zaczynała mieć niepowtarzalny charakter. Belki wieńczące jej dach tworzyły niespotykany w tej okolicy styl, można było się nawet pokusić o stwierdzenie, że powstający dom przypominał nieco domostwa na angielskiej prowincji. Nieduże okna, wejście zaraz z podwórza, bez jakiegokolwiek stopnia, a nad pobielonymi drzwiami wejściowymi robotnicy osadzili mały daszek na bogato rzeźbionej konstrukcji żeliwnej. Wszystko to Kasia obserwowała z przyjemnością z jadalni.

Niby powinna być pochłonięta opracowaniem biznesplanu, ale co chwilę z dumą zerknęła w okno, skąd widać było szopę w całej okazałości. Przed wejściem posadzimy kilkanaście krzewów róż, najlepiej pnących, takich purpurowych, z drobnymi, ale gęsto kwitnącymi kwiatkami – marzyła. – Jest wiele odmian odpornych na mróz, co w przypadku Mordek warto brać pod uwagę. Ech, szkoda, że lato się kończy – myślała. – Winogrono ugniotę jutro rano, bo dopiero z takich gronek łatwiej jest uzyskać sok na dobrą fermentację. Butle do wina też przyniosę rano ze strychu i umyję. Teraz nakarmię psy i zamknę dom.

Odkąd została w Mordkach sama z pogrążoną w swoim świecie Majszą, końcówka dnia zawsze wyglądała podobnie. O zachodzie słońca wychodziła na taras i obserwowała, jak słońce maluje świat na pomarańczowo, a wieczorem z okna wypatrywała żałośnie spadającej gwiazdki, po czym wędrowała do kuchni, siadała na ławce i zaczynała się bać. Niestety, nadal tak było, niejedną noc przeżywała bardzo dramatycznie. Gdy Maja w milczeniu zamykała drzwi do swojego pokoju, Kasia, samotnie kręcąc się po domu, czuła na plecach, jak nigdy przedtem, obecność nieustająco i badawczo przyglądających się jej duchów wszystkich zmarłych mieszkańców tego domu. To powodowało u niej dreszcz strachu, nieraz zdarzyło jej się przeżegnać i splunąć trzy razy za siebie. Czuła się nieswojo, wiedziała jednak, że skoro powiedziało się „A”, to trzeba też powiedzieć „B” i następne litery. Aż do ostatniej. Poskramiać różne strachy. Codziennie wieczorem, gdy zapadały ciemności, a potem gasły światła i zaczynały szczeleć psy, otwierała szafkę, do której zaraz po przyjeździe wstawiła dużą butelkę czerwonego, wytrawnego wina château preuillac, jej ulubionego. Odkorkowała ją, kiedy przyjechała. Nalała niewielką ilość do kieliszka, wypila, po czym zatknęła korek i schowała taką, przez to kuszącą, do szafki. Sprawdzę, jak zachowam się w tak ekstremalnych dla mnie warunkach – postanowiła wtedy. – Postaram się kontrolować swój strach i siłę woli. Wyćwiczę swój charakter.

Teraz były we dwie, ale Kasia czuła odpowiedzialność nie tylko za siebie. Miała poza tym wrażenie, że po tym wszystkim, co się stało, zniknęła całkowicie jej uraza do Majszy i zapomniała wszystko złe, co się między nimi kiedyś wydarzyło. Za to nic się nie poprawiło w sprawie przeżywania czasu gasnących świateł ulicznych. Ale dzisiaj, po kilkudniowym, prawie samotnym i pełnym lęku pobycie tutaj, wino nadal było nietknięte.

– No i jak tam? – telefonicznie odpytywała Dora.

– Dobrze jest, tak ogólnie. Gdy patrzę, jak szopa zamienia się w przytulny ośrodek, to myślę, że chyba odniesiemy sukces. Mam wszystko policzone.

Za dwa lata może uda nam się wyjść na czysto – marzyła. A może po prostu przewidywała realnie rozwój własnego ekonomicznego projektu?

– Pamiętaj, że Witek włożył dużo pieniędzy. Musimy też z nim się rozmówić, co zamierza. Wprawdzie zapewniał, że nie chce pieniędzy, jakie zapłacą nam firmy, ale wiesz, jak to jest z rozliczeniami – westchnęła Dorota.

– Gdybyś widziała, w jakim stanie psychicznym jest Majsza... Zaszywa się na całe dni w szuwarach, zupełnie nic do mnie nie mówi, przemyka tylko po domu i unika spotkania ze mną. Prawie jak te twoje duchy...

– Wiem, w końcu zginął jej mąż. O moim też można tak powiedzieć. Nie mówiąc o Pawle, bo to dla ciebie była katastrofa i ledwo się przecież pozbierałaś. Ale, właśnie, sama przecież żaliła się, że pił, i dlatego od niego uciekła. Więc dlaczego teraz tak jęczy nad sobą? Mówię ci, nic się nie zmieniła. – Dorota nie uważała, że żałoba jest jedynym powodem dziwactwa Majki. Zawsze podejrzewała ją o grę czy raczej manipulację.

– Wczoraj od rana – Kasia kontynuowała swoją opowieść – jej nie widziałam. Byłam pewna, że śpi. Koło jedenastej zajrzałam do pokoju, ale nikogo tam nie było. Nad jeziorem też nie i nawet na górcę za domem. Przestraszyłam się okropnie. Poprosiłam Kasia, tego tapeciarza, żeby mnie obwiózł po okolicy, ale też jej nie spotkaliśmy. Szukaliśmy nad jeziorem... Brrr, nie było ani krzeselka, ani sztalugi.

– Może w ten sposób chciała zwrócić na siebie twoją uwagę? Wariatka! – zastanawiała się Dora.

Pojechali drogą do Olecka, ale Majszy nigdzie nie było widać. Po wędrowce przez miasto i zaglądaniu do każdej kawiarni czy restauracji Kasia postanowiła pójść do kościoła. Chciała posiedzieć chwilę w ławce, pomyśleć, nawet się pomodlić. W kościele trwała akurat próba występu prawosławnego chóru męskiego. Było to dla niej bardzo podniosłe i wzruszające przeżycie, całą świątynię wypełniały basy i barytony. Jeden wielki patos. Łzy same napłynęły jej do oczu. I wtedy, właśnie przez te łzy dostrzegła Majkę. Żałobnicę, siedzącą w pierwszej ławce, nieruchomą jak zwykle i wyprostowaną. Przerazającą.

Jezu, ja się za nią zabiorę, jak przyjadę – obiecała sobie w myślach Dorota.

– Podeszłam do niej, wzięłam za rękę. Wyszliśmy, nic do siebie nie mówiąc – kończyła swą opowieść Kasia. – Tak jest do dziś. Muszę koniecznie coś wymyślić, żeby wreszcie przywrócić ją do życia, nawet jeśli to miało być od jutra rana!

– Pani Kasiu, pani Kasiu, jest tam pani?

Obudziło ją to wołanie i głośne pukanie do drzwi wejściowych. Spojrzała na zegar stojący na szafce, jedenasta przed południem, czyli połowa dnia minęła!

Powoli wstawiała z łóżka. Bolały ją wszystkie mięśnie. Pomyślała, że niewątpliwie powodem tego bólu były jej nocne biegi przełajowe po Mordkach. Brrr – wzdrygnęła się. Na samo wspomnienie jeszcze teraz czuła lęk, ale jednocześnie, w jakimś sensie, była zadowolona, bo udało jej się przełamać blokujący ją zwykle lęk przed niestosownością i tak zwyczajnie, spontanicznie szukać po nocy sąsiedzkiej pomocy. To wydarzenie mogłoby budzić kontrowersje, zdawała sobie z tego znakomicie sprawę. Do uspiętego domu Solińskich dobiegła prawie w negliżu. Wielkie nocne szmery na trawniku za oknem, ujadanie psów i hałasy przypominające dźwięk rowerów na zwirowej ścieżce wytworzyły w niej stan paniki tak niekontrolowanej, że uciekła z domu w ciemną noc okryta zaledwie satynowym wdziankiem.

Dora jak zwykle przesadza – podśmiewała się Kasia na myśl o znajomości zawartej minionej nocy. Jasiu Soliński był godny zaufania! Szukając na brzegu fotela ubrań codziennych, Kasia podniosła satynowe wdzianko leżące na wierzchu. Uśmiechnęła się. Znów rozległo się pukanie do drzwi.

– Idę, idę – zawołała, wciągając pośpiesznie spodnie i zasuwając zamek od bluzy.

Przez szybę w drzwiach wejściowych szczegółowo zlustrowała gości. Najpierw dostrzegła tapeciarza Kazia. Obok niego stał bardzo szczupły, nieznaną jej mężczyzna w średnim wieku. Wiercił się niespokojnie za plecami Kazia, rozglądając się po podwórzu. Na czoło opadały mu falami długie, ciemne, ale delikatnie przyprószone siwizną włosy. Co chwilę zaczesywał je do tyłu sękatymi rękoma o żółtych paznokciach.

Ma fryzurę czesaną palcami, jak ja – pomyślała rozbawiona, układając pośpiesznie swoje krótkie włosy, rzeczywiście w podobny sposób jak gość zza drzwi. Obcowanie z ludźmi wprawiało ją w Mordkach w dobry nastrój. Najlepiej się czuła, gdy mogła z kimś porozmawiać, gdy miała pewność, że nie jest sama na tym pustkowiu, wśród mgieł od jezior i nieustającego wściekłego jazgotu psów. To one najbardziej mnie tutaj straszą – odkryła.

– Przyprowaździłem Wojtka. Chłop nie ma pracy, a umie malować. Przyda się, robota szybciej pójdzie – Kaziu z kurtuazją przedstawiał znajomego. Klepnął go w plecy. Wojtek stracił lekko równowagę i oparł się ręką o mur. Popatrywał nieśmiało na Kasię, przytakiwał Kaziowi. Kasia zwróciła się do Wojtka:

– To co? Skoro pan Kaziu daje panu referencje, to lepszych w okolicy nie ma. Chce pan zaczynać od razu?

Pomyślała, że w ten oto sposób rozwiązanie przychodzi do niej samo. W szopie było jeszcze wiele pomieszczeń o ścianach zaledwie zagruntowanych, kilka nawet nieotynkowanych, a Dorota już za kilka dni przyjedzie do Mordek na dobre, i co powie? Kasia zorientowała się, że zależy jej na dobrej opinii Doroty. Coś muszę z tym zrobić, bo tak dalej nie może być – przywołała samą siebie do porządku.

– No tak, od dzisiaj. – Długowłosy Wojtek poruszył wąskimi, ale rozciągniętymi na szerokość ustami. Policzki miał zapadnięte, jakby nie został mu żaden ząb. Mówił cicho, lekko świszcząc. Kasia musiała bardzo mocno wsłuchiwać się, co mówi. Sprawiał wrażenie niepewnego siebie, prawie wcale nie podnosił wzroku. – Bo najpierw muszę przestać pić, a potem załatwić sprawy z Zochą – dodał nieco głośniejszym łamiącym się głosem, co ciekawe, dość niskim i o czystej barwie.

– Co pan musi?! – wykrzyknęła Kasia. Nie rozumiała go. Nie usłyszała dobrze. Wydawało jej się, że mówił coś o sprawach z Zochą, ale nie znała przecież żadnej kobiety o tym imieniu. Zastanawiała się, czy się nie przesłyszała. W końcu to było możliwe, nie obudziła się jeszcze całkowicie, a nigdy nie była

typem skowronka.

– Przestać pić i załatwić sprawy z Zochą – powtórzył znów, trochę głośniej, ponownie odgarniając włosy z czoła. Gdyby podniósł głowę ciut wyżej – pomyślała Kasia – nie miałby tego problemu z włosami. Było jej żal tego nieśmiałego człowieka ze wzrokiem utkwionym w ziemi.

– Idź, Wojtku, przebierz się, zaraz do ciebie przyjdę. Pani Kasiu, niech go pani nie słucha, on po prawdzie trochę pije, ale dobry chłop z niego. I jak nie pije, to pracowity jest – usprawiedliwiał go Kaziu.

– No, ale co z tą Zochą?

Kasię ten wątek zaintrygował najbardziej. Jeszcze nikt nigdy jej tak nie zaskoczył. No, może tylko spotkany w pociągu do Warszawy Georg. Owszem, wtedy też Kasię zaskoczyły jego zwierzenia, co ciekawe – obydwu mężczyzn niewątpliwie coś łączyło. Imię kobiety. Bo Sofija i Zocha to chyba to samo, acz w innych językach. Zasadniczo Kasia na swojej drodze życiowej spotykała prawie wyłącznie poukładanych i rozsądnych ludzi, gromadzących w pocie czoła wszelakie dobra i, zdawałoby się, niepopołniających żadnych życiowych omyłek. A przynajmniej nieprzyznających się do nich.

– Nie przejmowałbym się, on tak mówi już od wielu lat. Tutaj nikt jego gadaniny nie bierze na poważnie. Pije kilka dni, a potem trzeźwieje i w kółko powtarza tę historię – zaśmiał się Kaziu.

– A kim jest dla niego ta Zocha? Żoną, córką, kimś bliskim? – Kasia z rumieńcami na twarzy, z powodu emocji, jakie wyzwolił w niej ekscytujący malarz, nie miała zamiaru poskromić swojej dociekliwości. Niby nic szczególnego nie powiedział, ale wystarczyło, że nie dopowiedział, by wzbudzić zainteresowanie Kasi.

Kaziu zamyślił się głęboko, ale pokręcił przecząco głową.

– Tego nikt nie wie. Jedno jest pewne: w jego rodzinie na pewno nie ma żadnej Zośki. – Odwrócił się i powoli ruszył w kierunku stodoły. Po chwili zatrzymał się jednak i odwrócił. Przypomniał sobie o czymś. – Aha, pani wchodziła już tam dzisiaj? – Zrobił szeroki, nieokreślony ruch ręką.

– Gdzie? Do szopy? Nie, nie wchodziłam, panowie mnie obudziliście. A stało się coś? – wystraszyła się.

– Jakoś mi się dziwnie otwierało drzwi wejściowe. Tak jakby ktoś majstrował przy zamku. Myślałem, że może pani nie mogła ich otworzyć, bo klucz, którym się pani posługuje, był chyba dorabiany. A może koleżanka próbowała się tam dostać? – zastanawiał się, drapiąc się po głowie.

– Nie, ona też nie. W nocy strasznie psy ujadają, jakby kogoś goniły. – Kasia pobladła. Zaczęła łączyć nocne hałasy, gonitwę psów za czymś czy za kimś właśnie w okolicach szopy. Czyli – pomyślała ze strachem – najwyraźniej miałam powód się bać!

– To na pewno jakieś złodziejstwo. Ci to nawet na ostre psy mają sposoby. Musiałaby pani porozmawiać z tą starowinką z sąsiedztwa, ona często siedzi w swojej kryjówce, w tyle domu, zamaskowana wśród winorośli i obserwuje. Stamtąd, gdzie teraz malujemy, bardzo dobrze ją widać. Musi widzieć, kto się tutaj kręci.

Kasia stanęła przy oknie wychodzącym na sąsiednie domostwo.

– A to chytrusek – zaśmiała się.

Nie wpadłaby na to, żeby szukać babci Kondratowicz w bujnych krzakach na tyłach podwórza. Sąsiedni dom był położony dokładnie na odśrodkowej łuku drogi przez wieś. Czyli z tamtego miejsca mogło być znakomicie widać, co działo się na górcie za naszą stodołą. A jeśliby się stamtąd nieznacznie wychylić, to nawet i to, co na drodze biegnącej przez wieś. Hm... dom z pozoru niezamieszkały, idealny punkt obserwacyjny, strategia godna niejednego męża stanu – pomyślała Kasia.

Muszę załatwić sprawy z babcią Kondratowicz – zdecydowała i od razu spostrzegła, że bezwiednie przejęła styl Wojtka. Zaśmiała się z tej myśli.

Janek Soliński, bo to on zaopiekował się Kaśką w nocy kilka dni temu, w dramatycznych dla niej okolicznościach, stał się teraz jej częstym gościem. Zmierchało. Siedzieli w ogrodzie pod wielką jabłonką. Jasia dzisiaj w pracach domowych wyręczał wynajęty pracownik, u niej psy też były już nakarmione. Krótkofalówka, którą wtedy jej przekazał, leżała na stole, a on swoją położył obok. Kasia pomyślała, że skoro porusza się tak wyposażony, najwyraźniej wziął sobie do serca jej lęki. I, co istotne, troszczy się o nią.

Majsza z blejtramami pod pachą wybrała się przed południem nad małe jezioro wśród łąk, z drugiej strony wsi. Nadal była obecna tutaj tylko ciałem, jednak po tym, jak odnaleźli ją w kościele w Olecku, przynajmniej mówiła, dokąd się wybiera. Zuza nie była zainteresowana przyjazdem do Mordek. Będzie studiować w Warszawie, dostała się na dwa kierunki – dyrygenturę i psychologię. I jak mówiła kilka dni temu, będzie próbowała temu sprostać. Z przyjazdem na wieś za kilka dni awizowała się na dobre Dora. Na dobre, bo definitywnie zrezygnowała w Niemczech z pracy w domu starców. Nawet całą swoją pocztę przekierowała już na polski adres.

– Zamknę na cztery spusty mieszkanie nad kawalerką Frau Sztompke – mówiła wczoraj przez telefon. Niemka popłakała się, gdy Dorota poszła ją zapytać, czy nic nie stałoby na przeszkodzie, żeby na wszelki wypadek zostawiła u niej klucz od swojego domu. W razie czegoś niespodziewanego. – Frau Borecka, Frau Borecka – powtarzała w kółko, kręcąc głową z niedowierzaniem, gdy dowiedziała się, że polska sąsiadka i jej grzeczna, śliczna córka zamierzają wrócić do swojego starego kraju. A Dorota ją „wredną Szkopką” nazywała – ubolewała Kasia.

Teraz Jasiu przeglądał album z fotografiami z młodości Doroty, który stał na regale w sypialni Kasi. Zauważyła go dopiero dzisiaj, tak była zajęta innymi sprawami.

– Zobacz, to zdjęcie zrobił nam Witek, kiedy Dorota przyjechała na wakacje. Studiowaliśmy już wtedy. Ona zawsze się dziwiła, jak mogłem wybrać taki kierunek studiów i co będę robił po tej mojej architekturze. Wtedy budowano tylko z wielkiej płyty.

– No a teraz ja chętnie bym cię zapytała, jak mogłeś się tutaj zaszyć. Po architekturze...

– Wiesz, w Warszawie było mi za ciasno, tam się bardzo szybko żyje. Wspomnienia stamtąd też mam niezbyt miłe. Pewnie wiesz, że moja była żona pochodziła ze stolicy?

Kasia zdążyła się już czegoś dowiedzieć o Jasiu, bo co chwilę ktoś ze wsi jej o nim opowiadał. Dzidek też trochę dołożył, a nawet i Piotrek, z którym był zaprzyjaźniony. Kilka razy popłynęli łódką na jezioro. Wiedziała, że wrócił na wieś kilka lat temu pociągiem i bez grosza przy duszy. Zamieszkał z matką, uowocześnił gospodarstwo, kupił maszyny rolnicze, a potem jeszcze kilkanaście hektarów ziemi. Stał się, jak na okoliczne warunki, majątny, ale nikt nigdy nie widział go z kobietą.

– A co to ma do rzeczy, że pochodziła z Warszawy? – Kasia wzruszyła ramionami. Nie rozróżniała ani nie klasyfikowała ludzi tylko ze względu na ich pochodzenie czy miejsce zamieszkania.

– Niby nic, ale synowi, jak jeszcze był mały, na każdym kroku przypominała, że jestem ze wsi.

– No tak. Chyba, że tak.

Bardzo dobrze go rozumiała. Sama często była świadkiem, jak mama zarzucała ojcu jego wschodnie wiejskie pochodzenie. Wprawdzie było to jedynie zwykłe przekomarzanie się albo chęć podkreślenia swojego poznańskiego rodowodu, ojciec jednak nie czuł się z tym najlepiej.

– Masz dobry kontakt z synem? – zapytała, bo zaciekało ją, jak scharakteryzuje te relacje. Według Kasi o mężczyźnie można było dużo powiedzieć na podstawie tego, jak opisuje swoje dziecko. Wtedy czuć, czy jest zdolny do obdarzania miłością, zainteresowaniem i troską, po prostu. Interesowałoby ją też, czy chłopak, podobnie jak ojciec, sprawia wrażenie bardzo wyważonego, żeby nie powiedzieć:

nieulegającego emocjom. Czy ma, tak samo jak ojciec, ciemne włosy i jest równie jak on wysoki? Czy jest, jak ojciec, nieśmiały i trochę skrępowany w towarzystwie kobiet? Czy gdy się śmieje, to, tak samo jak ojcu, robią mu się dołki w policzkach i zabawnie mruży oczy? Janek bardzo się Kasi spodobał, nie było nic przesadzonego w tym, co mówił o nim Piotrek. Poza tym, tak to postrzegala, w jakimś sensie ją przecież uratował. Traktowała go jak wybawiciela, opiekuna. Poczula się dużo lepiej, wiedząc, że kilkaset metrów dalej jest facet, który w razie czego ją obroni. Przed czym czy przed kim? Nie wiedziała.

– Tak. Teraz jest na stypendium w Paryżu, ale niedługo przyjedzie do Polski i pewnie wpadnie tutaj na jakiś czas. Kiedy był jeszcze mały, utrudniała mi kontakty z nim. Bardzo mnie denerwowało, jeśli widziałem albo słyszałem, że on o jej nowym mężu mówi jak o ojcu.

– A teraz? – Kasia zastanowiła się, czy winą za to, że jej Piotruś nie widział się ze swoim ojcem już kilka lat, mogłaby obciążyć siebie. Ale nie, to Paweł nie kontaktował się z nimi, odkąd wyprowadził się z Poznania. Od tamtej pory nie widział go też nikt z ich wspólnych znajomych. Dziwna sprawa, myślała. Dziwna, ale też korzystna. Miała wiele koleżanek, które musiały wyrywać dziecko spod wpływów nagle zakochanego w latorośli byłego męża. Miała też kolegów, których byłe żony zaaresztowały wspólne dziecko, i to też nie było dobre. Dla nikogo.

– Teraz rozumie więcej – Janek usprawiedliwił syna.

– Kiciuś, czyli były Dory, w ogóle nie interesuje się swoją córką. Nawet ją zaocznie, przez sąd, wymeldował ze swojego domu w Poznaniu. Dorota dopiero teraz się o tym dowiedziała. A Tamara? Ma prawo czuć się odrzucona.

Kasia nie lubiła mówić o sobie. Bo czymże mogę kogoś zainteresować? – myślała. – Trywialną pracą? Zwyczajnym mieszczańskim życiem bez spektakularnych osiągnięć?

– Mamy wiele wspólnego. Zawsze ją bardzo lubiłem... – Jasiu uśmiechał się do swoich myśli.

Kasia przyglądała się jego opalanej twarzy. Przeciągnęła się swobodnie na różowym plastikowym krzeselku. Nareszcie czuła się dobrze. Poza tym bardzo lubiła, gdy się uśmiechał.

– Wiesz, ona długo była sama i jeszcze w obcym kraju. Nie dziw się, że zrobiła się taka zasadnicza. W głębi duszy jest ciepła i życzliwa. A wracając do twojego wykształcenia, zupełnie zarzuciłeś ten fach? – zapytała, licząc na to, że powie jej coś więcej o sobie.

– Nie, mam zlecenia. Teraz wielu warszawiaków kupuje działki na Mazurach. Trochę w tym robię – odpowiedział enigmatycznie.

Nie był jednak tak rozmowny, jak liczyła. Zmieniła temat:

– Pusto tutaj jak dla mnie. Może dlatego chciałabym, żeby było dużo ludzi. Mam na myśli gości. – Mówiąc to, już wyobrażała sobie, że za niecałą godzinę zapadnie zmrok, jak zwykle zaraz potem zgasną światła przy drodze, a potem... Brrrr... Potem psy zaczną swoją cowieczorną histerię. Ciarki przebiegły jej po plecach, ale pomyślała o Janku, o krótkofalówce i wreszcie o tym, że musi się wziąć za siebie i przestać panikować. W końcu po ogrodzie biegają cztery wielkie stróżujące psy – jak mogła do tej pory myśleć o nich wyłącznie jako o czyniących hałas?

– Twoja przyjaciółka ciągle siedzi nad jeziorem. Widziałem ją wczoraj. Ten ciemny turban zsunął się jej na oczy, w ogóle go nie poprawiła. Ona jest bardzo ładna, prawda? – zainteresował się.

Kasia spojrzała w bok.

– Tak, chyba jest ładna.

Przypomniało jej się, że dokładnie to samo powiedział o niej Paweł wtedy, gdy ją poznał. Były wtedy na praktykach w Łagowie, a on tam dojechał. Czyżby już wtedy...? Powiedział, że Majka jest bardzo ładna. To wystarczyło! Nieważne było to, że jest Piotrek, że jako małżeństwo mają wspólne zobowiązania, wreszcie, że przyjaźni się z Majką. Wystarczyło, że Majsza jest bardzo ładna. Według Pawła, bo Kasia patrzyła na nią wtedy jak na potwora o szczurzych oczkach.

– Kasiu, wszystkie jesteście bardzo ładne.

Janek przyglądał jej się teraz w szczególny sposób, a może inaczej: szczególne było to, że jej się teraz przyglądał. Teraz, kiedy na jej twarzy na pewno malowało się rozczarowanie, że on mówił o Majce. O urodzie Majki, która wcale teraz o nią nie dbała, a nawet można by było pomyśleć, że celowo starała się siebie oszpecić. Musiał dostrzec zazdrość na mojej twarzy – zawstydziła się Kasia. Nie chciała, żeby wiedział, co teraz myśli, sama wolałaby też nie mieć myśli tego typu, bo nie lubiła długo pielęgnować urazy. Nawet do Majszy. Chciała zbudować między nimi coś bliskiego, na nowo. Bez Pawła, który kiedyś stanął między nimi dwoma i sprawił, że nic już nie było tak spontaniczne jak kiedyś. A potem uciekł i spowodował, że obie poczuły się porzucone.

– Wiesz, zamyśliłam się. Przyszła mi na myśl babcia Kondratowicz – skłamała. – Jak myślisz, co ona robi wieczorami? W jej domu nigdy nie widać zapalonego światła. Nie ma prądu?

Radykalnie odbiegła od poprzedniego tematu. Nie chciała w tym momencie, z nim i tutaj, rozmawiać o Majce. Wątek z sąsiadką był jednak bardzo częstym tematem jej rozmyślań, wielokrotnie przechodziła obok tej posesji, często też szukała tam oznak życia. Zdecydowanie lepiej by się czuła, wiedząc, że w domu obok wszystko jest w porządku. Kiedyś zapukała w odrapane okno, ale nikt się nawet nie poruszył. Innym razem widziała uchylone okno, jednak gdy spojrzała na nie jeszcze raz, było już zamknięte. Pewnego dnia znowu za domem suszyła się biała, ozdobiona koronkami pościel. Kasi coś w tym domu nie pasowało. Intrygował ją, bo wprawdzie stare okna były zakurzone i odrapane, ale firany – nieskazitelnie białe, a na kominie zatknięto ogromną antenę telewizyjną. Ogród wypełniały chwasty i przerośnięta trawa, ale przed furtką stała donica z bardzo zadbanymi i bujnymi pelargoniami, które kwitły na biało. Z drugiej strony dom był porośnięty, jak się teraz okazywało, maskującym winobluszczem o dużych świecących liściach, a przy płocie rosły dorodne warzywa. Dziwny dom – myślała.

– Jasne, że ma prąd – odpowiedział po chwili Janek.

– Nawet telewizji nie ogląda? – zastanowiła się Kasia, bo ilekroć wieczorem patrzyła w kierunku sąsiedniego domu, było w nim zupełnie ciemno.

– Telewizję ma za oknem – odpowiedział jej ze smutkiem.

Rozbawiła ją ta konkluzja.

– Przecież nic takiego się nie dzieje.

– Oto jest pytanie: zobaczyć coś raz na godzinę czy widzieć cały czas, ale nie dostrzegać?

– To mnie zażyłeś. Ciekawie się z tobą rozmawia, załatwię ci spotkanie z Dorą, jak przyjedzie. Chcesz? – powiedziała bez przekonania, bo odkryła, że jego towarzystwo i dla niej nie jest niemiłe.

Ciekawe, co na to, że się z nim kilka razy spotkałam, powie Dorota, gdy przyjedzie. A może nic jej nie powiem? – pomyślała i uśmiechnęła się z przekorą.

Kilka dni później był słoneczny wczesnojesienny dzień. Kasia od samego rana opalała się w ogrodzie nieopodal śliwki. Myślała, że trzeba by było jeszcze przed zimą kilka razy skosić trawniki, no i posadzić tulipany i inne kwiaty cebulowe. Tydzień, dwa i trzeba będzie to zrobić – planowała. Siedziała na leżaku, przy płocie od strony posesji samotnej sąsiadki. Czytała książkę, nadal męczyła się, wertując dzieło Lessing, ale od czasu do czasu zerknęła na tyły sąsiedniego domu, starała się wypatrzeć pomiędzy liśćmi czerwieniejącego winobluszczu nieprzywykłą do ludzi kobietę, ale nie dostrzegła nikogo. Okryła się pledem i zaczęła czytać. Książka nadal nie była dla Kasi fascynująca, ale na chwilę zatopiła się w lekturze, gdy nagle usłyszała zza płotu:

– Niech pani szybko przyjdzie, coś pani powiem.

Kasia się wystraszyła. Wstała i rozejrzała się po ogrodzie. Zza rosnącej przy płocie wiśni dostrzegła wychylającą się konspiracyjnie drobną kobiecinę w ciepłej chustce na głowie, kraciastej spódnicy i grubym, ciemnym swetrze. Kasia podeszła bliżej. Babcia na nogach miała stare, wydeptane tenisówki i ciepłe, wełniane skarpety, chociaż na dworze nie było jeszcze wcale tak zimno. Skąd się tutaj wzięła? Kasia nigdy przedtem jej nie widziała.

– Zauważyłam wieczorem, jak po waszym polu kręciły się znowu te małe przybłądy, Zdanowicze zez Psiarek – szeptała tamta, rozglądając się na wszystkie strony i spoglądając na Kasię świdrującymi oczkami bez rzęs zza staromodnych okularów w grubej oprawie.

– A kto to jest?

– Przyjezdni, nie miejscowi. Swołocz. Dzieciarnia źle wychowana, bo matka i ojciec jeżdżą do Ełku do pracy, a ci się szwendają całe dni – szeptała kobieta. Dreptała przy tym nerwowo obok płotu.

– A pani tutaj blisko mieszka? – zapytała Kasia. Przyszło jej bowiem na myśl, że ta szykująca się teraz do ucieczki kobieta przyszła ją przed czymś ostrzec. Znowu te rowery! Poczula się jak w matni. Prześladowający ją nocni rowerowi jeźdźcy i pilnująca dobytku Boreckich zza grobu matka Doroty! Zbyt wiele!

– A tutaj, zaraz obok. Pukała pani do mnie, to w końcu przyszłam. – Nieznajoma zatrzymała się i wskazała ręką tajemniczy dom babci Kondratowicz.

– O rany! To pani jest naszą sąsiadką! Proszę zostać! Porozmawiajmy chwilę. – Kasia pomyślała, że przecież nie da jej odejść, gdy ta wreszcie odważyła się przyjść. Wprawdzie wyglądała na wystraszoną i nieco zdziwaczałą, ale jednocześnie było w niej coś, co skłaniało Kasię do myślenia o niej jako o kobiecie chytrej, a może nawet przebiegłej.

– Powiedzieli już pani? – Babina zatrzymała się zaskoczona. – Pusto teraz. Jak jeszcze tutaj mieszkali Boreccy, to można było z kim słowo zamienić. Wołali: „Zapraszamy panią na piknik, pani Marianno”. Teraz wszyscy puciekali w świat, a starzy poumierali albo żyją tak jak ja, na swoje utrapienie.

Kasi zrobiło się smutno. Zganiła siebie w myślach, że przez chwilę postrzegła kobietę niesprawiedliwie, krzywdząco. Staruszka najwyraźniej szukała towarzystwa, chciała rozmawiać. Dora wspominała, że uciekły od niej córki, musiała przeżywać wielki smutek. Pewnie wolały, jak wielu stąd, zamieszkać w mieście, a do Mordek przyjeżdżać wyłącznie na wakacje.

– Czemu pani tak mówi? Pukałam do pani. Zawsze raźniej, jeśli się wie, że wszystko w porządku. Ale światło się nie świeciło, więc myślałam, że nikogo nie ma – tłumaczyła się Kasia.

Kobieta cały czas mówiła przyciszonym głosem, rozglądając się z niepokojem po okolicy:

– A co mam pokazywać, zem jest? W ciemnościach więcej widać. Biegła pani kiedyś nocą do Solińskich, a u was po polach jeździli znowu ci Zdanowicze.

– Wtedy też?! – wykrzyknęła pobladła nagle Kasia.

– Wiem, co mówię, jeździli. Źle wygląda ta czarna pani, co u was mieszka.

– Jest w żałobie, musi to przejść. Przyjdę jutro do pani. Upiekłam placek ze śliwkami, przyniosę.

Kasia pomyślała, że może kiedyś posiedzą razem, zjedzą placek i dowie się czegoś więcej od intrygującej Marianny Kondratowicz. Równocześnie jednak stwierdziła, że czasami lepiej nie znać całej prawdy. Nałykać się środków nasennych, zaryglować drzwi i okna, zapaść w sen, niech się dzieje, co chce, byle doczekać świtu.

– Boreccy dobre mieli śliwki. Borecki z węgierek zawsze robił śliwownicę. To były czasy... Sąsiedzi nie siedzieli tak jak teraz po swoich domach, tylko się odwiedzali. Dzieci się razem bawiły. – Myśli o dawnych czasach ożywiły twarz kobiety. Od razu wyładniała, głębokie zmarszczki na twarzy stały się płytsze, wysuszone usta wygięły się w półuśmiechu. Kasia odetchnęła z ulgą.

– Gdzie mieszkają teraz pani dzieci? – zapytała.

– Umarły, teraz żem bez nich – mówiąc to, kobieta znów sposepniała i spojrzała hardo, wręcz wrogo. Ale nie na Kasię, a świat dookoła.

– Przepraszam – powiedziała cicho Kasia. I zawstydziała się bardzo, że zupełnie bez żenady zdarła oto opatrunek z rany, jaką musiała być dla starej kobiety śmierć córek. W tamtym momencie nie wiedziała, co powiedzieć, było jej głupio. Choć wiedziała, że widać to na jej twarzy, nie zamierzała ukrywać tego uczucia.

O kurczę... – pomyślała zaskoczona. – Żeby przypadkiem w banku nie przytrafiła mi się aż tak bardzo nieroztropna otwartość! No, z taką cechą to bym tam od razu przepadła – zawstydziała się, patrząc, jak babcia Kondratowicz biegiem, niezwykle sprawnie jak na osobę w tak sędziwym wieku, zmierza w stronę swojego domu. A potem wpada na podwórze i od razu kieruje się na tyły posesji, do swojego stałego miejsca pomiędzy wielkimi liśćmi winobluszczu.

– Halo, proszę pani! – dobiegło rano sprzed domu. Za płotem stały dwa samochody ciężarowe z reklamami jakiejś firmy przewozowej. Przed furtką skakały, zawzięcie szczekając, wilczury. Dalej, we wsi, słychać było wszystkie pozostałe psy, solidarne w obliczu najazdu paskudnych maszyn. Lady też szczekała piskliwie, biegając w tę i z powrotem przy płocie i to właśnie jej histeryczny szczekot wybijał się ponad resztę.

– Do budy! Spokój! – zawołała Kasia.

– Mamy przesyłkę od pani Boreckiej z Frankfurtu. Przyjmie pani? – zawołał kierowca.

– Pewnie. Poda mi pan ją przez płot? Spokój! Grzecznie! – wołała do absolutnie ignorujących jej komendy psów.

– Jak pani chce. Mogę pani podać te dwie pełne ciężarówki kredensików, szafek i łóžeczek – dowcipkował mężczyzna.

– Jakie szafeczki? Ojej. Może pan pokazać? – zapytała zaskoczona.

Dorota nie mówiła, że coś wysyła. Może telefon znowu nie działa? – zastanowiła się, spoglądając na kable telefoniczne przechodzące przez rozłożyste konary wielkiego orzecha.

– Ktoś by musiał nam pomóc. Pani jest sama?

Kierowca podniósł plandekę. Na samym brzegu stał wielki, ciemnobrązowy, rzeźbiony kredens, z za niego wystawało kilka krzeseł, a dalej widać było dwie szafy na ubrania, stół i kilkanaście wielkich kartonów, za którymi według jego słów miały być jeszcze meble kuchenne.

– Zasadniczo tak, ale jest też koleżanka. Zawołam ją, może jakoś z panów pomocą damy sobie radę – powiedziała niepewnie.

Zaraz, zaraz – pośpiesznie inwentaryzowała osoby będące na miejscu. Jasiu miał jechać do Warszawy, ekipa remontowa miała dzisiaj wolne, a Dzidek był, jak zresztą zawsze, w Ełku. No nic, trzeba się zabrać za robotę samej. Nie była zadowolona, jak się okazywało, komunikację z Dorotą można było o kant tego wielkiego rzeźbionego kredensu rozbić.

– Majka, pomożesz mi? – zapytała siedzącą przed stodołą koleżankę. W zasadzie nie planowała, że będzie ją prosić, chciała jej to nakazać. A co? Żaloba żalobą, ale przecież nie grzeczność i koleżeństwo w tamto słoneczne południe zostało w Częstochowie pochowane.

– Ciii, rozmawiam. Jarek powiedział mi dzisiaj, że nie zginął przeze mnie. Oszukuje mnie, bo nie chce, żebym się martwiła. Ja wiem, że jestem winna jego śmierci – powiedziała cicho Majka, wstając z krzesła.

– Nie mów tak! Przecież on cię kochał. Pomyśl o tym, co między wami było najlepsze. Bo przecież w końcu było! – Kasia nie kryła oburzenia. – Obudź się wreszcie! – Staęła przed Majką, chwyciła ją oburącz za ramiona i potrząsała. Tamta nie próbowała się uwolnić z uścisku, poddała się, co sprawiało wrażenie, jakby Kasia potrząsała nie do końca nadmuchaną plastikową lalą. W końcu Majsza podniosła głowę wysoko i spojrzała na zdenerwowaną Kasię, nie kryjąc zaskoczenia jej gwałtownością.

– Czy ja będę mogła jeszcze normalnie żyć? – zapytała dużo przytomniej, przytrzymując rękę Kasi.

– Chodź, pomożesz mi z meblami. Potem pomyślisz, co dalej.

Kasia ruszyła zdecydowanie w stronę furtki. Krzesła, stoły i kilka szaf stało już na trawniku, a ekipa z samochodu ściągała kolejne graty. Trzeba się szybko zabrać do pracy, bo ściągną, postawią koło płotu i pojedą w siną dal – pomyślała roztropnie.

– To co? My teraz pozanosimy lżejsze sprzęty, a potem panowie pomóżecie nam z cięższymi? Tak byśmy prosiły... – przyprochlebiała się Kasia.

– Da się zrobić, bez obaw! – zawołał jeden z nich. Pierwszy z samochodów był już pusty, zabierali

się do rozsypywania plandeki na drugim.

– Ciekawe, że Dorota ma nas za parobków. Nie mogła się pośpieszyć i też tutaj przyjechać? – buntowała się Majsza, podnosząc omdlewającą ręką jedno z krzesel. Po chwili mebel wyslizgnął się jej z dłoni i upadł na ziemię. Psy rzuciły się, by go obwąchać, ale Kasia pogroziła im palcem, co odniosło efekt, bo siadły na progu przed domem i z kilku metrów obserwowały bieg rzeczy.

– Weź je pod pachę – komenderowała Majszą Kasia. – Zobacz, jak ja to robię! – Z dwoma krzesłami pod pachami truchtem i bez wysiłku przemierzała podwórze. Taka praca nie sprawiała jej żadnego kłopotu, a wręcz przyjemność. Było to „coś innego” w monotonnym spędzaniu czasu na ełckim pustkowiu.

Rozważając rzeczy statystycznie, Majka nie mogła sobie poradzić z jednym krzesłem, a tymczasem ona sama przeniosła pozostałe osiem. Następny był elipsoidalny stół na śmiesznych, powyginanych nóżkach. Takiego mebla na pewno nie da się przenieść w pojedynkę. Kasia taksowała go badawczym wzrokiem. Gdy wróciła Majka, pokazała jej koniec stołu.

– Złap tam. Ja pójdę z tyłu, a ty z przodu. – Kasia pewnym ruchem chwyciła stół za blat, poczekała chwilę na spowalniającą każdą czynność Majkę, a gdy ta już trzymała blat stołu z drugiej strony, zarządziła: – Idziemy w lewo! – Po czym, patrząc na Majkę, aby już poprzez sam kontakt wzrokowy wymusić zgranie, podniosła stół do góry i skręciła w swoje lewo.

Majka wlepiła wzrok w Kasię i również skręciła, też w lewo.

– Nie tak! – krzyknęła Kasia, ciągnąc stół razem z małą Majką w swoje lewo.

– Powiedziałaś, że w lewo. – Majka zrobiła zdziwioną minę.

– Jesteś tyłem, tak czy nie? – zdenerwowała się Kasia. Ale widząc, co się dzieje, zarządziła: – No dobra, to ty idź w prawo, teraz ja się do ciebie dostosuję.

Ponownie podniosła stół, znowu szukając w oczach Majki zrozumienia, lekko nakierowała go w lewą stronę, Majka znowu w prawo, czyli w swoje lewo. O kurczę, gra zespołowa przy stole zupełnie nam nie wychodzi! – Kasia była zdegustowana. Majka z miną, jakby coś przeszkrobała, stała nieporadnie i czekała na hasło.

– Kaśka, ja normalnie nigdy nie wiem, która strona jest która, a co dopiero tutaj, w takim pośpiechu – wytłumaczyła się.

– Ja też nie wiem, ale się zastanowiłam! Rozumiesz? Za-sta-no-wi-łam! – powiedziała Kasia.

Ich spojrzenia się spotkały. I wtedy stało się coś zaskakującego. Zaczęły się śmiać, głośno, szczerze, jak dawniej. W jednym momencie podniosły stół do góry, znów spojrzały na siebie, żeby się wyczuć, a potem w jednej chwili ruszyły w tę samą stronę. Ze stołem w rękach przefrunęły przez podwórze i wniosły go do szopy, gdzie w międzyczasie przewoźnicy donieśli już kilka szaf oraz dwa fotele.

– Ale ten wielki kredens wniesiemy we czwórkę – powiedział jeden z nich, szukając w samochodzie pasów do transportowania ciężkich sprzętów. Znalazł dwa komplety. Opasali się, jakby mieli w planach forsować wielką skalną turnię.

– Pani jest mała – powiedział do Majki – to będzie pani pilnować, czy drzwiczki się nie otwierają. Zamek jest popsuty, a nie mam taśmy, żeby je przykleić. – Oglądał spód kredensu. – A pani – powiedział do Kasi – będzie nas nakierowywać, kiedy będziemy wchodzić do obiektu. Gdzie on miałby stać?

– Miał być na górze, ale tam są za wąskie schody. Nie przejdzie, sprawdziłam. Postawmy go na dole. W sumie całkiem dobrze się prezentuje, może nawet ustawmy go na widoku.

– Czyli idziemy od razu w lewo. Mówię to już teraz, bo w ręcznym transporcie ciężkich mebli najważniejszy jest skoordynowany na samym wstępie kierunek drogi – pouczał jeden z mężczyzn.

Kasia zaczęła się śmiać:

– Maja, czyli tam! – Wskazała ręką drzwi szopy.

Kiedy spojrzała na Majkę, parsknęły śmiechem, wywołując zdziwienie na twarzach pomagających im mężczyzn. Po chwili i oni poczeli wtórować dziewczynom, czy to z radości, że nie ma więcej rzeczy do dźwigania, czy dlatego, że Majsza i Kasia śmiały się coraz głośniej i zarażały? Nie wiadomo, ale pewne się stało, że zwykły dzień pracy może też sprawić wiele radości.

To był jednak wielki wysiłek fizyczny – myślała chwilę później Kasia. Już się nie śmiała. Myślała, co dalej z meblami. Przez chwilę zastanawiała się też, dlaczego Dorota, która w końcu spędziła wiele lat w stolicy euro, zachowuje się tak, jakby cały świat czytał jej w myślach. Czy to wynik braku kultury czy zwyczajne udowadnianie swojej pozycji? Udowadnianie, że kupione za własne pieniądze meble ma prawo wysłać do własnego, bo rodzinnego domu bez zapowiedzi..., bo... jest wielka? Oby nie to drugie!

Wprawdzie przewoźnicy przenieśli większość ciężkich mebli, a nawet porozstawiali je we wskazanych miejscach, jednak potem same musiały je poustawiać w pokojach. Kasia ucieszyła się, bo zauważyła, że Majkę ta praca wciągnęła i pobudziła do życia, do zwyczajnej szamotaniny życiowej, zmagania z szarą codziennością.

– Zobacz, fajnie nam się udało to wszystko pokonać – powiedziała wieczorem przy kolacji. – Te pokoje jednak dobrze się prezentują z tradycyjnymi meblami. Mogłabyś pomyśleć nad kolorami zasłon i pościeli. Może zrobimy je w łososiu, beżu, zgaszonej zieleni i kremie? Co ty na to?

– Nie lubię już tych kolorów! Teraz wolę szarości i wrzosy. – Majsza wyduła drobne usta, ale na jej twarz wróciły rumieńce. Potargane włosy, już nieskrępowane czarnym turbanem, niewątpliwie dodawały jej życia. Dla Kasi nie liczyło się, że Majka jest nastawiona negatywnie, najważniejsze, że wreszcie zaczęła rozmawiać. Dobrze na nią wpłynął olbrzymi wysiłek fizyczny, który miały za sobą. Dorota będzie miała miłą niespodziankę, kiedy jutro przyjedzie – cieszyła się Kasia.

– Kiedyś je lubiałaś. Wiesz... Ja naprawdę chcę dobrze. Dora też. – Kasia jedną ręką obejmowała drobne plecy przyjaciółki, drugą dotykała jej ręki. I myślała, czy tak musi być? Kto pierwszy powinien wykonać krok, by znormalizować ich relacje. Inaczej bywa, gdy relacje te kształtują się nieosobiście, a znajomość utrzymuje się dzięki kontaktom telefonicznym i sporadycznym odwiedzinom trwającym dzień bądź dwa. A inaczej, gdy przychodzi spędzić ze sobą sam na sam na pustkowiu bite dwa miesiące. Spędzić i nie rozmawiać o tym, co było.

– Zostawcie mnie w spokoju. Co możecie wiedzieć o tym, co przeżywam i czuję? Nie rozumiecie mojego cierpienia. Skąd wiesz, jak to jest nagle zostać zdaną tylko na siebie? – Majsza gwałtownie wyplątywała się z objęć Kasi. Zaczęła płakać.

– Wyobraź sobie, że wiem – oburzyła się Kasia. Tak, Dora miała rację, mówiąc, że Majka jest potworną egoistką – pomyślała.

– Nigdy nie straciłaś nikogo bliskiego, skąd więc możesz wiedzieć, co się wtedy przeżywa?

– Wiem – powiedziała Kasia cicho i wyszła.

Znowu poczuła, jak targają nią nerwy, jak łomocze serce. To przez ten wysiłek i nocne sensacje. Jak to? Ona nic nie rozumie – myślała, siadając w kucki na podwórzu. – Straciła bezpowrotnie Jarka. Tak, to jest bardzo smutna historia, ale dlaczego nie pamięta albo nie chce pamiętać historii z Pawłem? Historii ze sobą przecież w roli głównej. Tak samo ważnej jak mój udział w tej sztuce, czy rola w dramacie mojego męża. Jak to możliwe, żeby widzieć tylko swój problem? Dlaczego przez kilka ostatnich lat ukształtowała tę trudną sytuację pomiędzy nami tak, jakby sprawy dotyczące jej związku – w zasadzie zdrady z Pawłem – zupełnie mnie nie dotyczyły? – zastanawiała się rozgoryczona Kasia. Ileż jeszcze czasu mam robić dobrą minę i udawać, grać. Poczowała się jak lalka, szmaciana kukiełka, która ma być miła i nie sprawiać kłopotu. Kasi ze zdenerwowania zdrętwiały dłonie.

Muszę pojechać jutro do przychodni, zrobić sobie wszystkie badania – zaplanowała. – Pewnie znowu rozregulował mi się układ nerwowy. A teraz pójdę i popatrzę na te nowe meble. Zrobiłyśmy, co tu kryć, kawał dobrej roboty – pomyślała, kierując się do szopy. Ileż to już lat udawało jej się wskrzeszać optymistyczne podejście do życia, cokolwiek miało w ofercie! Sporo. Otworzyła drzwi prowadzące do

dużego pokoju na parterze. Czego tam nie było! Sieci, jakich używają rybacy, prawie jak nowe, rogi jeleni i atrapa strzelby myśliwskiej, końskie siodło i bat. I kilkanaście lalek, niektóre w bawarskich strojach. Trzy wielkie czarownice na miotle. Będzie można ozdobić pokoje i nazwać je odpowiednio, nawiązując do gadżetu, jaki w danym miejscu planowała umieścić. Po chwili popatrzyła na wielki kredens, który z trudem udało im się ustawić przy ścianie na wprost wejścia. Omiotła wzrokiem pokój, ale coś przykuło jej uwagę i zatrzymało wzrok. To nie omamy! Tak, bo wówczas ze zdumieniem spostrzegła na wielkim drewnianym ptaszysku, które nie wiedzieć czemu Dorota też zapakowała na ciężarówkę, zatknięty czarny turban Majki.

– Wariatka jedna – parsknęła śmiechem i wybiegła na podwórze. W jednej chwili umknęły w dal jej wszystkie czarne myśli, czyniąc miejsce na nieskrępowaną radość, płynącą wprawdzie z drobiazgu, a może z żartu bądź symbolu zamkniętego w kawałku czarnego żałobnego sukna wiszącego na ptaszysku, podobnym do tych o rozczapierzonych skrzydłach i zakrzywionych dziobach, jakby demonicznych zwiastunach zła, z malowideł Majszy sprzed żałoby.

– O kurczę, z jakimi wariatkami przyszło mi tutaj obcować! – krzyczała tak głośno, że słyhać było zapewne daleko. Nawet psy, zdezorientowane, przybrały pozycję gotową do obrony domu, Kaśki, Majki, a nawet – jak wynikało z ich postaw wskazujących na ponadprzeciętną czujność – całej wsi. W oknie domu pojawiła się twarz zdumionej Majki. Kasia pogroziła jej palcem i śmiała się nadal, całkiem już uspokojona i beztraska.

Następnego dnia od rana Katarzyna z Majszą szykowały się na przyjazd Doroty i Tamary. Psychicznie najbardziej, rzecz jasna. Wreszcie nadszedł ów stresujący moment.

– Byłyście dzisiaj cały czas w domu? – zapytała Dorota zaraz na wstępie, gdy tylko przekroczyła bramę. Rozglądała się po podwórzu. Dzidek wynosił z cinquecento piątą już wypchaną po brzegi walizę, a Tamara, która przyjechała za nimi taksówką, w tym akurat momencie razem z kierowcą mocowała się z olbrzymią, ciemną torbą na kółkach. W końcu bagaż został wystawiony na ulicę i Dzidek ciągnął go po nierównej ścieżce obok płotu. Tamara zaś, z kilkoma przewieszonymi przez ramię torbami i wielkim pluszowym misiem w ręce, forsowała furtkę.

– Nareszcie jesteście. Majko, gdzie mamy chleb i sól?

– Na to jeszcze przyjdzie czas. Same chleb upieczemy i się nim przełamiemy, a nie jakimś kupnym, nie wiadomo z czego – rzuciła Dorota. – To co, byłyście w domu czy nie? – zniecierpliwiła się.

– Byłyśmy, a co? – potwierdziła Majka.

– Nikogo nie było? – dopytywała Dorota.

– Kiedy? – zapytała Kasia.

– No dzisiaj.

– Nie – zaprzeczyły jednocześnie Kasia i Majka.

– No zobacz, Tamaro, a tak się zaklinali, że superszybko działają. Jak to tutaj wszystko później może działać, jeśli ludzie na własne życzenie to wszystko pieprzą? – prychnęła Dorota. Tamara też, ale po dłuższej chwili uśmiechnęła się nieśmiało do Kasi.

– Ale o co chodzi? – Kasia i Majka od początku tej dziwnej rozmowy wiedziały, do czego zmierza.

– Chciałam wam po prostu zrobić niespodziankę i nic z tego nie wyszło.

– E tam, niespodzianka niespodzianką, lepiej zajrzyjmy do szopy, już wszystko jest przebudowane i wymalowane, a co trzeba to i wytapetowane. Tylko na parterze został korytarz do wymalowania i kilka kaloryferów. Kaziu z Wojtkiem powinni się z tym uwinąć w ciągu tygodnia – chwaliła się Kasia, prowadząc je do remontowanego budynku.

– Jeśli Wojtek nie będzie pił ani załatwiał spraw z Zochą – zaśmiała się podążająca za nimi z tyłu Majka.

– O czym mówicie? – zapytała Dorota, przekraczając próg szopy. Przy wejściu, na tle oliwkowej ściany, stał wielki rzeźbiony kredens, a nad nim wisiał jeden z pierwszych obrazków Majki, wybrany spośród tych jeszcze optymistycznych.

– O, wy! Dlaczego nie powiedziałyście od razu? To jednak przyjechały te meble!

– Bo pytek też nic nam nie powiedział i nasłał na nas dwa pełne pojazdy z dwoma facetami, którzy nie mieli czasu, żeby nam tak do końca pomóc. Same musiałyśmy się męczyć, żeby to wszystko poprzeciągać, przystawiać do ścian, poprzesuwać. Wiesz, jakie to wszystko było ciężkie? Przecież my nie jesteśmy tragarkami – wyłuszczała swoje pretensje Majsza.

– W końcu, po wielkich trudach polokowałyśmy meble w pokojach, a Maja wybrała kolory tkanin na zasłony – kontynuowała Kasia, dumna z własnej operatywności.

– Jeszcze dwa samochody z meblami są w drodze. Ale tak patrzę i myślę, że firany powinny być z gęstym wzorem, a zasłony grube – proponowała Dora.

– Jakie grube? Ja bym była za delikatnymi, króciutkimi, a nawet powiesiłabym tylko jakieś małe ozdobniki. Szkoda zasłaniać te widoki za oknem. – Kasia w Poznaniu nie miała firan w oknach, a jedynie kolorowe rolety, podciągnięte do góry całe dnie, a nawet noce, dzięki czemu ciągle miała widok na park i stare odrestaurowane kamienice.

– A co? Cała wieś ma tutaj przychodzić i podglądać, co robimy albo co robią nasi goście? Będą grube – zakończyła dyskusję Dora. Potem rozejrzała się, szukając córki, i zawołała, jak zawsze, donośnie: – Tamaro, poszukaj tego wielkiego ptaka po dziadku Szmidt i postaw go na kredensie w szopie. A obraz daj do któregoś z pokoi na górze.

Gdy Tamara pojawiła się w drzwiach domu z jabłkiem w ręce, wcale się nie śpiesząc, Dorota westchnęła i pokiwała głową, aż gęste, kasztanowe włosy zatańczyły wokół jej twarzy polkę. No, prawie!

– Nigdy niczego nie zrobi z własnej inicjatywy, zawsze muszę jej wszystko tłumaczyć, jakby miała trzy latka. – Spojrzała na Kasię i Majkę, szukając w ich oczach zrozumienia. Nie znalazła, gdyż one miały już ugruntowany pogląd na wychowanie prawie dorosłych dzieci. Niestety, całkiem odmienny od poglądu Dory!

Rankiem dwa dni później Dorota, blada jakby pochodziła ze Skandynawii i słońce widziała jedynie przez kilka miesięcy w roku, weszła powoli do jadalni. Fakt, że zrobiła to zaskakująco powoli, był już dla obserwujących to Kasi i Majki sygnałem do zachowania czujności. Skąd nadejdzie niebezpieczeństwo? – analizowały pośpiesznie. Dorota usiadła na ławce pod oknem, westchnęła ciężko, a chwilę później z kieszeni spodni wyciągnęła przenośną słuchawkę telefoniczną. Tak, powodem mogła być rozmowa telefoniczna Dory sprzed chwili! Nie słyszały, z kim rozmawia ani o czym, bo zamknęła się w swoim pokoju i długo stamtąd nie wychodziła.

– Stało się coś? – zapytała Kasia.

– Jeszcze nic, ale może się stać. Mogę go na przykład zabić! – odpowiedziała przez zęby. Po czym zanurzyła łyżkę od zupy w wielkiej staromodnej cukiernicy na nóżce, która zawsze stała na środku stołu, nabrała cukier i, długo nie myśląc, połknęła go w całości.

– Bo cię zemdli! Nie jadasz przecież cukru – wykrzyknęła Majka.

– Chyba zacznę, muszę sobie w końcu osłodzić życie. Wyobraźcie sobie, że Kiciuś przyjeżdża – powiedziała wreszcie.

Dziewczyny przyglądały jej się z niedowierzaniem. Kiciuś tutaj? Przecież rozwiedli się prawie zaraz po tym, jak się pobrali! Nikt na roku nie wróżył im długiego stażu małżeńskiego, bo chociaż i on, i ona byli lubiani, to razem tworzyli związek absolutnie toksyczny. Kiciuś był już wcześniej żonaty, a na drugim roku wszyscy wraz z nim opłakiwali jego życiowe niepowodzenie i kolejny rozwód. A potem... Potem były praktyki z meteorologii w Międzyrzeczu. To stamtąd Dorota z Kiciusem wracali już jako para. Na czwartym roku postanowili się pobrać.

– Dora, wiesz, co robisz? Przecież nie to, że tak ładnie gra na gitarze i interpretuje „Córkę grabarza”, będzie teraz dla was ważne? – mówiły jej wtedy.

– Nie wiecie o nim wszystkiego. On jest inny. Tamta kobieta to był grzech młodości. Zresztą zgodził się nie komplikować jej życia i uznał, że z ich córką spotka się dopiero, kiedy dorośnie i to tylko na jej wyraźne życzenie.

– Aha... Rób, jak chcesz – wtedy w ten właśnie sposób chciały zakończyć temat. Potem dowiedziały się, że Dorota jest w ciąży, a za kilka miesięcy na świat przyszła Tamara. Jednak już rok później, prawie natychmiast po obronie pracy magisterskiej, Dorota uciekła od niego do Niemiec. „Tak, uciekłam, bo nie mogłam zaakceptować jego despotyzmu” – przeczytały w liście, już stamtąd. Dzisiaj przypomniały sobie tamten czas.

– Kiciuś?! Coś ty? Po co? – wykrzyknęły obie naraz.

Dorota wpatrywała się w okno. W odpowiedzi na ich okrzyk roześmiała się tylko szyderczo. Przez jakiś czas milczała, po czym wzięła głębszy oddech i wyszeptła:

– Powiedział, że musi się zobaczyć z Tamarą. Że utrudniam mu kontakty z dzieckiem. To sobie drań wymyślił. Ciekawe, jakiej sumy będzie się ode mnie domagał i za co?! Cały czas działam nie na własny rachunek!

– Przecież to dorosła kobieta, czasy mu się mieszają – Majka wzruszyła ramionami. – Ale i tak macie lepiej, bo tobą i Tamarą to chociaż Kiciuś się zajmie – dodała cicho.

– Myślisz, że rzeczywiście może mu chodzić o pieniądze? Piętnaście lat się nie widzieliście... Jestem ciekawa, skąd wie, że tutaj jesteście? – spytała Kaśka, zwracając się w stronę Doroty.

– Zdziwisz się! Wyobraź sobie, że to twoja mama jest autorką tego bałaganu. Chełpił się, że spotkał ją, kiedy robił zakupy na placu Wielkopolskim, i to ona podała mu adres plus numer telefonu. Jak się wściekałam, to dodał, że dojrzałe kobiety potrafią dużo lepiej dotrzeć do sedna potrzeb mężczyzny niż

nielatki, nastolatki, do czterdziestolatki włącznie – opowiadała wzburzona. Po czym ponownie zanurzyła łyżkę w cukrze, a następnie wepchnęła ją sobie razem z cukrem w usta. Wstała od stołu i zaczęła nerwowo spacerować po jadalni.

O kurczę, co ta mama najlepszego wymyśliła? – pomyślała Kasia. Rzeczywiście zazwyczaj na tym placu robiła codzienne zakupy. Jak można kupować warzywa w marketach? – dziwiła się często Kasi. – Mamo, gdy ja kończę pracę, to na tym rynku już nie ma żywej duszy. Tylko gołębie grasują – tłumaczyła wtedy Kasia.

– No cóż, wynika z tego, że dla mojej mamy lepszy jakikolwiek chłop niż żaden. Myśli na pewno, że zrobiła dobry uczynek – westchnęła Kasia.

– Sobie co najwyżej zrobiła dobry uczynek! Bo kiedy ktoś pomaga komuś tak na siłę, zupełnie bez wyczucia, to najczęściej tylko sobie robi dobry uczynek! – krzyczała oburzona Dorota, rzucając przy tym w stronę Kasi wściekłe spojrzenia.

Kasia i Majka starały się przeczekać gniew Dory. Ale to, że nic nie mówiły, rozsierdziło ją jeszcze bardziej. Zaczęła nerwowo zamiatać pokój, Tamara podążała za nią z szufelką w dłoni. Po chwili Kasia też wstała i zaczęła ścierką wycierać parapety. Bo już nie to „przeczekać” było dla niej najważniejsze, teraz przede wszystkim chciała odzyskać spokój. Dorota spojrzała na nią, odstawiła miotłę i uśmiechnęła się lekko.

– Nie zarzucam nic twojej mamie, Kaśka – powiedziała.

Kasia splukała ścierkę pod kranem z bieżącą wodą, wyżeła, powiesiła na wieszaku przy kuchence, odwróciła się w stronę Doroty i powiedziała:

– A ja tak, Doroto. Ja akurat tak...

Kilka dni później Kiciuś pojawił się w drzwiach wagonu objuczony torbami podróżnymi przeróżnych rozmiarów i kolorów. Na każdym ramieniu wisały mu po dwie brązowe i czarne. Tyle samo, a może i więcej, tym razem kraciastych, trzymał w każdej z rąk. Spod pachy wystawały mu zwinięty zielony koc i mała, beżowa poduszczonek. Gdy schodził ze stopnia wagonu, jedna noga wkręciła mu się w ten zwój dyndających mu na ramionach bagaży. Zachwiał się, stracił równowagę, po czym wypadł z impetem i gromkim krzykiem na peron. Pacnął twarzą. Nawet nie zdążył wyciągnąć rąk, bo te wszystkie paski czy uszka oploty je i pozakręcały się, tworząc krępujący ruchy węzeł. Cięższe torby, koc i poduszczonek podczas lotu w powietrzu wyprzedziły bezwładne cielsko Kiciusia i, jak wypełnione powietrzem piłki, początkowo podskakiwały, lecz w końcu opadły na peron. A za nimi Kiciuś. Spadł i przez chwilę leżał na nich jak długi, a minę miał, jakby wpadł do obornika. Jasnobezowy wełniany płaszcz i brązowe sztruksowe spodnie pokryło brunatne błocko.

– O cholera, co za zadupie! – krzyknął, wyplątując się z siatki skórzanych rączek oraz parcianych pasków. Wstał i starał się wytrzeć z ubrań zastygające plamy, które wyglądały tak, jakby w tym, co powiedział, było dużo prawdy. – Nawet porządnego peronu tu nie ma! Choćby człowiek bardzo chciał, nie może być elegancki, bo zaraz się w tym gnojnym dołku wyświni krowim łajnem.

– Nikt cię tutaj nie zapraszał – stwierdziła oschle Dora. Tamara stała zaraz za nią, a obok Kasia i Majka.

– Mamo – westchnęła cicho dziewczyna. Zrobiła minę, jakby miała za chwilę się rozplakać, a potem zwiesiła głowę, aż włosy opadły jej na oczy, co sprawiło, że mogła zza nich spokojnie obserwować swojego ojca, którego widziała po raz pierwszy w życiu. Nie licząc niemowlęctwa, oczywiście.

– Cześć, Kiciuś, kopę lat – powiedziała Kasia beznamiętnie.

Majsza patrzyła na niego z niesmakiem i w dużym poważaniu miała wszelkie konwenanse, czego nie zamierzała ukrywać.

– Jeśli będziesz się chciał tutaj panoszyć, wiedz, że... – zaczęła.

– O, jakie powitanie! Kurde. Pełna obsada – przerwał jej Kiciuś swoim bulgoczącym głosem. Zawsze taki miał. Kiedyś Majsza użyła porównania, że zanim z jego ust coś się wydobędzie, słowo czy zdanie, cokolwiek to jest, zawsze jakiś czas przedtem w jego paszczy wrze. – Dziękuję za należne mi pokłony. Ktoś powinien wam jednak pomóc, prawdziwy mężczyzna, więc jestem. Macie, kurde, szczęście!

– A co na to twoja żona? Wie, że tutaj przyjechałeś? – Brak tolerancji u Doroty w tym momencie nie raził, absolutnie.

– A wiesz, Dorcia, czwarta żona ma już zazwyczaj wybitnie rotacyjny charakter.

– Po mnie miałeś jeszcze dwie? – Dora kręciła głową. Tamara ciągle przymierzała się do płaczu, Majka wzruszyła ramionami, patrząc ponad nią, a Kasia postukała się po czole. Po chwili wszyscy wyszli z dworca. Dora, z cierpkim uśmiechem na twarzy, zapraszała Kiciusia do eleganckiej ciemnej terenówki pożyczonej od Jasia.

– Jedźcie same – powiedział Janek, dając Kasi kluczyki. – Co mi tam oglądać jakiegoś męża.

– Jakoś trzeba go odebrać. Niech sobie nie myśli, że mu bronię kontaktów z Tamarą, czy cokolwiek utrudniam – powiedziała wczoraj Dora, gdy zastanawiały się, czy jednak nie byłoby lepiej, by przemądrzały Kiciuś dotarł do Mordek sam.

Kasia miała pewność, że przyjazd Kiciusia był dla Janka trudną sytuacją. Tym bardziej było oczywiste, że jeśli pożyczą swój wypieszczony wóz, to robi to wyłącznie dla Doroty. Jakie to romantyczne, że ludzie mogą się odnaleźć po wielu latach – wzruszała się Kasia. Dorota jednak, według

niej, zupełnie nie chciała dostrzec, a tym samym docenić zainteresowania Janka, być może dlatego, że przyjazd Kiciusia nie był zwyczajną, a bardzo dla niej trudną sytuacją. Kasia wiedziała, że Dorota zgodziła się na to tylko dlatego, by Tamara wreszcie zrozumiała, że lepiej dla niej, by ojciec żył wyłącznie swoim życiem. By w końcu zorientowała się, jaki jest naprawdę, by nabrała pewności, że liczyć może tylko i wyłącznie na swoją matkę. Dorota, jeśli szło o wychowanie Tamary, na pewno życzyła sobie mieć wyłączność. Zresztą, nigdy nie przysłał dziewczynie złamanego grosza, nie zapytał się, czy pomóc. Czy Tamara odrzuci raz na zawsze swojego ojca? Nie było wiadomo. Wychowana przez Dorotę w poszanowaniu tradycji, mogłaby mieć problem. Ale wyposażona w niechęć matki do ojca... Kto wie?

– Ale autobusik macie, caczuszko. A która kieruje? – Kiciuś mlaskał z zachwytem.

– Ja – powiedziała Kasia. – I trzymaj się mocno. Nie będziesz się bał ze mną jechać? Zawsze mówiłeś, że zbyt ostro jeżdżę. Siadaj z przodu.

Gdy wszyscy już zapakowali się do samochodu, a Kiciusiowe bagaże zostały wreszcie ulokowane, Kasia siadła za kierownicą z łobuzerską miną. Włączyła silnik, jedną nogą popuściła sprzęgło, a drugą zdecydowanie postawiła na pedale gazu. Samochód zawył, po czym ruszył gwałtownie i od razu ze sporą prędkością. Pochyliła się nad kierownicą i skupiła na jeździe, nadal sporo przyspieszając. Na łuku w niewielkim tylko stopniu zredukowała prędkość, po czym, wyprowadzając pojazd na prostą, znów dodała gazu. Z ukosa spojrzała na wciśniętego w fotel Kiciusia. Parsknęła śmiechem i jeszcze mocniej wcisnęła gaz. Auto mknęło wąską, wijącą się wśród pól drogą z zawrotną prędkością, aż jadący w przeciwną stronę rowerzyści czmychnęli w popłochu na pole. Kiciuś tymczasem oburącz trzymał się uchwyty nad drzwiami do samochodu. Zbladł, zamknął oczy i coraz niżej opuszczał się na przednim fotelu – na tyle, na ile pozwolił mu na tę gimnastykę wyraźnie rysujący się pod beżowym bawełnianym swetrem brzuch byłego męża czterech dobrze kucharzących żon. Poblady nie usiłował nawet w najmniejszym stopniu zmierzyć się z problemem. Kasia tymczasem tryumfowała.

Będzie mi tutaj podskakiwał! – myślała z przekorą, zdejmując nogę z pedału gazu. Z tyłu auta dobiegło ją głośne westchnienie ulgi, obejrzała się i serdecznie zaśmiała, nigdy bowiem nie widziała trzech równie pobladych damskich twarzy.

Kiciusiowe zachowania były denerwujące, ale wytrzymały z nim kilka dni. Dni niewątpliwie trudnych, bo Kiciuś prędko stał się dyktatorem i wziął sprawy ośrodka w swoje ręce. Przyglądały się działaniom z boku i póki co nie szkodziły, dawały mu spokój. W istocie nie bywało go w Mordkach całe dni.

– Gdzie nas przywieźles? Po co? – Kasia rozglądała się po obskurnej budzie, zwanej restauracją „Bus Stop”. Była to długa kicha z przedpotopowymi lampami smętnie zwisającymi z pożółkłego od papierosowego dymu sufitu. Na ścianach wisały wielkie malowidła starych brukowanych ulic, co dawało wrażenie, jakby siedziało się na ulicy. W tym półmroku po kilku piwach można się było pomylić i pójść nie tam, gdzie trzeba. Zresztą, te ściany wyglądały właśnie tak, jakby nieraz ktoś w nie z impetem przyłożył głowę. Przy dwóch stolikach siedziała jakaś młodzież. Nieopodal nich, na jednym spał, zdawałoby się, całkiem zalany typ, a dalej, przy wejściu, kłóciła się para w średnim wieku.

– Co wypijecie? Nie, ja dla was wybiorę, bo wy się na pewno nie znacie na trunkach. To, co ostatnio, pani Basiu. – Kiciuś wstał z krzesła i zawołał do kelnerki, na palcach prawej ręki wskazując dane dotyczące wielkości zamówienia.

– Może byś jednak zapytał, czy mamy ze sobą wystarczającą kwotę – zaoponowała, wystraszona przewidywalną już wielkością rachunku, Kasia.

– Otóż to. Pieniądze nie grają żadnej roli, gdy trzeba ukonstytuować regulamin organizacyjny i zrobić pierwsze walne – zainaugurował spotkanie Kiciuś.

– Jak cię walnę... – Z kąta sali poderwał się śpiący do tej pory typ. Rozejrzał się spode łba, po czym z powrotem opadł bezwładnie na stół.

– Cicho mi tu bądź, Stasiu. – Jak widać, Kiciuś był już na „ty” z tym smętnym typem. – Na pewno trzeba przydzielić każdemu obowiązki. Wieczorem zrobiłem dla każdej z was zakres zadań – kontynuował.

– Dla siebie zrób. Nie myśl, że będziesz się objął i nas nadzorował. Dora, słyszałaś go? Dlaczego nic nie mówisz? – zapytała Kasia, przyglądając się dziwnie spokojnej Dorocie. Majka zaś siedziała z pogardliwą miną, mieszając słomką lód w zaserwowanym im przed chwilą brandy.

– Beze mnie byście nie wpadły na to, że można poza domem zrobić firmowe spotkanie integracyjne. A raczej walne. W Poznaniu to norma, a zresztą, skąd wy tutaj, na tej wschodniej wiosce, możecie coś wiedzieć o obyczajach panujących w dużych miastach w zachodniej Polsce? Ale nie martwcie się, ze mną nie zginiecie. I o tym ma być właśnie nasze walne – dodał, kierując się do toalety za kretonową zasłonką w najciemniejszym rogu sali.

– Jak cię walnę! – wymamrotał typ. Znowu poderwał się znad stolika, ponownie rozejrzał się po sali i zaraz, tak jak uprzednio, opadł na krzesło zupełnie bez sił.

Jasnowłosa ospała kelnerka, a jak zorientowały się w okamgnieniu, dla Kiciusia już „pani Basia”, stała oparta o odrapaną futrynę drzwi prowadzących na zaplecze w pozie znamionującej chroniczne znudzenie. Bełkot pijaka nie wybił jej z tego odrętwienia. Kasia, Majka i Dorota chichotały po cichu. Pijak, czy według Kiciusia – Stasiu, próbował wstać. Bezskutecznie starał się założyć zdeformowaną czerwoną czapkę z daszkiem. W końcu zdenerwował się, rzucił ją na podłogę i, chwając się przeraźliwie na swoich nietrzeźwych nogach, próbował ją rozdeptać, zniszczyć, ale nie sprostał. Runął jak drewniany kłoc pomiędzy dwa wolne stoliki w zupełnie nieoświetlonym kącie sali. Dziewczyny powstały z krzesel.

– Pani Basiu, proszę wezwać pogotowie! Ten człowiek leży i się nie rusza! Nie oddycha, na pewno coś mu się stało! – wołały jedna przez drugą. – Umarł! Zabił się! Czy jest tutaj lekarz?!

Tymczasem z wielkim impetem otworzyły się drzwi restauracji. Na progu stanęła niepozorna kobieta w podobnej do pijaka czerwonej czapce z daszkiem na głowie. Rozejrzała się badawczo po sali, po czym z groźną miną zaczęła się kierować w stronę Doroty. Stała chwilę, świdrując szarymi oczkami, ledwo widocznymi spod szczeciniastych brwi, najpierw salę, potem zatrzymała wzrok na Dorocie. W końcu na jej twarz wypłynął uśmiech i zaczęła się zbliżać na, biorąc pod uwagę jej minę, niezbyt dla Doroty bezpieczną odległość. Paluchem wskazującym zaczęła machać Dorocie koło nosa, aż ta dostała zeza.

– Pani Borecka, słuchaj no pani! Ten paniny mąż ukradł mi rower. Postawiłam go rano przed sklepem, aż tu patrzę, wsiada mi na ten rower takie wielkie bydlę i na moich oczach sobie spokojnie odjeżdża. Próbowałam go zatrzymać, ale on tylko się darł: „Zejdź mi z linii, tak zwana babo!”

Kasia stała w pobliżu. Nie wiedziała już, czy ratować Stasia czy dać odpór kobiecie. Onieśmielił ją ton kobiety, władczy, pełen niewymuszonej rezerwy. Miała wrażenie, że kobieta na pewno wie, co mówi. A jeśli chodzi o Kiciusia, mogła mieć, niestety, rację.

– Z kim mam przyjemność, proszę pani? – Majka powoli podniosła wzrok znad szklanki z brandy. Poruszyła nieco brwiami. Do tej pory siedziała cicho przy stoliku, zupełnie wyłączona z awantury, jakby nie chciała zaprzętać sobie głowy tak obskurną konwersacją. Jednak po jakimś czasie, może zdając sobie sprawę, że ma do czynienia z rezerwową kobietą, ożywiła się.

– Jurkiewiczowa jestem.

Majka podała jej rękę.

– Miło mi – odpowiedziała krótko.

Jurkiewiczowa mierzyła wzrokiem to Majkę, to Dorotę i zamilkła, co było zaskakujące. Kasia stała z boku, bo całkowicie straciła rozeznanie. Pani Basia zaś w niewzruszalnej pozie nadal okupowała futrynę drzwi prowadzących na zaplecze. Zza stolików na samym końcu sali zaczęło dobiegać głośne chrapanie. Zwiastun życia. Z drugiego zaś kąta sali, zza szarej kotary zasłaniającej przejście do toalet wyszedł wreszcie Kiciuś i od razu ogłosił na całą salę:

– No więc, kontynuujmy nasze walne.

Chrapanie na chwilę ucichło. Znad podłogi dobiegło już dużo cichsze i mniej stanowcze wyznanie:

– Jak cię walnę...

Jurkiewiczowa złapała Dorotę za rękę i ciągnęła w stronę Kiciusia.

– O, to był on, to pani chłop jest przecież. Wszyscy już mówią, że w tych Mordkach w komunie mieszkacie i kto wie, co jeszcze. Zgłoszę kradzież na policję, chyba że oddacie teraz rower w takim stanie, w jakim był.

– Pani Jurkiewiczowa, ja nie mam tak zwanego chłopca – tłumaczyła się zmieszana Dorota. Rezygnacja w jej głosie znaczyła, że ten rodzaj retoryki był dla niej na tę chwilę nie do pokonania.

– Dorcia, już znowu masz – pocieszył ją Kiciuś. – Cicho, babo! – Wymierzył w Jurkiewiczową palec wskazujący. Rangę tego gestu podnosił olbrzymi, grawerowany, złoty sygnet z syntetycznym rubinem. – Zebraliśmy się tutaj w sprawie przedsięwzięcia ważnego dla waszego rejonu! Miejsca pracy wam chcemy stworzyć, a pani o jakiegoś starego kłamota się upomina.

– Ja nie mam męża – wtrąciła się Dorota.

– Jak to nie? To z obcym by pani mieszkała? Wszyscy mówią, że ten tutaj pan do pani do Mordek przyjechał. Odszukał was i teraz razem tam wszyscy mieszkacie. To mówi pan, że miejsca pracy będą? – Jurkiewiczowa zmieniła radykalnie swoje nastawienie wobec Kiciusia. Uśmiechała się teraz do niego i krygowała, co sprawiło, że wspaniałomyślnie przyjął tę zmianę. Wskazał miejsce przy stoliku, a do wolnej szklanki nalał brandy.

– To tylko wczasowicz. Pobędzie i odjedzie – powtarzała w kółko Dorota.

Nikt jej jednak nie słuchał. Nawet zanudzona całym wręcz Oleckiem pani Basia ożywiła się,

opuściła swoje zwykłe miejsce pracy, ościeżnicę drzwiową w miejscu przejścia na zaplecze, podeszła bliżej i przysiadła obok. Młodzież przy pobliskich stolikach uciszyła się, zaczęli coś szeptać między sobą, wskazując na Kiciusia. Para przy drzwiach, do tej pory się kłócąca, umilkła, zawiązując pakt o nieagresji na czas obserwacji biegu wydarzeń. Popołudnie, które zapowiadało się jak wiele innych, niewątpliwie nabrało kolorów.

Kiciuś przeszedł na drugą stronę stolika, krzesło ustawił tak, że twarzą był zwrócony do wszystkich gości restauracji. Nalał sobie brandy, ręką skinął na panią Basię, że życzyłby sobie lód, a gdy go przyniosła, wrzucił kostkę do swojej szklanki, aż chlupnęło, rozejrzał się po restauracji i, dopatrzwszy się u większości gości spojrzeń pełnych napięcia i oczekiwania, donośnym głosem oznajmił:

– Jeśli ktoś chciałby jakichś wyjaśnień, to proszę. Jestem do państwa dyspozycji.

Kolejnego dnia wieczorem Dorota odczekała, aż moderator walnego zebrania w „Bus Stop” przemierzy się do toalety, po czym przywołała Kasię i Majkę na migi do siebie. Na ustach położyła palec wskazujący, jako znak działań konspiracyjnych.

– Muszę go natychmiast spakować i wywieźć stąd, bo się zagnieździ jak wesz. Nie będę z tym czekała, bo nie ma po co. Podjęłam decyzję – oznajmiła cicho.

– A Tamara? – zaszepotała Kasia.

– Chyba widzi, jakiego ma ojca, po co mam jej seans teatralny przedłużać? Zresztą, co mu może zawdzięczać? Nie wiem, czy po nim nie odziedziczyła przypadkiem problemów z prawidłowym postrzeganiem świata. – Dora patrzyła na Tamarę ze smutkiem.

– Nie próbuj jej tego przypadkiem wytykać, bo jeśli ubzdura sobie, że jej choroba jest dziedziczna, to się dopiero zrobi problem. To może obniżyć jej samoocenę – szeptała Kasia.

– To co miałabym zrobić, przecież widzi.

– Sama nie wiem. Przeszłość czasem lubi się ciągnąć za człowiekiem jak krokodyli ogon, nie można się od niej odciąć. Też mam z tym problem, a się tutaj wymądrzam – zreflektowała się Kasia przytomnie. Ale Dorota uśmiechnęła się tylko, machnęła ręką i powróciła do zwykłych sobie czynności porządkowych.

– Coś o mnie mówiliście? – Kiciuś pojawił się w progu kuchni, okręcony jedynie ręcznikiem na biodrach.

Zachowuje się jak jakiś młody bóg, a w najgorszym wypadku przewodnik stada. Zupełnie nie ma wyrzutów sumienia, że siedzi nam na karku – myślały od samego początku jego pobytu w Mordkach. Nie wniósł do ich dzieła nic poza mglistymi wizjami, a na dodatek zaznaczył walizkami swoją obecność we wszystkich pokojach. Jak samiec. I egzekwował swoje, z jakiegoś jemu tylko zrozumiałego powodu, niby przynależne prawa. Śniadanie, lunch, obiad i kolację. W międzyczasie leżące na paterach owoce wchłaniał tak, jakby nie jadł już od miesiąca. A pomiędzy posiłkami szwendał się po Olecku niczym bezdomny pies, nawiązując znakomite, lukratywne kontakty biznesowe, jak twierdził – wspaniale rokujące na przyszłość.

Ciężar. Balast. Nieproszony gość. Najeżdźca.

– Prowadzę rekrutację pracowników – zakomunikował wczoraj po powrocie z miasteczka. – Zastanowiliście się, z kim będziecie pracować, kiedy nasz interes się rozkręci i do gry wejdą konkretne pieniądze?

Prawie codziennie bardzo wcześnie rano, na rowerze Jurkiewiczowej, teraz już zupełnie legalnie, wyjeżdżał „w sprawach służbowych”, jak wyjaśniał z właściwą sobie rezerwą. I wracał wieczorem. Zjadał wszystkie przynależne w ciągu dnia posiłki, włączał telewizor, po czym zasypiał w gościnnym pokoju z pilotem w dłoni, przeraźliwie chrapiąc. Podjęły już decyzję: nie będziemy dłużej trzymać tutaj tego darmozjada. Kto mu to powie?

– No jak to kto? Oczywiście, że ja – skwitowała wczoraj wieczorem Dora.

– Więc tak... Posłuchaj, dzisiaj Dzidek odwiezie cię do Ełku na pociąg – zakomunikowała mu bardzo kategorycznie przy śniadaniu.

– Ależ ja się nigdzie nie wybieram! – Spojrzał na Dorę tak, jakby postradała rozum.

– Wybierasz się z powrotem do Poznania, a ja stawiam ci nawet bilet – odpowiedziała nadzwyczaj spokojnie Dorota.

– Co ty mówisz? Znowu zgłupiałas? Tamarko, ty też chcesz wyrzucić tatusia? – Uniósł wysoko brwi ze zdziwienia.

– Mamo, zostaw tatę, ja chcę, żeby z nami został – powiedziałwszy to, Tamara wybiegła z kuchni z płaczem.

– Zobacz, co narobiłaś, dziewczyna przez ciebie cierpi. Kocha mnie, a ty zazdrosna jesteś – powiedział.

I wtedy się zaczęło! Dorota poczerwieniała, a potem zaczęła przeraźliwie krzyczeć, jakby Kiciuś rwał po kawałku szwy na jej świeżej ranie.

– Mnie kocha, bo to ja ją wychowywałam! Gdzie byłeś, kiedy miała czterdzieści stopni gorączki i leciała mi przez ręce? – głos Dory się załamał. Głęboko odetchnęła. – Gdzie byłeś, gdy była tak rozpalona, że nawet mnie nie poznawała?! Gdzie byłeś, gdy majaczyła i wołała tatusia?! Malutką musiałam ciągnąć ze sobą do pracy, zima czy lato, upał czy słońce. Odpowiedz, gdzie byłeś?! – Dorota pobladła, a jej usta drżały. – I jeszcze jedno. Gdzie byłam ja, gdzie była Tamara, kiedy nas z naszego polskiego domu wymeldowywałeś?

Dorota tylko Niemcom mogła zawdzięczać, że godzili się na taki układ. Pomagali jej, bo to zasadniczo nie jest zły naród. Tylko dzięki temu to wytrzymała, mimo że nigdy nie była materiałem na emigrantkę. Tęskniła do stałych punktów odniesienia. Wytrzymała! Dała radę! Tamarę na porządną dziewczynkę wychowała. Wytrzymała. To było najlepsze określenie dla tych kilkunastu lat życia we Frankfurcie.

– Wynoś się! Wynocha! Pakuj te swoje kraciaste torby. Teraz! Tatuś się znalazł. Przemyślał, przeliczył i się znalazł! – Na słuchawce wycisnęła pośpiesznie numer. – Dzikku! – krzyknęła do słuchawki. – Przyjeżdżaj natychmiast, trzeba stąd wywieźć pasożyta! Na zawsze! Tak, znasz go!

Bilet w jedną stronę wszystko upraszcza. Zamyka. Daje możliwości obu stronom. Szansę na ratunek albo na finał. Na zamknięcie etapu. Endi. *One way ticket* – Dora się uśmiechnęła. Niech mu tam! Hałas z jego trzeszczącego odbiornika były pieszczotą przy katuszach, jakie przeżywała, odkąd pojawił się tutaj łaskawie mąż sprzed szesnastu lat.

– Będziecie mi płacić alimenty! Ja wam pokażę! Nie pomogłyście człowiekowi w biedzie. O właśnie! Zapłaćcie mi natychmiast za moją pracę w waszym biznesiku. Człowiek się tylko napracował na te bezczelne wykorzystywaczki za friko. – Kiciuś wycofywał się w stronę pokoju.

– Ani słowa! Niech człowiek milczy, kiedy do mnie mówi! – krzyczała przeraźliwie Dora, ciągnąc po podłodze jego największą torbę, do której powrzucała chaotycznie część dobytku byłego męża, będącego od wielu lat w stanie wypowiedzenia ze skutkiem natychmiastowym. Sterta ubrań i książek. Wielki mi dobytek – myślała jadownicę. – Pomięte, nieważne już i zniszczone podręczniki do geografii ekonomicznej sprzed poprzedniego podziału administracyjnego kraju. Kretonową kołdrę z trudem wyszarpnęła ze skrzyni na pościel, wyrzuciła na podłogę z obrzydzeniem, jakby jej właścicielem była noclegownia i jakby śmierdziała kilkoma flejtuchami naraz, zaraz potem wylądowała na niej przeupocona wełniana poduszeczka. Brrrr, mężuś uwielbiony, psia mać – myślała z niesmakiem. I w afekcie.

Kiciuś stał przy drzwiach do pokoju i nic nie mówił. Poczerwieniał na twarzy, potem stężał, policzki – i tak puciołowate – z tej bezsilnej złości wydeły się mu jeszcze bardziej. Potem powoli zaczął zbierać swoje rzeczy. Niewątpliwie nie było mu do śmiechu, zaczynał zdawać sobie sprawę, że jego prezesura w Mordkach dobiegła końca. Że poniósł klęskę.

– Zostaw, Dora. On się sam spakuje – powiedziała Kasia. Od dłuższego czasu stała naprzeciwko niego z groźną miną. Ręce oparła na biodrach.

– No dobra, załatwmy sprawę ugodowo. Dacie mi cztery tysiące i zniknę – negocjował już bez przekonania. Nie da się ukryć, ucieszyły się, że z Kiciusia powietrze uszło, a buta została spakowana wraz z kołdrą do kraciastej walizy.

– Nic ci nie damy, znikniesz za darmo. O właśnie, Dziadek już podjeżdża – zakomunikowała Kasia.

Czuła przewagę.

Torby i walizki Kiciusia z wielkim trudem pomieściły się w cinquecento. On sam zaś wyszedł za drzwi domu, rozejrzał się po podwórzu, rzucił głośno w stronę biegającej za płotem Endiego, wkurzonej Lady:

– Popij, kundlu, wodą, to ci ta czkawka minie. – Podniósł mały kijek z ziemi, pogroził psom, które stały przy budach, nie wydając, w przeciwieństwie do Lady, żadnego głosu. Przyglądały się obojętnie deportacji, podobnie jak Dorota, Majka i Kasia. Jedynie Tamara dramatycznie chlipała w kuchni.

Kiciuś wszedł do samochodu, Kasia zaś z uśmiechem zamknęła za nim drzwi. Wracając, podniosła w stronę stojących w napięciu Doroty i Majki kciuk na znak zwycięstwa, obejrzała się na znikający za górką samochód i zaśpiewała słynne: *One way ticket*. Po chwili przyłączyła się do niej donośnie Dorota, a potem słabym, niewyrobionym muzycznie i łamiącym się głosem Majka... Zamknęły kolejny rozdział.

Po wyjeździe Kiciusia życie w Mordkach powoli wracało na dobrze już ubitą równię. Co prawda spokój zakłócali im różni chętni do objęcia obiecanych przez, jak mówili, prezesa stanowisk w ośrodku szkoleniowym. Ale przyjaciółki grzecznie i w ujmujący sposób namawiały kandydatów do pozostawienia swoich życiorysów zawodowych oraz listów motywacyjnych, po czym niezwykle uprzejmie, acz z sobie w takich sytuacjach właściwym dystansem informowały, że poprzedni prezes, pan Kajetan Dębski, właśnie ustąpił, a walne jeszcze nie wybrało nowych władz. Zatem proszą o czas na ponowną rekrutację. Życie wróciło do normy. Jak dobrze – myślały, że ucichło wreszcie to świerzbujące mózg, Kiciusiowe bzyczenie.

Do Kasi z samego rana zatelefonował kandydat na gościa ośrodka treningów mentalnych – poznany w pociągu kilka miesięcy temu ekspert w dziedzinie narciarstwa, Georg. Przypomniał się jej, wyraził życzenie szybkiego spotkania i w tej kwestii zapytał, czy możliwy byłby przyjazd do Mordek jego z Sofiją tak szybko, jak to tylko możliwe, bo Sofija wyraziła wstępną zgodę. I nawet ten wspólny wypadek w tak inspirujące miejsce, jakim niewątpliwie muszą być Mordki, ją ucieszył. A on się boi, że ta jej uciecha może być krótkotrwała, więc zależy mu na jak najszybszym przyjeździe. – Pani Kasiu, Sofija wróciła już do mnie – zwierzył się jej w pierwszych słowach.

– Proszę serdecznie pozdrowić panią Zosię ode mnie. Od nas wszystkich – poprawiła się. – Ale zapraszamy serdecznie dopiero na święta albo na Nowy Rok, albo, jeśli i to nie będzie możliwe, w styczniu. Jeszcze nie działamy. Po prostu.

– Mnie to pasuje, pani Kasiu. Mogę tak się do pani zwracać? Zapytam jednakże Sofiję, wie pani, ona ma charakter.

Prace wykończeniowe zmierzały ku końcowi, a goście – nawet tak nieskoligaceni jak Georg – wyrażali zainteresowanie przyjazdem na zamknięty turnus inauguracyjny do Mordek, więc Kasia i Dorota usiadły wreszcie, aby się zastanowić nad klimatem duchowym i atrakcjami kulinarnymi, a także nad tym, kogo zatrudnić, bo przecież nie protegowanych Kiciusia!

– Wiem, w czym będziemy podawać gościom. W korytach – powiedziała Kasia, nalewając sobie wody mineralnej do wysokiej, smukłej szklanki z cienkiego szkła. Zanim wypięła wodę, szklankę ustawiała pod światło i szukała, czy na szkłe nie ma zacieków, jakie zostają, gdy nie używa się zmywarki. Miała fobię, to fakt. Ale tym razem nie znalazła, widać Tamara dobrze powycierała szkło.

– W korytach? No coś ty? – Dorota się zaśmiała, bo przypomniało jej się, jak patrzyły na nią małe świnki, kiedy ona jako mała dziewczynka cienkim patyczkiem mieszała w korytach gotowane ziemniaki, które te zwierzątka jadły. „Mamo, a dlaczego świnki jedzą z takich brzydkich, drewnianych naczyń, a my wszyscy z porcelanowych?” – pytała wtedy.

– W takich małych korytkach wyrzeźbionych z drewna, wystruganych. Same je możemy zrobić. Zobaczysz, że to zostanie dobrze ocenione przez gości, jako atrakcja. Choć nie, same ich nie będziemy rzeźbić, we wsi na pewno ktoś nam je wystruga. Może Wojtek?

– A pozałatwiał sprawy z Zochą? – zaśmiała się Majka, która schodziła właśnie ze strychu. – A że nie przestał pić, to wiem, bo widziałam go rano, jak wychodził z naszego ogrodu. Zapytałam go: „Mógłby pan zamknąć furtkę?”. „Ale po co? Tutaj jest wieś”, powiedział i zaczesał te swoje długie włosięta do tyłu. „Bo świat jest pełen zagrożeń”, mu mówię. A on mi na to: „Najbardziej jesteśmy narażeni na samych siebie”. I wyszedł. Ale za chwilę wrócił i zaczął czegoś szukać w różach, cały był podrapany. To go pytam, co tam chce znaleźć po pijaku, a on mi, że wodę. W różach hydrantu szukał, zachlany frajer. W końcu wyszedł i zamknął bramkę. Potem siedział na przystanku i wyglądał co rusz zza wiaty, czy jedzie autobus. Tak, jakby tutaj autobusy jeździły co dziesięć minut, jak w metropolii. Jako miejscowy musi

wiedzieć, że w niedzielę prawie w ogóle nie jeżdżą – śmiała się Majka.

– No, a na stole zawsze będzie stał smalec. Dość mam tej niemieckiej kuchni. Przydałyby się kiełbasy własnej roboty – marzyła dalej Dorota.

– Smalec i kiełbasa to chyba jak najbardziej niemiecka kuchnia... Moi rodzice robili, kiedy byłam mała. Pamiętam, że ojciec przykręcał do stołu kuchennego taką dużą, chyba żeliwną maszynkę do mielenia mięsa. Mama zawsze wtedy narzekała: „Wojciechu, kto to będzie jadł?”. A on kręcił dalej, wcale na to nie zważając – przypomniawszy sobie Kasia. – Potem te kiełbasy lądowały w wędzarni u sąsiada, a jeszcze później, takie czarne, mocno uwędzone, wisały na specjalnym drążku i suszyły się dalej.

– Jak się ma jeszcze rodziców, to jest inaczej – posmutniała Dorota i spojrzała w okno szopy, uśmiechnęła się lekko i chwyciła Tamarę za rękę, widać w szybie wymieniła znów spojrzenia ze zmarłą, lecz kibicującą jej matką. – Twój ojciec szanował twoją babcię, bo to była prosta, ale niezwykle mądra kobieta. – Te słowa Dorota kierowała wyłącznie do Tamary.

– W ogóle, jak się ma kogoś, to jest lepiej – dodała zza drzwi do łazienki Majka.

– Trzeba mieć flaki, mówię o kiełbasie oczywiście, czy jelita, sama nie wiem co. Dowiemy się. Potem tylko mielisz i flak się zapełnia. Kiedy się napełni, to zawiązujemy go i bajka – referowała Kasia, zupełnie ignorując wcześniejsze refleksje Doroty i Majki.

Nie ma po co ciągle roztrząsać, czy lepiej kogoś mieć czy nie mieć, skoro nasz los został nie przez nas ustalony – myślała. – I ta Dorota wciągająca swą biedną córkę w świat guseł i obciążeń. Okropność.

– Może można by było gdzieś je oddać do uwędzenia – zainteresowała się Dora.

– Możemy zrobić wędzarnię. Moi dziadkowie mieli taką na wsi, poznaniacy to jest jednak zapobiegliwy naród – powiedziała Kasia, w myślach przywołując zapach jałowca używanego do wędzenia.

Tak, wędzarnia u dziadków na wsi pod Poznaniem stanowiła miejsce naprawdę magiczne. Gdy była pusta, dziesięcioletnia Kasia zapraszała tam inne dzieci ze wsi. Otwierali wielkie i okropnie okopcone drzwi, wieszali na nich aksamitną kurtynę i w tej ciemnej scenerii, podświetlonej małą lampką biurową, robili próby teatralne. To tam właśnie powstały pierwsze przedstawienia, które pokazywali potem zaproszonym dorosłym gościom. To tam poczuła pierwszy raz wolność finansową w postaci kilku zarobionych za spektakl groszy. Wolność na miarę smaku cukierków.

Janek bardzo dobrze zapamiętał, co Kasia opowiadała mu o swojej rodzinie. Zatem, kiedy tylko nadarzyła się okazja, bo musiał jechać do stolicy, zaproponował wspólną wycieczkę w jej rodzinne strony.

Było przed południem, zbliżali się już do miejsca, skąd pochodziła jej rodzina.

– To chyba tutaj! – zawołała rozgorączkowana Kasia, dostrzegła bowiem małą tabliczkę, na której strzałka wskazywała, że z drogi z Grajewa do Łomży należy skręcić w lewo i za trzy kilometry będzie Bzdowo. Miejsce, skąd pochodzi jej cała wielka rodzina.

Wąska asfaltowa droga wiała się wśród jesiennych pól, na których wykopywano właśnie ziemniaki. Przy drodze rosły wierzby i głóg, błotnistym poboczem szła grupka składająca się z kilkorga małych dzieci. Wracały ze szkoły. Ich kolorowe tornistry z daleka błyskały światełkami odblaskowymi. Tuż po południu Janek i Kasia nieśpiesznie zbliżali się do zabudowań wsi. Na granicy osady witały ich kolorowe nowe domy z równie barwnymi ogródkami, w których królowały astry i wczesne chryzantemy. Rosnące przy drodze drzewa tworzyły niski dach niczym w tunelu, a jesiennie kolory liści sprawiały, że obraz okolicy wyglądał jak malowany pędzlem.

– Najpierw chcesz zejść do biura parafialnego czy do sołtysa? – spytał Jan, wypatrując tabliczki z napisem *Sołtys*. Nie było jej widać, natomiast wieża niewielkiej świątyni górowała nad wsią i nietrudno było trafić.

– Raczej do kościoła, bo tam są archiwa parafialne, ponadto tak niezobowiązująco umawiałam się z proboszczem. Jasiu, zobacz! – zawołała, wskazując na napis przy małym mostku nad rzeczką płynącą przez środek wsi. Był prześliczny, nie wyglądał na stary, wręcz przeciwnie, albo był niedawno wybudowany, albo odnowiony. Ale jego styl nie odbiegał od starych, zużytych, z duszą. Kasia pożałowała, że nie zabrała ze sobą aparatu fotograficznego.

– Bzdowianka – przeczytał uroczyście. – A tam, zobacz, Zabzdowo. Nie, musimy objechać z drugiej strony, bo tutaj już kończy się Bzdowo – kontynuował, po czym wykonał zamaszty wiraż na wąskiej drodze. Zatrzymał się przed starym kościołem, który bryłą przypominał Kasi stary, drewniany kościółek z Kicina pod Poznaniem.

– Dzięki, Janku. Zadzwoń do ciebie, jak się sprawy mają, bo może będę próbowała się wydostać stąd jeszcze dzisiaj pekaesem. W każdym razie sołtys nazywa się Bzdowski i u niego prawdopodobnie będę. Podaję ci, w razie gdybym nie dawała długo znaku życia – zaśmiała się.

– Ja też dam ci sygnał, kiedy będę wyjeżdżał z Warszawy. Nie zapodziej się gdzieś – powiedział ze śmiechem. – Skoro musisz wracać do Poznania, to nic nie poradzimy – dodał ciepło.

Kasia spojrzała na Jasia z zainteresowaniem, wyczuła miłe dla ucha i serca tony, zainteresowanie i troskę, on jednak szybko trzasnął drzwiami i ruszył z piskiem opon.

– Niech będzie pochwalony. – Niski i okrągłutki proboszcz parafii w Bzdowie biegał po biurze i zdejmował z półek stare księgi. Kilka razy psiknął, tyle było kurzu. – Mam to wszystko na wierzchu, bo jak prawie cała osada nosi identyczne nazwisko, to nie można inaczej. Ale ci tutaj nie są tak mocno zainteresowani swoimi przodkami jak tamci, co mieszkają za granicą. Skąd ja nie mam zapytań? Z Niemiec, z Ameryki, z Peru, a ostatnio nawet z Wilna i z Australii. A rok temu był tutaj Jerry Bzdowski z Edmonton w Kanadzie i bardzo się całą historią rodziny interesował. Już miał wiele faktów historycznych zebranych, ale nadal szukał, mówił, że dopiero tam, na obczyźnie, docenia się swoje korzenie. Zostawił mi nawet swój adres, gdzieś go tutaj zapisałem... E-maila nie będę pisał, bo nie jestem nowoczesny, ale kartkę na święta wyślę, nawet poświęconą w Watykanie. Należy się...

Kasia usiadła przy olbrzymim biurku i zaczęła przeglądać materiały. Proboszcz nakazał gosposi, aby

poczęstowała gościa herbatą, a sam udał się na krótki spacer po parafii, jak zapowiedział. Katarzyna Bzdowska wąchała zapach ksiąg i starego kościoła, jak zawsze w takich miejscach czuła kadzidło i lilie, chociaż nigdzie w pobliżu takowych nie zauważyła. Rozsiadła się wygodnie na krześle przypominającym tron i zabrała za stare opasłe tomy. Z jednego z nich wypadła kartka, a raczej wydruk komputerowy, który zawierał tekst przetłumaczony z języka niemieckiego. Niejaka Hildegard Bzdowski pisała:

W 1542 roku hrabia Albrecht von Brandenburg-Ansback po długich walkach w swoim księstwie musiał uznać panowanie Polaków. Chciał jednak nadal tam nauki krzewić, popierać i rozprzestrzeniać ewangeliczne nauczanie. Dla mieszkańców Mazur, którzy w większości mówili słowiańskim dialektem, potrzebował szlachty i uczonych z Polski. Wtedy na jego apel stawiły się tutaj z Krakowa rody znamienite, między innymi Bzdowscy.

Akt nadania Bzdowskim ziem na Mazurach – dowiedziała się Kasia – pochodzi już z 1542 roku. Pierwsze nazwisko z tego rodu, które figuruje w aktach, to Jan von Bzdowski. To on zakupił 262 hektary ziemi nad jeziorem w rejonie Bzdowa za 300 marek. Na tę wieś czyhali różni zaborcy. Kogo tu nie było! Galindowie i Jadźwingowie, Litwini i Krzyżacy, Niemcy i Rosjanie oraz Szwedzi i Tatarzy. Bolszewicy i powstańczy partyzanci. W latach 1709–1711 w regionie Bzdowa wybuchła dżuma. Chorzy opuszczali wieś, przenosili swoje tymczasowe domostwa daleko od chałup skażonych chorobą. Głęboki dół na nich czekał. Niektórzy w nim żywot kończyli. Niejeden opowiadał, a były to wieści od przodków, że w czasie odwrotu armii napoleońskiej spod Moskwy, zimą 1814 roku na polach i drogach leżały dziesiątki, jak nie setki żołnierzy francuskich, którzy umarli z zimna i głodu. Podobno było ich tak dużo jak snopków na polu w czasie żniw. Okoliczni mieszkańcy wraz z nadejściem wiosny pochowali zmarłych żołnierzy w zbiorowej mogile lub mogiłach w rejonie Bzdowa Małego, ale teraz nikt już nie pamięta, gdzie ten grób się znajduje. Hieronim Bzdowski, będący ostatnim znanym partyzantem, zostawił po sobie zapiski, które zacytowania się doczekały. Nieliczni z tamtych czasów dożyli, z Bzdowa nikt, tylko on.

– I co? – zapytał powracający ze spaceru proboszcz. – Miło jest tak dowiedzieć się czegoś więcej o sobie, prawda? Zresztą, krewni we wsi też pani coś powiedzą. U sołtysa, Kazia Bzdowskiego, czeka na panią obiad. I rodzina. Trzeba nam się trzymać w kupie i wspierać. – Proboszcz zdjął lekką wiatrówkę i założył na sutannę czarny, elegancki płaszcz. – Też jestem do nich zaproszony. – Uśmiechnął się i podrapał w łysinę. – My tutaj często się gościmy.

Kasia wyszła z plebanii z poczuciem spełnienia i wewnętrznego spokoju, jaki może dawać świadomość przynależności, przypięcia się jeszcze mocniej do tego świata, do tego regionu, a zwłaszcza do tej osady. I poczucie przyłączenia się już bardzo mocno, na trwałe, do swojej wielkiej rodziny. Maszerowała w towarzystwie duchownego przez rozległą wieś, centralną ulicą prowadzącą do domu wuja Kazimierza Bzdowskiego. Niemłody przecież już proboszcz, trzepocząc i szeleszcząc sutanną oraz połami długiego płaszcza, przeskakiwał zwinnie przydrożne kałuże powstałe po wczorajszej ulewie, ale i tak brzeg sutanny i trzewiki ubrudził błotem. Teraz zdjęłabym chętnie buty i pochlapałabym się w tych kałużach, tak jak wtedy, gdy byłam dzieckiem i mieszkałam u dziadków na wsi pod Poznaniem – myślała Kasia. Proboszcz zaś, po każdym udanym skoku, cieszył się jak niesforne dziecko z udanej psoty. W takim nastroju weszli na ganek wiodący do starego domu, przycupniętego wśród krzewów porzeczek i malin. Wszędzie dookoła rosły wielkie drzewa owocowe, głównie wiśnie. Proboszcz zdążył już Kasi opowiedzieć, jak trudno w dzisiejszych czasach sprzedać owoce. To była nowa sytuacja, bo sadownictwem zajmowano się w rejonie Bzdowa od dawna, a wiśnie uprawiano już kilkadziesiąt lat z dużym finansowym powodzeniem. Kiedyś w Bzdowie wielu rolników z tego żyło. A teraz? Wiśnie

trzeba by było oddać za darmo, galaretek się już nie jada, kompotów nie pije, placki kupuje, nawet wiśniówka stała się niemodna.

Zza drzwi wybiegł Kaziu Bzdowski. Powitaniom nie było końca. W przedsionku domu, do którego weszli, unosił się zapach wędzonej kiełbasy i suszonych grzybów. Na specjalnie zbudowanych belkach wisiały, jak świąteczne łańcuchy, kiełbasiane pęta oraz długie sznury suszonych borowików i prawdziwków. Kasia z przyjemnością wdychała zapachy, które znała z dzieciństwa. Kaziu Bzdowski urwał kilka pęt kiełbasy i ściągnął sznury suszonych rarytasów, by zapakować je do lnianego worka, a po chwili te wszystkie cuda tamtej ziemi podał Kasi.

– Takiego jedzenia to już pewnie tam w mieście nie znacie – powiedział.

– Żebyś, wujku, wiedział! W twoim domu jest niesamowita aura, tak to odbieram, od razu bardzo dobrze się u was poczułam – powiedziała Kasia, rozglądając się po pokoju, który przypominał pokój jej babci, takim, jakim go zapamiętała. Stare, drewniane krzesła, z wysokimi oparciami, wielki stół, masywny, że przesuwając go musiało ze sześciu silnych mężczyzn, i częściowo pożarta przez korniki etażerka, w której u Kasi babci mieściło się wszystko co intrygujące, w tym najbardziej literackie dzieło, jakim dla małej Kasi była wówczas Biblia.

– To tak samo jak my z żoną. Wybudowaliśmy bliźniak za domem, ale nie chce nam się do niego przeprowadzać. Gości tam zapraszamy, jak dzieci i wnuki przyjadą, też tam nocują. Ale Jerry z Edmonton tutaj z nami spał. Mówił, że poczuł się znów młody, bo go najpierw napoiliśmy nalewką z wiśni, a potem ułożyliśmy na wielkich poduchach z gęsiego i kaczego puchu, że prawie siedział.

To był taki jego mały powrót do przeszłości – zadumała się Kasia. Z całą powagą przyjęła tę opowieść. Rozumiała go znakomicie, sama potrzebowała podobnych odniesień i nieudawanej gościnności. Poczła się bardzo szczęśliwa, tak jakby znalazła się we własnym domu. Uśmiechnęła się z wdzięcznością do Kazia Bzdowskiego i swobodnie przeciągnęła na krzesło. Nasz dom, jeśli jesteśmy na to gotowi, wędruje razem z nami – pomyślała. O tak! Chcę mieć dom na kółkach, latem postawię go w sadzie, a zimą skąpię w słońcu i w skrzypiącym mrozem śniegu! Taki mnie na pewno uszczęśliwi!

Do Poznania wróciła dopiero po dwudziestej pierwszej w niedzielę. Mimo późnej pory, rodzice czekali z niepokojem, oglądając telewizję. Śledzili zwłaszcza wiadomości wyświetlane na dolnym pasku telewizora. Że na drogach zdarzyły się wypadki, karambole, krachy i tym podobne, a pociągi we wschodniej części kraju przestały kursować z powodu kradzieży trakcji. Piotrek uczył się w swoim pokoju, ale co chwilę z niego wyglądał i nie potrafił się skupić. To było widać. Gdy usłyszał chrobot klucza w zamku, a po chwili w drzwiach ukazała się zmęczona Kasia, wybiegł jej naprzeciw i z ulgą i radością zamknął ją w swoich chudych ramionach nastolatka. Nareszcie!

– Mamo, tak się cieszę, że już jesteś w domu. Tak mi teraz dobrze – powtarzał, kołysząc nią w uścisku.

Dziadkowie przyglądali się tej scenie. Ojciec Kasi był wzruszony, mama zaś kiwała głową z dezaprobatą. Ona by tak nie mogła. Gdzieś na wschód jeździć, kiedy w Wielkopolsce i żyje się lepiej, i ludzie są bardziej cywilizowani.

– Kasiu, jak ty możesz tak po nocach jeździć sama, bez opieki? Tutaj masz taką dobrą posadę... Nie rozumiem, jak mogłaś się uwikłać w coś tak absolutnie niepewnego. Takie byle co! – powiedziała z wyrzutem.

– Nie martw się, mamu, oprócz minusów są też plusy, jak zawsze. Gdyby nie te wyjazdy, nie poznałabym swojej rodziny, nawet nie wiedziałabym, skąd pochodzimy, nie miałabym pojęcia o naszej historii...

– Byłaś? – zapytał konspiracyjnie ojciec, zerkając ukradkiem na żonę.

– Byłam, byłam... Tato, nawet nie wiesz, jak się cieszę, bo ofiarowałeś mi coś, czego nie można przeliczyć na złotówki, a jest mimo to drogocenne. W Bzdowie prawie wszyscy nazywają się tak jak my. Płynie rzeka Bzda i mała rzeczka Bzdowianka, są wioski: Zabzdowo, Bzdowo Małe, Bzdowo Wielkie. Przyjechałam i pytam proboszcza, gdzie mieszkają Bzdowscy, a on się śmieje i mówi mi, że w co drugim domu. W końcu wskazał dom sołtysa, Kazia Bzdowskiego.

– Kaziu to mój bliski kuzyn. Córeczko, mów dalej.

– Bardzo się ucieszył, jego żona urwała się z pracy i oboje obdzwonili wszystkich krewnych w okolicy. Że przyjechałam. Ja, całkiem im obca. Po chwili byli już wszyscy, nikt nie kręcił nosem, to było takie spontaniczne, jakbyśmy sobie od dawna byli bardzo bliscy. Poczulałam wtedy, że jestem jedną z nich. Że jestem Bzdowska. Oni, znaczy Bzdowscy, spotykają się bardzo często, a w przyszłym roku ma być nawet zjazd rodzinny pod Warszawą i drugi pod Nowym Jorkiem, bo tam też mieszka mnóstwo Bzdowskich. Wiecie, ile oni mają rodzinnych pamiątek? Herb i królewski akt nadania szlachectwa. A jakież to jest miłe, gdy się zna swoje korzenie...

Kasia pograżyła się na chwilę we wspomnieniach. W końcu jednakże się ocknęła i przypomniała sobie, że chciała wyciągnąć rzeczy z małej walizki, którą miała ze sobą w podróży. Odkleiła rzepy, rozsunała suwak i wyciągnęła wielki lniany worek z frykasami od Kazia Bzdowskiego, a potem mały pakunek zawinięty w białe lniane płótno. Leżał zaraz na ubraniach, na samym wierzchu walizki.

– O, podarowali mi taki stary rysunek herbu Bzdowskich, na deseczce. Ponoć namalował go mój pradziadek... – mówiła, odwijając delikatne płótno. – Dopiero dzisiaj mnie z Bzdowa wypuścili, jadę prosto od nich, dlatego tak długo to tym razem trwało...

– Dziewczyno, żebyś tylko nie żałowała tych eskapad, różne rzeczy w telewizji opowiadają. Jedna kobieta, a była w twoim wieku, do dzisiaj nie została odnaleziona. Rodzina i policja zastanawiają się, czy ją jeszcze żywą odnajdą. Trupa na pewno wykopią albo wyłowią. Takie czasy, na nic ludzkie życie, na nic! – Mama Kasi, co było do przewidzenia, dostrzegała wyłącznie ciemne strony wyjazdów córki.

– A byłaś u mojego brata Franka w Łomży? – przerwał kasandryczne wizje swojej żony Bzdowski.

– Byłam. Ale tylko na chwilę, przejazdem. Znajomy jechał do Warszawy i zrobił mi grzeczność, ale nie wiem, co o wujku myśleć. Był sam, więc zaraz na samym początku zapytałam o ciocię, a potem tylko żałowałam, że nie poczekałam, aż sam poruszy ten temat. Wście? To dramatyczna historia. I smutna. Odpowiedział mi, że nie ma cioci. Że umarła. A myśmy nic przecież nie wiedzieli!

– Co ty mówisz, dlaczego nie dał nam znać?! Wykrusza się rodzina... – westchnął smutno ojciec.

– Nie pytałam, bo nie chciałam sprawić mu przykrości. Czekałam, aż sam o tym opowie. Ale on potem już rozmawiał na inne tematy. Nie wracałam do tego, bo nie chciałam być niedyskretna, przypominać mu tego, rozdrapywać rany... A może coś z pamięcią u niego już nie tak? Nie jest już młody. Ale, powiem szczerze, zadziwiło mnie to. Zaintrygowało. Zbyt łatwo przeszedł do innych tematów...

– Tam na wschodzie ludzie zupełnie nie dbają o tradycję i konwenanse. Owszem, może i są gościnni, może nawet serdeczni, ale brakuje im kindersztuby. Jak tak można! Żona umarła, a on jej już żadnej uwagi nie poświęca! Wojciechu, przypomnij mi, żebyś koniecznie dała na mszę za świętej pamięci Lucynkę i na wymienianki na Zaduszki. Zmarłym się należy.

Kasia weszła do łazienki, wzięła prysznic, założyła na siebie ciepły, seledynowy dres i wróciła do pokoju. Rodzice zbierali się do wyjścia. Wzruszony ojciec trzymał nadal w ręce deskę z rysunkiem pradziadka. Ptak uwięziony w gałęziach jabłoni – herb rodu Bzdowskich. Nasz herb – myślał. W jednej sekundzie podjął decyzję i spojrzał na Kasię. Potwierdziła ruchem głowy. Zamrugła porozumiewawczo oczami. Ojciec należycie to zrozumiał. Zza szafki stojącej w korytarzu wyciągnął małą składaną drabinę, a z szuflady pudło z narzędziami. Z młodzieńczą energią wskoczył na szczeble, trzymając w jednej ręce młotek, a w drugiej niewielki gwóźdź. Palcem wskazał miejsce na czołowej ścianie w przedpokoju, nad drzwiami prowadzącymi do pokoju dziennego. Kasia potwierdziła ruchem głowy.

Po chwili herb namalowany przez pradziadka zawisł na swoim miejscu, a oni stali i patrzyli na niego z zadumą. Potem dołączył do nich Piotrek.

– Wojciechu, tak sobie pomyślałam, że teraz, po śmierci Lucynki, ze wszystkich kobiet, które wżeniły się w rodzinę Bzdowskich, tylko ja jeszcze żyję – przypomniła o sobie mama.

– Nie będzie inaczej, Tereniu. – Ojciec pocałował żonę w rękę. Uśmiechnął się do Kasi i Piotrka. Otoczył troskliwie żonę ramieniem i wyszli, zerkając z dumą przez ramię na nową pamiątkę.

Rodzinny staroznak.

Rozpoczął się kolejny tydzień. Tym razem Kasi nie było łatwo uzyskać kilka dni urlopu. Szef wydziału uparł się, żeby uczestniczyła w szkoleniu z oceny ryzyka w Ustroniu Morskim.

– Ależ doskonale zdaję sobie sprawę z jego istnienia. Czy nie mógłby pojechać ktoś inny? – buntowała się Kasia.

– Musi pani. Kto jeszcze mógłby nas reprezentować? Wszyscy są w rozjazdach, to tylko trzy dni... A może potem, po szkoleniu, wykorzystałaby pani te dwa dni urlopu? Jesienią nad morzem jest bardzo dużo jodu.

Dobra – uznała. – W końcu zawsze szedł mi na rękę.

– Niech i tak będzie. Czyli cały tydzień by mnie nie było. Dobrze rozumiem? – negocjowała.

– No, tośmy znaleźli salomonowe wyjście – skwitował szef, zadowolony ze skuteczności swoich metod zarządzania personelem. – A nie może pani wziąć urlopu w jednym bloku? Tak pani cyka po te dwa dni co jakiś czas...

Kasia słyszała, że zawiesił głos, oczekując rozwinięcia myśli, wytłumaczenia się. Mimo to milczała. Nie, nie miała na razie w planach wynurzeń i kontynuowania rozmowy na ten akurat temat. Przyjdzie czas – pomyślała. Albo i nie przyjdzie. Nadal bowiem czuła, że nie jest w stanie zmienić stanu zawieszenia, w jakim znalazła się kilka miesięcy temu, podejmując decyzję o współpracy z Dorotą. Wychodząc z biura prosto w jesienną szarugę, pomyślała, że w taki słotny dzień powinna leżeć z książką pod kocem, w ciepłym mieszkaniu i przekomarzać się z Piotrkiem. Trochę posnuć się po domu bez konkretnego zajęcia, pomieszkać, ponudzić się, nawet popaść w jesienny letarg. Wdepnąć w marazm. Na chwilę. Tak tylko, żeby docenić zwykłą, szarą, pracowitą codzienność. Bieganinę.

– Kasiu, dziecko, znalazłam wam bardzo dobre klientki na turnus zimowy – zakomunikowała mama zaraz od progu. Rodzice przyszli jak zawsze, dzierżąc w torbie garnki z obiadem dla Piotrka i dla niej. Kilka minut po tym, jak Kasia przekroczyła próg domu, zdążyła wstawić do wanny w łazience ociekający deszczem parasol i powiesić na wieszaku w przedpokoju miodowy, ciepły płaszcz. Złotobeżowe futro na kołnierzu i mankietach zbiło się w smętne wilgotne kępkę. Rozczesywała je właśnie delikatną szczotką z włosia.

– Mamo. My chcemy zapraszać tylko firmy.

– Ale możecie najpierw wypróbować na normalnych ludziach, prawda? I tak mam czarne myśli...

– Tylko żeby te klientki nie były takie jak ten superfacet, którego nam przysłałaś do pomocy. Nie mogłyśmy się go pozbyć – zaśmiała się. Wspomnienie Kiciusia i jego nieustających walnych zgromadzeń, teraz, po pewnym już czasie, niezmiennie ją rozśmieszało.

– Bo kto to widział, żebyście tam same takie były, jakby już nikt was nie chciał. Taki wstyd. Córeczko, to ty z nich wszystkich jesteś w najgorszej sytuacji. Majsza owdowiała, czyli siła wyższa, a pan Kiciuś do Dory bardzo chciał przecież powrócić ostatnio. Tylko ciebie mąż opuścił. Tutaj, w Wielkopolsce, może jeszcze mogłabyś sobie kogoś porządnego poszukać, ale tam, na wschodzie, na pewno nikogo nie znajdziesz. Ja ci to mówię!

Tak, mnie mój mąż niewątpliwie porzucił – pomyślała Kasia. – A jak określiłaby to mama, gdyby знаła całą prawdę? I czy mogłaby tę skomplikowaną i trudną sytuację w ogóle zrozumieć? Chyba jednak nie – odpowiedziała sobie. Sama miała z tym problem, może nie z Pawłem, ale z Majką na pewno. I chociaż bardzo chciała zapomnieć czy udać, że przecież nic wielkiego się nie stało, to jednak... W jej umyśle wciąż tkwiła zadra, której nie mogła usunąć, mimo że się bardzo starała.

– To jakie masz te klientki? – Wróciła do tematu rozmowy sprzed chwili.

– A wiesz, to ciocie: Pela, Fela i Stela.

– Mamo! To zabawne, ależ mi wielkie klientki. – Uśmiechnęła się. – Ale może masz rację, na początek mogą być i ciocie. Zapytam Dorotę, czy jej to w niczym nie przeszkodzi. Pewnie nie, zresztą może się nawet ucieszy, bo one w trójkę są bardzo śmieszne.

Trzy młodsze siostry mamy mieszkały niedaleko Poznania, blisko siebie, obok swoich zamężnych córek i wnuków, blisko rodowej wsi. Niewątpliwie miały swój koloryt. Kasia nigdy nie potrafiła ich rozróżnić. Wyglądały bardzo podobnie: niewysokie, krępej budowy, z krótkimi, popielatymi włosami. Na głowie nosiły małe filcowe kapelusze o takim samym kształcie, lecz w różnych kolorach, i co ciekawe, spod małych ronderek wymykały im się drobne loczki. Też takie same, bo trwały ondulację robiły zawsze u tego samego fryzjera i od lat w tym zakresie niczego nie zmieniały.

– Uważaj, córeczko, na Stelę. Ja jej nie lubię – wtrącił się ojciec. – Zupełnie nie ma wycucia. Wyobraź sobie, w prezencie imieninowym w tym roku przywiozła mi taką wydzierganą serwetkę na ławę. Ale ja trochę poczekam i się zrewanżuję. Za miesiąc jej Tadzik będzie miał imieniny, to kupię mu biustonosz – zaśmiał się, rozbawiony ze swojego pomysłu. Kasia i Piotrek mu wtórowali.

– Wojciechu, bój się Boga. To mimo wszystko był prezent – zauważyła z pretensją w głosie mama.

– Wolałbym, żeby tylko złożyła mi życzenia.

– Tutaj, w Wielkopolsce, nie ma w zwyczaju przyjeżdżać do kogoś z pustymi rękami.

Chyba nie było takiego zwyczaju – pomyślała Kasia. Kiedyś. Nie dzisiaj. Puste ręce są już, niestety, także i tutaj normalnością. Wyciągnięte zresztą też. Kasię zawsze oburzało niesprawiedliwe i niezgodne z jej odczuciami przekonanie matki, emanujące niezmiennie pogardą, o wyższości tylko z racji pochodzenia i miejsca zamieszkania. Wielkopolanin ponad innymi Polakami. Ależ to nie ma żadnego znaczenia! – buntowała się Kasia. Podobnie jak wielkim nadużyciem były inwektywy w kierunku prawie wszystkich Polaków, jakich używała Dorota. No cóż, ma prawo tak mówić, a tym bardziej źle myśleć. Nie będę przecież wymuszać na niej zmiany poglądów – myślała.

– Powiedz im wstępnie, mamo, że mogą przyjechać, choćby i na święta, zadecyduję za Dorotę – powiedziała Kasia.

– Na święta?! Ależ to znakomity pomysł! To i nas zapisz! – wołał z entuzjazmem ojciec. – Mama będzie mogła wreszcie odpocząć od garnków i wreszcie inne widoki niż poznańskie pooglądać.

– No jak to? To przecież jest aż przy ruskiej granicy – oponowała bez przekonania mama.

– Tam też mieszkają bardzo porządni ludzie... Polacy – powiedziała filozoficznie Kasia. – Myślę, że przyznasz mi rację, gdy ich poznasz. Tato, to był bardzo dobry pomysł! – dodała, zwracając się do ojca. Bzdowski się uśmiechnął. A Kasia pomyślała ze wzruszeniem, że jej ojciec jest cudownym, ciepłym i bardzo kochającym swoją rodzinę mężczyzną.

W Mordkach po ostatnich wichurach opadły wszystkie liście. Leżały na trawie, w ogrodzie, za stodołą i przed domem, czyli wszędzie tam, gdzie rosły wielkie drzewa liściaste. A było ich tutaj wiele, w tym zakresie Dorota nie uwzględniała możliwości jakiegokolwiek zmiany. Z większością tych starych i wielkich drzew wiązały się jakieś wzruszające wspomnienia z jej dzieciństwa i wczesnej szkolnej młodości. Na jednym z nich zawisł latawiec wykonany własnoręcznie przez ojca dla jej braci, z innego spadł Witek, kiedy wdrapywał się na nie, gdy przyniósł niezbyt dobre świadectwo szkolne, a między dwoma innymi rodzice zawsze zawieszali hamak. Na wielkiej teraz gruszy wisiała huśtawka, a okazała obecnie czereśnia zawsze wystrojona była w kilka strachów na wróble i mnóstwo brzdękających na wietrze butelek – straszaków na szpaki.

Dorota z Majką zgrabiły przegnite już liście na kopczyki, po to, żeby potem załadować na taczkę i przewieźć je na kompost. Wiał silny i przejmujący wiatr, który rozwiewał po podwórzu te, wydawałoby się, dość ciężkie od deszczu liście. Dlatego przyjaciółki, choć uwijały się szybko, musiały kilkakrotnie powtarzać grabienie. Zmierzchało już, kiedy wreszcie mogły zamknąć kłapę wielkiego plastikowego kompostownika. Majka wyciągnęła z kieszeni kurtki małą butelkę wody mineralnej.

– Chcesz łyeczka? – zapytała Dorotę.

– Za zimna. Zmarzłam na tym przesywającym wietrze.

– Dorota, widziałaś to? Endi i jego piękna Danuśka tylko pod naszym płótem składują różne rupiecie.

Zaraz za siatką, obok wydeptanego na trawie placu, czyli stanowiska do obszczekiwania, zajętego zwykle przez Lady, leżała cała sterta starych okopconych garnków i wielkich aluminiowych parowników, kiedyś używanych w gospodarstwach. Spod nich wystawały resztki starej glazury, pokryte rdzą rynny i całe mnóstwo starych zwietrzałych cegieł z rozbiórki. Na samym zaś czubku domowego wysypiska odpadów leżał złożony w kostkę, zbutwiały, gruby, wełniany dywan.

– Tę rupieciarnię widać tylko z naszej werandy i ganku. Oni chyba specjalnie to zrobili, bo zazdroszczą – narzekła Dora.

– Musimy coś z tym zrobić! – powiedziała Majsza. – Zadzwońię do sklepu ogrodniczego, zapytam, po ile mają takie drewniane płoty. Zasłoni się te widoki i po sprawie. A ja na dokładkę dodam im coś od siebie. W końcu jestem malarką, czy nie?

– A może od razu postawimy taki dźwiękoszczelny, jak przy autostradach? Anty-Lady. I Anty-Endi. W Niemczech za takie coś zaraz by zapłacili karę – ubolewała Dorota. – Co mówiłaś, że im zrobisz?

– Z ich strony kolorowym drewnochronem pomaluję tylko co drugi element płotu – zaśmiała się. – No to się bufony zdziwią. Będzie ich to razić, ale nic nie będą mogli z tym zrobić.

Dorota parsknęła śmiechem.

– Dobra, a Kaśka nie będzie wydziwiać? – zastanawiała się.

– Ona nawet tego nie zauważy.

– Ale oni tak – odpowiedziały równocześnie. Wybuchnęły śmiechem.

Był niedzielny listopadowy poranek. Kasia kręciła się po kuchni ośrodka. Dopiero co wstała. Częste podróże pociągami męczyły ją, coraz trudniej było jej wstać rano z łóżka. Poza tym niedograny dom, mimo grubych murów z solidnej pruskiej jeszcze cegły, nie zachęcał do wczesnego wynurzania się spod ciepłej kołdry. Nadal musiały się liczyć z każdą złotówką, a kupione drewno opałowe miało wystarczyć przynajmniej do przyjazdu pierwszych klientów.

Dorota szykowała się do kościoła. Założyła ciepłą, samodziałową garsonkę z szalowym kołnierzem z szarych karakułów. Szarości kostiumu i wyrafinowany w swej ascezie karakułowy kołnierz wespół z jej ciężkimi kasztanowymi włosami tworzyły niezwykle elegancką kompozycję. I nawet klasyczne, długie, brązowe oficerki na nogach utrzymane były w tej samej kolorystycznej konwencji. Stojąc przed lustrem, spryskiwała się swoim ulubionym, złotym j'adore. Po domu zaczęła błądzić jego luksusowa nuta.

– Kaśka, może pojechałabyś ze mną i z Tamarą?

– E nie. Ja lubię w kościele posiedzieć samotnie, a nie uczestniczyć w tym spędzie towarzyskim.

– Jeśli jest się katoliczką, to w niedzielę i święta należy uczestniczyć we mszy świętej, a nie wymyślać jakieś przeszkody.

– Idźcie same. Może kiedyś...

Majsza zesła na dół. Wniosła ze strychu do jadalni świeżo namalowany mały obrazek, przedstawiający mglisty pejzaż jesienny. W oddali tej złowrogiej otchłani majaczyły niewyraźne ruiny wielkiego zamczyska, a w górnej ćwiartce obrazu, na tle ponurego od niskich deszczowych chmur nieba, wybijał się wielki, ciemnoszary, odlatujący ptak, z rozpostartymi skrzydłami i dużym, zakrzywionym dziobem. Modelowy zwiastun nieszczęścia. Znowu! – pomyślała Kasia, przejęta wymową tego obrazka.

– Nie możesz namalować czegoś innego? – zapytała znad zlewozmywaka. Przerwała mycie naczyń. Stała, trzymając w ręce wielki, ociekający wodą półmisek.

– Nie mogę. Dlaczego wszyscy mężczyźni, którzy mnie kochali, w końcu mnie zostawili? Najpierw Paweł i teraz Jarek. Nie umiem sobie z tym poradzić – pozaliła się Majsza.

W pokoju zaległa cisza. Dora, już gotowa do wyjścia, zatrzymała się przy drzwiach wyjściowych i patrzyła na nią nieprzyjaźnie. Kasia zastygła nad zlewem z niedomytym naczyniem i mokrą ścierką w ręce. Paweł mnie też kochał! Dał mi fantastycznego syna! Nasz Piotruś urodził się z wielkiej miłości! – pomyślała wściekła i zażenowana niedelikatnym, egoistycznym zachowaniem Majki. Wreszcie gwałtownym ruchem ręki zakręciła kran z wodą, zmięła w ręce szmatkę i rzuciła ją o podłogę, a niedomyty talerz wrzuciła z powrotem do zlewu, aż zazgrzytał złowrogo, w locie ocierając się o wielką nierdzewną miskę po marmoladzie.

Wybiegła z kuchni.

– Coś ty zrobiła? – szepnęła Dora, patrząc wrogo na Majkę. – Cholera, musiałaś w taki sposób wspominać Pawła?! Znowu ją ranić?

– Tak, tak, idź do niej. Siebie to potraficie zrozumieć, ale o mnie to już nikt się nie troszczy. Jestem dla was nieważna! Wszystkiemu winna! Powiedz, tak uważasz, prawda?

– Wszystkie mamy swoje problemy. Jeśli nie będziesz myślała wyłącznie o sobie, to może to wreszcie dostrzeżesz.

A mówiłam tej naiwnej Kaśce, że Majsza jest potworną egoistką – myślała Dorota. – Śmieszne, bo ta się jeszcze za nią wstawiła w kwestii przyjazdu do Mordek. Teraz ma za swoje. Jak można się spotykać, żeby... tylko się spotykać! Jak można się przyjaźnić ze swoją cyniczną rywalką? Bo albo się jest przyjaciółką, albo się nią nie jest. Innej możliwości nie ma. Ja bym tak nie mogła. Dorota do tej konkluzji nie musiała dochodzić w toku długotrwałych rozważań, w tym względzie jej wewnętrzny kodeks moralny

był już od wielu lat niezmienny. I nadal nie miała zamiaru go zmieniać.

– Ja cię tutaj nie zapraszałam. To Kaśka – burknęła ze złością Dora, po czym przerzuciła torebkę przez ramię i puściła przodem czekającą w milczeniu na wyjście z domu Tamarę. Po chwili wybiegły na przystanek, odprowadzane do furtki przez cztery wielkie, poszczekujące teraz żałośnie psy. A potem... Potem słyhać było jeszcze, jak Dora pokrzykuje: – Tamaro, dlaczego nie nałożyłaś szalika i czapki? Czy ja muszę o wszystkim pamiętać?

A Kasia i Majka? Zostały w domu same, każda w innym pokoju. Potem Kasia, szczelnie opatulona szalem, wyszła na spacer, a Majka zatelefonowała do Zuzy. Rozmowa się im jednak nie kleiła, być może dlatego, że Zuza śpieszyła się na zajęcia. Po pewnym czasie Majka weszła do kuchni i zrobiła sobie w wielkim kubku mocną kawę. W końcu, nie widząc w domu nikogo, poszła na strych. Ostatnimi czasy nie robiła w Mordkach nic więcej, tylko malowała. Cały kąt strychu zajęty był przez jej płótna. Na wierzchu stał duży, niedokończony pejzaż z harleyowcem wśród łąk i łąnów zboża. Tego obrazu nie potrafiła dokończyć. Zapomniała już, jak układało się jego ciało, nie potrafiła uchwycić skłonu jego głowy, układu rąk, gry rozwiewanych przez wiatr jasnych, kręconych włosów. Nie potrafiła też tego obrazu przywołać z wyobraźni. Pozostało w jej pamięci wrażenie piękna i harmonii.

Założyła na uszy słuchawki, w discmanie nastawiła romans Szostakowicza z filmu „Szerszeń”. I wraz z pierwszym dźwiękiem skrzypiec poczuła na twarzy gorące promienie letniego słońca i lekki jak muśnięcie, ożywczy wiatr od jezior. Zobaczyła ten obraz znowu. Wypłowiełe zboże, jego spalone słońcem, dojrzałe źdźbła z ziarnem... Spokój i pewność, że życie i świat wypłowieje dla niej jeszcze raz, spłynęły po chwili. Że nie będzie już ani czarny, ani też bordowy i fioletowy. Tego teraz pożądała najmocniej. Upojna, zmysłowa, tak bardzo słowiańska melodia przywiodła do niej wielką tęsknotę za tym, co utraciła. Oczyszczającą teraz tęsknotę. Na pożegnanie tamtego świata.

Wzruszyła się.

Siedziała nieruchomo twarzą do okna, nastawiając utwór jeszcze kilkakrotnie. Tak długo, dokąd mogła płakać. Potem, po kolejnym już ostatnim wzruszającym akordzie skrzypiec, zdjęła słuchawki z uszu, wytarła oczy pełne łez i pewnym ruchem, bez zaglądnienia do lusterka, przejechała malinowym błyszczkiem po ustach. Zeszła na dół. Pochylona Kasia skrobała coś zawzięcie pod wielkim stołem kuchennym.

– Skrobiesz sobie pięty czy marchewkę? – rzuciła w jej stronę.

– Marchewkę. Znowu się odchudzam – padło spod stołu. Na zewnątrz wystawała tylko jej postrzępiona, jasna czupryna.

– Właśnie chciałam ci powiedzieć, że fajnie wyglądasz. Trochę ciała tu i ówdzie dobrze robi.

Kasia na chwilę wyjrzała spod stołu.

– Dzięki, tobie też lepiej w jasnych kolorach.

– Pomyślałam, że może mogłabyś mi pozować do portretu. Nawet mam już rozstawioną sztalugę.

– Coś ty?

– Nie będę już malować tych ptaszysk. Skończyłam z tym. Te, które namalowałam, spróbuję sprzedać. Może ktoś kupi, jakiś katastrofista na przykład... To co? Idziemy na górę? – zapytała Majsza.

– Teraz? – Kasia wstała, odłożyła skrobak do zlewu, a talerz z marchewką postawiła na stole.

– A co? „Teraz” nie jest takie złe – zażartowała Majsza, stawiając stopę na pierwszym ze stopni prowadzących na górę. Kasia podążała za Majką z warzywem w dłoni.

– Jak chcesz – powiedziała, pozorując brak zainteresowania.

Szybko sforsowały schody wiodące na strych. Tam znalazły się wśród obrazów Majszy i obok rozstawionej sosnowej sztalugi z czystym zagruntowanym blejtrmem.

– Usiądź na kufrze, chrup marchew i patrz tak, jak spojrziałaś na mnie przed chwilą, kiedy poprosiłam

cię, żebyś mi pozowała – przejęła dowodzenie Majka. Podeszła bardzo blisko, oburącz delikatnie dotykała twarzy Kasi. Badała ją, coś mierzyła, po czym wycofała się do blejtramu, naszkicowała na nim coś bez słowa i zagryzła ołówek. Potem znowu wróciła, by delikatnie przesunąć swoimi drobnymi dłońmi po brwiach Kasi. Zamknęła oczy, starając się zapamiętać kształt jej nosa oraz nozdrzy, ponownie wróciła do sztalugi i znowu uzupełniała szkic na blejtramie.

Kasia zapomniała o marchewce, poddała się całkowicie tym czynnościom. I poczuła, że ręce Majki nie parzą jej, ich dotyk nie jest dla niej niemiły, co więcej, sprawia, że znowu czuje, że Majsza jest jej bliska. Spojrzała na nią z dołu.

– Zaskakująca jest ta intymna relacja pomiędzy malarzem a modelem – powiedziała, przerywając ciszę, nadal pozorując obojętność.

– Tak, przy czym w naszym przypadku dochodzi to tego też uczucie przyjaźni, ponadczasowe, ponadprzeciętne i ponad wszystko... A to wzmacnia jeszcze naszą bliskość – zauważyła bardzo poważnie Majsza. Po czym wydała z siebie westchnienie, którego Kasia nie mogła rozszyfrować. – Ja naprawdę chcę być znowu twoją przyjaciółką. Myślisz, że to byłoby możliwe? – Majka stała przed Kasią w napięciu, w jednej ręce trzymała ołówek, a drugą opierała na przedramieniu Kasi.

– Nie wiem. Nic nie wiem. Ale przyjaźń po przejściach to musi być piękna sprawa. Pewnie, że też bym chciała! – wykrzyknęła Kasia. Wstając gwałtownie na równe nogi, nie zauważyła, że jej tweedowa spódnica wkręciła się w okucia kufra i w konsekwencji obdarła się z jednej strony wysoko nad kolanem. Kasia stała zdezorientowana, niezgrabnie próbując wyszarpnąć podarty kawałek tkaniny spod ciężkiej, pordzewiałej, metalowej ozdoby kufra. Zasmuciła się.

– Da się naprawić – pocieszała ją Majsza. – Jak wszystko, gdy się tego naprawdę chce – dodała refleksyjnie.

Jaka mądralińska! – pomyślała Kasia i zaczęła się śmiać.

Kasia szybko przywykła do odnowionej przyjaźni z Majką. Poszło dziwnie lekko, co ją ucieszyło. Było niedzielne popołudnie i jak w co drugą niedzielę musiała wracać do Poznania. Tym razem z niepokojem, bo syn źle się poczuł.

– Do Piotrka trzeba by było zawołać lekarza. Ma gorączkę, narzeka na ucho, w ogóle źle się czuje. Ale nie da sobie powiedzieć, że lekarz jest konieczny – zaczęła mama, gdy Kasia weszła późnym wieczorem do swojego poznańskiego mieszkania po powrocie z Mordek.

– E tam, babcia przesadza. Jak zwykle – obruszył się chłopak.

– Wiesz – mama szeptała do ucha córki – dzisiaj w nocy przez sen wołał: „tato”. Aż się przestraszyłam i do rana nie mogłam już zasnąć. Kto to widział, żeby od tylu lat nie kontaktował się z synem? Potem dziecko będzie miało całe życie żal do ojca. Może z tęsknoty to choróbsko się przyplątało?

Kasia się przestraszyła. Nigdy jeszcze, przez te kilka lat nieobecności Pawła, nie słyszała, żeby Piotrek pytał o ojca. I do tego jeszcze przez sen i w gorączce. Paweł, gdy się wyprowadzał, poprosił syna, żeby zawsze pamiętał, że on go kocha i kochać będzie do końca swoich dni. Ale musi wyjechać, bo nie ma innego wyjścia. Nie umie inaczej i potrzebuje czasu. Głupota! Tak mówią wszyscy ojcowie, którzy zostawiają swoje dzieci. Że kochają. Jakby rzeczywiście tak było, znalazłby rozwiązanie nieco inne niż to, które wybrał. Gdyby tylko chciał. Kasia byłaby gotowa zapomnieć, choćby dla syna. Choćby dlatego, by rodzice się nie martwili. Dużo tych „choćby”! Cholera, zakłęła pod nosem i wystukała numer przychodni. Oj, nie! Nerwy! Przecież jest niedziela, przychodnia jest nieczynna. Pogotowie ratunkowe. Szybko uzyskała połączenie.

– Proszę czekać, lekarz będzie za mniej więcej trzydzieści minut – usłyszała głos dysponenta.

Siadła przy łóżku syna i położyła mu dłoń na czole.

– Piotrek, natychmiast mierzymy gorączkę. Masz chyba ze czterdzieści stopni!

Zdenerwowała się jeszcze bardziej. Mama Kasi wniosła do pokoju gorący napar. Zapachniało lipą z ogrodu kiedyś należącego do dziadka.

– Wypij. To na poty.

– Piotrusiu, może ja nie powinnam tak często wyjeżdżać i zostawiać cię tutaj samego?

– Nie jestem małym dzidziusiem.

– Dla mnie zawsze będziesz malutki. – Pogłaskała go po ciemnych, kręconych, posklejanych od potu włosach.

– Świnka – zawyrokował przybyły lekarz pogotowia. – Trochę niebezpieczna w jego wieku, ale wyjdzie z choroby bez szwanku – pocieszył przerażone kobiety. – Tylko przez tydzień nie będzie fotogeniczny – dodał, żeby rozładować napiętą atmosferę.

Lekarz wyszedł, mama Kasi, uspokojona nieco, pobiegła do samotnie spędzającego czas, także niedomagającego ojca. Piotrek dostał zastrzyk, po którym zasnął, a Kasia włączyła komputer. Chciała w wyszukiwarce znaleźć informację o przebiegu świnki u nastoletnich chłopców. Ufaj, ale sprawdzaj – to główna maksyma jej szefa, na dzisiaj zapożyczona przez nią bez jego wiedzy. Wystukała „świnka” – pojawiło się kilkanaście informacji z bezpłatnych stron medycznych. Wchodziła na nie po kolei. Metodycznie. Kilka z nich okazało się jednak witrynami płatnymi, ale to, co przeczytała w kolejnych, pokrywało się z informacjami uzyskanymi od lekarza pogotowia.

Ucieszyła się, ziewnęła uspokojona i przeciągnęła na wysokim fotelu. Rękę trzymała na myszce. Dlaczego on wołał swojego ojca? – pomyślała. Powoli najechała kursorem na okienko w wyszukiwarce. Paweł Rybak – wpisała po namyśle. Wyświetliło się 55 stron. Po chwili wahania otworzyła pierwszą

z nich. Zaczęła wchodzić po kolei w każdy wyświetlony link z tym imieniem i nazwiskiem. Na razie nic jej nie pasowało. Większość z nich dotyczyła zupełnie obcych jej osób. Te strony, które mogła przypasować do męża, były przedawnione. Znalazła tylko informacje o napisanych kiedyś przez Pawła artykułach albo o zajętych przez niego lokatach w biegach przełajowych sprzed kilkunastu lat. Poza tym nie natknęła się na nic nowego, co mogłoby dotyczyć Pawła. Tak jej się wydawało. Po dwudziestej stronie skapitulowała.

Wróć do tego za jakiś czas – pomyślała bez przekonania, wychodząc z programu. Ziewnęła głęboko i poszła wreszcie spać.

– Doroto, nie będę mogła przyjechać w ten weekend. Piotruś jest nadal chory na świnkę. Mam tylko prośbę. Miałam zająć na chwilę do babci Kondratowicz, upiąć jej firany. Wprawdzie protestowała, bo ona zasadniczo nie chce od nikogo pomocy, ale wymogłam to na niej. I teraz nie mogę jej zawieść.

– Polecę do niej, bo mnie zainteresowała. Jak ona tak może?! Wczoraj listonosz mi opowiedział, że odsyła wszystkie listy, które przychodzą do niej zza oceanu, z Florydy. To na pewno od jej córek – opowiadała Dorota.

– Jakich córek? Co ty mówisz? Przecież one od dawna nie żyją. Mówiła mi, że umarły – oponowała Kasia.

– Wiesz, na pewno źle ją zrozumiałaś. Tak się czasem mówi. Żyją sobie w najlepsze, wcale o matkę się nie troszcząc. Może miała na myśli, że dla niej umarły? Tacy prości i surowi ludzie nie idą na kompromisy. Albo, albo.

Kasia zwróciła uwagę, że zaczęła już żyć tamtym spokojnym, wiejskim życiem. Problemami tamtejszych ludzi i ich życiowymi wyborami. Wszystko tam było inne niż w mieście. Królowały wprawdzie spokój i brak pośpiechu, ale..., no właśnie, problemy urastały do zdecydowanie zbyt dużych jak na ich powagę rozmiarów. Podobnie konflikty. Czasem można się tak zapętlić w swoim bólu czy swojej krzywdzie, że potem nijak nie można odwrócić biegu przyszłych wydarzeń – pomyślała. Babcia Kondratowicz wmówiła sobie niewątpliwie tę niechęć do córek. Ileż to lat temu było? Dorota wspominała, że kilkanaście. Niechęć, wrogość i żal najpierw hodowane, a potem pielęgnowane w sobie, rozwijają się jak rośliny w ciepłej, wilgotnej aurze. Ukorzeniają się. Ewoluuja w kierunku nienawiści.

Bo jak można inaczej wytłumaczyć aż tak bardzo ostatecznie wyrażoną wolę niewidywania się ze swoimi dziećmi? Kasia próbowała sobie wyobrazić, jaki powód mógłby ją samą doprowadzić do takiego postępowania w przypadku Piotrka. Nic jej jednak nie przychodziło na myśl. Muszę szybko doprowadzić do tego, by sąsiadka opanowała swój gniew – postanowiła.

– Doroto, podpytaj tego listonosza, może poda nam adres. Albo piśnie, skąd te listy przychodzą... – Te informacje były Kasi potrzebne do realizacji powziętego teraz, tutaj, zupełnie przecież ad hoc, ryzykownego planu. Dokąd ją zaprowadzi? Nie wiedziała.

– Coś ty? Wybierz to sobie z głowy. Nie poda, bo to jest objęte tajemnicą korespondencji. A po co ci to? Takie życie wybrała, widocznie nie jest jej potrzebne towarzystwo. Zresztą, gdyby one chciały, to już dawno by tę sytuację zmieniły. Widocznie nie chcą.

– Świat nie jest czarno-biały – skwitowała Kasia.

Przecież piszą listy do matki – myślała. – Czyli nie jest tak, jak mówi Dorota. Chcą. To wszystko jest dla nich na pewno bardzo obciążające: mieszkać tak bardzo daleko, mieć niedającą spokoju świadomość, że w opuszczonym kraju, na odludnej wsi pozostaje coraz bardziej krucha i niedołączona matka... I przyjmować jej ciągłe odrzucenie. To musi boleć. To musi powodować wyrzuty sumienia. A z drugiej strony – ta nieustająca wiara ich matki w samowystarczalność, jej zamknięcie się na jakąkolwiek pomoc od kogokolwiek. Jak dziecięce „ja siama”! „Nie potrzebuję pomocy od nikogo, czekam tylko na śmierć” – powiedziała jej ostatnio. Ale jednak nadal jest ciekawa świata, pod osłoną nocy wygląda na niego zza firanki, a latem, po kryjomu, zza maskującego winobluszczu obserwuje wieś. Dlaczego nic mi w niej nie pasuje? Jakaż ona jest intrygująca!

– Muszę koniecznie załatwić sprawy z babcią Kondratowicz – powiedziała do syna.

Piotrek podniósł znad książki od fizyki swoją niezbyt fotogeniczną twarz.

– I tak masz lepiej niż Wojtek, bo nie musisz przestać pić.

Roześmieli się oboje.

Dorota z Tamarą mieszkały już na stałe w Mordkach. Ona jako głównodowodząca, a córka jako jej asystentka i podkuchenna albo pomocnica w doprowadzaniu domu do porządku, będąca jednak na nieustającym stażu. Choć nikt nie miewał okazji ani też odwagi w tym domu nabrudzić. W takiej sytuacji wszystko zawsze pozostawało nieskazitelnie czyste, wręcz sterylne, a każdy przedmiot miał swoje miejsce, bardzo precyzyjnie przez Dorę wyznaczone. I w tym względzie żadne, nawet drobne odstępstwo nie było możliwe. Jednak gdy przyjeżdżała Kasia, swoją spontanicznością i niezwracaniem zbytniej uwagi na zbędne, drażniące w zwykłej codzienności, uciążliwe nawyki, wносиła do tego domu pewien estetyczny niepokój. Ale i tym samym nowe zajęcia dla Doroty, co ta niewątpliwie bardzo lubiła. Kasia buntowała się wtedy, bo miała świadomość, że nie po to otwierają, wydawałoby się, poważne przedsięwzięcie, ośrodek o kilkunastu pokojach, żeby go nieustająco i własnoręcznie sprzątać, lecz po to, żeby nim zarządzać i uzyskiwać z tego tytułu profity. A w zasadzie olbrzymie zyski.

– Wiesz, Dora... Kurczę, według mnie powinnaś się jednak wznieść ponad te wszystkie prozaiczne czynności i w zamian zabrać się za zorganizowanie parasola dla naszych, kruchych na razie, niestety, interesów – stwierdziła Kasia zaraz po przyjeździe do Mordek w piątkowy wieczór.

Zaczął się już listopad, do świąt Bożego Narodzenia zostało niewiele czasu. Zaczynały już nadchodzić zapytania o turnus świąteczno-noworoczny. Nie było ich wprawdzie wiele, właściwie w większości pochodziły od rodziny, ale i tych gości nie można było przecież zawieść. Tak się umówiły. Że rozruch zrobią na „drobnych cywilach”, jak ich nazwały.

– Czyli co mam zrobić?

– Musisz się zaprzyjaźnić z niektórymi notablami w okolicy.

– To nic wielkiego – prychnęła Dorota. – Większość z nich to moi koledzy i koleżanki z klasy. Myślisz, że sama przyjaźń wystarczy?

– Może i nie. Chociaż zasadniczo uważam, że ciesząc się, tak zwyczajnie, po ludzku, sympatią, też można wiele uzyskać.

– Ta dziewczyna w banku, wyobraź sobie, wzięła perfumy bez żadnego zazenowania. Nawet bym powiedziała, że łapczywie. A ja tak się niepokoiłam, bo nie wiedziałam, czy mnie nie pogoni.

– No widzisz!

– Dobrze, że mam jeszcze kilka flakonów i kilka pudełek francuskich kremów do twarzy. Tutaj, u was, są bardzo drogie, a w Niemczech nawet klientki domów starców ich używały. Nie mówiąc o Frau Sztompke, bo ta, jak ojro jeszcze nie było walutą, siatkami zносиła do domu luksusową chemię i markowe kosmetyki. Nieraz tak było. Ale żeby tępa Niemra lepszą od tego cerę miała? Nic z tego. W ogóle. Nie wiem, czy jakąś szkołę skończyła, pewnie nie, sknerus z niej rasowy, zwłaszcza jak trzeba było klatkę schodową malować czy wręcz sprzątać. Wtedy nigdy marek nie miała, ale na swojej gębie nie oszczędzała.

– To strasznie niesprawiedliwe. Zobacz, jaką zniszczoną cerę ma babcia Kondratowicz, a ona nigdy by nie pomyślała, żeby kupić sobie taki drogi krem – zauważyła Kasia.

– Tak, ale dla mnie jest przez to sto razy ładniejsza od tych wszystkich samotnych, nakremowanych, umalowanych i wyperfumowanych niemieckich babć. Pachnie polską ziemią, mlekiem prosto od krowy i przez to jest niesamowicie prawdziwa. Jej starość też jest prawdziwa.

– O nie, nie mów tak, kremy są dla ludzi. Dlaczego babcia Kondratowicz ma śmierdzieć krowim mlekiem? Dlaczego nie miałyby się lepiej ubrać? Albo pojechać sobie gdzieś do sanatorium? Czy pójść na kawę? Zresztą, skąd wiesz, że prawdziwe życie to akurat takie, jakie wie dzie ona? Skąd masz tę pewność? Pytałaś ją kiedykolwiek o to?

– Nie, ale swoje wiem. Pomyślałaś, czy ona czułaby się w tamtych miejscach dobrze? To nie jest jej świat. Jej świat to nieustające zmaganie się z tą ziemią, praca i proste życie oparte na prostych zasadach. A nie tak jak tam. Oni już nie wiedzą, dokąd pojechać. Majorka? Nuda. Tajlandia też. Kanary? Ile razy można? Europa cała, Tunezja, Maroko, Bali, Dominikana... Ach, długo by wymieniać. Dokąd tu jechać? Już nie ma dokąd.

– No tak. Pozostaje jedynie depresja – zamyśliła się Kasia.

– A zresztą – dodała po chwili Dora – ta tragedia z tsunami to palec boży. Bo to nie tak powinno być, żeby dla zbytku szwendać się po świecie i różne dziwactwa wymyślać. Ostatnio przemówiłam się z Herr Rourke. Jak jeszcze żyła jego żona, było wszystko w porządku. Za przykład mogłam ich dawać niejednemu Polaczкови. Poza tym, szanowali mnie, mimo że tylko sprzątałam. Tak chciałam sobie dorobić popołudniami, Kiciuś nigdy złotówki nie przysłał dla Tamary. Nieważne. Nie było źle. Ale jak Frau Rourke zmarła, jej mąż jakby zapadł się pod ziemię. Nie odzywał się, nie potrzebował, żeby mu posprzątać, nic. Żal mi było, bo dobrze płacili. Ale trudno. Przebolełam. A tu nagle odezwał się po kilku miesiącach i zaprosił mnie do domu. Pojechałam, ubrałam się starannie, zawsze tak było, bo to byli bardzo eleganccy ludzie, tacy na poziomie. Przywitał się, poczęstował kawą, a potem powiedział, że chce mi kogoś przedstawić. Myślałam, że chodzi o kobietę. Rzeczywiście, szło o kobietę, ale jaką! Pokazał mi trzy razy młodszą od siebie Tajkę! Widocznie nie potrafiłam ukryć niechęci i do niego, i do tej dziewczyny, po co zresztą miałabym udawać?! Zmieszał się. Już chciałam wyjść, ale zatrzymał mnie i powiedział, że ma dla mnie pracę. Że tak jak dawniej. Wiesz, co mi zaproponował? Bym wyprasowała jej rzeczy. Jej i jego także. *Szajse!* Zostałam. Ale wyprasowałam tylko jego koszule. I koniec.

– Przecież by ci zapłacił...

– Jak mogłabym prasować jej rzeczy? Nie będę obsługiwać auslandrów! Nie i już. W Niemczech mieszkałam już kilkanaście lat, a ona dopiero zjechała i co? Panią zgrywa. Herr Rourke zaczął się tłumaczyć, że on jej tylko pomaga, że ona do szkoły tutaj przyjechała. A przecież widziałam ich pościel.

– Wstydił się. Wiesz co? Coraz częściej myślę, że nie należy się wstydić, bo to w końcu ludzkie uczucie. Ja zawsze udawałam, że po mnie spływa... ale tak nie było. Wydawało mi się, że muszę udawać silną. A co do niego, to jest jakiś rodzaj pomocy, tak sądzę. W końcu Tajlandia nie jest bogatym krajem.

– Głupoty opowiadasz. Niemek wolnych nie ma? Wiesz co? Według mnie to pójdzie na łatwiznę, tanią dziwkę sobie znalazł! Jakby chciał pomóc, dałby pieniądze, umieścił w internacie czy nawet kupił jakieś małe mieszkanie. Zresztą, mogli wcześniej pomagać, jak żona żyła, jest całe mnóstwo zapomnianych ludzi, żyjących w nędzy, w Afryce na przykład...

O tak! Na temat Afryki poglądy akurat miały takie same. To świat zapomniany, niekochany. Łąd pokrzywdzony. Nie można dopuszczać do aż takiej cywilizacyjnej dysproporcji. Aż do takiego ubóstwa. Dlatego też i choćby po to właśnie, aby wykształcić tylko jedno dziecko, które inaczej nie miałoby na to szansy, warto być bogatym – umocniła się w swoim materialistycznym przekonaniu Kasia.

– Dowiedziałaś się czegoś od tego listonosza? – zapytała po chwili milczenia.

– Nie miałam odwagi.

Zamilkły zatopione w swoich myślach, tym razem bardzo mocno zbieżnych co do sedna sprawy.

Dorota jednak przejęła się losem zatwardziałej w swoim gniewie sąsiadki. Będąc kolejnego dnia rano w Olecku, ale także tutaj, na wsi, popytała starszych mieszkańców i przywiozła na temat babci Kondratowicz bardziej szczegółowe informacje. Kilka godzin po południu wróciła do domu i od razu obwieściła:

– Najwięcej z tego wszystkiego dowiedziałam się nie od listonosza, ale od tutejszych. Danusia też coś dodała.

– O babci? A, to dlatego znowu słyszałam ten piskliwy szczekot Lady. To ciebie pewnie obszczekiwała? – uśmiechnęła się Kasia. Rozsiadła się na ławce pod oknem. – Zamieniam się w słuch.

– Zacznę, choć niedługo ma przyjść Danuśka. Ona może coś więcej dopowie. Córki babci Kondratowicz to Jadzia i Halinka. Kilkanaście lat temu nagle zmarł ich ojciec, Władek Kondratowicz. On wszystkim tutaj zarządzał, babcia to przy nim była taka szara myszka. Zawsze mówiła, że kobieta musi iść pół kroku za mężem... – rozpoczęła opowieść Dorota.

Po jego śmierci – a to było kilkanaście lat temu – niezamężne jeszcze córki chciały rozbudować dom rodziców i nadal prowadzić gospodarstwo rolne, ale ich matka im na to nie pozwoliła. Powiedziała wtedy, że całe gospodarstwo jest jej własnością, więc wyłącznie ona będzie o nim stanowić, a im nic do tego. I że jeśli tak bardzo chcą, to niech stawiają sobie domy, ale gdzie indziej. Bo ona chce tutaj umrzeć, a przed swoją śmiercią życzy sobie mieć spokój, a nie rozgardiasz. I dopóki żyje, nie da zniszczyć tego, co zbudował nieboszczyk Kondratowicz. Okna wstawiał, tuż przed śmiercią jeszcze je malował – argumentowała wtedy.

– Tak to jest. Teraz wszystko niszczało, bez niczyjego udziału. I spokoju nie ma – zauważyła gorzko Kasia.

– Tak, i wtedy od słowa do słowa wybuchła kolejna kłótnia. Powiedziała wtedy, że mają się natychmiast wynosić z jej domu. Po dwóch miesiącach spakowały się i wyjechały. Nikt ich już później nie widział.

– Smutne... Chyba znowu słyszę szczekot Lady. Ty też? Bo boję się, że mam na jej tle obsesję.

– To Danuśka, sama teraz siedzi w domu jak sekutnica, bo jej Endi znowu jest w Niemczech. To ją zaprosiłam.

Kasia wstawiła czajnik na palenisko. Wyciągnęła z szafki podłużny talerz, na którym leżał polany lukrem placek z suszonymi śliwkami. Na stół położyła kolejną żółtą serwetkę. Dobrze, że wreszcie pojawi się w tym domu jakiś gość, bo już przywykła do większej liczby osób kręcących się po domu i w obejściu. Wszystkie ważniejsze prace budowlane i modernizacyjne już się zakończyły. Tym razem były tylko we trójkę, bo Majka kilka dni temu pojechała po Zuzę do Warszawy, skąd obie miały ruszyć do Częstochowy i wrócić do Mordek dopiero w połowie grudnia.

– Jak ci dobrze, że masz kręcone włosy. Takie nigdy nie oklapną pod czapką – zauważyła Danuśka zaraz po wejściu. Z zazdrością przyglądała się Dorocie, która cierpliwie próbowała utworzyć na karku węzeł ze swoich grubych i gęstych włosów. Kasztanowa fryzura wymykała jej się jednak i nie dawała ujarzmić. – Ja nie mogę założyć na głowę, co popadnie. Teraz postanowiłam, że kupię sobie kapelusz z dużym rondlem.

Danuśka podniosła wysoko brodę i poprawiła ręką włosy. Siedziała wygodnie w dużym fotelu obok kominka, z jedną nogą założoną na drugą. Rozglądała się po jadalni i kuchni – krytycznie, ale jednocześnie z wielką uwagą. Od czasu zakończenia remontu była tutaj po raz pierwszy.

– Z czym? – parsknęła śmiechem Kasia.

– No z rondlem. Przecież mówię.

– Aha...

Kasia i Dorota spojrzały na siebie porozumiewawczo. Z trudem powstrzymywały wesołość. Jakież to było śmieszne! Kapelusz z rondlem! Większego symbolu wielkopaństwa w połączeniu z umysłową mizerotą nie mogłyby wymyślić. Dorota w końcu prychnęła lekceważąco. Jak to ona.

– Mój Endi, jak był w domu w zeszłym tygodniu, mówił – kontynuowała Danuśka – że głupio pomalowałyście ten płot...

– E tam, dobrze jest, równo... – pośpiesznie tłumaczyła Dorota, ukradkiem zerkając na Kasię. Do tej pory im się upiekło. Majka miała rację – Kasia wcale nie zorientowała się, że zrobiły wtedy, będąc bez niej, taki dowcip Endiemu. Odwet za odpady. Dorota czuła jednak dyskomfort, ogólnie nie lubiła dowcipów ani w swoim wykonaniu, ani – tym bardziej – gdy ktoś robił dowcipy jej.

– Z naszej strony nie jest równo – Danuśka przerwała siorbanie herbaty.

– No tak, bo... Bo zabrakło nam farby. Ale wy tam i tak składujecie różne niepotrzebne rzeczy, więc pewnie wam to nie przeszkadza – tłumaczyła się Dorota.

Kasia zastanawiała się, co sprawiło, że Dorota straciła zwykłą pewność siebie. Przyglądała im się zupełnie zdezorientowana, nic nie rozumiejąc. Zastanawiała się, o czym one mówią? A zresztą, niech sobie mówią – wzruszyła ramionami i zabrała się za nadziewanie kaczki. Czegoś życie w Mordkach ją nauczyło. Odpuszczania. Niewdawania się w niepotrzebne rozmowy. No i oczywiście nauczyła się tutaj smażyć kaczkę nadziewaną wątróbką z jabłkiem. Palce lizać!

Kolejnego dnia Dorota znów wstała niewłaściwą nogą i dzień zaczęła od utyskiwania. Że pogoda, że autobusy jeżdżą do bani, że w Mordkach nie jest tak jak dawniej. Kasia, jak zawsze, brała ją na przeczekanie. Po kilku godzinach Dora wróciła z Olecka i wyglądała na jeszcze bardziej wyczerpaną i zgorzkniałą.

– Tutaj, w tej Polsce, wszystko działa nie tak, jak należy. – Opadła bez sił na ławkę w kuchni.

– Co nie działa? Nie załatwiłaś? Nie było Wróbla?

– Wróbel jak to wróbel. Pofrunął, ponoć, bo nie widziałam lotu, a zresztą! Nawalacz! Przecież się ze mną umówił, ta dziewczyna od perfum wpisała nas w grafik... A on, wyobraź sobie, nie dojechał! – Dorota wzruszyła ramionami. – Potem dzwonił, łaskawca, że przesuwa nasze spotkanie na przyszły tydzień. Tu nie można niczego załatwić normalnie! No nie można! Zaczęłam tam krzyczeć, że z Mordek do Olecka autobus jeździ tylko dwa razy dziennie. To mam spać w Olecku, by załatwić swoje sprawy?! Zapytali mnie, czy nie mogę przyjechać samochodem. W Niemczech nikt nikogo nie pyta, czym przyjechał, tak się nie robi, tam jest jednak porządek i słowność. Nawet w takim Poznaniu na pewno nie trzeba się tak gimnastykować jak tutaj. Tu nikt niczego nie załatwia na czas! A słowo to chyba słowo?!

– W Poznaniu słowni już też wymarli. Dużo się zmieniło, to nie to samo co piętnaście lat temu.

– Ale żeby w interesach tak nawalać? W Niemczech to nie jest możliwe!

– Teraz jesteś w Polsce. – Kasia nie mogła już dłużej powstrzymać się od sarkazmu. Nie mogła też pozostać obojętną na nieustającą krytykę wszystkiego i wszystkich. Zdenerwowała się. – Czy ty tam kręciłaś się w biznesie? Nie kręciłaś się, rzecz jasna! Nie gderaj więc, bo to mnie nie motywuje do działania, a podcina mi skrzydła! Przypomnij sobie, jak będąc tam, narzekałaś, że Chorwatki tobą pomiatają. To tylko jeden przykład. Narzekanie niczego nie zmieni.

– Ty zawsze musisz się mądrzyć? Z tobą nie można normalnie rozmawiać. Ostatnio nawet z Majszą mam lepszy kontakt, chyba dlatego, że wreszcie zdjęła te czarne łachmany. Tamaro, powiedz, że ciocia w Niemczech nie dałaby sobie rady.

Tamara i Dorota spojrzały na siebie porozumiewawczo. Uśmiechnęły się do siebie. Kasia tymczasem siedziała przy stole i milcząc, liczyła w myślach do dziesięciu. Miała do siebie pretensje, że się uniosła. I odliczała już trzecią dziesiątkę, bo nie chciała się unieść po raz drugi tego wieczoru. Z drugiej strony wiedziała jednak, że czasem należy nawet przyjaciółce powiedzieć gorzką prawdę. A może zwłaszcza jej?

Była już połowa listopada. Na dworze panował straszliwy ziąb, po parapetach i szybach zacinało marznącym deszczem i wiał przeszywający wiatr. Tamara siedziała w bujanym fotelu przy kominku, zasłuchana w swój rozhisteryzowany organizm. Na kolanach trzymała wielkiego pluszowego misia, to był ostatnio jej codzienny towarzysz. Dorota wprawdzie już kilka razy starała się ukryć pluszaka przed córką, ale ta zalewała się łzami, co matkę zawsze wzruszało tak, że wielkie pluszowe bydlę znowu spędzało noc z Tamarą. Co tu dużo mówić, dziewczyna coraz mniej uczestniczyła w życiu domowym.

Kasia wstała tego dnia stosunkowo wcześnie. Tym razem przyjechała do Mordek już w czwartkowy wieczór. Miała nadzieję, że Janek dotrzyma słowa i uruchomi Internet. Firma telekomunikacyjna zainstalowała w domu łącze, zatem pozostała tylko konfiguracja systemu i już można by było istnieć w wirtualnym świecie. Na co bardzo liczyła.

Jej relacje z Dorotą nie układały się ostatnimi czasy najlepiej. Tego dnia postanowiła, że rozmówi się z nią i wyjaśni sobie wszystkie wątpliwości. Nie znosiła mętnej wody i chodzenia po bagnistym gruncie. Szkielet i podstawy tego, co tworzyły, miały być stabilne. Ale nie były. Teraz nie były. Od kilku dni powracało do niej niemiłe przeświadczenie o chybotliwości przedsięwzięcia, którego się podjęła. Czowała się tym wszystkim bardzo zmęczona. Poza tym, nigdy nie lubiła jesieni, wiatru, deszczu, krótkich dni i świadomości, że do wiosny, a co dopiero lata, pozostał szmat czasu. Pierwszy raz od kilku miesięcy, od kiedy zaczęła poświęcać cały swój wolny czas przedsięwzięciu w Mordkach, ogarnęło ją zwątpienie. Zastanawiała się, co dalej. Tak zastała ją powracająca z Olecka Dorota.

– No i jaki jest ten Wróbel? – Kasia ożywiła się na jej widok.

– Ponoć przystojny.

– Znowu go nie było? Skąd wiesz, że jest przystojny? – zapytała rozdrażniona Kasia.

– Bo mi jego sekretarka powiedziała...

– Jaka znowu sekretarka? – zdenerwowała się Kasia. Tego było już za wiele. I do tego jeszcze te monosylaby, które z łaski dawkowała jej Dorota...

– No jego, taka ładna dziewczyna.

– Czy dla ciebie ma znaczenie tylko uroda?! – krzyknęła rozżłoszczona Kasia. Tamara zamarła w bezruchu na fotelu i z niepokojem oczekiwała dalszego biegu zdarzeń. Mocno przytuliła do serca pluszowego misia.

– O co ci chodzi? – Dorota na moment zatrzymała się w drodze do garderoby. Brązową skórzaną torbę rzuciła na ławkę w kuchni.

– Bo pytam o Wróbla, a ty mi mówisz o jakiejś ładnej sekretarce. W biznesie nie ma ani ładnych, ani brzydkich, są tylko biedni i bogaci. W biznesie bieda jest brzydotą – wykrzyczała Kasia. I natychmiast zamilkła, zawstydzona.

– Nie mów mi ciągle o pieniądzach, bo nie tylko dla nich zaczyna się coś robić. Ja już nie mogę tego słuchać.

W jadalni zapadła głucha cisza. Tak jakby wszystkie trzy na moment wstrzymały oddech. Nawet wiatr i deszcz nagle ustały. To był ten rodzaj ciszy, po której strach rozpocząć jakąkolwiek rozmowę. Ciszy wiele rozstrzygającej. Zamykającej temat.

Pierwsza poruszyła się Dorota. Powiesiła górę od garsonki na wieszaku. Potem wstała Tamara, posadziła misia na ławce i zaczęła przygotowywać ziemniaki. Najpierw myła je pod bieżącą wodą, a potem zaczęła obierać, jak zwykle powoli i metodycznie. Kasia westchnęła głęboko i przeniosła się do pokoju obok. Włączyła komputer. Otworzyła plik z fotografiami okolicy i ośrodka. Złote łąny zbóż i łubinu, zielono-szare otoczenie jeziora i optymistyczne kolory pokoi przywróciły jej dobry nastrój. Jakiś

czas w domu panowała cisza. Ale po chwili, niestety, na podwórzu zrobił się ruch. Wilczury, leżące do tej pory przy drzwiach, podskoczyły na równe nogi i zaczęły szczekać przeraźliwie głośno. Zza płotu dobiegał solidaryzujący z nimi piskliwy jazgot Lady. Kasia wyrzała za okno. To Stasiu, znajomy z „Bus Stop”, podjechał na motorowerze przed ich dom. Wszedł właśnie na posesję, ignorując kręcące się już teraz poza ogrodzeniem psy, które puszczane wolno biegały w kółko na drodze, goniąc swoje ogony, furtkę bowiem olecki pijus pozostawił otwartą na oścież.

– Cholera, w domu nie ma pan drzwi? – wściekła się Dorota.

– O kurczę! – zawołała Kasia, pośpiesznie zarzucając na siebie wiatrówkę. Atos, największy i najbardziej groźny spośród wilczurów, puścił się pędem pod płot Endiego, gdzie, nie wiedzieć czemu, także poza ogrodzeniem, stąpała kokieteryjnie na swoich krótkich nóżkach Lady. Ufając swojemu seksapilowi. Zanadto.

Atos, psi wyrwidąb, wydawał się nią zainteresowany, a nawet na pewno był nią zainteresowany, ale na swój sposób. Doskoczył do Lady wielkim susem, powalił ją na grzbiet, łapą zablokował w tej pozycji, a pyskiem złapał za szyję i przytrzymał, aż przestała z nim walczyć. I znieruchomiała.

– Ludzie, Atos Borecki zabił moją Lady! – zawołała cienkim głosem Danuśka.

– Atos, do domu, grzecznie! – zgromiła psa Kasia.

Dorota w tym czasie wraz ze Stasiem i Tamarą łapali pozostałe korzystające z wolności psy i przywiązywali je do kołków przy budach. Atos tymczasem z pogardą porzucił leżącą na wznak, bez ruchu, Lady i majestatycznym, kołyszącym się krokiem skierował się z powrotem na swoje podwórze. Posłuszeństwo zostało wymuszone. Misja wykonana.

– Atos Borecki zabił moją Lady! – krzyczała nadal Danuśka.

– Psy nie mają nazwisk – burknęła pod nosem Dorota. – Atos to Atos, nie żaden Borecki. Psy nie mają nazwisk! Prawda, panie Stasiu?

– Moja Lady nie żyje! – krzyczała jeszcze bardziej histerycznie Danuśka.

Kasia wyszła na drogę i dotknęła zeszywniałego kundla. Potargana zwykle sierść suki wyglądała, jakby nie była nigdy szczotkowana. Uszy sterczały jej jeszcze bardziej nierówno, a zamiast szarych psich oczu widać było tylko same białka. Gdy Kasia dotknęła jej szyi i wyczuła tętno, Lady gwałtownie się poderwała na swoje krótkie, drżące teraz nogi i pędem puściła do swojego ogrodu. A potem co sił w nogach do domu. Dużo szybciej od swojej szczęśliwej już teraz pani.

Zdenerwowany sytuacją Stasiu przełknął ślinę i nieśmiało wychrypiał:

– Też uważam, że psy mają tylko imię. Baby jak już coś wymyślą... Pani Borecka, kiedy przyjedzie tu z powrotem pan Kajetan?

– Kiciuś jak już, a nie Kajetan. Jaki z niego Kajetan? – burknęła pod nosem Dora.

– Mówił, że na imię ma Kajetan – zdziwił się Stasiu.

– Panie Stasiu, czego pan od niego chce? On już tutaj raczej nie przyjedzie. Nawet jestem pewna, że nigdy już tu nie przyjedzie – zdenerwowała się Dorota.

– Obiecywał, że ją zatrudni, jak tylko skończy kurs...

– W Poznaniu ma kogoś zatrudnić? – nie zrozumiała Dorota.

– Że tutaj w waszym ośrodku zatrudni moją Krysę. Nic nie mówił? – zdziwił się Stasiu.

– Kiciuś jest tutaj nikim, nie mógłby tutaj nikogo zatrudnić. Jest tylko moim bardzo byłym mężem i już go pan tutaj nie zobaczy. Pana Krysia też go nie zobaczy. Kim ona miałaby niby być? – Dla Doroty poręka Kiciusia natychmiast dyskwalifikowała oferenta, jednak w przypadku Stasia, patrząc na jego pocziwą twarz z żalną miną, od razu skapitulowała. Mimo że był pierwszym ochlejem powiatu.

– Księgową. Kurs w Olecku teraz skończyła. Mogłaby już jutro zacząć – ucieszył się.

– Nie mówię, że to zupełnie niemożliwe. Być może będziemy mogli ją przyjąć do pomocy, ale

dopiero, kiedy biznes ruszy. A na razie jest, niestety, w powijakach – zastrzegła Dorota.

Poza tym, taka decyzja wymaga jednak porozumienia z Kasią – pomyślała. Bo jeśli mają być współniczkami, to niech nimi będą. Porządek musi być. Kasia, słysząc końcówkę rozmowy między Dorotą i Kaziem, pomyślała to samo. Że pewne rzeczy muszą, ale to koniecznie, uzgadniać, by nie tworzyć niepotrzebnej nikomu napiętej atmosfery.

– Dziękuję, pani Borecka. Zobacz pani, moja Krysia jest mądra i pracowita. Na pewno nie będzie pani żałować.

Może nie będziemy żałować – pomyślała Dora w liczbie mnogiej, mając na myśli Kasię.

Tego samego dnia po południu atmosfera w domu była nadal napięta. Incydent z Atosem, w swojej istocie bardzo zabawny, nie przełamał niechęci, jaka zapanowała między Dorotą i Kasią. Obiad wprawdzie zjadły wspólnie, ale w milczeniu. W takich chwilach Kasia czuła się w Mordkach niepotrzebna. Starła się wynajdować sobie jakieś prace, ale była świadoma, że gdyby jej na Pojezierzu Ełckim nie było, dom działałby tak samo. Buntowała się, bo bardzo nie lubiła marnować czasu ani też pozorować czegokolwiek. W swoim codziennym życiu współpracowała głównie z mężczyznami, a to nauczyło ją jasnych, konkretnych zachowań, bez zbędnego kluczenia i podtekstów. Tak do niedawna żyła. Czy obecnie tak było? Nie. Miała poczucie, że na jeden metr kuchni tego domu przypada zbyt dużo kobiet. Miała poczucie bycia jedną z tłumu. Tęskniła za współpracą z mężczyznami. I za samodzielnością i niezależnością.

Za mężczyznami... Tak, odwiedzę Janka! – pomyślała i od razu bardzo się z tej myśli ucieszyła. Jak zwykle, spontanicznie chwyciła słuchawkę telefonu. Dory nie było w pobliżu, nie mogła słyszeć rozmowy, dzięki czemu Kasia miała swobodę i zupełnie bezwstydnie mogłaby się wprosić do sąsiada. To znaczy do domu Janka. Czuła bowiem, że natychmiast musi wyjść z domu, porozmawiać z facetem, nawet jeśli miałyby go błagać o gościnę.

– Mogę teraz przyjść do ciebie? – zapytała, gdy uzyskała połączenie. Nie była przygotowana na odmowę, jednak zdawała sobie sprawę, że takowa może nastąpić. Wiedziała, że dla Janka liczy się tylko i wyłącznie Dorota. Nie miała zamiaru wchodzić między nich, była jednak zdeterminowana, bo nie miała w pobliżu kogoś, komu mogłaby się wyzalić. Intuicja wprawdzie podpowiadała Kasi, by ostrożnie wypowiadać przemyślenia na temat Dory, ale jednak. Czuła, że jeśli nie wyjdzie natychmiast z tego domu, to najpewniej się uduśi.

– Spokojnie, ale spotkajmy się przy moim zejściu do jeziora, bo muszę wyciągnąć łódkę i przewieźć ją na podwórze – ucieszył się. Tak jej się wydawało.

– Dobra, to zaraz będę. – Kasia błyskawicznie założyła gruby polar i nieprzemakalną kurtkę z kapturem. Na dworze wiało. Śpieszyła się, bo co prawda była dopiero czternasta, ale już za półtorej godziny będzie ciemno i ponuro. Miała poczucie, że żyje w mroku. Tak jej się zawsze wydawało jesienią. W Poznaniu zapalała wtedy wszystkie światła, ale w Mordkach musiała się dostosować do upodobań Doroty, a w jakiejś części i Tamary. A one, nazywając to oszczędnością, wołały żyć po ciemku. Byłe do świąt – pomyślała Kasia – bo potem czeka nas prawdopodobnie większa nadzieja i optymizm meteorologiczny.

– Będę z Jasiem nad jeziorem. Wrócę najpóźniej za półtorej godziny – powiedziała szybko, unikając kontaktu wzrokowego z Dorotą, i natychmiast wypadła na zewnątrz, żeby nie usłyszeć komentarza, burknięcia ani prychnięcia. Będąc już za drzwiami, pomyślała jednak, że mogłaby, będąc na spacerze, porobić zdjęcia. Wróciła.

– Ach wiesz... zapomniałam – wytłumaczyła się Dorocie. – Wezmę ze sobą aparat, bo w końcu te jesienne widoki również mają swój urok – dodała. – I kto wie, czy nie bardziej wyrazisty niż latem? – Spojrzała na koleżankę niepewnie.

– Pfff – prychnęła Dorota, szukając, jak zawsze, w oczach córki porozumiewawczego błysku. Tamara spojrzała na matkę, uśmiechnęła się lekko, ale zaraz uciekła spojrzeniem w bok, a potem tylko spuściła głowę. Dorota wzruszyła ramionami.

No tak, za chwilę może dojdzie do tak wielce perfekcyjnej komunikacji między nimi, że nie będą już potrzebowały nic do siebie mówić – zauważyła Kasia. Spojrzą tylko i po oczach odczytają, jaki mają pogląd na wytrzymałość dachu osadzonego na drewnianych krokwiach albo na stropach Ackermanna. Na

przykład.

Takie myśli zaprzętały uwagę Kasi jeszcze przez chwilę. Biegając drogą pod górkę, w stronę Solińskich, czuła, że tym razem ucieka z domu tylko mniej przerażona niż pamiętnej letniej nocy, gdy kryła swą nagość pod satynowym wdziankiem. Jasia zastała czekającego na nią przy zejściu do jeziora.

– Wiesz, musiałam się trochę przewietrzyć. Nie wiem, czy powinnam ci to mówić. Dorota chodzi nadąsana. Obraziła się, bo mam inne zdanie na temat różnic między prowadzeniem biznesu tutaj i w Niemczech. Jesteśmy sobą zmęczone. Strach pomyśleć, co będzie dalej – zwierzyła się.

Ale za chwilę przestraszyła się, że będąc w Mordkach obcą osobą, wymusza na długoletnim obywatelu tej wsi ocenę drugiej, równie zagnieżdżonej tutaj od lat osoby. Zerkała na Jasia badawczo. Tymczasem on spojrział na nią tak, że poczuła jakby zza ciemnych i wiszących nad głowami chmur wyjrzało słońce – na ogorzalej od wiatru twarzy tego niesamowicie męskiego faceta rysowała się troska, tak, to było widać. Niesamowita troska, ale także zmartwienie. W ciemnych oczach Janka Kasia dostrzegła te same uczucia, które w takiej sytuacji widziałyby w oczach swojego ojca. Zainteresowanie, niepokój, troska, przyjaźń. U ojca dostrzegłaby także miłość.

– Dlatego jestem absolutnie przeciwny łączeniu przyjaźni i biznesu. Z tego zawsze, tak obserwuję po znajomych, wychodzi niezła kabała. I kończy się zawsze podobnie. Nie ma ani przyjaźni, ani już, niestety, biznesu. – Janek zatrzymał się przy zejściu nad jezioro, zamyślił się. Ogólnie posmutniał.

– Wydaje mi się, że z kobietami jest inaczej, bo one wymagają, żeby się wzajemnie wspierać, potrzebują siebie. U nas, na całe szczęście, to jest dopiero pierwszy tego typu zgrzyt – westchnęła. W rzeczywistości, mówiąc to, chciała uspokoić samą siebie. Bo gdy się taką myśl wypowie na głos, uzyskuje ona moc zaklęcia i potem niewiele trzeba, żeby zaczęło ono działać – bardzo często w ten sposób dodawała sobie otuchy.

– Ale chyba też nawzajem bardziej się ranią. Chyba... – Janek spojrział badawczo na Kasię. Bardzo zaskoczyła ją ta uwaga. Spojrzała na niego, niosąc w swoich oczach pytanie, i pomyślała, że on staje się dla niej coraz bardziej zagadkowy. Jednocześnie coraz bardziej ważny. Zawstydziała się, ale nie odwróciła wzroku od jego twarzy. Zdarzyło jej się to pierwszy raz od lat. Że patrzyła na faceta, nie kryjąc tego, mimo obaw, jak on to przyjmie. Janek zauważył, że Kasia przygląda mu się z wyrazem niepewności na twarzy. Zatrzymał się przy brzegu ponurego jeziora, uśmiechnął się do niej i powiedział cicho, zapewne, aby ją uspokoić:

– Wiesz, naprawdę życzę wam jak najlepiej.

Po czym zdecydowanym krokiem wszedł na pomost. Kasia odważyła się pójść za nim, wcześniej jednak sprawdziła, czy drewno na kładce nie jest oblodzone. Nie znosiła stanu, kiedy zupełnie niespodzianie, bez kontroli nad swoim ciałem, traci się grunt pod nogami. Wiatr od jeziora dmuchał z wielką mocą. Stojąc na wąskim pomoście nad ponurymi wodami, czuła się bardzo niepewnie. Janek obejrzał się i zrobił dwa kroki w jej stronę. Zatrzymał się na moment, po czym podszedł bardzo blisko, aż poczuła jego zapach, który był mieszanką woni wody z jeziora, smarów, jakich używa się do maszyn, i dobrej wody kolońskiej.

– Kasiu, pozwól. Założę ci kaptur, bo się przeziębisz. Gdzieś ci się ten szal zaplątał i teraz całą szyję masz gołą.

Stał naprzeciwko, był wyższy o głowę, dzięki czemu Kasia widziała pojedyncze włosy rosnące u nasady jego szyi i mały pieprzyk z trzema króciutkimi włoskami w okolicy ucha, który koniecznie chciała dotknąć. Powstrzymała się, bo poczuła, jak ten silny, ogorzały męczyzna troskliwie zakłada jej kaptur na głowę i opatula szalem. Miał ciepłe ręce. Co tam ręce! Cały był tak rozgrzany, tak ciepły troską, jaką jej ofiarował, że w jednej chwili zapragnęła rozpiąć do końca jego puchową kurtkę, włożyć pod nią swoje dłonie i rozgrzać zgrabiące od zimna palce gdzieś na jego plecach. A potem wtulić się i położyć

policzek na grubym swetrze Jasia. Wreszcie oprzeć się na nim, utwierdzić, dzięki temu, że robi słusznie, angażując się w to przedsięwzięcie. Upewnić co do jego przyjaźni. Ale pomyślała o Dorze. A potem o Majce. I prędko uświadomiła sobie, że zbliżając się do Janka, postąpiłaby względem Doroty tak samo jak kiedyś Majka wobec niej.

Odsunęła się od Janka, zachciało jej się płakać. Pożałowała, że nie została w domu, mimo panującego tam chłodu.

W oddali, w dolinie, drogą w ich stronę zmierzała ciężarówka, która miała przewieźć łódkę na podwórze Solińskich.

– Trochę ją muszę wyremontować, bo w przyszłym sezonie znowu chciałbym z twoim Piotrkim wypłynąć nocą na ryby. A może i ciebie byśmy zabrali... – powiedział, patrząc na zbliżający się samochód. A potem spojrzał na Kasię, uśmiechnął się i zrozumiał, że wyczuła jego intencję. Gdy mówił o planach, błyszczały mu oczy.

– Ojej, ja się strasznie boję wody, bo dawno temu się topiłam. Dorotę zabierzcie, ona z chęcią by popłynęła.

Kasia powiedziała to bez przekonania, bo akurat Doroty na tej łodzi zupełnie nie umiała sobie wyobrazić. Przecież ona nie potrafiłaby tam spokojnie usiedzieć. Kasia powiedziała to, bo nie umiała zdefiniować swojej znajomości z Jankiem. Prawdą było, że istotnie, topiła się kiedyś, jako początkująca wioślarka, w Warcie, ale później, gdy pływała już wyczynowo, jej lęk przed wodą przecież minął. Po latach pływanie jako takie znudziło Kasię, poza tym nie miała potrzeby bić kolejnych rekordów, a czuła, że by osiągnąć sukces, musiałaby poświęcić sporo czasu na treningi w wodzie. A tego nie chciała. Bo i po co?

Pomimo to, że wszystkich kobiet, które знаła, siebie jedynie widziała na tej łodzi, wyłącznie siebie. Wykreowała naprędce w myślach romantyczny obrazek, jak wypływają o świcie we trójkę – to znaczy ona, Janek oraz Piotruś – jak odbijają od pomostu. Jest lato. Biorą ze sobą jedzenie i napoje w wielkim koszyku. Janek jest kapitanem, a ona z synem – parą niezwykle grzecznych pasażerów, bardzo pewnych jego umiejętności. Delikatny uśmiech przebiegł po twarzy Kasi. Móc zaufać to piękne uczucie – pomyślała. Bardzo chciałaby móc wierzyć wszystkim i chciała też ponownie zaufać mężczyźnie. Bardzo chciała.

Stała na pomoście ze zmrużonymi oczami i uśmiechała się do swoich myśli. Nie czuła przenikliwego zimna, wprost przeciwnie, docierało do niej ciepło płynące od życzliwej duszy. Czuła, że coś między nią i Jankiem powstało.

– Dorotę, mówisz? Czas pokaże – mruknął pod nosem Janek, próbując przyciągnąć łódź jak najbliżej pomostu.

– To co, skonfigurujesz mi mój komputer tak, żebym mogła już korzystać z Internetu? I pomyślisz o naszej stronie? – przypomniała sobie o konkretach.

– A mogę jutro wieczorem? – Janek był skupiony na oględzinach łodzi. Samochód do jej przewozu zaparkował na drodze w pobliżu.

– Pewnie. Poczekaj chwilę, proszę. Muszę to zrobić! – Kasia stanęła z aparatem w ręce kilka kroków wyżej, na zejściu do jeziora. Zainspirowała ją gra barw i nastroju: złowroga szara woda, podobne, o barwie gołębia, niebo, ciemnowłosa, uśmiechnięty mężczyzna w żółtej puchowej kurtce i biało-błękitna łódź z czerwonym napisem „Between”.

Dopiero teraz dostrzegła to słowo. Przez obiektyw. To znaczy widziała je wcześniej, ale nie zwróciła uwagi na jego znaczenie, niewątpliwie posiadające głębię.

– Co chciałeś wyrazić, nazywając tak swoją łódź? – zapytała zaintrygowana.

– Każdy z nas zawsze jest pomiędzy tym, co było, a tym, co będzie. Czyż nie tak? – zamyślił się.

Zacisnął szczęki, zmarszczył czoło, potarł je, a po chwili spojrzął znowu na Kasię, w taki sposób jakby przypomniawsobie o jej istnieniu.

– To do jutra, będę wieczorem. – Uśmiechnął się do niej ciepło, po czym zdecydowanym ruchem ręki wskazał kierowcy miejsce, dokąd ma podjechać, a sam zszedł ponownie na pomost i zajął się rozwiązywaniem zamrożonej cumy. Podgrzewał ją kagankiem z naftą i w tamtej chwili zdawał się całkowicie pochłonięty tą czynnością. Gdy odwrócił twarz w jej stronę, była już kilka metrów od pomostu, z daleka pokiwała mu ręką.

Albo między kimś, z kim się było, a kimś, z kim się dopiero będzie – zastanawiała się w drodze powrotnej do domu.

Jakże łatwo było jej podjąć tak trudną decyzję! Kameleon! Kasia nie poznawała Majki. Po dwóch godzinach wróciła do domu znad jeziora mocno zmarznięta. Wiatr w połączeniu z wilgocią od zacinającego i z mety marznącego deszczu dawał poczucie nieprzyjemnego, przeszywającego zimna. W pierwszym odruchu chciała ogrzać ręce przy kominku, ale miejsce było zajęte. Majka miała wrócić do Mordek dopiero za tydzień, a tymczasem Kasia zastała ją w niedbałej pozie na fotelu przed kominkiem, oddającą się ożywionej konwersacji z Dorotą.

– Sprzedaję dom – rzuciła w stronę Kasi.

Jak to? – zdziwiła się Kasia. Zawsze miałyśmy ją za zupełnie niezorganizowaną, najmniej z nas stanowiącą o sobie, niezdecydowaną, opartą na ramieniu mężczyzny, zasadniczo słabą i bezbronną. A tymczasem ona, jakby od niechcienia, niespodzianie dla nas, przywozi nam taką nowinę! Nowość absolutną! Cóż za skuteczność! Wyglądało bowiem na to, że w ciągu dwóch krótkich tygodni pobytu w Częstochowie zdążyła najpierw się zastanowić, a następnie podjąć decyzję, prawdopodobnie bez konsultacji z kimkolwiek, i wystawić ofertę sprzedaży domu w najbardziej prężnym biurze nieruchomości w Katowicach. I natychmiast znaleźć nabywcę!

Po przekazaniu tej nowiny wytłumaczyła się krótko:

– Jest dla mnie i Zuzi zbyt duży. – Założyła swobodnie jedną nogę na drugą. – Zuza będzie mieszkać w Warszawie przynajmniej następne trzy lata – dodała, widząc zdziwione spojrzenia Doroty i Kasi. Po to tylko, żeby zakończyć ten temat i już do niego nie wracać. Tak to odebrały. – Przynajmniej, jak powiedziałam. Nie sądzę, żeby po zasmakowaniu życia w tak dużym mieście zechciała do tego domu powrócić. Na grób tak. Ale na stałe? Na stałe nie. A ja? Nieważne, co ja teraz myślę. – Spojrzała na Dorotę, a potem na Kasię. Były coraz bardziej zaskoczone, więc dodała cicho: – Ja teraz nie chcę mieć niczego stałego, chcę już tylko konsumować. Odcinać, ile się da. Bo co mnie czeka? Starość, niemoc, grób... – Wstała i zaczęła chodzić po jadalni. – Mówię wam, od teraz będę chwytać zachłannie wszystko, co możliwe – dodała bardzo stanowczo, po czym spojrzała na Dorotę i zawahała się. – Bo nic więcej nie przychodzi mi do głowy – westchnęła niepewnie.

– Nie chcesz sama stanowić o swoim życiu!? – zawołała Kasia.

Niespodziewana odmiana Majki bardzo ją zaskoczyła. I ten jej nowy punkt widzenia. Konsumpcja życia. Najzwyczajniejsza. Trywialne przeciwieństwo tworzenia. Spożyć. I co dalej? Wypluć? Kasia się zamyśliła. Wybór pomiędzy zwyczajnym pożeraniem życia a upartym wydeptywaniem swojego dołka na kuli ziemskiej, próbą zaznaczenia swojego pobytu tutaj? Nigdy nie miała w tym względzie wątpliwości.

– Tak jakbyś odkryła coś nowego. Zawsze tylko beztrudnie połykałaś, co się dało. – Dorota wzruszyła ramionami. Zaczęła się głośno śmiać. W domu słyhać było jedynie jej krótki gardłowy śmiech. Patrzyły na nią wystraszone. A ona, jak nagle zaczęła, tak i przestała, po czym usiadła na ławce z twarzą zwróconą w stronę okna. Nie patrzyła na Majkę. Nie patrzyła też na Kasię. Nie chciała. Wolała teraz widoki przed domem. Demonstrowała swoją niechęć, patrząc w okno i opierając się ręką o parapet. Zamyślona, milcząca i zła spoglądała w półmrok jesiennego popołudnia. Na podwórze. Na szopę. W przestrzeń.

– Przestańcie – kategorycznie zaoponowała Kasia. Dora aż się wzdrygnęła. Kasia nigdy nie lubiła awantur ani konfrontacji. Wolała je przeczekać. Nie chciała w nich uczestniczyć.

– Jak chcecie. Jeśli o mnie chodzi, możecie dalej sobie udawać, że nic szczególnego pomiędzy wami się nie wydarzyło. Nigdy – warknęła Dorota. Wyglądała, jakby nie chciała skończyć swojego sarkastycznego wywodu. Albo spostrzeżenia. Według niej bardzo trafnie opisującego tę sytuację. Jak najbardziej. Bo gdzie jest konkret? – Dora napędzała się w myślach. – To wszystko pomiędzy nimi jest pozbawione konkretności! Nie opiera się na tym, co się wydarzyło. To, co tworzą, to niezwykle delikatna

siatka bardzo powierzchownych, wymyślonych tylko, zawiłych stanów psychologicznych, nieosadzonych na faktach. A jakie owe fakty były, powszechnie wiadomo. I nic tego nie zmieni – myślała Dorota. – Nawet najbardziej kręta droga rozumowania. Tak tchórzliwa i kluczająca jak ta teraz. Rozgrywana pomiędzy nimi obiema, przyjęta jako droga dla drogi. Żeby tylko jej nie rozpętać. Podczas gdy, według niej, powinny wszystko pomiędzy sobą zburzyć, a dopiero potem coś zbudować. Na nowo. Jeśliby jeszcze chciały.

– Wiecie – Majsza głośno odchrząknęła – teraz będę miała czas, aby pojechać do ośrodka dla malarzy prowadzonego przez Zbyszka Waligóre. To mekka dla artystów. Szkoda, że na takiej głuchej wsi, ale w pobliżu jest Jura Krakowsko-Częstochowska. To rekompensuje wszystkie niedogodności. Pamiętacie? Te wapienne skałki i wszechobecna zielona trawa. Szkoda, że przed nami zima. Bardzo lubię tak sobie chwilę w tym posiedzieć, pozachwycać się. Teraz dopiero widzę te wszystkie kolory.

– Tak. Znam taką grę barw. Doroto, pamiętasz? Kronberg. – Kasia uśmiechnęła się z rozrzewnieniem do Doroty.

– Co tam niby było takie ładne? Mordki są ładniejsze!

Tak?! Acha?! Kasi jak zwykle trudno było zaakceptować jej odmienne zdanie. Nieodmiennie odmienne. Dorota bowiem ciągle i konsekwentnie sprawiała wrażenie osoby, która żyje na bardzo szeroko rozstawionych nogach. Jedną z nich postawiła niepewnie, wiele lat temu, w centrum starego Frankfurtu nad Menem, podczas gdy drugą trzymała nadal, z racji bywania w świecie może trochę pewniej, w Mordkach. Od czasu do czasu ręką podpierała się o Stary Rynek w Poznaniu. Albo Olecko lub Ełk. Bądź, tak już konkretniej, o budynek *Collegium Minus* Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza. Przy tak ekstremalnych ewolucjach niewątpliwie bardzo trudno było jej zachować najbardziej podstawową i potrzebną w życiu równowagę – myślała Kasia.

– Nie chcę jeszcze nigdzie osiadać. Pieniądze ze sprzedaży domu ulokuję, te ze sprzedaży samochodu pewnie niedługo wydam, a potem będę żyć z malarstwa. Do szkoły już nie wrócę. Zuzia ma rentę po ojcu, poza tym jest operatywna, już teraz zarabia na tym swoim graniu więcej niż ja w szkole. A potem? Jeśli zabraknie mi na życie, to zwiążę się z jakimś majątnym facetem – zaśmiała się Majsza.

– A potem go skonsumujesz. Połkniesz. Jednym gryzem. A jak się nie nada, wyrzucisz na śmietnik. Bo zresztą oni wszyscy tylko do tego się nadają. – Dora machnęła ręką i zaśmiała się sarkastycznie.

Majka zawstydziała się i spojrzała na Kasię, która od jakiegoś czasu nie włączała się do rozmowy, przybierając coraz bardziej niewłaściwy, według niej, kierunek. Machnęła tylko do Majki ręką, co miało oznaczać: „Daj spokój”.

– Tamaro! – zawołała Dorota, wstając. – Chodź tu zaraz! Musimy posypać chodnik przed domem, bo ten deszcz od razu marznie. Jeszcze ktoś tu nogę złamie! Jak ja się tym nie zajmę, to już nikt inny nie pomyśli!

Dlaczego nie potrafię podejść do życia tak jak Majka? – zastanawiała się Kasia. – Takie nastawienie, na pozór mniej obciążające, może wprowadziłoby w moje życie pewne uproszczenia. A może byłoby na odwrót, zagmatwałoby je jeszcze bardziej? Układ z Marcinem mi nie wyszedł – inwentaryzowała przeszłość. – Zostając z nim, w istocie, nie musiałabym się troszczyć o byt, o egzystencję. Ale nie było iskrzenia. Nie było też przyjaźni. Bo czy ja potrafię jeszcze zaprzyjaźnić się z mężczyzną? Eee, chyba nie jest ze mną jeszcze aż tak źle – pomyślała, przypomniawszy sobie chwile spędzone z Jasiem. I jego zapowiedź odwiedzin. Odetchnęła z wyraźną ulgą.

– Słuchajcie, jutro wieczorem będziemy gościli Jasia Solińskiego. Skonfiguruje nam wreszcie komputer.

Dorota zatrzymała się w przedsionku, gdy sięgała ręką po ciepłe buty. Na moment znieruchomiła. Przyczaiła się z butami w ręce. Najwyraźniej nasłuchiwała, Kasia jednak nic więcej nie dodała. Po

chwili Dorota sprawnie wciągnęła obuwie na stopy, wyprostowała się, ręką sięgnęła po okrycie wiszące na wieszaku, włożyła na siebie grubą puchową kurtkę i wyszła na dwór, wprost na zacinający deszcz i jesienne, depresyjne szarości.

Za nią podążała zgarbiona Tamara. Błada, smutna, milcząca i niedoceniona. Tym razem bez pluszaka pod pachą.

Następnego dnia po południu Kasia ze szklanką w dłoni weszła do kuchni w momencie, kiedy Majsza z Dorą i Tamarą przycinały na stole jasnobrązową tkaninę.

Kasia jeszcze się z nimi dziś nie widziała. Wstała dużo wcześniej niż wszyscy, a potem zamknęła się w pokoju, pochłonięta wyłącznie tworzeniem stron ośrodka szkoleń, konferencji i wszelkich eventów, które planowała umieścić w Internecie. Wklejała opisy okolicy, cennik usług, dane kontaktowe, zdjęcia atrakcji w pobliżu, samego ośrodka i pokoi. Później zaś, tak dla umysłowego odpoczynku, przystąpiła do katalogowania swoich fotografii. Niektóre na nowo wykadrowała, inne skasowała, a następne poprzekładała do odpowiednich folderów. Największy z nich – *Ludzie* – zawierał już bardzo pokaźne zbiory, a wciąż dochodziły nowe obrazki. Na przykład ten z wczoraj, znad jeziora. Dowód na to, że nawet szara jesień może nieść ze sobą pozytywne przesłanie.

Tym przesłaniem był Janek. Jego uśmiech i żółta, rozpięta pomimo szarugi kurtka napawały Kasię optymizmem. Przypominały jej takt, czułość i bezpieczne ciepło, które w nim wyczuwała mimo jego pozornej szorstkości, wynikającej zapewne z doświadczeń życiowych, zapracowania i odpowiedzialności.

– Zimna woda zmniejsza głoda. Poza tym dzisiaj będziemy miały gościa na kolacji. Zapowiadałam go już wczoraj – powiedziała dość zaczepnie, wlewając sobie do szklanki wodę mineralną.

– Kiedy mam robić tę kolację? Nie widzisz, że zajmujemy się teraz czymś innym? I w ogóle przestań z tym głodem, słuchać tego już nie można! – Dorota siedziała napuszczona, bez śladu choćby minimalnego uśmiechu.

– Gdybyś powiedziała, zrobiłabym. Sama mówiłaś, że lubisz tylko swoje jedzenie, a teraz pokazujesz humory, bo niby ja czegoś nie zrobiłam. Proszę bardzo, zaraz wam wszystkim udowodnię, że też potrafię gotować. Przenieście się tylko z tym krawiectwem do pokoju. Dobrze?

Mówiąc tak bardzo kategorycznie, pomyślała, że jeżeli pomiędzy nimi będzie tak dalej, może być jej trudno wytrzymać te wzajemne napięcia. I wynik tej właśnie refleksji rozdrażnił ją nieco. Zesztywniała. Może gdy przyjadą pierwsze grupy, sytuacja się nieco odmieni? To jest jedynie syndrom duszenia się w jednym kotle, do tego w niezbyt, jak na razie, treściwej zupie – pomyślała i zaraz zaśmiała się w duchu ze swojego określenia.

– Kaśka, o co ci chodzi? O to, że powiedziałam, że się mądrzysz? Przecież to prawda. Majsza też tak uważa, bo jak byliście same, to ty też musiałaś rządzić – powiedziała Dorota.

– Dziwi was, że wtedy musiałam? Tak, to dobre słowo: musiałam. Wtedy rzeczywiście musiałam. Teraz okazuje się, z jakimi hipokrytkami mam do czynienia. Przypomnijcie sobie, dlaczego tak właśnie było. Majsza, nie udawaj niewiniątka. Przypomnij sobie, że niczego mi nie ułatwiałaś.

Kasia była oburzona. Przecież mogłoby być tutaj tak pięknie. Trzy przyjaciółki spotkały się po wielu latach i, mimo dzielących je różnic, chcą prowadzić sielankowe życie wśród wszechobecnej tutaj natury. Ale, jak się okazuje, tak się nie da! Bo po co ma być miło? Czepialskie! Zmroziła je wzrokiem.

– Zostałam przecież sama, nikt się mną nie zaopiekował – zaczęła płaczliwie Majsza.

– To nie obmawiaj mnie teraz za plecami. Taka jestem i już. Wiedziałyście o tym obie. Tak samo jak i ja wiedziałam, jakie wy jesteście. Teraz musimy się nauczyć z tym żyć. I dzisiaj pierwszy etap nauki. Jest gość, będzie i kolacja. I ja ją przygotuję. Pasuje?

Ton pytający był z Kasi strony niedopatrzeniem. Rozkazujący byłby właściwszy. Dora, Majsza i Tamara porzuciły krojenie tkaniny. Zwinęły ją, a chwilę później odłożyły na półkę pod stołem. Siedziały teraz we trzy wyprostowane i patrzyły na Kasię w zupełnej ciszy.

– No dobrze, czy ja coś mówię? – ocknęła się po chwili Majka.

– Tamaro, idź, pomóż cioci – powiedziała pojednawczo Dorota. Spojrzała życzliwie na Kasię. – Ja zajrzę do psów, bo pewnie są głodne. Zrobię im coś do żarcia – dodała z przedsonka.

– Mamo, psy są nakarmione. Już im dałam – łamiącym się głosem zaproponowała Tamara. Zaskoczyła tym Kasię i Majkę. Dorotę wystraszyła. Tak bez pytania dała psom jeść? – myślała ze strachem. Zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Pochwalić? Nie. Coś nakazać? Też nie.

– Od tygodnia im daję – dodała nieco śmieiej Tamara.

– Tamaro! Jak to: dajesz im? Ja je zawsze karmiłam! – krzyknęła Dora. W kuchni słyhać było głośny śmiech, Majsza i Kasia wcale się z nim nie kryły.

– Kaśka, nic mi wprawdzie do tego, ale na twoim miejscu zwiększyłabym jeszcze bardziej kontrolę nad wydatkami, bo te psy przeżrą wam biznes – chichotała Majsza.

A Kasia, usiłując powstrzymać śmiech, pomyślała, że niedawny konflikt pomiędzy nimi niewątpliwie został zażegnany, gdy zahaczyły o temat psów. Wyszła do pokoju, gdzie stał komputer, zamknęła za sobą drzwi, oparła się o nie i znów zaczęła się śmiać. Po chwili opanowała wesołość i pomyślała, że nadeszła pora na zajęcie się aprowizacją. Spojrzała na wielki, drewniany zegar. Było po piętnastej. O kurczę, najwyższy czas, żeby zająć się obiecaną kolacją – pomyślała w popłochu. Energicznie zdjęła biały sweter, założyła wielki fartuch i pośpiesznie wyszła do kuchni. – To ich teraz nakarmię – śmiała się na głos Kasia.

Kilka godzin później zapraszała przyjaciółki do jadalni.

– Siadajcie, proszę bardzo.

Ubrała się w długą, białą bluzkę z wyraźnymi brązowymi ostebnowaniami na kołnierzu i mankietach. W połączeniu z krótką, brązową spódnicą tworzyła interesujący komplet. Głębokie rozporki po bokach i brązowe czółenka na wysokim obcasie podkreślały urodę kształtnych, wysmukłych łydek Kaśki. Całości dopełniała szeroka kolia z piasku pustyni, stanowiąca dla tego stroju wyrefinowane dopełnienie. Różnokształtne, niewielkie kamienie, nawleczone na kilka połączonych ze sobą sznurków, utworzyły na jej jasnomlecznej szyi bogaty ażur.

– Wyglądasz super – powiedziała Majsza. – Ja chyba też założę coś lepszego – dodała, z pośpiechem wychodząc z jadalni.

– No co wy? Zachowujecie się, jakby miał nas odwiedzić jakiś premier albo inna osobistość. No niech wam będzie, przecież nie będę wyglądać gorzej – powiedziała Dorota i także skierowała się z powrotem do swojego pokoju.

Niby ich to nie obchodzi. Niby, bo jak przychodzi co do czego, jednak się stroją – pomyślała Kasia. Sama też teraz siedziała i nakładała puder na twarz, rozpylała perfumy, smarowała usta pomadką.

Stół już od godziny czekał, nakryty żółtym obrusem z bogatym, złotym haftem, ze sztućcami i poustawianymi talerzami i kieliszkami. W wielkim piekarniku starego kafłowego pieca stały dwa naczynia żaroodporne pełne zapiekanych naleśników z nadzieniem z pieczarek i cebuli oraz innych z zapiekaną wędzoną kiełbasą polską z papryką. Posypane były startym, pikantnym żółtym serem. W lodówce czekały miseczki ze starej porcelany pełne sosów na bazie jogurtowej o smaku paprykowym, czosnkowym i wreszcie koperkowym.

W wielkim, szklanym dzbanie stała alkoholowa pomada o smaku wanilii.

Pukanie do drzwi rozległo się jednocześnie z psim drapaniem. Wilczury znały gościa, to było pewne.

– Chodź, chodź, czekamy na ciebie – powiedziała Kasia, wprowadzając kolegę do środka. – Hej, hej, mamy gościa – zawołała. Była spięta i zdenerwowana.

– Może przyszedłem za wcześnie? – zapytał równie nieśmiało Janek.

– Nie, tylko dziewczyny postanowiły się przebrać w bardziej odświętne ubrania. O kurczę – zdołała tylko wyksztusić, bo w drzwiach równocześnie pojawiły się Dora i Majsza. Takich ich jeszcze nie widziała. No chyba że na balu absolutoryjnym...

Majsza założyła bardzo skromną, długą prawie do kostek, czarną suknię, przyozdobioną starą srebrną kolia wysadzaną granatami. Wyglądała w niej bardzo subtelnie. Jej kręcone, jasnopopielate włosy rozsypały się luźno na ramionach. Czarna dzianinowa suknia podkreślała wiotkość sylwetki i zarazem wzruszającą, nadal dziewczęcą bezbronność. Kasia patrzyła na nią z zazdrością, kątem oka badała, jakie wrażenie wywarła na Janku. Nie chciała, żeby mu się podobała. Dora zaś spięta swoje gęste, ciemne włosy pozłacaną, wielką rosyjską broszą, która znakomicie uzupełniała świetnie skrojony, tweedowy kostium w liliowych tonacjach. I podkreślała makijaż w tej samej kolorystyce. Jednak niezwykajny dla niej w zwykły, pracowity dzień.

– Cześć, miło cię znowu spotkać. – Jaś poderwał się na jej widok. – Jakaś ty ładna, ładniejsza niż kiedyś.

– A tam, ładniejsza – zaoponowała niepewnie Dora. Widać było, że komplement sprawił jej wielką przyjemność. – Człowiek pracuje i pracuje, i tylko się starzeje.

Uśmiechała się nieśmiało, przez co straciła na chwilę widoczną zwykle na jej twarzy oschłość czy raczej skorupę mającą chronić przed ranami wymierzanymi przez życie.

– To niestety fakt, ale po tobie akurat tego nie widać. Wyglądasz lepiej niż kiedyś. Naprawdę, Doroto.

– Witam pana, dużo o panu słyszałam. Proszę mówić do mnie Majsza. – Druga z przyjaciółek Kasi podała mu swoją drobną rękę, zadzierając wysoko głowę, po czym zwróciła się w stronę Doroty i znacząco mrugnęła okiem. Janek spojrzał na Kasię, która też gapiła się na niego, bo zauważyła dopiero, gdy stanął przy niziutkiej Majce, jaki jest wysoki. Też uśmiechał się niepewnie. Trzy piękne kobiety naraz. I on jeden. Świadomość tej sytuacji onieśmiała go i to było widoczne.

W jadalni pozapalane były wszystkie żyrandole i kinkiety, co dawało mnóstwo ciepłego światła i podkreślało bananowy kolor ścian, a także żółty, zyskujący w świetle, kolor obrusa. Rozświetlało ich bardzo uroczyście dzisiaj twarze, podkreślało blask włosów i błyski w oczach. Pierwszy raz od rozpoczęcia tego przedsięwzięcia miały gościa. Nie licząc krótkich widzeń z Danuską czy najazdów rodziny. I był to samotny mężczyzna. Jak to się mówi: do wzięcia. Bardzo interesujący mężczyzna – pomyślała Kasia. W kominku skwierczały niedawno dorzucone drewniane pale, dzięki czemu w jadalni tego wieczoru było cieplej niż zazwyczaj.

– A do mnie mów Jasiu. Kasiu, zaprowadź mnie do komputera. To potrwa moment, a ja będę spokojny, że możesz działać.

Kasia wskazywała Jankowi pokój, w którym podłączony był komputer.

– A gdzie jest Tamara? Tamaro! – krzyknęła donośnie Dora, widać odzyskała rezon. Janek i Kasia zatrzymali się w pół drogi. Te drażniące ucho tony! Jak można je znieść! Dzisiaj jednak mogłaby się powstrzymać! Kasi było przykro, że Dorota może popsuć nastrój przy kolacji.

– Zostaw ją – powiedziała Majsza. – Bała się tutaj przyjść. Wiesz, dałam jej, tak tylko, żeby beczynnie nie siedziała, czysty blejtram i farby. Niech tam sobie pacia, co chce.

– Co jej dałaś? – krzyknęła Dora. – No nie! A skąd wiedziałaś, co dla niej będzie dobre? Odpowiedz, skąd wiedziałaś?! – Dorota na przemian wstawiała i siadała, zrobiła kilka drobnych kroków, przystanęła przed Majką tak, jakby chciała coś jeszcze dodać, a raczej wykrzyczeć, zawahała się, bo zorientowała się, że Kasia mierzy ją wściekłym wzrokiem, i znowu usiadła.

– Dałam i kropka. A ona go wzięła i też kropka. I ani mnie, ani tobie nic do tego, co tam nabazgrze. – Majka założyła nogę na nogę. Upiła łyk waniliowej pomady. Wzięła do ręki ornamentowany widelec i taki sam nóż, nałożyła sobie na talerz naleśnik z nadzieniem pieczarkowym, omiotła wszystkich wzrokiem, po czym zakreśliła ręką koło, co miało oznaczać zaproszenie do stołu. – Do ataku! – powiedziała, uroczyście krojąc inaugurując kolację kęs naleśnika i nic sobie nie robiąc z humorów Dory.

Część druga: Złocista Dolina

– Kaśka! – wołała tydzień później, przed południem, Dora. – Kaśka, chodź szybko, telefon do ciebie. Jakiś twój wujek.

Kasia wbiegła do pokoju w zachodniej części domu, tego, z którego miesiąc temu zrobiły przyszlą recepcję. To pomieszczenie było nienadzwyczajnie wyposażone, bo nawet nie starały się specjalnie wymyślać jego wystroju. Postawiły w nim jedynie dwa ciężkie, stylowe biurka z Niemiec. Wylądowały tam też kupione za niewielkie pieniądze w salonie holenderskich mebli używane białe fotele skórzane i pasująca kolorem kanapa, także skórzana. Ale aura panująca w tym pokoju niesamowicie sprzyjała atmosferze pracy. Wielkie okna, zaczynające się tuż nad podłogą, tworzyły wrażenie przebywania w niczym niezmaconej przestrzeni. Widok na jezioro, które wchodziło prawie do środka, wyzwalał w Kasi, ilekroć tam pracowała, niespożytą energię sprzyjającą realizacji planów i zamierzeń. Tą ją cieszyło. Kasia szczególnie lubiła usiąść sobie przed tym wielkim oknem, w rzeźbionym fotelu na wygiętych nóżkach. Kładła wtedy laptopa na kolanach, a stopy opierała na rzeźbionym podnóżku i w ten sposób mogła pracować wiele godzin.

Rozpoczął się już trzeci tydzień listopada. Kasia przyjechała do Mordek dzień wcześniej w ramach kilkudniowego urlopu. Miała zrobić kilka zdjęć pokoi i sali konferencyjnej i umieścić je na stronach internetowych. Współ z Dorą ustaliły też podział obowiązków i podjęła się rozliczać wydatki na remonty i koszty utrzymania. W przyszłości jednak do prowadzenia spraw podatkowych planowały zatrudnić kogoś miejscowego. Na razie radziły sobie same, ponieważ działalności, jako takiej, jeszcze nie rozpoczęły, nie było zatem potrzeby, żeby obciążać się już kosztami tego typu.

– Halo, dzień dobry, wujku – zawołała Kasia do słuchawki. – Możecie przyjechać, jasne. Zarezerwujemy pokój... Tak, tak, może być dwuosobowy... – dodała ciszej. – W każdym pokoju są dwa łóżka, jak chcesz – kontynuowała niepewnie. – To kiedy przyjedziecie? Aha, to do widzenia, wujku, do szybkiego zobaczenia – skończyła rozmowę bardzo zmieszana.

Zaskoczyła ją ta rezerwacja. Przecież wujek Franek owdowiał całkiem niedawno. A dzisiaj już zamawia pokój dwuosobowy, bez żadnej żenady? Nie kryje się z tą nową, bliską zapewne znajomością. Nie próbuje się także tłumaczyć... Kasia była zdezorientowana. Wyobrażała sobie, co na to powie jej mama. Zapewne, jak zwykle, że w takiej sytuacji Bzdowscy nie potrafią się przyzwoicie zachować. Że w Wielkopolsce okres ciężkiej żałoby, zwłaszcza po małżonku, trwa sześć miesięcy. A Frankowa Lucynka dopiero niecałe dwa miesiące temu zamknęła oczy! Więc gdzie konwenanse? – zapyta. – Zwykła przyzwoitość?

Hmm, co dalej? – pomyślała Kasia. Bo było prawdopodobne, że do Mordek zjedzie się prawie cała rodzina. Nie wiadomo, jak się zachowają w tej sytuacji. Z drugiej strony, to wybór wujka, ma prawo. Życie jest jedno. Miłość jesienią życia bywa często bardzo wzruszająca. Jakby zapytała Majka: na co czekać?

Czas pokaże – doszła do wniosku, podchodząc do sprawy na wzór Majszy, jednak nadal nie potrafiła myśleć bez niepokoju o swoim dylemacie w związku z wujkiem. Dalej bowiem próbowała wyobrazić sobie reakcje cioć, wujków. Pela, Fela i Stela potwierdziły już swój przyjazd. Swój i swoich mężów. Nawet starały się od Kasi dowiedzieć, z jakiego prezentu gwiazdkowego jej tata byłby najbardziej zadowolony.

– Powiedz im – żartował podpytywany przez Kasię telefonicznie ojciec – że bardzo chciałbym dostać lniane ściereczki. – Śmiał się ze swojego pomysłu. – Albo mógłby to być też krem przeciwzmarszczkowy. Albo nie, zazdrostkę do kuchni niech mi kupią...

Kasia uśmiechnęła się na wspomnienie tych przekomarzań. Zajrzała do jadalni, Dorota z Majką

oglądały serwis informacyjny. Zaproszeni do studia telewizyjnego goście prowadzili burzliwą dyskusję, czy w stosunku do naszych zachodnich sąsiadów powinniśmy prowadzić politykę na kolanach czy bez żadnych kompleksów. Dorota pukała się w czoło. Potem rozpoczęła rozmowę z telewizorem.

– Głupcy! – krzyczała z wściekłością. – Dużo moglibyście się jeszcze od Niemców nauczyć! To przez to się z Polaków tylko śmieją.

Majka taksowała rozmówców swoim malarskim okiem.

– A dlaczego oni wszyscy mają te ręce tak samo złożone i identycznie na blacie ułożone? Jednego specjalistę od marketingu politycznego mają czy jak? – zastanawiała się.

Kasia spojrzała na ekran. Ci co zwykle – pomyślała. – Trzeba robić swoje, a nie podniecać się, co mówią ograne gwiazdy politycznego pokazu.

– Czy my już wiemy, kto tak naprawdę do nas przyjedzie na święta? – zapytała Dorotę. – Boję się, że moja rodzina pozajmuje większość pokoi.

– Nie ma problemu. Wprawdzie moi bracia z bratowymi też są zaproszeni, ale oni twierdzą, że spać będą u siebie. Może i tak być, latem zrobimy z nimi uroczyste spotkanie. Możesz rezerwować pokoje bez ograniczeń – powiedziała Dorota, nie odrywając wzroku od telewizora.

– Do mnie być może przyjedzie znajoma, malarka – zapowiedziała Majka. Spojrzała na Kasię jak na recepcjonistkę w hotelu. Podniosła rękę do góry. Rękaw w kształcie kielicha zsunął się poniżej łokcia, pokazując jej szczupłą, śniadą rękę. – Prosiłabym zatem o rezerwację pokoju ptasiego, w tej waszej szopie, na piętrze. Jak nie przyjedzie, to ja się najwyżej tam przeniosę – dodała, odwracając się w stronę Dory.

– Dobrze, że będzie trochę młodzieży, bo Tamara jakoś z nikim z miejscowych nie może znaleźć porozumienia – cieszyła się Dorota. Jej córka w międzyczasie przemknęła jak cień po korytarzu i potem schodami na strych.

– A tak jej się podobało... – przypomniała sobie Kasia, obserwując, jak dziewczyna znika za ścianą na strychu.

– Nic nie rozumiesz. Ona w Niemczech nauczyła się innego życia, na przykład słowności, terminowości, dotrzymywania obietnic, dokładności, pracy. A tutejsza młodzież to wszystko olewa – powiedziała nieznośnym sprzeciwu tonem Dora.

– Czy musicie ciągle porównywać Polskę z Niemcami? – Kasia obruszyła się, bo wyczuła pogardę Doroty dla tutejszej młodzieży, dla ludzi mieszkających w Polsce, dla siebie. Zareagowała błyskawicznie. Być może także zbyt ostro. Ups – pomyślała i ugryzła się w język. Przecież postanowiłam, że już więcej nie będę wchodzić w konwersacje tego typu! Poczula do siebie wielki żal.

– O co ci znowu chodzi?! – krzyknęła Dorota.

– Po co jej opowiadasz, jak było tutaj wiele lat temu? Ona się nastawia i później rozczarowuje. Mam wrażenie, że się gubi. Daj jej samej coś ocenić.

Kasia starała się, aby to, co mówi, wypadło jak najdelikatniej. Nigdy nie chciała się popisywać swoją wiedzą życiową. Skąd miałyby ją zresztą mieć? Tak po ludzku, było jej ich potwornie żal. Bo obie były bardzo zagubione i takie nigdy nie pogłaskane. Niepocałowane. Dorota niewątpliwie sprawiała wrażenie osoby, która jest zawsze gotowa na odparcie ataku, nawet wyimaginowanego. Żeby ochronić Tamarę. A potem... żeby ją o tej swojej doskonałości poinformować. Porównać do siebie. Zganić za brak podobieństw. Wmówić, że nie da sobie rady bez niej. Tak niezmiennie doskonałej. Wywołać lęk. A potem zaopiekować się nią.

Kasi bardzo zależało, żeby w relacjach pomiędzy Dorotą i Tamarą nie było uczucia lęku Tamary o to, że coś w jej zachowaniu nie spodoba się matce. I lęku Doroty, że córka bez niej nie będzie potrafiła żyć, lęku przed usamodzielnieniem się córki i w efekcie przed swoją samotnością. Kasia wyczuwała, że to

zagubienie w życiu uniemożliwiało im prawidłowy ogląd świata. Świata spoza własnego kokonu. Czasem, gdy się stanie z boku, widać znacznie więcej, z innej perspektywy. Bez ograniczeń.

– Czy ty musisz się zawsze wymądrzać? Co możesz wiedzieć o życiu, siedząc tylko tutaj, w Polsce?

Koniec tematu – nakazała sobie Kasia.

– Przestańcie się spierać o mało istotne sprawy! Bo jakie one mają znaczenie w kontekście przeżyć, w ogóle życia? – zauważyła Majsza.

– Mają, bo jeśli teraz już mamy problem, że inaczej postrzegamy wiele spraw, to co będzie, jak zaczniemy zarabiać? Mamy się kłócić o każdą złotówkę? – zapytała Kasia. Czuła się bardzo rozgoryczona.

– Nie wytrzymam! Ty musisz tak jakoś to wszystko zagmatwać, że to tylko chyba w Polsce jest możliwe – skwitowała Dorota. – Będziemy tutaj pracować i zarabiać, a nie jeszcze przed uzyskaniem jakichkolwiek pieniędzy już zastanawiać się, jak to będzie. Kiedy coś zarobimy, rzetelnie się rozliczymy. Ja tak to widzę – zakończyła.

Dobra jest – powiedziała sobie Kasia.

– Wiecie? Nasza strona w necie jest nawet dość często odwiedzana – rzuciła więc szybko, z zupełnie innej beczki. Nie chciała już wracać do tego tematu. Wypalał ją. Zniechęcał. Zaburzał jasność postrzegania swojej roli tutaj. Kierował jej priorytety w kierunku, którego wcześniej nie uwzględniała. Jeśli przyjeżdżając do Mordek, zakładała wyboje czy meandry, to jedynie te związane z biznesem. Teraz też chciałaby, żeby jej myśli mogły krążyć wokół strategii związanych ze skutecznym pozyskiwaniem źródeł finansowania, wygranymi akcjami marketingowymi, sprawnym zarządzaniem, bezkonfliktowymi rozliczeniami, zyskiem... Tak, ta ostatnia wartość zdawała się dla niej najbardziej mierzalna.

– Coś ty? Skąd wiedzą, jak ją znaleźć?

Dorota miała problem z jakąkolwiek techniką. W ogóle mnie do tego nie namawiaj, jeszcze coś zepsuję. Ja wolę tak, jak było kiedyś. Napisać list, potem go wysłać i czekać na odpowiedź również listowną. Telefoniczne kontakty, od biedy, też mogę uprawiać – mawiała zazwyczaj.

– Chodźcie, pokażę wam, które zdjęcia wgrałam – wołała Kasia z drugiego pokoju. – Po kliknięciu w ikonę z fotografią albo w nazwę ośrodka otwiera się strona z fotografiami – instruowała.

– O, „Złocista Dolina”. Co to? – czytała pochylona nad ekranem Dora. – I nasze pokoje. Ptasi, jeździecki i nawet myśliwski. Dobrze wyglądają, o niebo lepiej niż w rzeczywistości. Ale dlaczego nie dałaś zdjęć wszystkich pomieszczeń? – pytała, nie spuszczając wzroku z ekranu.

– No, no, sama też muszę się prędko nauczyć obsługiwać komputer, bo w ten sposób z powodzeniem mogłabym sprzedawać swoje obrazy. Poczekajcie moment, zaraz do was dobieję, muszę tylko zatelefonować – powiedziała Majka i wyszła z pokoju. Spojrzały za nią. Za kilka dni chciała ponownie pojechać do Częstochowy i rozmowy telefoniczne, jakie prowadziła, najpewniej dotyczyły domu.

– Dzisiaj zmodyfikowałam trochę tę stronę – opowiadała Kasia. – Nazwę ośrodka wymyśliłam przed chwilą. Jak uważasz, mogłaby taka być?

– Myślałam, że damy „Morena” – w głosie Doroty dało się wyczuć pretensję. Jak zwykle. Nie potrafiła pochwalić, pokazać, że się cieszy, że coś sprawiło jej przyjemność.

– Wydaje mi się, że na Mazurach dużo obiektów ma taką nazwę. Przodują w tym zwłaszcza pensjonaty i domy gościnne. Poczekaj, sprawdzę – postanowiła Kasia. Wywołała nazwę w wyszukiwarce, wyskoczyło dziesięć stron różnych „Moren”, w większości na Mazurach. Moreny denne, boczne, czołowe, a nawet spiętrzone występowały często. Ślady polodowcowe w tej części kraju były obecne wszędzie. „Złocistej Doliny” w tej okolicy jeszcze nie było, ale, co było najważniejsze, nazwa ta jak najbardziej przystawała do wrażenia, jakie Kasia zapamiętała z pierwszego przyjazdu do Mordek, pod koniec czerwca, kiedy kwitł łubin. I potem, w połowie lata, gdy na polach zaczęły

dominować płowe, złociste zboża, uginające się od ciężaru kłosów z dojrzałym ziarnem.

– Niech będzie – skwitowała ostatecznie Dorota.

Majsza wpadła z powrotem do pokoju niesłychanie podekscytowana i z rumieńcami na twarzy.

– Muszę jutro pojechać do Częstochowy. Mam bardzo poważnego kupca na dom. Nie sądziłam, że teraz, zimą, ktoś będzie tak bardzo zainteresowany tego typu transakcją. I wiecie co jeszcze? – zwróciła się w ich stronę, dumna z osiągnięcia. – Zbyszek Waligóra zaproponował mi, żebym w Mordkach zorganizowała międzynarodowy plener malarski! On też by w nim uczestniczył. – Twarz Majki mieniła się światłem odbitym od zadowolonej duszy. – Psiakrew, to jest to! Wiecie, jakie to dla mnie nobilitujące? Bo on jest znakomitym malarzem! – wykrzyknęła podekscytowana, po czym wstała i zaczęła spacerować po pokoju. Odwróciła się na pięcie, a następnie zawyrokowała: – Zadziała jak magnes. Mówił, że to mogłoby się zdarzyć nawet i zimą, wtedy, kiedy firmy są mniej zainteresowane. Zimą zresztą mają już wydane środki z funduszu reprezentacji i reklamy. Albo z socjalnego. Nie ma co, on bardzo stara się mi pomóc! Powinnam was uświadomić, jego obrazy osiągają zawrotne ceny. On jest naprawdę kimś ważnym. – Spojrzała na Kasię i Dorotę. Była niesłychanie dumna z tej znajomości.

– Żebyś tylko tego biedaka nie oplotła swoimi czułkami. Skoro jest taki majątny... – Dorota wzruszyła ramionami. Nie umiała się powstrzymać od wygłoszenia takiej uwagi, ale tym razem bardzo rozbawiła Kasię. Bo, pomimo jadu, złośliwości, jaką chciała niewątpliwie okazać, miała trochę racji. Majka od kilkunastu dni była już na rynku matrymonialnym. Czy towarzyskim? Jaka to zresztą per saldo różnica? Dzisiaj już żadna.

– Przestań gadać takie głupstwa. To bardzo poważny człowiek, on ma już przeszło sześćdziesiąt lat! – obruszyła się Majka.

– Więc chyba tym bardziej powinnaś się martwić swoją Zuzą, a nie nim – dodała Dorota, spoglądając ciepło na siedzącą koło kominka Tamarę.

Perspektywy finansowe są całkiem optymistyczne – rozmarzyła się Kasia. Przed jej oczyma przewijał się rozpisany na kilka lat do przodu biznesplan, gdzie zakładane przychody uwzględniały już zyski z plenerów. W myślach liczyła koszty. Będziemy musiały kupić więcej drewna na opał, zatrudnić kilka osób, poszerzyć menu. Pomyśleć też o atrakcjach i rozrywkach. O właśnie, zapytam Jasia, gdzie można by było wypożyczyć sanie. Zrobilibyśmy sanne. Mogłybyśmy w ten sposób powiększyć zyski – myślała.

– Ach, Maju! – Kasia przypomniała sobie, co powiedział jej Janek. – Zapomniałabym, a tu taka nowina. Ponoć zimą ma przyjechać na kilka dni do Mordek Danek, ten przyjaciel Jasia, harleyowiec. Widziałaś go latem, jak pędził pomiędzy polami na złamanie karku na tej swojej srebrnej maszynie.

– Coś ty? Piękny był... – Majsza usiadła na ławce, pod oknem. Oparła się łokciem o parapet i wpatrzyła w okno, gdzie widoczna była ich złocista dolina pomalowana teraz wszystkimi odcieniami szarości, bieli i czerni.

– Tylko się w następnym nie zakochaj – zasyczała, jak zwykle, Dorota. Kasia zaśmiała się głośno.

– Ja już w nikim się nie zakocham. Potem się tylko cierpi... – powiedziawszy to, Majka zamilkła. Poprawiła się na ławce. Po chwili zaczęła się wiercić podniecona i niespokojna. Z powodu wspomnień albo o harleyowcu, albo o Zbyszku Waligórze, a może z uwagi na zupełnie inne emocje? Nerwowo podrapała się po nodze. – Psiakrew, znowu zadarłam pończochę! – wykrzyknęła. – Strasznie łamią mi się paznokcie, to musi być od tych wszystkich farb i rozpuszczalników! – Przejechała kciukiem po paznokciu palca wskazującego. Wyczuwając na nim drażniącą nierówność, powtórzyła ruch. Zaczęła się rozglądać po kuchni za nożyczkami albo pilnikiem. Nie znalazła ich, więc, nie namyślając się dłużej, wsadziła paznokieć do ust i zaczęła go obgryzać. Jak niesforne małe dziecko. – Wracając do plenerów... – Przerwała obgryzanie. – On zna wielu wielkich artystów z zagranicy, ale możemy tutaj zaprosić także

artystów z Polski. Mogłabym się nawet tym zająć...

– W ramach rekompensaty, nazwijmy to tak, zostawiliby nam kilka swoich obrazów. Wiesz, kiedy się trochę dorobimy, będziemy organizować jeden turnus za darmo, dla przyjaciół – planowała Kasia.

– A mamy jakichś przyjaciół? – powątpiewała Dorota.

– Wiesz, muszę się mocno zastanowić – podsumowała Majka.

Spojrzały na siebie. Po chwili roześmiały się szelmowsko.

Poznańska zapobiegliwość dała o sobie znać. Wprawdzie Bzdowscy, rodzice Kasi, razem z resztą rodziny mieli zamiar pojechać do Mordek dopiero na dzień przed Wigilią, ale całą tę eskapadą żyli już od dawna. Ciocie od początku listopada nieustająco wymieniały się uwagami co do fasonów szytych u krawca uroczystych ubrań. Wszystkie te fałdki, falbanki, podszewki, rewersy, reglany i rozporki miały obstalowane już od dawna. Wszak nietaktem byłoby się pokazać kilkakrotnie publicznie w tej samej sukni. Z tego też względu w szafie każdej z nich co jakiś czas przybywała nowa kreacja. Właśnie odebrały od krawca garsonki z mięsistego kaszmiru, dla każdej z nich innego koloru, ale o tym samym fasonie – nie omieszkaly się pochwalić nowymi nabytkami Tereni Bzdowskiej.

– Tereniu, a czy ty pomyślałaś o sobie? – zapytał Wojciech Bzdowski.

– Myślałam, że granatowa garsonka mi wystarczy. Jednego dnia założę do niej apaszkę, a innego broszkę i będzie wyglądała całkiem inaczej.

– Proszę, kup sobie nowe sukienki. Mogę nawet pójść z tobą do sklepu. Bardzo bym chciał, żeby były uszyte z jasnego świecącego materiału i żeby był na nim połyskujący wieczorem wzorek. Kiedyś miałaś taką długą sukienkę z kokardą na plecach... Pamiętasz? – rozmarzył się.

– W naszym wieku dużo łatwiej jest pamiętać, co przeskrobaliśmy w szkole podstawowej, niż to, co jedliśmy wczoraj na obiad – śmiała się Terenia Bzdowska.

Mama Kasi już dawno powzięła pewną decyzję. Tajemniczy, czekający na spełnienie, plan finansowy. Nie mogę teraz wydawać pieniędzy na głupoty. Poprzezglądam moje zbiory w tej dużej kanapie, w pokoju gościnnym – pomyślała. Tam na pewno jest kilka tkanin, z których mogłabym sobie uszyć coś nowego. Rozstawię maszynę do szycia, tak dawno nic na niej nie szyłam – postanowiła. – Ile to lat? Z dziesięć? – zastanawiała się.

– Pamiętaj, Tereniu, żebyś nie zdradziła Kasi, jaki mam prezent dla niej – przypominał jej mąż, który od kilku dni chodził dumny, że przedsięwzięcie się udało. Bo jakby miało się nie udać? Pomyślał, pochodził po gospodach, poczytał w Internecie. I udało się, chociaż kosztowało go sporo pracy, a praca była nawet w jakimś stopniu niebezpieczna, o czym świadczyły rany na palcach.

– Bój się Boga, Wojciechu! Co powiedzą ludzie, jak zobaczą, że ty, taki poważny człowiek, strugasz jakieś koryta? Oboje z Kasią możecie być pewni, że ja z nich jeść nie będę.

Jak to możliwe, żeby ludziom podawać tak samo jak zwierzętom? Gdzie konwenanse, zwykła przyzwoitość? Z tego może być jedynie ogólna poruta, a poznaniacy na tle ludzi z Ełckiego wypadną jak jakieś dzikusy – myślała Terenia Bzdowska.

Tymczasem w Mordkach pewne decyzje zapadły już kilka dni wcześniej. Ustaliły wtedy we trójkę sztywny termin uroczystego otwarcia ośrodka i co za tym idzie – listę strategicznych gości. Po długiej dyskusji, pełnej formalnych i mniej formalnych kompromisów, powstały podwaliny pod plan krótkoterminowy. Uroczystość otwarcia ośrodka – co do tego nie miały wątpliwości – powinna być oficjalnym, niezbyt długim i niezobowiązującym przyjęciem, po którym zaproszeni goście wywiozą ze „Złocistej Doliny” przeświadczenie, że było bardzo miło.

– I powinni zostać zaproszeni w niekonwencjonalny sposób – dodała kilka dni temu Majka. – Najlepiej, gdybym namalowała zaproszenia na niedużych, zagruntowanych kawałkach płótna. Mogłyby mieć nawet poszarpane brzegi. Oczywiście obrazki byłyby sygnowane moim nazwiskiem, żeby nie było niedopowiedzeń – zastrzegła od razu.

Wypadałoby, żeby to Dorota je osobiście wręczała – to także nie budziło żadnych wątpliwości. Znała przecież większość gości, niektórych nawet bardzo dobrze.

Dzień dobiegał końca. Na myśl o kolejnej wyprawie do Poznania Kasia zadrżała i zmarszczyła czoło.

– Nie wiecie, jak bardzo nie chce mi się już gnać do Poznania. Najchętniej zostałabym w Mordkach do świąt. Obrzydły mi te jazdy w tę i z powrotem co dwa tygodnie.

– To zostań, nie jedź. Poproszę jakiegoś lekarza o zwolnienie, że niby złamałaś rękę albo nogę. Ktoś się zapewne zlituje – zaproponowała Dorota. – W końcu jest gołoledź. Mogłaś się chyba przewrócić, prawda?

– Nie mogę, awansowali mnie, dali sporą podwyżkę. Poza tym obiecałam, że pojedę przed świętami na szkolenie do Szczyrku.

– Awansowali cię? Nic nie wspomniałaś – zainteresowała się Dora. Pomyślała z niepokojem, że w takiej sytuacji Kasia na pewno zrezygnuje z pracy w ośrodku. Nie zarabiała żadnych pieniędzy. Wszystko, czemu się poświęciła, miało zaprocentować dopiero w przyszłości. Ale kiedy ta przyszłość nastąpi, tego jeszcze nie wiedziały. Przypuszczały jedynie, że nastąpi. Dojazdy do Mordek, sama mówiła, męczyły ją. Nie powinno to nikogo dziwić, bo kilkanaście godzin w pociągu co dwa tygodnie, jesienią i zimą, ale nawet latem czy wiosną, nie mogło sprawiać przyjemności. Poza tym opłacała podróże z własnej kieszeni.

Kasia nic wcześniej nie mówiła, ostatnio nie była specjalnie wobec Doroty wylewna. A nawet od jakiegoś czasu bała się cokolwiek jej powiedzieć, często bywało, że z tego powodu jej unikała. Bo po co mówić sobie za dużo? Nabrała też przekonania, że tych obecnych relacji nie można już nazwać przyjaźnią. Była tym rozgoryczona i rozczarowana, bo przyjechała na wieś pełna entuzjazmu. Głównie dla siebie podjęła tę decyzję, ale i dla Doroty, bo wydawało jej się wtedy, że będą między nimi panowały tak dobre relacje jak kiedyś. Tymczasem podzieliły je długie lata zdobywania zupełnie odmiennych doświadczeń życiowych, a także granica. Ta na Odrze i Nysie. Kaśka wyczuwała, że właśnie przystanąły zmęczone, każda na innym brzegu. Na odcinku, gdzie nie ma mostu. Czy będzie im się chciało szukać przeprawy? Czuła dyskomfort, bo odpowiedzi na to pytanie dzisiaj jeszcze nie знаła. Niestety.

– To co? Rzucisz teraz Mordki w diabły? – W tonie Doroty z daleka wyczuwało się agresję.

Najlepiej byłoby teraz odpowiedzieć „tak” i wyjść. Reakcja w tym stylu byłaby najbardziej spektakularna. Ale Kasia wyszła z pokoju. Tylko wyszła. Bez słowa. Uciekła w bezpieczne miejsce.

Gdy znalazła się w pokoju recepcyjnym, od razu włączyła komputer. Potem włożyła do napędu płytkę ze zdjęciami do skadrowania i korekty. Te kilka godzin warsztatów w prywatnym studium fotograficznym w Poznaniu, które odbyła w ciągu ostatnich dwóch miesięcy, nauczyło ją wielu sztuczek. Potrafiła znacznie lepiej posługiwać się aparatem, co utwierdziło ją w przekonaniu, że za jakością zdjęcia stoi

fotograf, nie aparat fotograficzny. Od czasu choroby Piotra nie opuszczały jej myśli o Pawle. Ale nie w kontekście przywrócenia stanu sprzed kilku lat, lecz jedynie rozstrzygnięcia albo bardziej zalegalizowania ich długoletniego rozstania. To nie było jednak możliwe. W wyszukiwarce nadal znajdowała jedynie stare wzmianki o zdobytych przez niego kilka lub kilkanaście lat temu wysokich lokatach w biegach przełajowych czy linki do jego artykułów na temat teorii względności. Pamiętała, jak je pisał. Potem, gdy je opublikował w pismach popularnonaukowych, cieszyli się jak dzieci. Wtedy jeszcze niczego się nie domyślała. Poza tym wyświetliło się wiele innych osób o tym nazwisku i imieniu, ale daleko zawodowo czy hobbystycznie od Pawła oddalonych. No cóż, zarówno jego imię, jak i nazwisko nie należały do rzadkich.

– Tamaro! – głośnie nawoływanie Doroty dobiegło do niej przez dwoje zamkniętych drzwi i od razu rozproszyło. Zachnęła się, bo nie znosiła kategorycznego tonu Dory ani też ostrej jak sztylet modulacji jej głosu. Wyłączyła komputer. Wstała z wygodnego fotela na giętych nóżkach. Wyszła z pokoju i zamknęła za sobą ciężkie drzwi.

– Co tak krzyczysz?! Nie ma jej? – zapytała Dorotę układającą w szafie odzież.

– Jest, ale zanim się ruszy, mijają wieki. Mnie moja matka nie musiała tyle wołać. Zaglądam do szafy i widzę, że ona ma tylko same czarne, powyciągane swetry, trykotowe koszule i dzinsy.

– To w jej wieku normalne.

– Tamaro! Musimy pojechać do miasteczka. Nie możesz w święta być ubrana tak nieelegancko!

Zgarbiona dziewczyna ze skrzywioną miną wyłoniła się zza drzwi swojego pokoju.

– Nie chcę żadnych rzeczy.

Co ona robi cały czas? – zaczęła się zastanawiać Kasia. Do tej pory zupełnie bez szmeru przemykała po domu albo pracowała pod kierownictwem Doroty i tego typu refleksje nie przychodziły Kasi na myśl. Ale teraz przeraziła się, bo po analizie rozkładu dnia dziewczyny uznała, że taki stan nie może być w tym wieku naturalny. I wyliczyła w myślach, że wiele godzin spędza na apatycznym siedzeniu przy kominku albo na strychu, a jeszcze kiedy indziej w swoim pokoju. Bez spontanicznego kontaktu z kimkolwiek poza własną matką.

– Nie, tak nie będzie! Musisz się porządnie ubrać. Wszyscy będą odświętnie wystrojeni, nie możesz wyglądać gorzej. Będą Piotrek i Zuza, możesz zaprosić jakąś koleżankę ze wsi. Czemu mówiłaś, że nie pójdziesz do koleżanek? Przecież dwa lata temu spotykałaś się z dziewczynkami. Lubiłaś je. No co? Powiedz coś w końcu! I gdzie masz swojego misia?!

– Śpi. One uważają, że wszędzie jest tak spokojnie jak w Polsce. Wcale mi nie wierzą, że w Niemczech jest trudniej, już mnie nie rozumieją – powiedziała cicho. I usiadła na fotelu bujanym przy kominku.

– Powiedziały ci coś przykrego? Śmiały się z ciebie? – wypytywała Dora. – Jeśli chcesz, to pójde i powiem, co o nich myślę! Wysiadają tylko na ławeczkach przed sklepem, całymi dniami nic nie robią. Co one mogą wiedzieć o świecie?

– Przestań się napędzać. Jeśli nawet tak było, niech Tamara sama rozwiąże swój problem – powiedziała w końcu Kasia.

– Ty zawsze musisz się wtrącić?! Jest chora, nie widzisz tego? – podniosła głos Dorota. – Jak twój Piotrek zachorował, siedziałaś przy jego łóżku i nic innego nie było dla ciebie ważne.

– Mamo, przestań! – Tamara wstała gwałtownie z fotela, który najpierw niebezpiecznie przechylił się mocno do tyłu i rozkolebał, a wreszcie z impetem przewrócił na bok. Narobił sporo hałasu. I odpadła mu jedna klepka. Przerazona dziewczyna na widok szkody zaczęła się trząść, potem zerknęła na matkę i napotkawszy jej groźną minę, z płaczem wybiegła z jadalni.

– Taka niezgraba – westchnęła Dorota.

Tydzień później, w sobotę, a był to początek grudnia, Dorota z Tamarą już od rana biegały po domu, głośno przestawiając meble. Zamiatały pod stołami, polerowały kredensy i szafy. Z radia leciała folkowa niemiecka muzyka. Majka kręciła się nieśpiesznie po domu i zamieniała obrazy na ścianie. Bardzo kolorowe impresje, malowane szpatułką, wszystkie zbliżonej do siebie wielkości, oprawione w takie same pastelowe, subtelnie ornamentowane ramy, bardzo ożywiły tradycyjnie umeblowane pomieszczenia.

Kasia z Danuską od bardzo wczesnego ranka przyozdabiały różnymi pastami i warzywami małe kanapki. Takie na jeden kąsek, nadające się bardziej do jedzenia oczami. W lodówce brakowało miejsca, półki wypełnione były wielkimi półmiskami pełnymi różnych, kolorowych specjałów. Już wczorajszego wieczoru zostały dostarczone przez firmę cateringową z Ełku. Do poustawiania na stole pozostały jedynie naczynia, które od dawna były przygotowane na tę okoliczność.

Przyjęcie inauguracyjne miało się rozpocząć o piętnastej. Kasia denerwowała się w sposób szczególny, bo to ona miała oficjalnie powitać gości i formalnie zainicjować spotkanie.

– No coś ty, ja nie będę w stanie niczego z siebie wydobyć. Tylko ciebie widzę w tej roli – zakomunikowała jej Dorota.

W związku z tym Kasia już od południa wyłączyła się z nerwowej bieganiny, zamknęła się w swoim pokoju i całe trzy godziny powtarzała przygotowane kilka dni temu powitanie. Czuła nasilającą się coraz bardziej treść. Starła się sobie przemówić do rozumu, że tych kilka słów to w istocie nic wielkiego, że ważne, aby były nasycone pokorą, aby zabrzmiały szczerze i ciepło. Bo o taki klimat tego domu spotkań integracyjnych i konferencji im przecież zawsze chodziło. Trochę się uspokoiła. Usiadła przed komputerem, włączyła witrynę „Złocistej Doliny”. Korzystając z uprawnień administratora, otworzyła stronę *O nas*, potem kliknęła *edytuj*. Pojawił się tekst o ośrodku. Po krótkim namyśle dopisała na samym końcu:

Zawsze będziemy witać tutaj Państwa z wielką radością, ale i z niepokojem. Z niepokojem, bo bardzo nam zależy, żebyście mogli spędzić u nas i z nami twórcze i niezapomniane chwile.

I w tym momencie spostrzegła przez okno, że podjeżdżają dwa samochody z pierwszymi gośćmi. Pośpieszyła do garderoby. Błyskawicznie włożyła na siebie szary kostium i białą jedwabną bluzkę, poprawiła włosy, lekko przypudrowała twarz, jasnoczerwoną pomadką poprawiła usta. A potem narzuciła ciepłą pelerynę, stopy wsunęła w szare czółenka na bardzo wysokim obcasie i wyszła pośpiesznie za próg. Dorota, Majka oraz Tamara podążyły za nią bez słowa.

– Zapraszamy bardzo serdecznie. Prosimy bardzo. – Wójtowi Klaudiuszowi Miazkowi i jego żonie Małgosi Miazek wskazała oświetlone wejście do holu. I dalej, do sali gościnnej.

– Mówiłem żonie, że tutaj będzie znać kobiecą rękę. I nie pomyliłem się. Bardzo ładnie urządziłyście panie te pomieszczenia. Witek będzie dumny, kiedy tu zajrzy.

– Śliczne impresje. Klaudiusz, moglibyśmy pomyśleć o wystawie w miasteczku. Kto je namalował? – Żona wójta wyglądała na zachwyconą.

– Ja. – Majka podawała w geście powitania swoją dłoń. – Cieszę się, maluję od niedawna, więc tym bardziej jest mi miło.

– Niech będzie pochwalony! – W drzwiach wejściowych, w towarzystwie Doroty, z kropidłem w ręce pojawił się proboszcz.

Sala wypełniła się gośćmi. Kasia witała wszystkich w progu, wymieniała się grzecznościami, potem

wprowadzała do holu, dalej zajmowała się nimi Majka, a czasem Dorota. Serdecznościom nie było końca. Dorota знаła przecież większość z gości osobiście.

– Bardzo dobrze, że zdecydowałaś się do nas wrócić i od razu zacząć działać. Potrzebujemy tutaj nowych inicjatyw, liczy się każde miejsce pracy. To daje innym, może i mniej twórczym, dobry przykład do naśladowania – wychwalał ją wójt.

– Dora – Kasia przybliżyła się do koleżanki i zaszeptła jej do ucha – są już wszyscy?

– Chyba tak. Możemy zaczynać!

– Możemy zaczynać?! – podchwycił proboszcz. – To ja tym razem zmienię harmonogram. Na uroczystym otwarciu młyna też najpierw były oficjalne przemowy, powitania, potem ledwo udało mi się przypomnieć właścicielom, że jestem i czekam ze święconą wodą. A potem skażona mąka z produkcji wychodziła. Pan Bóg czasem lubi upomnieć się o swoje prawa. A kilka lat temu „Bus Stop” poświęciłem dopiero po dwóch tygodniach od otwarcia. Nie było klientów, to się wtedy dopiero zdecydowali. Poświęciłem, nawet podwójną dawkę wody święconej wzięłem. W końcu to restauracja, alkohol tam sprzedają. Ale i tak świeci pustkami. Bo ją za późno poświęcili. Bóg nie lubi też wyrachowania – dodał, skrapiając obficie pokoje, korytarz, salę konferencyjną i gości.

Gdy skończył, Kasia zaczęła powitanie. Wymieniała wszystkich po kolei, z przesadną wręcz dbałością, by nikogo nie pominąć.

– Naprawdę – kończyła – jest nam bardzo miło gościć państwa u nas. Witam także dyrektora banku, Artura Wróbla, z żoną, Joanną Wróbel...

– Dzień dobry, nie przedstawiłem się jeszcze. Artur Wróblewski jestem, sługa biznesu. – Dyrektor banku, z szelmowskim uśmiechem na twarzy, zbliżał się do Kasi z wyciągniętą do uścisku ręką. – A to moja żona, Joanna Wróblewska – dodał, śmiejąc się.

Kasia zamarła. Nie może być! Taki nietakt. I to na samym wstępie. Zażenowana spojrzała na twarze obecnych i zamarła po raz drugi, do końca już zdruzgotana. Bo wszyscy obecni na sali goście śmiali się w najlepsze, spoglądając na nią. Źródło ogólnej wesołości. Czyżby życzliwie? Tak jej się wydawało, ale wstyd pozostał. Zastanawiała się, jak zatuszować tę gafę i obrócić w sytuację towarzysko bardziej korzystną. Najlepiej pokazać swoją omylność, pokornie przyznać się do niej, a potem przeprosić. Słabość to cecha ludzka – pomyślała, drapiąc się po głowie. Spojrzała na Dorotę. To, co zobaczyła, zaskoczyło ją jeszcze bardziej. Dorota się śmiała. I śmiała się także Tamara. Aż w jej policzkach ukazały się śliczne dołeczki.

– Przepraszam najmocniej, to wszystko moja wina, bo dla żartu przekazałem pani Katarzynie właśnie takie nazwisko naszego kochanego pana Artura. Arturze, nie gniewasz się? Na pewno się nie gniewasz. – Klaudiusz Miazek, śmiejąc się ze swojego dowcipu, poklepał go po plecach.

– A widzisz, też nie jesteś doskonała – rzuciła w stronę Kasi Dorota. Nadal się śmiała. Kasia poczuła się nieswojo. Była zawstydzona. Po słowach Doroty miała ochotę wejść z nią w ciętą polemikę, na końcu języka miała odpowiedź, że nie, wcale nie, nigdy za taką się nie uważała, musiała to źle odczytać, ale w końcu uśmiechnęła się bezosobowo i zwróciła w stronę gości:

– Zapraszamy do stołu, proszę się częstować. Same wszystko przygotowywałyśmy.

– Ja to nawet kanapeczki stroiłam – śmiała się Majka.

– Widać tę grę kolorów – zawołał wójt, zajadając się łososiem w sosie cytrynowym.

– A może powtórzymy tutaj tę imprezę? Na przykład w Sylwestra? – Propozycja Artura Wróblewskiego zupełnie już rozluźniła Kasię. Zerknęła na Dorotę.

– Czemu nie?

– Wiele lat temu co roku były tutaj organizowane huczne imprezy sylwestrowe – odpowiedziała Dora, ściskając rękę Tamary. Dziewczyna uśmiechała się do matki.

– To co? Jesteśmy zaproszeni?

– Oczywiście. Może będę miała wtedy okazję dokonać poprawnej prezentacji. Bo ta dzisiejsza nie bardzo mi wyszła – zaśmiała się Kasia.

Znowu czuję się w Mordkach całkiem dobrze – pomyślała Kasia przeszło tydzień później, przeglądając swoje zdjęcia na ekranie komputera. Przegrała je właśnie z laptopa, bo zaczęły się tam nie mieścić. Tutaj sobie je wreszcie obejrzę – planowała. Ostatnio nie miała na to czasu. Cały poprzedni tydzień spędziła w Szczyrku na szkoleniu. Będąc w Poznaniu, kilka godzin popołudniowych poświęciła znów na udział w warsztatach w kole fotograficznym. Te zajęcia okazały się bardzo przydatne. Ma pani potencjał twórczy – usłyszała. To dało jej impuls do działania. Tam też dowiedziała się o konkursie fotograficznym dla amatorów.

Zbieg okoliczności czy kieruje tym palec boży? – pomyślała. Wprawdzie z lękiem, ale postanowiła wystartować w dwóch kategoriach: „Byłam tam” i „Spotkałam ich”. Zwłaszcza z tą drugą kategorią wiązała pewne nadzieje, bo fotografii dotyczących ludzi miała najwięcej. Tworzenie obrazów z człowiekiem w roli głównej sprawiało jej najwięcej satysfakcji. Bo jednak częściej dostrzegała żywą istotę niż sam widok czy krajobraz. A potem uwielbiała się przypatrywać swoim bohaterom, szczególnie badać mimikę i każdy szczegół ich twarzy. Albo mowę samego tylko ciała, bo wiele zdjęć pokazywało postaci ludzkie odwrócone tyłem.

Jest coś szalenie intrygującego w uczuciach zawartych w sylwetce zaprezentowanej od tyłu. Tajemnica. Mowa ciała nie jest zatarta wyrazem twarzy. Nie ma pozy. Bo na twarz często zakładamy maskę, powłokę bez uczuć, mozolnie, przez lata doświadczeń wytrenowaną minę na daną okoliczność, po to, żeby zataić, co myślimy naprawdę. Ukryć pod nią uczucia.

Ostatnio znowu coraz częściej zastanawiała się, czy nie zrezygnować z pracy w Poznaniu i przenieść się w Ełckie. Oczywiście jeszcze nie teraz, nieco później, wtedy, gdy przedsięwzięcie ruszy pełną parą, co mogło nastąpić już na wiosnę. Ta wizja, ale także pasja fotograficzna, teraz poparta konkretnymi pochwałami fachowców, sprawiły, że będąc w Poznaniu, biegała do banku już bez wcześniejszych objawów wypalenia. Ale jednocześnie z nadzieją, że niebawem przestanie się tam pojawiać.

Od pewnego czasu dom w Mordkach, w dolince pomiędzy dwoma jeziorami, sporo oddalony od centrum wsi, także uznawała za swoje miejsce na ziemi. Od inauguracji ośrodka, z braku czasu, a może z powodu natłoku zajęć albo z racji zgodnej tym razem, obopólnej chęci dogadania się, jej relacje z Dorotą stały się bardziej przyjacielskie i pozbawione nieprzyjemnych zgrzytów. Ochłonęły po wybuchu wzajemnej niechęci, zarzuciły tarcia o odmiennosc. Weszły na most na metaforycznej Odrze i Nysie. Odnalazły go. Na chwilę? Czy na zawsze?

Tego dnia Kasia od dłuższego czasu przeglądała swoje fotografie pod kątem kryteriów konkursu. Rzeczywiście, sporo wśród nich było portretów i w ogóle ujęć ludzi. Takie lubiła. Dla niej każde zdjęcie miało swoją wymowę. Z wieloma związana była emocjonalnie, bo większość fotografii przedstawiała ludzi, których znała, lubiła, podziwiała albo których tak zwyczajnie było jej żal, bo wiedli życie smutne, ubogie, samotne, nie zawsze sprawiedliwie im wyznaczone.

Wahała się chwilę, po czym stworzyła nowy folder „Konkurs”, do którego przeniosła kilka ujęć: Jasiu podgrzewający cumy od łodzi, Maja, cała w czerni, z pędzlem w ręce nad jeziorem. Zgarbiona babcia Kondratowicz uciekająca przed ludźmi do swojego domu. Te dam na pewno – pomyślała. – Pozostałe dwa wybiorę jutro. Propozycje do tej drugiej kategorii też przygotuję jutro – postanowiła. – Kilka jeszcze dopstrykam rano w okolicy. Te łyse, targane teraz wiatrem drzewa w rannej poświacie może mogłyby stanowić jakiś kontrast do innych obrazów, z większego i pozornie lepszego świata. Takimi też dysponowała.

Na tych czynnościach minęły jej całe cztery godziny. Krótki jesienny dzień chylił się ku końcowi, na dworze zapadał zmrok. Nie, nie bała się już tak jak kiedyś, oswoiła sobie tę rzeczywistość. Poznała

wielu tutejszych ludzi. Była w ciągłym kontakcie z Jasiem, Dora przecież już tutaj mieszkała na stałe, Danusia od Endiego była obecna w ich życiu, a i od czasu na czasu dojechał na weekend sam Endi. Wtedy jego charakterystyczne: „Zamknij mordę, Lady”, słychać było w całej okolicy. I brzmiało to swojsko, tak teraz twierdziły.

Przygotowywała się do wyłączenia komputera. Ostatnio bardzo piekły ją oczy, często musiała je mrużyć. Listopadowe wieczory obciążały jej wzrok. Poza tym, nadal oszczędzały, a rachunek za prąd stanowił w ich budżecie zwykle najbardziej okazały wydatek. Ach – przypomniało jej się nagle. Georg! Skleroza? Miała przecież odpisać na jego mail w sprawie rezerwacji! Zalogowała się w swojej poczcie, wywołała jego adres, najpierw do maila wkleiła cennik „Złocistej Doliny”, potem wykaz terminów. Załączyła kilka zdjęć okolicy i wnętrza ośrodka. Ze szczególną starannością podeszła do zdjęć pokoi, by w końcu wybrać te, według niej, najbardziej udane i przedstawiające miejsca najciekawsze. Dała też kilka fotografii pokoju myśliwskiego, bo przypomniało jej się, że wspominał kiedyś, jak bardzo lubi ten rodzaj rozrywki. Spojrzała na zegar. Zrobiła się dwudziesta trzecia. O kurczę, bo jutro zaśpię – pomyślała w popłochu.

Miała zaplanowaną poranną jazdę do Poznania, ale teraz, na skutek nagłego impulsu, bodźca zupełnie niewiadomego pochodzenia, radykalnie zmieniła zamiar. W jednej chwili postanowiła, że najpierw, zanim opuści Pojezierze Ełckie, musi pojechać do psychologa. Nie mogła się pozbyć tej myśli.

Pozostał jednak mail do Georga.

Kończę, jest późno, a ja muszę jeszcze biec pod prysznic, bo jutro rano ponownie jadę na kilka dni do Poznania. Zapraszam zatem w imieniu swoim i koleżanek. Katarzyna Bzdowska-Rybak.

Nie myślała o tym, co pisze. Wymówiła się drobną, nieważną nieprawdą. Efektem ucieczki myśli. A może roztrzepania? Potem napisała do syna.

Piotrusiu, przyjadę dopiero pojutrze, bo chcę pojechać jeszcze do lekarza, żeby porozmawiać z nim o Tamarze. Ona, wyobraź sobie, jest, według mnie, w bardzo niedobrym stanie emocjonalnym. Zupełnie inna niż latem, często siedzi w kucki, coraz mniej z nami rozmawia. Ach, dobrze, że mam syneczka. Czyli Ciebie, kochany Piotrusiu. Wyglądaj mnie pojutrze wieczorem, no i delikatnie sprzedaj tę wiadomość babci i dziadkowi. Pa.

Posiedziała jeszcze chwilę przy komputerze, po czym poszła do łazienki, wzięła prysznic, przeszła do swojej sypialni, przebrała się w pidżamę i tak przygotowana do snu, bosą, na palcach przebiegła szybko do sypialni Majki.

– Maju, śpisz? – zaszepotała, stając przy łóżku koleżanki.

– A co? – usłyszała.

– Ciiii. – Kasia położyła palec na ustach, spoglądając na drzwi. – Janek jedzie jutro do miasta. Zabiorę się z nim i zajdę do psychologa w sprawie Tamary. Ona mi się coraz mniej podoba. Łazi z tym pluszowym misiem, którego Dorota jej ciągle wypomina. A jak go ze sobą dziewczyna nie zabierze, to przypomina. Zachowują się jak dwie wariatki. Pamiętam Tamarę z Frankfurtu, tam jeszcze jakoś włączała się do życia, miała nawet koleżankę. Źle o niej mówiła, to fakt, ale mówiła, a tutaj coraz bardziej zamyka się w swoim świecie. Dorota tylko to przyklepuje. Słyszałaś, żeby ją kiedyś pochwaliła?

– Daj spokój, potem ci powie, że się wymądrzasz. Moim zdaniem nie powinnaś aż tak mocno między nie wchodzić.

Majka ziewnęła i przewróciła się na drugi bok. Kasia zaś usiadła przy jej łóżku i długo jeszcze myślała. Gdy czuła, że nadchodzi sen, powoli wstała i podreptała do swojego pokoju, zważając, by deski nie trzeszczały jak zawsze. No cóż, za ducha zmarłej matki Doroty tym razem na pewno nie chciała uchodzić.

Najcudowniej czuję się wtedy, kiedy mam obok siebie Piotрка – pomyślała Kasia, gdy dwa tygodnie później wreszcie razem dotarli do Mordek. Chłopak nie mógł się nadziwić, jak wiele od lata zmieniło się w obejściu. Najlepiej poczuł się na strychu, gdzie przygotowały dla niego pokój. W sąsiedztwie pokoju Tamary, jak chciała Dorota.

Następnego dnia po przyjeździe Kasia siedziała w pokoju, gdzie działał komputer, i jak zwykle opracowywała dokumenty. Chciała pójść na górę, żeby obudzić Piotrkę, w końcu zrobiło się już południe, ale pomyślała, że tego dnia dziecko może sobie dłużej pospać, w końcu ma ferie. Zajęła się pracą.

– Mamo, muszę wejść do Internetu – usłyszała nagle.

Odwróciła się. Na wpół ubrany Piotrek już ze schodów na strych bezkompromisowo domagał się swoich praw. W ośrodku tylko on reprezentował tę zasadniczo mało spotykaną w tym domu płęć, zatem w rolę przywódcy wczuł się od razu. Internet działał od miesiąca pełną parą i dla Kasi był czasem ratunkiem, często rozrywką, ale głównie miejscem pracy.

– Piotruś, wyluzuj, spojrzę tylko do poczty. – Kasia nadal siedziała przy komputerze.

– Mamo! Obiecałaś, że będę mógł korzystać, ile będę chciał. Są zamontowane jakieś programy do gadania? – zapytał.

– Nie są, a z kim chcesz rozmawiać? – Kasia odwróciła się od komputera i spojrzała na Piotrkę. Zawsze postrzegała go jako małowómnego. Latem, gdy byli w Mordkach razem, nie zauważyła, żeby szczególnie tęsknił za czczymi dialogami, zwłaszcza wirtualnymi.

– Do ziomków muszę się dostać. Poumawiałem się.

– Piotrek, jak ty mówisz! – krzyknęła, przeglądając pocztę.

Skrzynka mailowa ośrodka zapełniona była kilkunastoma wiadomościami, głównie zapytaniem o ceny, atrakcje, ofertę i możliwości rezerwacji w okresie wiosennym i letnim. Ale była też konkretna rezerwacja od Pawła Kurczewskiego, jak sam o sobie pisał, budowlańca z Poznania. I to na pobyt świąteczno-noworoczny, w związku z rekonesansem przed sporą rezerwacją dla pracowników jego firmy. Świetnie – pomyślała Kasia, bo zdała sobie sprawę, że tym oto sposobem mają pierwszego klienta z tak zwanego otwartego rynku. Przyjęła rezerwację i natychmiast potwierdziła. Potem kursorem przesuwiała po wiadomościach. No, co jest? – pomyślała, gdy dostrzegła wiadomość od Georga. Prawdopodobnie znowu coś zmienia. Wersja z Sofiją czy bez Sofiji?

Zawahała się. Nie miała już co prawda czasu ani żadnej intymności, bo Piotrek nerwowo kręcił się za jej plecami, ale w żaden sposób nie mogła powstrzymać ciekawości.

Droga Pani Kasiu. Nie wiedziałem, że do Poznania jeździ się wykąpanym... Śpi Pani nago? Tak, przyjadę, być może nawet sam (Sofija nadal mnie bardzo kocha, ale aktualnie spotyka się z jakimś Niemcem), i bardzo chciałbym na ten akurat temat z Panią porozmawiać. I odpocząć z dala od zgiełku Monachium też, naturalnie. Georg

Parsknęła śmiechem, bo najpierw rozbawiła ją błyskotliwa sugestia co do jej, okazjonalnej jedynie, jak wyszło z gry słów, higieny, a później wyczuwalna pomiędzy słowami dziwna beztroška i lekkość odczuć co do niewierności Sofiji. Nie mogła go wyczuć, zrozumieć. Intrygował ją bardzo ten snujący się leniwie pomiędzy słowami, albo wręcz nad ich wspólną konwersacją, intelektualny erotyzm. Takie podejście do kobiet, a może i nawet życia, najprawdopodobniej jednak głównie do życia, było dla niej absolutnie nowe – w mocno szokujący sposób burzyło jej podejście do cielesności, zmysłowości – i na tę

chwilę nie do przyjęcia. To znaczy nie do przyłożenia do siebie. Jednocześnie rozumiała go bardzo dobrze. I, co wydawało jej się tym bardziej dziwne, rozumiała Sofiję. Ot, mała niekonsekwencja kobieca – pomyślała przekornie.

Zaczęła się śmiać, bo wreszcie poczuła, że fantastycznie jest – no, nie zawsze, czasem tylko – być tak bardzo i jednocześnie uroczo niekonsekwentną. Na chwilę, od czasu do czasu jedynie utracić dar czy wadę logicznego albo pragmatycznego myślenia. Coś poplątać, coś zapomnieć, o czymś nie wiedzieć. I bawić się tym, tak jak teraz, znakomicie. Jednak tylko przez chwilę. Tak, żeby odpocząć od tej całej powagi, poczuć w sobie nieporadne dziecko. Małeństwo, któremu wszystko się wybacza.

– Co się tak uśmiechasz? – Majka przypatrywała się Kasi podejrzliwie. Już dawno nie widziała jej tak odprężonej. Teraz i taka podobała jej się dużo bardziej niż, gdy bywała zasadnicza i poukładana. – Wiesz – rzekła podekscytowana, gdy Kasia nic nie odpowiedziała – ten klient zdecydował się na kupno mojego domu bez szemrania. Przed chwilą potwierdził, że przesyła zadatek. Po Nowym Roku mamy spisać akt notarialny, a od marca chciałby już tam zamieszkać – spojrzała na Kasię. – W ten sposób zamknę pierwsze drzwi – dodała cicho.

W sobotę już od samego rana Kasia czuła się bardzo nieswojo. Coś wisiało w powietrzu. Może za przyczyną wietrznej, przytłaczającej i przywołującej smutek oraz melancholię pogody? Niepokój niewiadomego pochodzenia nie pozwalał jej w pełni cieszyć się, że Piotrek stoi obok niej, że piękny, świąteczny czas jest coraz bliżej, że w ciągu najbliższych tygodni nie musi nigdzie wyjeżdżać. Nie mogła się na niczym skupić. Biegała od okna do okna, niespokojnie wyglądała na ulicę, potem na tyły domu. Na krótko włączyła telewizor, rzuciła okiem na wiadomości. Jak zwykle składały się z samych nieszczęść oraz wizji katastrof politycznych. Wyłączyła telewizor. Przy komputerze, jak od kilku dni, siedział Piotrek i pisał coś zawzięcie.

– Bardzo się zmienił od lata. Tamara się żaliła, że nie da się z nim już rozmawiać jak dawniej – wspomniała wczoraj Dorota.

A to ciekawe – pomyślała Kasia. – O ironio! Ona myśli o moim synu to samo, co ja o jej córce. Wspomniała o tym spostrzeżeniu Majce.

– Kaśka, bo może Dorota upatrzyła sobie twojego Piotrka dla Tamary? – rzuciła konspiracyjnie Majka.

– Coś ty?! Zawsze się kolegowali, tak jak z twoją Zuzą.

– Mówię ci, Dorota uważa, że Tamara nie da sobie bez niej rady, to i chłopaka musi dla niej poszukać. Niezbyt interesujące życie by z nimi wiódł – zachichotała Majsza.

– Żal mi ich. I tyle. Majka, czy ostatnio widziałaś u babci Kondratowicz światło?

Rozmawiając, wyglądała przez okno. Uświadomiła sobie, że bardzo zaniedbała kontakty z sąsiadką. Czuła do siebie żal, ale jednocześnie miała też jakieś irracjonalne, niesprecyzowane przeczucie, od razu wywołujące u niej wyrzuty sumienia. Bo ostatnio rzeczywiście nie dość interesowała się zniedołężniałą staruszką. Ten dom nigdy nie był oświetlony, to fakt, ale niekiedy, gdzieś za zasłoną, przez krótki czas było widać nikłe światło od zapalanej nocnej lampki.

– Boję się, że coś złego dzieje się u Kondratowiczowej. Może pójdźmy do niej... – zaczęła niepewnie. Im bardziej wyobrażała sobie, co się mogło stać, tym większej nabierała pewności, że rzeczywiście wydarzyło się coś złego. Czuła lęk. Jakiś czas później podzieliła się swoimi wątpliwościami z Dorotą i poprosiła o towarzystwo.

– Też nie widziałam światła. Może umarła? Jezu, ja do niej nie pójdę, bo się boję. Zaraz przypomina mi się duch mojej matki. Jakbym zobaczyła ją umarłą, to i ona nie dawałaby mi potem spokoju. Idź z Majką. Albo od razu zwołajmy pogotowie.

– No chyba żartujecie?! Na mnie nie liczcie, wcale nie mam zamiaru udawać twardej. Najlepiej zadzwońmy po pogotowie. Od czego są? – zaprotestowała Majsza.

– A jeśli jest zdrowa i tylko siedzi po ciemku, na przykład po to, by nas wystraszyć? Z nią nigdy nie wiadomo. Piotrek! Piotrek!

Chłopak nie zareagował. Kasia postukała go po plecach. Od razu się odwrócił, zdjął słuchawki.

– Piotruś, pójdziesz ze mną?

– Dokąd? Teraz?

– Ano. Ubieraj się, to blisko.

Wraz z zamknięciem za sobą drzwi od domu i wyjściem z bardzo bezpiecznego schronienia obydwójce poczuli lęk. Żarówka na jedynej w okolicy lampie ulicznej dawała tylko miejscowo snop beżowego światła. Silny wiatr zakłócał ciszę, rozwiewając obeschłe liście i fragmenty połamanych gałązek. Zachęcał i tak silnie pobudzoną wyobraźnię. Dystans aż do ciemnego domu sąsiadki przemierzili zupełnie bez słowa. Weszli na podwórze, jeszcze bardziej ciemne. Coś ocierało się o mur, wydając

dźwięk podobny do kroków po zwirowej ścieżce. Przez obdrapane okno od kuchni sąsiadki, zaraz przy drzwiach wejściowych, trudno było dostrzec wnętrze domu. Tak jak wszędzie, panowała tutaj jedynie ciemność. I głucha, złowroga cisza, zakłócana niezidentyfikowanymi szelestami, wzbudzającymi w nich coraz większy lęk. Kasia, mimo że nie była sama, bała się już nie tylko o babcię, lecz także o Piotrka i – dopiero na samym końcu – o siebie. Głośno przełknęła ślinę. Piotrek też odchrząknął i zapytał zduszonym szeptem:

– Co teraz zrobimy?

– Po prostu spróbujemy wejść – odpowiedziała Kasia, kładąc rękę na klamce. Wyobrażała sobie, że jeżeli drzwi będą zamknięte na zamek, przyjdzie im wejść przez okno, a może nawet poszukać jeszcze innej możliwości. Nacisnęła klamkę. Otworzyły się bez żadnego oporu. Zaskrzypiały. Kasia wzdrygnęła się. Po plecach przeszedł ją dreszcz. Piotrek chwycił ją za rękę.

– Pani Marianno. Pani Marianno – powiedziała cicho. Prawie szeptem. Bo, choć wiedziała, że w tej chwili to nielogiczne, chciała, żeby jej nawoływań nie było słychać.

W domu panowała cisza. Zaraz od progu poczuli zapach przechowywanych gdzieś w pobliżu ziemniaków. Kasia zaczęła szukać ręką kontaktu, jednak nie mogła na niego natrafić.

Przyszliśmy tutaj zupełnie nieprzygotowani, bez latarki, bez telefonu komórkowego. A zresztą, jeśli o telefon chodzi, to i tak w dolince nie ma zasięgu – pomyślała, posuwając się ostrożnie w głąb domu.

– Pani Kondratowicz, jest pani tutaj? – zawołała głośnie. Najchętniej wycofałaby się z powrotem i biegiem puściła możliwie najkrótszą drogą do domu. Czuła wzbierającą panikę. Gdzieś z boku dochodził urastający do rozmiarów hałas młota pneumatycznego szelest. Wzdrygnęli się. Zdrętwiała ze strachu ręka Kasi i druga, drżąca, a należąca do Piotrka, błądziły chaotycznie po ścianach w poszukiwaniu włącznika.

– Chyba go mam, ale nie wiem, czy nie jest wyrwany – powiedział nieco głośnie niż poprzednio Piotrek.

Z głębi domu znowu dobiegł złowrogi szmer. W przedpokoju zabłysło nagle światło z zakurzonej, podwieszanej wysoko na suficie lampy. W domu było bardzo zimno. Okno w sieni, wychodzące na północ, w dużej części było pomalowane lodowymi ornamentami. Stary, zmurszały, gdzieniegdzie tylko pozostały kit nie dawał żadnej szczelności. Cały dom był spowity czernią i szarością, lampa z przedpokoju wyznaczała drogę do sypialni, oświetlając widoczny zaraz z jej brzegu niewielki fragment starodawnego łóżka, nakrytego bordowym pledem. Prowadzeni mdłym światłem, nieśmiało weszli do sypialni. Wciąż targało nimi pragnienie ucieczki z tego dzwoniącego głuchą ciszą, nieprzyjaznego domu. Zapalili następne światło. I wtedy ją dostrzegli. Leżała na podłodze niedaleko łóżka. Malutka, zwinięta, z podkurczonymi pod siebie rękoma, w grubym płaszczu, z niewiarygodnie wygiętą nogą ubraną w kilka grubych skarpet wystających znad filcowego trzewika.

– Pani Kondratowicz!

Kasia podbiegła, natychmiast odszukała pomarszczoną rękę zaplątaną w poły płaszcza i dotknęła przy nadgarstku. W zmarzniętej, chropowatej i żyłastej dłoni wyczuła nagle tętno. Babcia poruszyła się, zachrapała. Kasia nadal nie wypuszczała jej ręki ze swojej, masowała, aż stała się ciepła. Kobieta powoli otworzyła oczy. Jęknęła.

– Co się stało? – Spojrzała nieprzytomnie na Kasię i Piotra.

– Piotruś, pomóż mi, ułożymy panią na łóżku – zarządziła Kasia, chwytając staruszkę za nogi.

– Oj, jak boli – zajęczała kobieta podczas przenoszenia.

Delikatnie położyli ją na łóżku. Jedna noga kobiety leżała nienaturalnie wykręcona i wyglądała, jakby się oberwała. Jakby trzymała ją tylko i wyłącznie skarpetka. Kasia przykryła kobietę kocem.

– Piotrek, zrobimy tak. Ty teraz pobiegнеш do Doroty, niech zadzwoni po lekarza. Powiedz, że

chyba chodzi o jakiś uraz. Ja w tym czasie postaram się napalić w piecu. Zamarznąć tu można. – Kasia okryła chorą drugim kocem, a sama wyruszyła na poszukiwanie kuchni. – Zrobię pani herbatę! – zawołała z sieni, zamykając drzwi za synem.

Na środku kuchennego stołu leżał album fotograficzny. Bardzo magiczne są takie stare zdjęcia – pomyślała Kasia, starając się rozpalić ogień w starym, żeliwnym piecu. Udało się. Drewnianka zaskwierczały, zajęły się od podpałki, a za chwilę ogień objął je całkowicie. Dorzuciła kilka bryłek węgla i od razu poczuła zwiastun przyjemnego ciepła. Postawiła czajnik. Usiadła przy stole, przewróciła kartę albumu. O, jaka ładna była nasza sąsiadka. A w ślubnej sukni jeszcze ładniejsza. Może nawet uroczą? Widać, że wtedy jeszcze kochała świat. O, a tutaj to prawdopodobnie jej rodzice. I znowu babcia Kondratowicz w szkolnym mundurku. Ile mogła mieć lat? Osiem? A może dziesięć? Jeśli zawsze była taka drobna, to może nawet i dwanaście? I znowu z mężem. Ładna była z nich para – pomyślała Kasia, zamykając album.

Zza obwoluty wystawało zdjęcie, tym razem kolorowe. Teraz dopiero je dostrzegła. Powoli, mając świadomość swojego wścibstwa, wysunęła je, wając w ręce jego delikatną, atlasową powłokę. Dwie niebieskookie, śliczne, uśmiechnięte dziecięce buzie od razu budziły sympatię. Uśmiechnęła się. Odwróciła fotografię. I wtedy dostrzegła ten adres!

Odszukała na kredensie zniszczony długopis i kawałek starej gazety. Zaczęła przepisywać adres, zdając sobie sprawę z nielegalności tego, co robi. Ale jednocześnie będąc pewną swoich jak najlepszych intencji. Kartkę natychmiast schowała do kieszeni kurtki, spłoszona nagłym pojawieniem się Dory. Wraz z nią do domu wtargnęło zimne powietrze z dworu.

– Kto to widział tak o ciemku siedzieć, jakby umarła. Światło trzeba palić, choćby po to, by się nie przewracać o jakieś kłamoty – narzekała od wejścia Dorota. Wprawiona w obsłudze starszych ludzi poprawiała sąsiadkę na łóżku, podnosiła wyżej jej wielkie, nabite pierzem z co najmniej kilkudziesięciu kur poduchy. Babcia Kondratowicz opierała się na nich łokciami. Jej pozycja była bardziej siedząca niż leżąca. Pomimo bólu czuła, że jest w centrum uwagi, co sprawiło, że się ożywiła. Rozglądała się po pokoju, a po wypiciu ciepłej herbaty jej porcelanowa jeszcze przed chwilą, ale i mocno pomarszczona twarz nabrała żywych kolorów.

– To co się stało, babciu? – zapytał zaraz od drzwi doktor Frankowski. Delikatnie obmacywał przez kilka skarpet kostkę i stopę babci.

– Panie doktorze, to było w czwartek, biegłam od drzwi do pokoju, bo chciałam włączyć radio. Mają znowu robić wybory i nie wiem jeszcze, na kogo głosować. Oni tam się kłócą, że ja stara nie mogę już niczego zrozumieć. Ale wybrać kogoś trzeba. I potknęłam się, ciemno w oczach mi się zrobiło, a potem nie mogłam się podnieść. Już myślałam, że przyjdzie mi tutaj umrzeć z głodu.

– Z głodu?! Z gangreny, zapalenia, zatrucia organizmu raczej! Złamanie. Trzeba będzie zabrać panią do szpitala. Ma pani jakąś rodzinę? – zapytał doktor, wstając. – Trzeba zadzwonić po karetkę – powiedział do Doroty.

– Nie, jestem sama. Miałam męża, ale mnie zostawił. Nie chciał zabrać mnie ze sobą – zwierzała się lekarzowi babcia.

– Do trumny nie da się zabrać towarzystwa – prychnęła Dorota, mając na myśli nieboszczyka Kondratowicza.

Kasia uśmiechnęła się. Wspomniała radosne dziecięce buzie z kolorowej fotografii na atlasowym papierze zza oceanu. Ręką wymacała w kieszeni kurtki stronę ze starej gazety, na której potajemnie i z trudem, starym długopisem prawie bez tuszu zapisała bardzo ważny adres.

Do Wigilii zostało zaledwie osiem dni, do przyjazdu pierwszych gości niecały tydzień. Za trzy dni, jako pierwsza, miała się pojawić Zuza, potem, na kilka dni przed świętami, budowlaniec Paweł z żoną, dzień przed Wigilią rodzina Kasi z Poznania, prawdopodobnie w tym samym czasie Georg, a w dzień wigilijny wujek Franek, z nim ten ktoś oczywiście. Nowa kobieta. Na razie nie wiedziały, co z gośćmi Majszy, nadal byli niezdecydowani. Zbyszek Waligóra rozchorował się i swój przyjazd uzależniał od samopoczucia w dni bliższe świąt. Droga do Mordek – jak mówił – jest i bardzo zimowa, i daleka. Ale chciałby. Fotografka raczej się wymówiła. „Prawdopodobnie pojedę, jak co roku, do Zakopanego”. Wahała się jeszcze. Przyjazd na cały okres świąteczno-noworoczny rozważała poważnie samotna nauczycielka języka polskiego, koleżanka Majki ze szkoły. Pani nieco po pięćdziesiątce. – Obie teraz jesteśmy samotne. – Szukała w Majce wspólnej doli i zbliżenia.

Gdzie podział się ten Piotrek? – pomyślała Kasia – Zaraz przywiozą ze szpitala babcię Kondratowicz, a pokój na strychu nie jest jeszcze gotowy. Poza tym musimy szybko przenieść tam swoje rzeczy, bo nie wiadomo, w jakim stanie będzie sąsiadka. Zresztą, nie będziemy potem dreptać nieustająco po jej pokoju w poszukiwaniu majtek albo skarpetek. Kasia kręciła się po pokoju, bijąc się z myślami. Na pewno czmychnął do Jasia – pomyślała. – Tutaj taki babiniec. Tamara izolowała się, nie potrafiła już nawiązać z nim kontaktu tak żywego jak jeszcze rok temu. Poszedł, to poszedł. Normalnie Kasia pobiegłaby z ochotą, żeby go tam, u Solińskich, znaleźć, ale dzisiaj nie mogła sobie na taką przyjemność pozwolić, było jeszcze tyle do zrobienia. Chwilę kręciła się chaotycznie po domu, wreszcie wciągnęła kozaki, narzuciła miodowy płaszcz z futrzanymi obszyciami, zawiązała szalik. Pójdę! – pomyślała.

– Do kościoła się wybierasz? – zażartowała Majka.

– Piotrka idę poszukać, bo kiedy mamy przeprowadzać się na strych, jak już babcię przywiozą? – Kasia zatrzymała się przy drzwiach. Odwróciła się, dzięki czemu widać było, jak bardzo się zawstydzila.

– U Jasia idziesz go szukać? – uśmiechała się porozumiewawczo Majka, nic sobie nie robiąc z rumieńca Kasi. – W takim eleganckim płaszczu? Doroto, co ty na to, że Piotrek ma taki dobry kontakt z... no właśnie, kim dla Kaśki jest Janek?

– A co, on tutaj nie ma towarzystwa? Musi po wsi szukać przyjaciół?

Hm, bo po co się wdawać w niepotrzebną dyskusję? – pomyślała Kasia już za progiem domu. Prędko ruszyła do wyjścia z posesji, kierując się na ścieżkę pomiędzy dwiema sosnami, prowadzącą do furki. I wpadła prosto na Jasia, Piotrka i nieznanego jej dryblasę.

– Mamo, z panem Jasiem i panem Dankiem zrobimy wam świąteczną sannę. Z końmi, starymi saniami, jeszcze dwoje sanek musimy pożyczyć.

– My tylko na chwilę – tłumaczył się Janek, wchodząc na ścieżkę prowadzącą do domu. Kasia otworzyła drzwi.

– To mój przyjaciel Danek – przedstawił kolegę, będąc już w „Złocistej Dolinie”.

Majka stała w milczeniu. Poznała go od razu. Słońce, łany, harley, zboże, Szostakowicz, suita. Opuszczone ręce układała tak, jakby znowu chciała go zamknąć w kadrze. Danek zdjął ciepły, skórzany kozuch i ciemną, wełnianą czapkę. Niedbale rzucił je na ławkę przy wejściu. I natychmiast w słabo oświetlonych pomieszczeniach zaświeciło słońce. Wysokie i jasne jak latem. Nowy gość uśmiechał się szeroko harmonią wielkich i białych zębów. Kręcone, bardzo jasne włosy, tym razem niezwiązane w kucyk, podświetlone od tyłu światłem z kinkietu, tworzyły wokół jego pewnej siebie, niezwykle pogodnej twarzy słoneczną aureolę. Uwypuklały regularny kształt jego czoła i męskiego, silnego podbródka. Tę ogólnie świetlistą aureę, którą tutaj wniósł, podkreślał też jego biały, gruby, wełniany golf w norweskie wzory. A do tego był zainteresowany, a wręcz zachwycony mieszkankami ośrodka.

– Janku, jakież ty masz malownicze otoczenie! – wykrzyknął. – Piękne, kolorowe kobiety oczekujące... gestu powitania – dokończył prowokacyjnie.

Podchodził po kolei do każdej z nich. Dora podała mu rękę, ale potem wzruszyła ramionami. Tamara stała, nic nie mówiąc. Krytyczne spojrzenie Doroty i nieobecne córki złączyły się na chwilę w porozumieniu. Kasia, widząc to wymuszone ze strony Tamary porozumienie, podświadomie szukała w jej rękach pluszowego misia. Tym razem nie znalazła. Zaśmiała się – najpierw ogólnie, potem do Piotrka, równoległe z powitania Danka. Ale potem śmiała się już tylko do Jasia. A on do niej.

– Szkoda, że muszę wyjechać na kilka dni do Olsztyna. – Danek przytrzymał dłoń Majki w swojej. Utopił, taka była przy jego malutka. – Teraz, będąc tutaj, żałuję, że pojedę. Sam... – zawiesił głos.

Majsza nie spuszczała z niego wzroku. Jej ciemne źrenice powiększyły się, usta zaschły, co chwilę zwilżała je językiem. Coś zmysłowego, podniecającego zawisło w powietrzu. Kasia spojrzała na nich. Stali naprzeciwko siebie, milcząc. Byli tutaj tylko on i ona.

– Mogłabym ci towarzyszyć, gdybyś chciał – powiedziała cicho Majsza. Bała się, że jej odmówi, odrzuci jej beczelną propozycję. Ale wiedziała też, że albo dokona się to tutaj i teraz, albo wpadnie w męki niepewności, jakie przynosi oczekiwanie na miłość. Nie będzie na nią czekać w nieskończoność, sama ją sobie weźmie. Dokona wyboru. Tu i teraz.

– Hm, jak mógłbym nie chcieć? – uśmiechnął się Danek. Klepiąc Jasia po plecach, dodał: – To co? Wracamy? Mieliśmy się dzisiaj napić. Ale jutrzejszego ranka czekam grzecznie pod furką. – Odwrócił się w stronę Majki, spojrzał na nią. Tylko na nią. Spuścił głowę i wyszedł. A właściwie wyszli – Janek podążał za nim. Też spojrzał tylko na Kasię, że zawstydziała się, zarumieniła.

Dorotę przerosła ta chwila. Siedziała nieruchomo, spięta, wyglądała tak, jakby bała się spojrzeć nawet na Tamarę. Była zaskoczona i bała się na głos wypowiedzieć własne myśli. Jej milczenie było wymowne i krzyczało. Zawstydzona Tamara pobiegła na górę.

– Czym on się zajmuje? – Majka przełknęła głośno ślinę i pytająco spojrzała na Kasię. Wyciągnęła z kieszeni malinowy błyszczczyk i przejechała nim po wargach.

– Też jest architektem, ponoć wziętym w Warszawie jak cholera.

– Wiedziałam! Byłam pewna, że jest człowiekiem sukcesu i artystą! – Majsza chodziła po jadalni podekscytowana.

– Mamo, poprzenosiłem już część naszych rzeczy na górę. Ta sąsiadka przyjedzie lada moment. Też się ruszcie! – zawołał Piotrek ze strychu. Razem z Tamarą wychylali się zza barierki nad schodami na piętrze.

– Właśnie! A my tutaj zupełnie nie jesteśmy na to przygotowane. Jakimiś bzdurami zaprzątamy sobie głowy. Tamaro! Szybko, chodź mi pomóc, poduchy czas wytrzepać, nowe powłoczki ponakładać. Jak to wygląda, że kobietę przywiozą, a my nie jesteśmy na to gotowe. Prześcieradło weź to zielone, a pościel seledynową, żeby kolory wokół niej były żywe, a nie same szarości i bordo – kończyła przy bieliźniarce na drugim końcu domu Dorota. – Jeszcze babcię do jakiejś depresji doprowadzimy, albo gorzej.

Majsza wyjechała, ale to Kasia i Dorota czuły się tak, jakby to one dokonały tego nikczemnego czynu. Szokujący wyjazd sam na sam z dopiero co poznanym mężczyzną budził w nich, nie w niej, wyrzuty sumienia. Unikały się od samego rana i cieszyły, że pomiędzy nimi stanęła babcia Kondratowicz. By zagłuszyć ów stan ducha, prześcigały się w opiece nad rekonwalescentką. Zaś chora staruszka z zabandażowaną i usztywnioną gipsem nogą siedziała wsparta na seledynowych poduszkach i tylko wysuwała żądania. A to chciała coś do picia, a to natychmiast pastylki przeciwbólowe, do tego witaminowe. Potem znowu trzeba było to popić, tak kazał lekarz w szpitalu, najlepiej mlekiem, jeszcze chwilę później dać coś do jedzenia, bo tabletki jeść należy przed posiłkiem. Kiedy już spełniły tę część jej wymagań, przypomniała sobie, że należałoby sprawdzić, czy z jej chałupą wszystko w porządku.

– Te łajzy z Psiarek kręcą się i tylko patrzą, żeby coś człowiekowi ukraść. Jak się nie przypilnuje, zawsze coś zginie – zamruczała pod nosem. Dorota z Kasią spojrzwały na siebie. Bo co tam można u niej ukraść? Bieda aż piszczy, same stare rzeczy w domu, na pierwszy rzut oka nie ma zupełnie nic wartościowego. A dla złodzieja ten pierwszy rzut oka jest, zdaje się, najważniejszy. – Doprawdy, co tam kraść? – pomyślała Kasia, trochę już babcią zmęczona.

– Nie możesz się tak przejmować wszystkim, co ona powie – instruowała ją Dorota, widząc grymas zniecierpliwienia na twarzy Kasi. – W opiece nad starymi ludźmi ważne jest, żeby nie dać się opleść przez ich żądania. Jest coś takiego jak egoizm starczy, trzeba tylko o tym wiedzieć i już zacznasz nad takim staruszką panować. A o to w tej opiece chodzi.

– Kiedyś od nikogo nic nie chciała – zauważyła Kasia. – Dobra, to ja się wyłączę. Dorka, spójrz, Wojtek jedzie na rowerze. Tak ślisko, a on na dwuśladzie. Wiesz co? Zawołam go, bo widziałam na drzewie koło drogi jemiolę. Może by jakoś się do niej dostał? W święta coś pod jemiolą się robi. Panie Wojtku, panie Wojtku! – Kasia wychylała się z na wpół otwartego okna.

– Oj, zamknij to okno, bo ciepło ucieka! Matka zawsze wieszała jemiolę wysoko, na lampach, natomiast nad drzwiami zawsze wisiała podkowa. Przy tych remontach domu musiała się gdzieś zgubić. Albo ktoś ukradł!

Spojrzwały na siebie i uśmiechnęły się, bo spostrzegły, jak szybko przyjmuje się pewne sformułowania, nawet z pozoru niepopularne i zupełnie niemożliwe do zaakceptowania.

Jadąc na rowerze, Wojtek nie wyglądał na pijanego, ale idąc pieszo ścieżką, pod oknami „Złocistej Doliny”, już tak. Zataczał się po podwórku, drażniąc pochowane przed zimmem w budach psy. Wyskoczyły na zewnątrz swoich przytulnych schronów o skośnych dachach, odsłaniając wielkie, żółte kły. Szczekały zajadle, miotając się na łańcuchach i robiąc hałas na całą wieś. Nauczona psiej pokory Lady tym razem nie przyłączyła się do powszechnego jazgotu.

– Pamiętasz, że na strychu, w samym kącie, jest ten stary kufer po twoich rodzicach? Może jest w nim?

Pijany, że patrzeć na niego nie można. No i po co go tutaj zapraszałam? – Kasia patrzyła na Wojtka spod oka i z pretensją. – Teraz tylko nam zawróci w głowie. Kurczę, no i co teraz począć? Bo strach go takiego pijanego puścić na rowerze w świat. Kasia miała pewne społecznikowskie inklinacje. Chciała pomagać ludziom, to prawda, ale niewątpliwie nie pijanym, samotnym, pogubionym facetom! Samotnym, bo pijanym, pijanym, bo pogubionym, pogubionym, bo samotnym.

– Alkohol szkodzi zdrowiu i drażni mózg! Za te pieniądze nakarmiłby pan jakieś głodne dziecko w szkole. Tutaj jest dużo takich, wystarczy tylko poszukać – Kasia zaczęła wykład.

Wojtek stał przed nią zdezorientowany, wyprostowany jak do musztry. Brudną, żylastą ręką odgarniał długie, ciemne włosy, w bardzo niewielkim tylko stopniu przyprószone siwizną, która podkreślała to, jak

bardzo są długie i falowane. Dzisiaj jedynie odgarniał je z czoła, nie cesał. Spoglądał przy tym swoimi wielkimi, załzawionymi oczami – raz na Kasię, raz na Dorotę. Po jego wychudzonym policzku poczęły się toczyć wielkie łzy, zrobiły sobie koryta z pionowych zmarszczek i bruzd na jego poczerwiałej, zniszczonej twarzy. Spadały na kołnierz rozchełstanej mimo mrozu flanelowej koszuli, za kołnierz, na wychudzoną szyję, po której toczyły się dalej, napotykać na swojej drodze w dół lekko posrebrzone włosy na jego klatce piersiowej. Oczy Wojtka zdawały się coraz bardziej zmęczone i przekrwione.

– Bo ja nie wiem, jak jest zbudowana komórka – zaczął płaczkliwie. – Zapomniałem! – wykrzyknął żałośnie, po czym oburącz złapał się za głowę i zaczął głośno płakać.

– Komórka?! – wykrzyknęły obie naraz. Zaskoczył je. Rozczulił jego żalony ton.

– Komórka, atom, jądro – wymieniał, patrząc na widoczne przez okno szare niebo. Spoglądał w dal nieruchomymi źrenicami. Wcale nie wycierał łez. To nie one zaprzętały mu myśli. – Albo, wyobraźcie sobie, odkryte już przez znakomitych Pitagorejczyków liczby niewymierne. Mam jeszcze tak wiele do zrozumienia – westchnął, potem kucnął i oparł głowę na dłoniach, po czym rozplakał się na dobre.

– Oj, naprawdę! Jest pan inteligentny, mógłby się pan wziąć za siebie. Tak nie można, całe życie przed panem. Może jeszcze kiedyś się pan zakocha? – Kasia rozbudzała w nim nadzieję.

Wojtek wstał z kucek. Najpierw opuścił, ale potem podniósł oczy do góry, w jednej chwili ręką otarł łzy, przeczesał włosy mokrymi palcami, a na jego twarz spłynął nieśmiały półuśmiech.

– To nie jest wykluczone – wyszeptał. Kąciki jego ust, do tej pory smętnie opuszczone, podnosiły się coraz bardziej. Ożywił się. Może nawet trochę wytrzeźwiał? – Tyle że muszę przestać pić i tak już ostatecznie pozabawić sprawę z Zochą! – dodał, tym razem bardziej do siebie niż do kogokolwiek innego. Jednym ruchem narzucił na siebie szarą kurtkę i wyszedł z domu.

Patrzyły, nie komentując tym razem niczego, jak podnosi swój rower przy murze i wsiada na niego, dziwnie zgrabnie jak na stan, w którym trwał. Łapie kierownicę i odjeżdża. Płynnie, prosto, jakby nagle wytrzeźwiał. Albo jakby w ogóle tego dnia nie pił. A być może dlatego, że ustało jego zmartwienie co do niewiedzy na temat budowy komórki? A może nawet i z tego powodu, że uznał, iż nie ma po co układać spraw z Zochą?

– Do tej jemioly może tego Stasia zawołamy? – pierwsza odezwała się Kasia. Była uparta. Jak coś zaplanowała, to konsekwentnie dążyła, by sprawę jak najszybciej sfinalizować. I mieć ją za sobą. Szczególnie to „mieć ją za sobą” dawało jej największą satysfakcję.

– On znowu będzie mnie męczył, żebym zobowiązania Kiciusia wypełniała. Jego nie będziemy wołać – ucięła krótko Dora.

– No dobra. To ja teraz poodpisuję na maile, ogólnie poklikam sobie trochę.

Maile. Mówiąc to, miała na myśli przede wszystkim wiadomość od Georga. Była niespokojna, bo jeszcze nie miała czasu, żeby mu odpisać. Niewątpliwie uznawała się za spontaniczną, ale tym razem nie życzyłaby sobie, żeby znowu ją na czymś złapał. Na przypadkowej nielogiczności, niedokładności, jakimś słownym niedopatrzaniu. Niechlujstwie, jak ostatnio – zaśmiała się głośno.

Zalogowała się w swojej skrzynce pocztowej i natychmiast zaczęła pisać, z dziwną dla siebie samej ochotą czy nawet z potrzebą takiego właśnie dialogu. Ale, doprawdy, dzisiaj jeszcze nie wiedziała, z jakiego powodu tak ją to wciąga. I dokąd zaprowadzi?

...czyli rezerwujemy dla Pana myśliwską jedynekę z możliwością dostawki i z widokiem na jezioro. Tak, bywa, że śpię nago, panie Georgu, Łowco Lapsusów. Teraz już kończę, bo idę pomieszać zupę, potem wstawić golonkę, zjeść jajecznicę, wypić herbatę, bo za trzy dni jest już wtorek... :-D

Pozdrawiam, Katarzyna B-R

No, jestem ciekawa – pomyślała przekornie – czy on jest w stanie zrozumieć mój dowcip. Najprawdopodobniej nie. Jestem pewna, że skupi się jedynie na nagości! Nawet mogę się założyć – wyjrzała za drzwi do jadalni – ale nie mam z kim. W pobliżu bowiem nie było nikogo.

– Kasia, co ty na to, żebyśmy zatrudniły jednak tę Krysię, znaczy Stasia żonę? Wiesz, tego, co go widziałyśmy w knajpie i w końcu potem już go nie widziałyśmy, bo wpadł pod stół – śmiała się Dorota. – Ściągnął nam dzisiaj tę jemiolę, wiesz? Nawet za dużo – dodała. Starła się podzielić wielką czapę rośliny. Na stole kuchennym leżały małe jemiolowe gałązki. Do Wigilii zostały cztery dni. Majka jeszcze nie wróciła, a dzisiaj, może już nawet teraz, Dzidek odbierał Zużę z dworca. Obie zdawały sobie sprawę, że obecna rozmowa o rudej Krysi była ucieczką od tego, o czym naprawdę chciały ze sobą porozmawiać. I o czym powinny teraz mówić.

Majka. A raczej jej kontrowersyjna nieobecność!

– Co by miała robić? – zdziwiła się Kasia.

Do tej pory bez kłopotów same dawały sobie radę ze wszystkimi obowiązkami. Liczyły się jednak z tym, że już niebawem przyda się ktoś do pomocy w kuchni.

– Skończyła kurs księgowości – odpowiedziała Dora. – Przecież chyba nie chcesz sama w tym grzęznąć? Mówiłaś kiedyś, że my musimy się zająć budowaniem strategii, organizacją rozrywek, pieniędzy i w ogóle umilać gościom czas.

– Oszalałabym, gdybym miała być księgową – potwierdziła Kasia. – Jeśli byłaby taka konieczność, oczywiście, wzięłabym się za to, bo to zajęcie nie jest mi obce, ale potem musiałabym jakoś odreagować. Na przykład, rano bym księgowiała, a popołudniami skakała ze spadochronem. – Uśmiechnęła się, bo wyobraziła sobie siebie kurczowo uczepioną tego spadochronu. – Albo jeździłabym jak, no wiesz kto, harleyem po polach. No dobra, skoro się tak upierasz, zatrudnijmy ją, ale na okres próbny. Powiedzmy trzymiesięczny. I na ułamek etatu. Trzeba ją poznać. Księgowia jest jak ksiądz, tajemnicę spowiedzi powinna zachować dla siebie. Znam ją już skądś? – zapytała, bo nie mogła sobie zupełnie wyobrazić partnerki życiowej Stasia. Zresztą, spotykała go wyłącznie w ekstremalnych sytuacjach.

– Mogłaś ją widywać czasem w sklepie. Taka mała, z metr pięćdziesiąt, rude, długie włosy.

– Mała jakaś taka i do tego jeszcze ruda?! Takie są najmniej pewne. Jak to się mówi, największe trucizny trzyma się w małych buteleczkach – zazartowała Kasia. Po czym zaczęła się śmiać, bo zorientowała się, że ta stara prawda może dotyczyć także Majszy.

– E tam, będzie sobie dłubać w cyferkach. Zamkniemy ją w tym małym pokoiku przy konferencyjnym, damy komputer. Ona na razie nie musi być codziennie – mówiła Dorota.

– Cyferki?! Te cyferki to jądro firmy! Jak zresztą chcesz, ale żeby potem nie było na mnie – powiedziała Kasia. Sama zdecydowanie bardziej wolałaby się mylić, bo miała poczucie, że dużo gorzej się czuła ze sobą, gdy miała rację. Że byłaby o wiele szczęśliwsza, gdyby się od czasu do czasu pomyliła. Po prostu.

– Tamaro! – zawołała Dora, jak zwykle donośnie. Kasi nawet wydawało się, że wykrzykując imię córki, jakoś tak szczególnie akcentuje to „r” w imieniu dziewczyny, co jeszcze bardziej podnosiło nakazowy charakter przywołania. – Pośpiesz się z tą pościelą dla Zuzy. Gdzie jest znowu ta dziewczyna? Tamaro!

Obowiązkiem Tamary było przygotowywanie pościeli na przyjazd gości oraz cała celebra z nakładaniem powłoczek na kołdry i poduszki. Opracowanie strategii, czy chwycić je z lewej strony czy z prawej, czy naciągając je na kołdrę czy wciskając kołdrę do nich. Okropność – pomyślała Kasia.

– Tak to jest, jak się nie ma metody – mówiła Dorota.

– Przywiozłem wam gościa – zawołał od progu Dzidek. Strzepywał śnieg z ubrania. Na dworze prószyło, ale nie było jeszcze minusowej temperatury, więc te drobne śnieżne płatki pobielily na chwilę jesienną szarość, ale zaraz topniały. Z drugiej strony śnieżek ów zapowiadał, że prawdziwa surowa zima

na tym polskim biegunie zimna jest tuż, tuż.

– Kto tam u was ma mieszkać? Pytają w miasteczku. Same tutaj życie, bez facetów, to jak to wypada przyjmować może i obcych chłopów? Toż to zgorzenie na całą okolicę. Oto nastroje z terenu. Melduję wykonanie zadania! – relacjonował, śmiejąc się.

– Musieliby trochę pożyć w Niemczech. Tam dopiero by im się oczy otworzyły. – Dorota jak zwykle wzruszyła ramionami. – Tamaro! – zawołała, spoglądając spod oka na schody.

– Piotrek, Zuza przyjechała! – zawtórowała jej Kasia.

– A mamy nie ma? – zdziwiła się Zuza.

Kasia z Dorotą spojrzały na siebie, potem spostrzegły, że z góry, wąskimi schodkami schodzi Tamara razem z Piotrkim. Tym razem wydawali się być w jak najlepszej komitywie. Dora zdawała się bardzo rada. Hm, nie może być – pomyślała Kasia i ta konkluzja na chwilę odciągnęła ją od myśli zasadniczej. Tej o Majce. Była zaniepokojona. Rozmawiała poprzedniego dnia z Jankiem na temat perspektyw tej znajomości. Ale on tylko powiedział: „Sama chciała z nim jechać. Miał odmówić?” – i zrobił zdziwioną minę.

Dlaczego w ten sposób jej odpowiedział? Poczowała się, jakby była winna. Czowała się winna. A sposób, w jaki zareagował na jej pytanie, a może nawet i wyrzut, nie pasował do niego. Nie zawierał empatii.

– Wiesz, Zuzka, zaraz będziesz mogła się rozgościć na górze. Na dole jest teraz ciasniej, bo opiekujemy się chorą sąsiadką, a twoja mama przeniesie się do pokoju ptasiego w szopie. Oczywiście, jak wróci.

– To niech on będzie dla tej chorej pani – powiedziała Zuza, wyciągając z torebki porcelanowy dzwonek. Gdy stawiała go na stole, wydał świdrujący dźwięk. Kasia najpierw skrzywiła się, ale potem wzięła go do ręki i zaniósła do pokoju babci.

– Gdzie jest moja mama? Wyjechała? Dlaczego nie odbiera komórki? – wyliczała zaniepokojona Zuza. Stała na środku pokoju z opuszczonymi rękoma, nie zdejmując długiego skózanego płaszcza. Rozglądała się po domu, rozczarowana, smutna i zagubiona.

Żał było dziewczyny. Dorota spojrzała na Kasię, a Kasia na Dorotę, ale ani jedna, ani druga nie chciały spoglądać na Piotrka i Tamarę. Bały się też zerknąć na Zużę.

– Chodź, pogadamy na strychu. – Piotrek wziął z rąk Zuzy walizkę. Tamara wyciągała z szafy w bieliźniarce ręcznik dla dziewczyny i pobiegła za nimi po schodach prowadzących na górę. Kasia była zdumiona przemianą Tamary, ale pomyślała, że pewnie niedługo znowu wróci do stanu apatii, w jaki co rusz popadała.

– Tamaro! Co ty tam robisz ciągle na tej górze? Żebyś przypadkiem nie zajmowała się jakimiś głupotami! Bierz przykład ze mnie. Oj, żebyś ty choćby w niewielkiej części odziedziczyła moje zdolności.

Dziewczyna zniknęła za załamaniem muru na strychu, ale Dorota jeszcze nie skończyła artykułować swojej myśli. Spojrzała na Kasię, ręką wskazała piętro, gdzie zniknęła młodzież.

– Ona nie ma żadnych zdolności. – Kiwnęła z rezygnacją głową, aż jej gęste włosy wykonały swój kolejny taniec wokół twarzy. – Beze mnie nie dałaby sobie rady – dodała cicho.

Na piecu od rana stały wielkie garnki, z których wydobywała się para. Czuć było zapach gotowanej kiszzonej kapusty. System wentylacyjny nie nadążał z wykonywaniem swojego zadania. Wielkie okna kuchenne były całkowicie zaparowane. Para, skraplając się, tworzyła na mgielnej powłoce labirynt wodnych cieków. Kasia od rana wespół z Dorotą doglądała kuchni, mieszając w wielkich jak dla kompanii wojska garnkach wielką, drewnianą chochlą. Gdy już nie mogła wytrzymać duchoty panującej w kuchni, otworzyła okno. Powiało mrozem. Kasia kilka razy odetchnęła głęboko. Brzydził ją mdły zapach gotowanej kapusty. Potem, gdy już znajdują się w niej te wszystkie wspaniałe smakowo składniki, jest inaczej. Suszone grzybki, głównie prawdziwki, suszone śliwki i jabłka z własnego ogrodu, pomidory z tegorocznych zapraw, o smaku bardziej malinowym niż pomidorowym – to wszystko razem zmieniało zapach, smak i kolor tej szarej kapuścianej mazi.

Odłożyła na talerz drewnianą łyżkę. Na grubej desce, przypominającej wyciosany kawał drewna, położyła kilka krążków kiełbas i zaczęła kroić je w kostkę, a potem smażyć. Natychmiast zapachniało wędzonką. Wędzarnia, koniecznie musimy ją jednak zrobić – przypomniały jej się plany z lata.

– Wiesz, mam tremę. Zaraz przyjedzie Paweł, budowlaniec z Poznania. Pierwszy gość na cały turnus. Poważnie myśli u nas integrować bądź motywować swoich pracowników, a ja się znowu blokuję – powiedziała, patrząc w stronę Doroty.

Jakby na zamówienie rozległ się warkot silnika i przed dom podjechał samochód. Psy natychmiast zaczęły zajadle szczekać. Dorota wyjrzała przez firankę. Zuza, słysząc, że samochód zatrzymał się przed ich bramą, zbiegła na dół, spojrzała za okno, ale zaraz z powrotem bardzo powoli zaczęła wchodzić stromymi schodami na strych.

– Mówisz i masz. Podjechali – powiedziała Dora, wychodząc na dwór. Kasia widziała przez okno, jak wita się z gośćmi, otwiera im bramę, wskazuje miejsce do parkowania i wprowadza do domu. Przodem wysoką, żywo gestykującą kobietę, a potem całkiem szpakowatego, aczkolwiek niezbyt starego mężczyznę w okularach.

– Jechaliśmy jak na koniec świata. Paweł zawsze wpada na jakiś absurdalny pomysł i zamiast wypocząć, najczęściej marnujemy czas w samochodzie. Inna sprawa, że gdyby był blisko Poznania, zaraz pewnie dzwoniłoby kooperanci. A tak wiedzą, że jest daleko.

– A czemu nie pojechać dalej? Jeszcze jesteśmy na fleku, no nie? Baśka, czy ty zawsze musisz mieć inne zdanie niż ja? Nie mów nic, powąchaj! – Gość delektował się zapachem.

W domu wyczuwało się głównie mdły zapach kiszzonej kapusty oraz nutę innej, bardzo intensywnej woni. Pochodziła od suszonych grzybów, podsmażanej wędzonki i wielkiej, świeżo przypieczonej karkówki, która, leżąc wcześniej przez kilka dni w pełnej aromatu zalewie, nasyciła się smakiem i zapachem wielu przypraw. Z niewielkiego rondelka dochodził drażniący nozdrza zapach duszonej cebuli.

– Pachnie jak przed świętami we wszystkich domach szanujących polską tradycję. Serducho się raduje, kiedy się widzi taką dbałość o zwyczaje. Dopiero święta spędzone w poszanowaniu tradycji przynoszą radość i nadzieję. Nadzieja jest najważniejsza w życiu. – Paweł popatrzył na nie ze smutkiem. Ręką wskazywał lewą stronę swojej klatki piersiowej.

– Mąż miał ostatnio problemy z sercem. Odpoczynek z dala od firmy dobrze mu robi.

– To co? Rozpakują się państwo w pokoju wodniaków? Wiem, wiem. – Kasia uśmiechnęła się, widząc pytanie w spojrzeniu żony Pawła. – To jest troszkę przerost formy nad treścią, ale rzeczywiście każdy pokój ma inne ozdoby, detale, nieco sugerujące nazwę.

– Całkiem sympatycznie – powiedziała z uśmiechem kobieta. – Bardzo lubimy wodę i sporty wodne.

– W tej części ośrodka jesteście pierwsi. A potem zapraszamy na śniadanie – zarządziła Kasia.

– Dwie obłożone skibki chleba wystarczą. Nie kłopotcie się panie. I żona, i ja nie jesteśmy wymagający.

Wieczorem, gdy mogły pozamykać wreszcie gotowe bigosy i mięsa w wielkiej lodówce, gdy bardzo zmęczeni całonocną jazdą pierwsi goście poszli już spać, babcia Kondratowicz zaś drzemała, wpółsiadząc na wysokich poduchach, wtedy dopiero wszyscy domownicy mogli spokojnie usiąść razem przy kolacji. Rozmowa jednak się nie kleiła. Może z racji zmęczenia, a może dlatego, że przykro było im wszystkim oglądać smutek i niepokój Zuzy. Ale być może i z tego względu, że wyczuwali solidarnie, że nie można, jak zrobiła Maja, rzucić nagle wszystkiego, co w życiu potrzebne, na czym można się oprzeć, o co warto zawsze walczyć. I wyjechać. Brak wieści od niej, ułomność ich wzajemnego dialogu oraz negacja potrzeby życzliwego komunikowania się doprowadziły tylko do sytuacji, w której czuły zarówno zawód, jak i pogardę.

Wszyscy wzdrygnęli się na dźwięk klaksonu. Po chwili usłyszeli wyraźnie, jak w pobliżu trzaskają drzwi od samochodu. Do sieni wbiegła zaróżowiona Majka. Niedbale rzuciła kurtkę na ławkę przy wejściu, wkroczyła do jadalni, a następnie bezceremonialnie uniosła pokrywę garnka z jeszcze ciepłym gulaszem. Wzięła z kredensu talerz i sztucce. Usiadła przy stole, spojrzała na Zużę, potem na pozostałych.

– No to jestem! Cześć, Zuza! – powiedziała i z wielkim apetytem zaczęła jeść.

– Wyjechałaś sama z jakimś nieznanym mężczyzną? – nie wytrzymała Zuza.

– A jeśli tak? – zaśmiała się Majsza ustami ociekającymi pomidorowym sosem.

– Szybko zapomniałaś o ojcu...

– Szybko? A na co mam czekać? Według ciebie powinnam założyć czarny wór i płakać? To nam go przywróci? – zaperzyła się Majsza.

– Temu tam tylko na seksie zależy. A ty nie myślisz już jak normalna kobieta – stwierdziła pogardliwie Zuza. Wyduła swoje kształtne usta, aż pojawił się na nich brzydki grymas. – Wiesz, gdyby nie święta, wyjechałabym stąd natychmiast! Jak ci nie wstyd! – krzyknęła, ale za chwilę zaczęła płakać. Po czym wstała gwałtownie od stołu, kierując się w stronę schodów na strych.

– Nie krzycz! I nie mów tak do mnie, jestem twoją matką. – Majka wycierała usta papierową serwetką przyozdobioną w świąteczne choinki.

– Matką? Nie żartuj! – zawołała z góry Zuza i zniknęła za załamaniem korytarza na strychu.

– No to ja pójdę już do siebie. Napalone jest już w tej ptasiej komnacie? – Majka, nie czekając na odpowiedź, zdjęła z drewnianej skrzynki kluczyk z małym ptaszkiem wiszącym przy breloczku, narzuciła na ramiona szal i płaszcz, wzięła małą podróżną walizkę, a potem wyszła z domu, głośno trzaskając drzwiami.

Kasię i Dorotę ta sytuacja przerosła. Piotrek kręcił się nerwowo, bo chciał jeszcze skorzystać z komputera. Tamara, jak zwykle, tłumiała emocje. A może dylematy innych nie potrafiły nią wstrząsnąć na tyle, na ile jej własne? Spoglądała na matkę.

– Dobrze, możesz, ale tylko chwilę, bo jest już po północy – zapowiedziała Piotrkowi zniecierpliwiona Kasia.

Bardzo ekscytował ją dialog z Georgiem. Odkrywał przed nią inne podejście do zmysłowości. Zdecydowanie bardziej luźne. Zapomniała całkowicie, jak on wyglądał, ale od czego jest wyobraźnia? Gdy na chwilę zamknęła oczy, widziała naprzeciwko siebie wysokiego, masywnie zbudowanego mężczyznę, z bardzo krótko ostrzyżonymi włosami. W okularach w złotych oprawkach na nosie. Nie mogła się doczekać, aż wszyscy zasną. Wtedy... Wtedy odczyta wiadomość od niego.

Szybko założyła nocną koszulę. Tiulowe wiązania spadły jej z ramion, gdy siedząc na łóżku, zdejmowała satynowe klapki. Zrobiło jej się chłodno, wzdrygnęła się, ręką sięgnęła po błyszczące

wdzianko. Granat współgrał z jej naturalnie chłodną aurą.

W domu pogasły już wszystkie światła. Kasia, siedząc w swoim łóżku, szybko i wprawnie połączyła się z Internetem. Zalogowała się w swojej poczcie.

...Nagość, nawet tak dalece wyobrażana sobie, wyzwala, albo lepiej, wznieca namiętność. Przesyłam namiętne pozdrowienia. A może i całusy? Georg

Ufff. Zrobiło jej się gorąco. Powróciła jeszcze raz do maila, doszukując się w nim innego, ukrytego sensu. Podtekstu. Nie znalazła go, ale zapowiedź ewentualnej erotyki pomiędzy nimi odebrała nad wyraz silnie. Jednocześnie ten kierunek rozmowy, przyjęty przecież od samego początku przez niego, w jakimś stopniu ją dotknął. Wstrząsnął nią. Wzniecił zmysłowość. Pobudził erogenne obszary. Była podniecona. Przede wszystkim podniecona. Poprzez te kilka słów doprowadzona do niepokoju, zapowiedzi uniesienia.

Nie, nadal nie pamiętała, jak on wyglądał. Nie mogła przypomnieć sobie nawet jego twarzy, wyrazu oczu, ale poczuła absolutnie bezwstydnie, jak jego silne i bezwzględne dłonie powoli zsuwają delikatne jak mgiełka paski tkaniny z ramion. Pieszcząc jej szyję i dekolt. Potem, bez oczekiwania na zgodę, podnoszą śliską tkaninę jej odświętnej nocnej koszuli do góry i niespodzianie dla niej, tą dużo dłuższą, bo okrężną drogą, docierają bezbłędnie do jej piersi z twardymi niczym orzech sutkami. Bawią się delikatnym jak złota niteczka łańcuszkiem, który wisi między jej piersiami, zakręcając go sobie na palec, ugniatając w ten sposób mimo woli, albo z rozmysłem, jej sutki... A potem wsuwają się pod jej pośladki. Georg. Dotyka ją i całuje. Całuje, całuje i dotyka. Pieści. Zapomniała zupełnie o tym uczuciu.

Z trudem otworzyła oczy, spojrzała na ekran włączonego ciągle laptopa. Pierwsza. Dom był całkowicie uśpiony i ciemny. Jeszcze raz odczytała wiadomość i – nie zważając na bezwzględnie zapadłą ciemność, na świsty w kominie, szmery za oknem, wiatr i łomocący o okno deszcz ze śniegiem – zaczęła pisać. Bardzo szybko, głośno stukając w klawiaturę:

Tylko nagość wywołuje u Pana namiętność?

– Mamo, czy ty musisz tak długo pracować? Martwię się o ciebie!

Kasia podskoczyła na łóżku. Przecież Piotrek miał spać już od godziny! Jego głos, tuż za jej plecami, przeraził ją, sprowadził na ziemię, wymusił emocjonalną dyscyplinę.

– To tylko krótki mail z potwierdzeniem rezerwacji – powiedziała ściśniętym głosem. – Już go zresztą wysłałam.

Wyłączyła laptopa, namiętność zakryła kołdrą po same oczy i zgasiła małą nocną lampkę. Długo jeszcze nie mogła zasnąć. Samotność nie zgasiła jej pragnień. Pomyślała, że chciałaby jeszcze coś przeżyć. Bo zasługuje na to, jak najbardziej!

W wigilijny poranek w „Złocistej Dolinie” byli już prawie wszyscy goście. Rodzina Kasi zajęła pokoje na parterze szopy. Do późnego poranka odpoczywali po podróży. Ciocie od razu po przyjeździe zaopatrzyły się w deskę i żelazko do prasowania i poprosiły o kilka dodatkowych wieszaków. Bracia Doroty z żonami zapowiedzieli się przed zmierzchem. Dorota puszyła się, że w końcu bratowe przyjęły zaproszenie.

Bigosy ponownie podgrzewały się na piecu. W pięciolitrowym garnku gotowała się kapusta z grzybami. W drugim, równie dużym, bulgotał barszcz, a w wielkiej misce na stole moczyły się w mleku ryby. Dorota po raz pierwszy, odkąd razem przebywały, dała przyzwolenie na wspólne gotowanie. Zaczęły się prześcigać w wymyślaniu potraw. W lodówce znalazły się dzwonki z karpia, wypatroszony pstrąg i, dla urozmaicenia menu, kergulena. Bardzo późnym wieczorem skończyły zaś pitrasić śledziowe sałatki.

– Ja zrobię po ukraińsku, jest najsmaczniejsza – zaznaczyła już na wstępie Majka.

– Buraki są w kopczyku, zaraz przy wejściu do szopy – przystała na jej pomysł Dorota.

Dopiero około południa Kasia znalazła chwilę, żeby posłać w świat kilka świątecznych maili i kartek. Nie mam możliwości, żeby napisać do każdego indywidualnie – pomyślała. – Zresztą prawie wszyscy, których lubię i kocham, są w „Złocistej Dolinie”, więc będę miała przyjemność złożyć im życzenia osobiście. I od nich otrzymać takie same. Ale pozostało kilku dalszych znajomych, kolegów i koleżanek z pracy. – Wyślę do nich hurtem jeden tekst – zdecydowała, oczekując na uruchomienie się komputera.

Jak dużo kartek i wiadomości?! – ucieszyła się. Jerry Bzdowski. Hmmm, a to ciekawe. I jakie miłe. Poza tym niespodziewane.

I Georg Nawrocky! W jednej chwili poczuła się bardzo niespokojna i najpierw zapragnęła przeczytać tę właśnie wiadomość. Zaraz, natychmiast musiała się dobrać do tego maila! Od Georga, który to w nieskrępowany, niezawołowany sposób rozmawiał z nią tak bezczelnie, jak tylko może rozmawiać mężczyzna z kobietą. Czasami. Nie zawsze. Przed kuzynem Jerryem Bzdowskim, niespodzianie dla niej próbującym się z nią skontaktować, krewnym z daleka.

W niewielkim zaledwie stopniu opanowała emocje, otworzyła wiadomość i zaczęła pośpiesznie czytać:

Nie, trochę zasłonięcia dodaje uroku, tajemnicy. Kończę, bo jestem bardzo strudzony. Wróciłem z erotycznego, zupełnie dla mnie w tych okolicznościach niespodzianego wypadu do Kolonii. Sofiji udało się przeżyć nawet kilka orgazmów, a mnie? Mnie nie. Naturalnie zeszliśmy się na nowo i być może z nią nawet przyjadę powitać Nowy Rok w Mordkach. Georg

Poczuła się bardzo rozczarowana, bo przez moment wyobraziła sobie, że to, co do niej pisał poprzednio, a raczej w niewielkim jedynie stopniu sygnalizował, było skierowane wyłącznie do niej. I oparte na prawdziwych myślach. Że to jego zainteresowanie nią nie było udawane. Ani na wyrost. Zrobiło jej się przykro. Poczuła się manipulowana. Tak właśnie, manipulowana. Bo mimo że znała poglądy Georga na temat związków, a także zdawała sobie sprawę, iż był jednym z tych, którzy nie potrafią się wiązać, przez pewien czas dawała się uwodzić nadziei, że w relacji z nią będzie inny. Zezłościła się na siebie, że tak łatwo dała się wciągnąć w tę rozmowę. Poczuła się również odrzucona. Westchnęła ciężko.

Nigdy wcześniej nie potrafiła radzić sobie z uczuciami na pograniczu manipulacji. Sama nie potrafiłaby też jej użyć wobec nikogo. Być może z tego powodu nie dążyła do rozwiązania swoich spraw małżeńskich? Nie mogła jeszcze do nich powrócić, bo nadal nie czuła się na tyle silna, żeby podejść do nich pragmatycznie. Była spętana wewnętrznymi nakazami i wyborem surowej drogi postępowania, ale u innych niewiele zachowań ją gorszyło. Nie przykładała różnych, nawet kontrowersyjnych wyborów życiowych do swojego. Nie wiedziała, co myśleć o Georgu.

No cóż, jak to wczasowicz, pobędzie i wyjedzie – pomyślała ze smutkiem i przeniosła wiadomość od niego do kosza.

Jerzy Bzdowski – przeczytała wtedy i uśmiechnęła się. – A to będzie dopiero miła niespodzianka dla ojca.

Droga Kuzynko.

Dowiedziałem się o Twoim istnieniu i dociekaniach na temat naszej Rodziny od księdza proboszcza w Bzdowie. Jestem bardzo szczęśliwy, że starasz się iść drogą podobną do mojej, jeśli chodzi o ustalenia i fakty historyczne dotyczące naszych przodków. Ta moja rodzinna historia jest dla mnie bardzo ważna, bo mieszkając już dwadzieścia siedem lat poza Polską, szczególnie doceniam dążenia do poznania własnej tożsamości. Załączam kilka pamiątek rodzinnych i kopii dokumentów, które udało mi się już zdobyć. Wiem, że sprawią Tobie i Twoim Rodzicom wielką radość. Szczęść Boże w te piękne dni Bożego Narodzenia i wielu łask Bożych na Nowy 2011 Rok. Jerry Bzdowski z rodziną.

Świat daleki, a tak bliski – westchnęła. Powoli otwierała załączniki. Najpierw zeskanowany akt nadania ziemi Bzdowskim. Potem wycinki z gazet mówiące o osiągnięciach przedstawicieli rodu i rozrysowane na kilkaset lat wstecz drzewo genealogiczne. – O, nawet i ja tu jestem. Tata się ucieszy – pomyślała, ustawiając drukarkę. – I wujek Franek. Kiedy przyjedzie, też będzie rad. Muszę wydrukować jeszcze jeden egzemplarz. Dla niego – postanowiła.

Zaczęła czytać urywek z przedwojennej gazety.

Ziemia łomżyńska, ziemia pokryta głębokimi lasami – odwieczne władztwo wolnych Kurpiów, którzy nigdy nie przyjęli jarzma pańszczyzny, zachowując swą dumną, choć biedną wolność. Ziemia wolnych strzelców królewskich, znakomitych myśliwych, zawsze broniących swojej niezależności – zarówno tej regionalnej, jak i narodowej polskiej. Przywiązanych do wiary ojców. Z tejże ziemi pochodzi też bardzo stary kurpiowski ród Bzdowskich, notowany w kronikach już od 1349 roku. Historycy wspominają Jana Bzdowskiego, podskarbiego przewodzącego grupie kurpiowskiej walczącej ze Szwedami w czasie wojen szwedzkich. Bzdowscy brali także aktywny udział w powstaniu styczniowym. Wśród Bzdowskich ważna zawsze była żywa, tradycyjna wiedza o przodkach i dokładna znajomość swoich korzeni...

Kasia wydrukowała dwa komplety załączników i treść maila od Jerry'ego. Jeden planowała przekazać ojcu, drugi wujkowi Frankowi. Spakowała je do plastikowych koszulek. Każdą z nich zwinęła w rulon i opakowała w zielony, mieniący się papier. Przewiązała ażurową, złotą wstążką i przyczepiła karteczki z imionami adresatów. Wyszła do jadalni i wrzuciła je pod wielką, pachnącą jodłą.

Gdy Dorota z Tamarą były jeszcze w Niemczech, Kasia, chcąc sprawić im przyjemność, w jadalni na szerokim słupie podtrzymującym schody na strych stworzyła miejsce dla wyeksponowania starych fotografii należących do rodziny Doroty. W rodzinnym albumie znalazła zdjęcie jej rodziców stojących na ganku, przed wejściem do domu. I przywiozła z Poznania swoje ulubione zdjęcie Doroty, gdy na stacji

Poznań Główny wsiada do pociągu do Konina, żeby dojechać nim na praktyki z demografii. Wysoka, smukła, z aureolą kasztanowych, kręconych włosów, ujarzmionych jasnym, filcowym beretem. Ładna, elegancka, a taka poraniona – myślała Kasia. Wczoraj u fotografa w miasteczku powiększyła fotografie i przekopiowała je w sepia. A potem oprawiła w takie same inkrustowane ramki. Teraz podarunek ten leżał już opakowany w biały, wytłaczany papier pod jodłą, obok płaskiego pakunku z wielką fotografią Majszy w żałobie, wśród jeziornych mgieł, z wielkim pędzlem w ręce, siedzącej tyłem na zielonym składanym krzeselku.

Była piętnasta. Stół w jadalni przygotowany został na trzydzieści osób. Goście odpoczywali przed Wigilią w swoich pokojach, niektórzy szykowali się do uroczystej kolacji, jeszcze inni, jak na przykład Paweł z żoną, poszli na spacer. Bratowe Doroty i Dorota z Tamarą siedziały na strychu i prowadziły ożywione rozmowy o ostatnich rodzinnych wydarzeniach. Bracia Dory obchodzili obejście. Majsza i Zuza starały się. Na razie próbowały rozmawiać o niczym. Czyli na początek o śledziu po ukraińsku.

Nie było jeszcze wujka Franka i Witka, brata Doroty. Jeśli chodzi o Witka, można było go usprawiedliwić, gdyż z Teksasu do Mordek droga daleka. Ale wujek Franek mieszkał stosunkowo niedaleko, w Łomży. Miał przyjechać samochodem.

– Nie wiem po co. Jakby pociągów nie było. Jeszcze go tam Lucynka zawezwie i zamiast świąt będziemy mieli pogrzeb – ubolewała Teresa Bzdowska.

– Mamo, przestań! – protestowała Kasia.

– Taka ślizgawica... – Dorota pokiwała głową.

– Nie będziemy czekać. Postawimy cztery komplety talerzy dla zbłąkanych gości – zdecydowała Kasia, nastawiając kolędę. Piotrek i Dzidek zapalali świece na wielkiej jodle.

– Dlaczego te psy tak szczekają? Nie mogłam spać w nocy – denerwowała się ciocia Fela.

Ha! A co ja miałam powiedzieć, gdy byłam sama? – Kasia uśmiechnęła się do swoich myśli. – Gdyby oni wiedzieli, jak ja się wtedy potwornie bałam! Teraz przyzwyczała się do tej sfory, nieustająco o zmierzchu dopadającej ogrodzenia.

– Słyszałam chyba podjeżdżający samochód – zastanawiała się głośno, nasłuchując. Nauczyła się rozpoznawać każdy odgłos w tej okolicy. W Poznaniu słyszała nieustający szum, a w istocie nie słyszała nic. Tutaj panowała cisza, w niej nietrudno było wyłowić dźwięki życia.

– To Franek, Wojciechu, to na pewno nasz Franek! – Mama Kasi pobiegła podekscytowana do wejścia, po czym zamknęła drzwi od sieni przed nosem swojego męża. Przy wejściu nie było wiatrołapu ani ogrzewania, co wyrobiło w domownikach, ale – jak się okazało – także w gościach nawyk dokładnego zamykania drzwi prowadzących bezpośrednio z sieni do jadalni.

Bóg się rodzi, moc truchleje... – zabrzmiało w „Złocistej Dolinie”. Goście zajęli miejsca przy stole. Ciocie Fela, Pela i Stela w podobnych taftowych garsonkach i białych bluzkach z żabotami, siedząc z brzegu stołu, nadawały szyku.

Bóg się rodzi, moc truchleje... – zaintonowali bracia Doroty.

– Jezus Maria! – Mama Kasi pobladła i z przestachem w oczach wbiegła z powrotem do domu. Zamknęła drzwi od sieni, wołając: – Trzymajcie te drzwi! Nie pozwólcie ich otworzyć!

– Ale co się stało? Zwierzę jakieś czy co? – Bzdowski ze świeczką z choinki w ręce próbował podjąć bohaterską, a może desperacką próbę uwolnienia zebranych od niepewności.

– Wojciechu, nie idź tam! Zjawa, jak żywa! – wołała jego żona, blokując ciałem drzwi wejściowe. Ojciec Kasi wycofał się niepewnie do pokoju, zaniepokojony wcale nieustępującą bladością żony. Wyciągnął z kieszeni małą tabletkę.

– Połknij, Tereniu, zaraz ci przejdzie. – Drugą ręką nalewał do szklanki wodę z czajnika.

– Czy ktoś nas tutaj powita? – zza drzwi dobiegł ich męski głos. Rozległo się wycieranie butów

o metalową wycieraczkę, a potem pukanie do drzwi. Mama Kasi uskoczyła i pobiegła w głąb jadalni, na sam koniec stołu. Stała pomiędzy mężem Feli, Tadzikiem, i Piotrkim. No cóż, atmosfera niepokoju udzieliła się wszystkim. Mężczyźni przyjęli pozycję wyczekującą. Stali na swoich miejscach w gotowości do odparcia niebezpieczeństwa.

Bóg się rodzi, moc truchleje... – brzmiało prawie złowieszczo.

Drzwi otworzyły się nagle. Na tle słabo oświetlonej sieni stanął wujek Franek w długim kożuchu, przyprószonym śniegiem. Mama Kasi zawołała do niego ściśniętym głosem:

– Franuś, widziałam ją. Stała za tobą jak żywa. To dlatego, że nie pożegnaliśmy jej, jak się należało, nawet nie byliśmy na pogrzebie. Ale na Zaduszki dałam u Dominikanów za jej duszę, nawet bardzo dużą kwotę. Biedna nieboszczka, mimo to nie ma tam spokoju.

– Jaka nieboszczka? Czyja dusza? – zza drzwi wejściowych doszedł ich dźwięczny, ale przytłumiony damski głos. W jadalni zaległa cisza, nawet kołęda ucichła.

– To na pewno moja matka, poznaję – szepnęła Dorota do Tamary.

Wszyscy wstrzymali oddech. Słysząc było jedynie skwierczenie drwa w kominku. Drzwi do przedsiionka tymczasem zaskrzypiały, rozległy się ciche kroki, wujek Franek odwrócił się niespokojnie. Potem zdezorientowany popa-trzył na zgromadzonych przy stole gości i domowników. Zdjął odświętny, niemodny już, filcowy kapelusz i podrapał się po głowie. Z kieszeni wyjął mały grzebyk, przeczesał nim rzadkie, siwe włosy. Znowu obejrzał się za siebie. Podeszedł do drzwi do sieni i otworzył je szerzej. Zaskrzypiały lekko, jak zawsze.

– Co tam robisz po ciemku? No chodźże już, moja najdroższa duszyczko – zaśmiał się diabolicznie.

Teresa Bzdowska się przeżegnała.

Z półmroku, zza drzwi powoli wychodziła kobieta w długiej, szarej pelerynie obszytej czarnym lisem. Wielka chusta zakrywała połowę jej twarzy.

– No tośmy nareszcie z Franusiem dojechali. Zdążyliśmy na Wilię. Tak dawnośmy się nie widzieli.

– Lucynka? – Ojciec Kasi jeszcze nie rozumiał.

– A któż by inny? Nie poznajecie mnie?

– A ty... Ale żyjesz? – Wojciech Bzdowski nie znajdował słów. Drapał się po głowie, w bardzo podobny sposób do brata Franka.

– Ano żyję, jeszcze na tamten świat nie dostałam pilnego zawezwania. Chociaż kto to wie, kiedy i po mnie przyjdą?

Za okien zaczęło dobiegać piskliwe ujadanie psa. Może i słysząc je było już wcześniej, ale dopiero teraz je usłyszeli? Do tego rozległ się tubalny głos Endiego: „Zamknij mordę, Lady!”. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. To sprawiło, że do stołu wigilijnego powróciło życie. W jednej chwili przysuwali do stołu krzesła, siadali na swoich miejscach. Kasia nastawiła płytę z kołędą.

Przybieżeli do Betlejem... kazalo rozpoczynać wieczerzę. Dzidek ze śpiewem na ustach sięgnął po opłatek. Potem dzielili się już wszyscy ze wszystkimi.

– Co tak się dziwujecie? Zeszliśmy się na nowo, bo moja Lucynka mi wybaczyła i wróciła do mnie – wyjaśniał wujek Franek.

– Bój się Boga, ja dawałam za ciebie, Lucynko, na wypominki u Dominikanów. Jeszcze przez rok będą odmawiać modły za twoją duszę. Franek! Dlaczego powiedziałeś Kasi, że Lucynka umarła? – zapytała Terenia Bzdowska z wyrzutem.

– Bo jak wyjechałaś, Lucynko, do sanatorium i zastałem cię wtedy z tym starszym kuracjuszem na spacerze, a potem pokłóciliśmy się okrutnie i mieszkałaś miesiąc u córki, wtedy dla mnie, Lucynko, umarłaś – tłumaczył swojej żonie rodzinny nietakt Franek Bzdowski.

– Tereniu, dobrze sobie wyglądasz, a ty, Wojtusi, jakoś zmizerniałeś. Dawnośmy się nie widzieli. –

Lucynka przyjrzała się Bzdowskiemu, potem zasiadła przy stole obok męża, wzięła go pod rękę i oznajmiła wszystkim gościom: – Franuś zawsze był o mnie bardzo zazdrosny. – Mówiąc to, kiwała z dezaprobatą głową, choć w jej głosie zabrzmiał ton usprawiedliwienia i nutka dumy.

– Kto to widział?! Tak nas wprowadzić w błąd! – zachnęła się niezadowolona ze spostrzeżeń Lucynki, zwłaszcza tych dotyczących jej wyglądu, mama Kasi. Po czym dwukrotnie się przeżegnała.

– No to jeszcze tylko pan Witek zza świata i będziemy wszyscy – odezwała się babcia Kondratowicz. Posadzono ją przy stole na fotelu, wspartą na poduchach. Siedziała nieruchomo, swoim zwyczajem obserwując gości. Dzwonek od Zuzy postawiła przy swoim nakryciu.

– Co pani mówi? Z jakiego zaświata? Jeszcze pani coś wywoła – oburzyła się Dorota.

– Mówię, że z Ameryki – sumitowała się babcia. Wszyscy znowu zaczęli się śmiać. Babcia Kondratowicz też zaczęła chichotać, zadowolona, że jest w centrum uwagi. W szerokim uśmiechu pokazywała dwa ruszające się zęby.

Prawie wszyscy tutaj jesteśmy, według terminologii babci Kondratowicz, zza jakiegoś świata – pomyślała Kasia. Ta stara kobieta mimo woli wywołała w niej pewną wątpliwość, wartą głębokiego zastanowienia. Że ten prawdziwy świat znajduje się akurat tutaj, w Mordkach. Takie bowiem tego uroczystego wieczoru miała przekonanie.

Noc sylwestrowa w Mordkach miała być huczna, zapowiedziało się wielu gości. Należało się spodziewać, między innymi, dyrektora banku z żoną.

– Pamiętacie, niejaki Wróbel z Wróblową? – dopytywał przez słuchawkę rozbawiony Miazek. Kasia pomyślała ze wstydem o swoim niedawnym nietakcie.

Wszyscy okoliczni goście też potwierdzili swoje przybycie. Drogi prowadzące do wsi były już przejezdne, mróz zdecydowanie zelżał, a opadów śniegu na przełom roku już nie zapowiadano. Wymagająca nadal opieki babcia Kondratowicz była bardzo zadowolona, że Nowy Rok powita wśród ludzi. Jako niedomagająca, znajdowała się w centrum uwagi, co sprawiło, że poczuła się dużo bardziej ważna. Kasię i Dorotę przywoływała dzwonkiem od Zuzy. Próbowwała nawet ze swojego miejsca także w inny sposób dyrygować, ale nawykła do zawodowej opieki nad starszymi ludźmi Dorota szybko ostudziła jej zapędy.

– Pani Kondratowicz, bardzo proszę pamiętać, że w naszym ośrodku hierarchia jest już dawno ustalona – powiedziała z rana sąsiadce. – My jesteśmy od dowodzenia, a pani od wyleczenia się. Z naszą pomocą, oczywiście.

– Ja też chcę rządzić. Kto to widział, żebym ja stara miała słuchać młodszych – gderła babcia, niechętnie odstawiając dzwonek na bok.

– Powtórzę. To my jesteśmy od dowodzenia, a pani od wyleczenia się. I koniec dyskusji – ucięła definitywnie Dora.

Dorota chciała też zaprosić Danuškę i Endiego, ale ci odmówili, usprawiedliwiając się, że wieczorem będą mieli swoje towarzystwo. Pozostali goście, czyli w większości rodzina Kasi, budowlaniec Paweł z żoną, rodzina Doroty, przybyły dzień wcześniej Georg, jednak bez Sofiji, Janek z mamą i Danek powinni się pojawić już wkrótce – myślała Kasia. Po tych kilku świątecznych dniach wszystkie trzy nawykły do spotkań towarzyskich przez całe dni i często także noce.

Kasia spojrzała na zegar. Była dopiero siedemnasta. Zdrzemnę się – postanowiła, przykrywając się pledem na sofie w gabinecie. Zrobiło jej się przyjemnie ciepło. Oparła ręce o policzek i pomyślała, że dziś wieczorem będzie niewątpliwie bardzo sympatycznie. Ta przyjemna myśl utuliła ją do snu.

Po dziewiętnastej do „Złocistej Doliny” zaczęli przybywać goście. Dorota z Majką, widząc, że Kasia śpi, wzięły na siebie witanie i przedstawianie sobie uczestników zabawy. Zwłaszcza tych, którzy nie mieli okazji się jeszcze poznać. W pomieszczeniach na parterze zrobiło się gwarno. Na początek bracia Doroty puścili muzykę z płyt, ale później do tańca przygrywać miał zespół muzyczny z Psiarek. Janek z Dankiem i Solińską przybyli na samym końcu.

– A gdzie Kasia? – Janek rozglądał się niespokojnie po sali.

– Tam, śpi. – Majka wskazała drzwi gabinetu.

Stała obok Danki. Ręką objęła go w pól. Uśmiechnęła się pod nosem, gdy zobaczyła, jak Janek niepewnie przestępuje próg gabinetu. A poszliby wreszcie do łóżka i nie musieliby udawać – uznała. Po czym przekornie dodała w myślach, że mogłoby to nastąpić nawet teraz, tam, za tymi drzwiami. – Przynajmniej Kaśka odcięłaby się wreszcie od swojej zbyt poważnej damsko-męskiej przeszłości – śmiała się w duchu Majsza, patrząc na Janka. Potem zerknęła w górę, na twarz Danki. Śmiały mu się oczy. Niewątpliwie odczytał jej myśli, chwycił za rękę i pociągnął na ubocze bawialni, do stolika w słabo oświetlonym kącie sali.

Kasia tymczasem się przebudziła. Usłyszała głośną muzykę, gwar, ale przede wszystkim poczuła delikatne muśnięcie po brodzie. Przeciągnęła się na łóżku. Otworzyła oczy. W gabinecie było ciemno.

– Janek! – drgnęła przestraszona, gdy ujrzała go pochylonego nad sobą. Zawahała się. Po chwili

przyciągnęła jego dłoń, położyła sobie na policzku i powtórzyła tą ręką ruch sprzed chwili. Delikatnie przesunęła ją sobie po podbródku. Czowała ten dotyk bardzo silnie. Przymknęła oczy, pozwoliła się opleść nastrojowi. Za drzwiami, w bawialni ktoś zmienił płytę. Ostre dźwięki salsy ostudziły ją. Przestraszyła się, wyobraziła sobie, że zaraz ktoś zajrzy do gabinetu i zobaczy intymną bliskość pomiędzy nimi. Ja na pewno nie chcę się w nikim zakochać – pomyślała. Boję się. Zrobiła smutną minę. Janek patrzył na nią, nic nie mówiąc. Podał jej rękę, gdy wstawała z sofy. Z ulgą zapaliła wielką lampę. W jednej chwili pokój rozjarzył się bardzo jasnym, sprzyjającym pracy światłem. Kasia spojrzała na swoje pogniecione domowe ubranie.

– O kurczę, muszę się jeszcze przebrać! – wykrzyknęła, jak na okoliczności, nadto teatralnie. I, nie patrząc na Janka ani nie czekając na jego reakcję, wybiegła z pokoju. Skierowała się na strych, omijając szeroko oświetlone pokoje gościnne i bawialnię. Biegąc po schodach, usłyszała dobiegające z zewnątrz, przebijające się przez dźwięki salsy znajome *One way ticket*.

– Cóż ten Endi wyczynia? – zamruczała pod nosem. Prędko wciągnęła malinową, krótką sukienkę, na ramiona narzuciła taftowy szal o podobnym odcieniu. Przeczesała włosy i zbiegła na dół.

– Dora, słuchaj, a może Endi z Danusią nas oszukali? Tak tylko powiedzieli, że mają gości, bo im było wstyd, że są zdani na nas. I sami teraz w domu siedzą – zastanawiała się w tym czasie głośno Majka. Śmiejąc się, umknęła Dankowi.

Dora spojrzała przez firankę na sąsiedni dom i orzekła:

– To ich sprawa. Ja ich tutaj na siłę nie mam zamiaru ściągać.

Kasia tymczasem, już odświętnie ubrana, nie poszła od razu do gości, ale okryła się płaszczem i wybiegła na dwór. Na skrzypiącym, bielutkim śniegu przy ich płocie Endi bawił się z Lady. Jedyne w okolicy światło, miotane wiatrem, oświetlało co jakiś czas miejsce, w którym się znajdowali. Kleił niewielkie śnieżne kulki i podrzucał je w kierunku, jakby nie mogło być inaczej, rozczochranego, niezdarnie podskakującego psa. W ich domu tylko w jednym oknie świeciło się światło. Kasia podeszła blisko płotu, brnąc po kolana w zaspach. Droga i ścieżka do domu były uprzątnięte ze śniegu, ale dalej trudno było przejść.

– Zapraszamy do nas, panie Andrzeju – zawołała cicho zza obszczypanej przez mróz siatki.

– O cholera, ale mnie pani przestraszyła! – wzdrygnął się Endi. – Nie, nie chcemy robić problemu. Żona coś źle się czuje – wymówił się, nie przerywając zabawy z psem.

– To może ja pójdę do pana żony. Jeśli pan ją poprosi i ja też, może się zgodzi – zaproponowała Kasia, mimowolnie kopiując zabawę Endiego. Gołymi rękoma kleiła kulki śnieżne i celowała nimi w Lady. – Albo zróbmy tak – dodała – pan ją jeszcze raz poprosi, a jeśli nie przyjdziecie za piętnaście minut, to my wszystkie trzy zawitamy do was! – Zapraszała niezrażona, wycofując się w stronę drzwi do ośrodka.

A tam zabawa sylwestrowa nabierała barw. Już przed wejściem słychać było gwar i muzykę. Kasia wpadła w bawialni od razu w wir zabawy. Do tańca poprowadził ją Wróblewski. Bez wstępu zaczął rozmowę na temat interesów. Namawiał Kasię na zakup samochodu na raty, bo akurat w jego banku mieli w sprzedaży preferencyjne kredyty samochodowe. Zabezpieczeniem byłby jedynie tenże samochód. Kasia śmiała się i zwierzała, że najchętniej zamieszkałaby w Mordkach, bo w ośrodku jest coraz więcej do zrobienia. Ale przecież nadal ma posadę w banku w Poznaniu i jedynie ta praca – swoją drogą będąca gwarancją socjalnej strony jej życia – powstrzymuje ją od przyjazdu na wieś na stałe. Słuchając jej, Wróblewski ściągnął z belki przy suficie serpentynę, po czym rzucił ją w stronę bawiących się gości. Kasia obserwowała, jak wąski, kręcony pasek czerwonego papieru oplata tańczących, zakręca się na ich szyjach, łączy bawiących się na parkiecie.

– Może moglibyśmy mówić sobie po imieniu? – Wróblewski zdecydowanie skrócił drogę

towarzyskich zażyłości. – Bo wiesz, myślę, żeby wyrzucić kierownika działu kredytów. Szarogęsi się, a na tym miejscu musi być ktoś zaufany. Mógłbym ci przy okazji pomóc. Zastanów się, nie odpowiadaj od razu.

Kasia była zaskoczona. Nigdy wcześniej ktoś równie wpływowy jak Wróblewski nie złożył jej tak intratnej propozycji. Serpenty, już nie tylko ta rzucona przez dyrektora banku, tworzyły na szyjach, karkach i rękach tańczących gości niemożliwe do rozplątania wiązania. Do zerwania możliwe, do rozplątania nie. Wolną ręką pochwyciła końcówkę zwisającego z sufitu papierowego zawijańca, oplótła sobie nim szyję i zaczęła się śmiać.

– To kiedy już wszystko poukładasz, daj znać, dobrze? – rzuciła do Wróblewskiego. Wytrzeźwieje, to zapomni – pomyślała, kierując się w stronę swoich rodziców rozmawiających z Piotrkim.

Około dwudziestej pierwszej zabawa rozkręciła się w najlepsze. Kasia i Dorota od razu zauważyły przybycie nowych, w sumie nieoczekiwanych gości. Ucieszyły się. Danuśka wystroiła się w długą, złotą suknię, Endi był w granatowym garniturze i białej koszuli. Pośpieszyły ich powitać. Super, że są – pomyślała Kasia. Tacy chojracy, a nie potrafili sobie zorganizować sylwka, no więc przyczłapali tutaj – prychnęła w myślach Dora.

– To się tutaj już wszystkie Mordki zesłi – zawołała milcząca do tej pory babcia Kondratowicz. Dzwoniąc gwałtownie porcelanowym dzwonkiem, dopominała się zainteresowania. Poznańscy goście spojrzeli na siebie. Terenia Bzdowska, ze wszech miar oburzona, spoglądała z wyrzutem na staruszkę, która dopiero zaczynała się rozkręcać. Gdy zauważyła, że jej spostrzeżenie spotkało się z zainteresowaniem gości, podniosła się wyżej na poduszkach i pustym kieliszkiem zastukała w poręcz sofy. Nie widząc reakcji, powtórzyła czynność, a następnie głośno zadzwoniła znienawidzonym już przez wszystkich prezentem od Zuzy. Kasia pomyślała, że ten dzwonek ujawnił w babci uśpione, a może skrywane przez nią do tej pory wielkopańskie maniery. Oburzyła się.

W końcu do staruszki podszedł Witek i nalał jej do kieliszka niewielką ilość wina. Oczyma wodził jednak za Majką, która, chwilowo bez mężczyzny przy boku, stanowiła atrakcyjny materiał na partnerkę do tańca. Nie odmówiła. Cała już zarumieniona, dała się prowadzić Witkowi, który, nienawykły do tego typu rytmów, tańczył topornie, bez wycucia, deptając jej malutkie stopy, obute jedynie w delikatne, złote sandaalki. Odkąd przyjechał, najpóźniej ze wszystkich gości, bo dopiero po pasterce, cały czas przyglądał się Majce. A jeszcze bardziej zaczął ją adorować, kiedy dowiedział się, że jest, tak jak i on, stanu wolnego. Zuza zacierała ręce, bo widok mamy z kręcącym się nieustająco za nią Dankiem strasznie ją denerwował. Jak to wygląda, że niemłoda przecież kobieta obściskuje się z nim na każdym kroku, jakby miała osiemnaście lat?

Danuśka i towarzyszący jej Endi od razu dołączyli do tańczących. Kasia uśmiechnęła się do swoich myśli. Bardzo lubiła obserwować życie, nie uczestnicząc w nim. Wtedy więcej widać, dużo łatwiej i dużo szybciej można zrozumieć, mniej się trzeba nadziwić.

– Ojej, serducho bije radością, jak się widzi taką rodzinną atmosferę! – zawołał Paweł, tańcząc ze swoją żoną. – Już teraz wiemy, że przyjedziemy tutaj i na wiosnę, i latem. Co tam, raz na miesiąc będziemy do Mordek przyjeżdżać! I moi pracownicy też. Będziemy się integrować i motywować – zawołał do Kasi, która, wreszcie zrelaksowana, stała przy oknie.

Georg błyskawicznie pochwycił w dłonie dwa kieliszki z winem i podążył do niej. Kasia roześmiała się, pokazując stojący na parapecie za swoimi plecami drugi wielki kielich, pełen jej ulubionego wytrawnego czerwonego wina.

– Stało się! Rozeszliśmy się ostatecznie z Sofiją – zaczął w sposób, jakby prowadził dalszy ciąg rozmowy. – To jednak nie była miłość. To było wyłącznie chore, erotyczne uzależnienie.

Kasia odwróciła się w jego stronę.

– Możemy mówić sobie po imieniu? – zaproponował śmieiej, widząc jej zainteresowanie. – Trochę się już znamy... – dodał i spojrzął jej w oczy.

– Możemy – uśmiechnęła się. – Choć, jeśli chodzi o ten rodzaj zażyłości, czyli mówienie sobie po imieniu, nienadużywanie tego zawsze jest kwestią zaufania...

Zaśmiała się zawstydzona. Od samego początku ją onieśmiał. Peszył. We wszystkim, co powiedział, wyczuwała wyłącznie erotyzm, zmysłową prowokację. Spotkanie z nim w tych okolicznościach nie było tym samym czym pisanie e-maili. Tam mogła schować swoje odczucia. Tutaj jednak wiedziała, że teraz, patrząc na nią, wie o niej wszystko. A ona nie potrafiła przy nim ukryć swoich

emocji. Nieśmiałości. Zażenowania. Miała nawet pewność, że poczerwieniała na twarzy.

– Katleen – zaczął cicho, zamykając jej dłoń w swojej – to nie tak. Obdarzysz mnie zaufaniem dopiero wtedy, kiedy pójdziesz ze mną do łóżka i będziesz się ze mną kochać, ale i vice versa...

Zaniemówiła. Nigdy w życiu nie usłyszała od mężczyzny czegoś takiego.

Teresa Bzdowska od dawna badawczo przypatrywała się córce. Widziała, że się zarumieniła, a Georg wodzi za nią wzrokiem. Powoli podążała w ich kierunku, obawiając się, że Kasia onieśmieli kolejnego mężczyznę. A Georg jest w nią tak wpatrzony... Mogłaby z nim porozmawiać, tak długo jest sama. Taki mężczyzna może się okazać bardzo przydatnym znajomym. Ma porządne, niemieckie doświadczenie. Podeszła do nich z szerokim uśmiechem na twarzy. Kasia zaś zakręciła się na pięcie, wzięła z parapetu kieliszek z winem i odeszła. Uciekła. Pośpiesznie, ale z ulgą wycofała się do kuchni, skąd swobodnie mogła kontrolować bieg zdarzeń w bawialni „Złocistej Doliny”. Janek podążył za nią.

– Pomóc ci? – zapytał.

– Nie, chciałam sobie stąd popatrzeć. Zostań. – Dotknęła jego ręki. – Mama sobie z nim lepiej poradzi – powiedziała, wskazując na Bzdowską rozmawiającą z Georgiem. Uśmiechnęli się do siebie, gdy usłyszeli dalszy ciąg rozmowy.

– To co? – pytała Georga pani Terenia. – Słyszałam, że wiele pan potrafi. Może i naukę jazdy na nartach tutaj otworzymy, na tym stoku za stodołą?

– Ooo – ożywił się Georg. – To byłby dobry interes, ale do tego potrzebny jest kapitał. – Pokręcił głową. – Wszystko musiałoby być zorganizowane profesjonalnie. Byle czego nikt nie kupi – zastanawiał się. Pomysł jednak był mu bliski. Zapomniał o istnieniu Kasi. Rozważał za i przeciw takiego przedsięwzięcia. – Mógłbym uczyć... – powiedział po namyśle. – Sofiję też nauczyłem... – Posmutniał. – Pani Tess, to ja ją nauczyłem! – wykrzyknął. – A ona teraz ze mną nie chce na narty wyjeżdżać – dodał ciszej. Spuścił głowę.

Bzdowska zainteresowała się Georgiem, przyjrzała mu się troskliwie. Zrobiło jej się go żal. Zwierając się, nagle stał się jak gdyby drobniejszy, zgarbił się, zmalął. Mama Kasi spojrzała na krzątającą się po kuchni, z kieliszkiem w ręce, córkę. Na taborecie przy stole siedział Jaś Soliński i żywo z nią o czymś rozprawiał. Co chwilę wybuchali śmiechem.

Spojrzenie Georga poszło w ślad za jej wzrokiem. Mężczyzna wyciągnął papierosa, zapalił i od razu zrobił taki ruch ręką, jakby strzepywał popiół. Przysunął bliżej dwa krzesła, jedno wskazał Bzdowskiej, na swoim od razu rozsiadł się wygodnie. Nogę założył na nogę.

– Wie pani, w Niemczech problem samotności jest głównym utrapieniem kobiet po trzydziestym piątym roku życia – powiedział, robiąc nieokreślony ruch ręką.

– Ależ co pan mówi, panie Georgu?! – wykrzyknęła zafrasowana Bzdowska.

– Większość kobiet po przekroczeniu tego wieku panicznie boi się samotności. – Odchylił się do tyłu na krześle, rozparł na nim wygodnie i zaciągnął głęboko dymem.

– Nie wierzę! Przecież trzydziestopięciolatki mają jeszcze całe życie przed sobą! – Mama Kasi z przerażeniem przyglądała się córce.

– Nie tak do końca! – zaoponował Georg gwałtownie. – Mamy kult młodości... – Po twarzy błąkał mu się mały półuśmieszek. – Więc proszę sobie wyobrazić, że większość z tych kobiet ma jakiś tam obraz i wyobrażenie osoby, z którą chciałyby nie być samotne. I co dalej? – Przechylił się w stronę kobiety, dotknął jej ręki. – Proszę mi wierzyć, wybór okazuje się nie być aż tak duży – odpowiedział ze współczuciem. Ponownie wyprostował się na krześle, a potem nonszalanckim wzrokiem zaczął wodzić po twarzach gości. Był bardzo pewny swoich racji.

– Jak to, w Niemczech nie ma atrakcyjnych mężczyzn? – Oczywiście mamy Kasi robiły się coraz większe.

– Ci atrakcyjni są już zazwyczaj zajęci i już komuś innemu zabijają samotność – zaśmiał się. –

W związku z czym te zdeterminowane poszukiwaczki łapią się każdej brzytwy. Wyobraża pani sobie? Brzytwy! – zaakcentował głośno, czym wywołał powszechne zainteresowanie. Tańczący do tej pory sąsiedzi odwrócili się w jego stronę i podeszli bliżej.

– Ojej – westchnęła Bzdowska i spojrzała na Kasię, teraz tańczącą z Jasiem.

– I wiążą się z facetem, wmawiając sobie, jaki on jest super. – Georg poderwał się z krzesła i zwrócił się do wszystkich kobiet w „Złocistej Dolinie”: – Albo jeszcze gorzej, że uda im się zmienić nowego wybranka, skądinąd według swojego gustu.

– No tak – wyszeptała Teresa Bzdowska. – W małżeństwie trzeba iść na kompromisy.

– Ale proszę posłuchać, pani Tess. – Georg powrócił na krzesło i nachylił się w stronę Bzdowskiej.

– Po pierwszej euforii okazuje się, że cena za ten brak samotności jest jednak wysoka. To bardzo ciężka praca domowa i dogadzanie mężowi. – Zamyślił się w nagłym zrozumieniu doli kobiecej. Spojrzał na zmartwioną mamę Kasi i dodał cicho: – Sofija też chciała mnie zmienić. – Westchnął ciężko.

– Ależ, mógł pan na to pozwolić! To na pewno było podyktowane troską! – wykrzyknęła.

– Ha, ha, ha – zaśmiał się nerwowo. – Troską, mówi pani! Niekiedy aż taką, że on dostaje zawału z przejedzenia.

– Panie Georgu, to jest prawda stara jak świat, że przez żołądek trafia się prosto do serca. – Mama Kasi pocieszała go, jak mogła.

– Albo – kontynuował Georg, nie zwracając uwagi na słowa rozmówczyni – wpada w alkoholizm, bo jest notorycznie odseparowywany od swoich dotychczasowych kumpli czy przyjemności... – Wydął pogardliwie dolną wargę. – I w większości przypadków stresowany zazdrością partnerki – dodał po chwili.

– Nie może być! Kobiety takie nie są! – Teresa Bzdowska kręciła głową z niedowierzaniem.

– Są, są. No ale trudno, rozważając dalej, ważne, że on nareszcie jest! – Mówiąc to, Georg wstał i odwrócił się w stronę wszystkich gości. – I tak, po pewnym czasie okazuje się, że one są dalej samotne. Ale tym razem w związku! – Ostatnie słowa zaakcentował wysoko uniesionym palcem wskazującym.

Dorota z Tamarą rzuciły ku sobie krótkie, acz pełne treści spojrzenie. Majka zaś chichotała, zerkając na Dankę. Kasia i Janek również słuchali Georga z uwagą. Pozostałe kobiety spoglądały na siebie i nie dawały wiary tym słowom, a przynajmniej takie sprawiały wrażenie. Młodsze szukały zaprzeczenia w oczach swoich partnerów, a starsze, dumne z własnych, obranych dawno temu strategii czynienia swoich związków żywymi, wzruszały jedynie ramionami.

– Mówi pan także o Sofiji? – zapytała przysłuchująca się od dawna rozmowie Danuśka. Endi tymczasem odciągał ją w drugi kąt sali.

– Tak, o niej także – odpowiedział jej jeszcze Georg i widząc, że się oddalili, powrócił do Bzdowskiej. – Co wtedy, pani Tess? Szukać nowego, takiego samego związku? To łapanie się brzytwy!

– Nasza Dorotka bardzo w tych Niemczech zgorzkniała – powiedziała mama Kasi, widząc posągową Dorę stojącą samotnie w głębi bawialni. Georg omiół ją powłóczystym, acz krótkotrwałym spojrzeniem. Rozłożył ręce w geście bezradności.

– Zgorzkniała, bo pewnie nawet tej brzytwy nie ma – mruknął.

– Jak to! – wykrzyknęła Bzdowska, i zaraz dodała ciszej: – Ma córkę, ma „Złocistą Dolinę”. Nie musi mieć żadnej brzytwy – dopowiedziała, patrząc ze smutkiem na przyjaciółkę córki.

Muzyka ucichła, w pomieszczeniach zrobiło się bardzo cicho.

– One wszystkie tutaj przed czymś uciekły – stwierdził kategorycznym tonem Georg. I tym spostrzeżeniem, przekazanym emocjonalnie, bardzo głośnym tonem, wbił się w nagle zapadłą ciszę.

– Niemożliwe! – zawołała Bzdowska, nie zdając sobie sprawy, że jest słyszana w całej „Złocistej Dolinie”. – Moja Kasia nie musiała przed niczym ani nikim uciekać! – Teresa Bzdowska była przerażona.

Zerkała ze strachem na Georga, szukając w jego oczach dowodu na to, że się pomylił. Albo żartował. On zaś stał i nie spuszczał z Kasi wzroku, Kasia zaś była całkowicie pochłonięta rozmową z Jankiem. Na dźwięk swojego imienia gwałtownie odwróciła się w stronę matki. Janek popatrzył na nią pytająco.

W głębi sali rozległ się ostry dźwięk dzwonka.

– Bo kto to widział, żeby kobiety same na gospodarce były? Ja żem nie uciekła, to Kondratowicz mi uciekł. Ale ja jeszcze go złapię i mu wszystko wytknę – zawołała staruszka, nieustająco potrząsając porcelanowym dzwonkiem.

W kierunku żony z odsieczą podązał Bzdowski. Z odsieczą i w towarzystwie Solińskiej. Georg wycofał się w drugi kąt sali.

– Ty, Tereniu, to zawsze musisz tylko o interesach. Nie to co ja, taka romantyczna, słowiańska natura – śmiał się Bzdowski.

– Ładna byłaby z nich para – powiedziała Solińska, pokazując Janka.

– No pewnie, nasza Kasia zawsze była ładna, a i pani syn jest przystojny – ucieszył się Bzdowski.

– Dorotka jest tylko trochę od Janka niższa, ładnie by się razem prezentowali. Jak żył Borecki, to mówiliśmy, że dobrze byłoby, żeby się pobrali. Ziemię nawet obok siebie mamy – marzyła Solińska. Spojrzała na Bzdowskich i dodała z nadzieją w głosie: – Teraz oboje znowu są wolni.

Bzdowscy spojrzeli na Jasia, który tańczył z Kasią, i na Dorotę, która w kuchni, jak zwykle, razem z Tamarą zmywała naczynia. A potem spojrzeli na siebie. Posmutnieli.

Z drugiej części sali dobiegło do nich „Sto lat dla Żłocistej Doliny!” cioć Neli, Feli i Steli. Jak u Tadzika na imieninach – pomyślał Bzdowski. – To skubany, wziął biustonosz i nawet podziękował! No, wprawdzie nie był to jedyny imieninowy prezent, a jedynie dodatek do prezentu, w formie protestu, a może dowcipu. Odwet za serwetkę. Ale szwagier grzecznie podziękował, okiem nie mrugnął – wspominał ojciec Kasi.

W drugim końcu bawialni Bzdowski dostrzegł machającą do niego uśmiechniętą Majszę. Przypomniały mu się czasy, gdy jeszcze studiowała na uniwersytecie i mieszkała u nich, nawet kilka miesięcy, bo nie od razu dostała pokój w akademiku. Sam zawiózł ją i Kasię na praktyki studenckie do Łagowa. Potem jeszcze raz pojechał do nich – był środek maja, a zrobiło się bardzo zimno. One tam były pod namiotem i niechybnie by zmarzły, gdyby nie dodatkowe śpiwory, które im wtedy zawiózł. To była i nadal jest najlepsza przyjaciółka mojej córeczki – pomyślał i pomachał jej w rewanżu. Bardzo by chciał, żeby jeszcze ułożyła sobie życie. Przystojny ten jej towarzysz – zauważył. – Tylko czy coś z tego wynika? Spojrzał na żonę, wziął jej rękę w swoją, podniósł do ust i pocałował.

Majsza z rozrzewnieniem obserwowała rodziców Kasi. Bardzo ich lubiła. Ciocie i wujków Kasi też dawno temu poznała. Czowała się w ich towarzystwie jak w rodzinie, tym bardziej że swojego ojca i mamę straciła bardzo wcześnie. Pokiwała im raz jeszcze.

– Jakie miłe panie. Zawsze myślałem, że poznanianki są oschłe, ale się myliłem – szepnęła Majszy do ucha Danek. – Ale najlepsze są częstochowianki. – Bawił się jej włosami. – Nie zapomnij, że obiecałaś mi swoje piękne i namiętne towarzystwo w Zakopanem pod koniec stycznia – skończył z ustami krążącymi po jej szyi.

– Podniecasz mnie. Bo zaraz cię stąd wyciągnę... – droczyła się Majsza.

– Teraz mnie już wyciągaj, do komnat, do ptaszyska. Ja chcę, no chodź już szybciotko. Twój Danek też jest już rozpalony.

– Dziecinniejesz przy mnie.

– No chodź już, moja ty nauczycielko! – zawołał, chwytając ją za rękę i ciągnąc w kierunku wyjścia.

Majka się zarumieniła.

– Cicho, bo ktoś nas zobaczy.

– To daj mi kluczyk z przestraszoną ptaszynką na kółku. Poczekam na ciebie, zagrzeję zimną, jedwabną pościel. Już sama myśl wiedzie mnie na pokuszenie.

Mówił, a Majsza przyłgnęła do niego tak, jakby chciała poczuć wartki strumień krwi w jego żyłach. Dotyk muskularnego ciała Danki działał na nią jak najlepszy afrodyzjak. Niewątpliwie czuli to samo. Danek zamknął ją mocno w swoich silnych ramionach, zakleszczył i uniósł do góry. Zaczął całować.

– Przestań! – Wyrwała mu się pomimo poczucia omdlenia. – Musimy wymykać się stąd po kolei. Najpierw ty, a potem ja – szepnęła konspiracyjnie.

– To co? Tu i teraz, pamiętasz? – Pomachał jej sprzed drzwi kluczykiem. Drewnianego ptaszka zawieszono na kółku cmoknął w dzióbek.

Majsza kręciła się niespokojnie po sali. Wygrzebała widelczykiem wielką oliwkę z miski, wrzuciła sobie do ust i spojrzała na zegar. Było blisko północy. Nowy Rok powitam orgazmem – pomyślała i uśmiechnęła się do siebie. Rozejrzała się. Nikt nie zwracał na nią najmniejszej uwagi. Nawet Zuza dała jej na tę noc spokój. Zachichotała, kierując się w stronę drzwi wyjściowych.

– A ty dokąd?! Nie widzisz, że za chwilę północ? – Dorota pojawiła się, nie wiadomo skąd.

Majsza przestraszyła się i stanęła sztywno przy drzwiach. Była już ubrana do wyjścia, ale zupełnie nie wiedziała, co odpowiedzieć. Zgłupiała. Głośno przełknęła ślinę.

– Chciałam sobie tylko pospacerować. Zaczerpnąć rześkiego powietrza – wydukała. Wydawało jej się, że sprytnie wymyśliła powód.

Dora przyglądała jej się przez chwilę zmrużonymi oczami, po czym machnęła ręką i przesunęła się bliżej sieni, dając jej tym samym możliwość wyjścia. Majsza szybko wypadła za drzwi. Oparła się o mur, wzięła głęboki wdech, wyrównała oddech i, odzyskując przytomność umysłu, zaczęła biec ile sił w nogach w stronę szopy. A dokładniej w stronę ptasiego pokoju. Gdy dotarła na parter budynku, zamknęła dokładnie drzwi wejściowe, a przez szybę w nich ukradkiem zerknęła w stronę domu. Nie zauważywszy niczego niepokojącego, mruknęła do siebie pod nosem:

– Psiakrew, mamuśka się znalazła!

Po czym weszła na schody i zaczęła pokonywać po kilka stopni naraz, nie dbając, że trzeszcza niemiłosiernie i dudni pod jej stopami. Nic już nie mogło jej zatrzymać w tej drodze na górę. Do ptasiego.

Kasia, siedząc przed komputerem, próbowała opisać trwający nadal turnus świąteczno-noworoczny. Do tej czynności skłaniał ją mail, który chciała wysłać. Kasia domyślała się, że Jerry Bzdowski bardzo łaknie wszystkiego co polskie, co przypomina mu rodzinne ziemie. Pisała mu więc ze szczegółami o Wigilii. O tym, jak rodzina cieszyła się cudownym zmartwychwstaniem Lucynki Bzdowskiej. Że szybko zniknęły ze stołu wszystkie z dwunastu świątecznych potraw. Że śpiewali kolędy. I jak, gdy zaczęła się ta śnieżna zadymka, tworząca jednolitą białą powłokę, wiatr zerwał napowietrzną linię energetyczną i w okolicy zgasło światło.

A wyobraź sobie – pisała dalej – przed jedenastą w nocy sąsiad Jasiu ze swoim przyjacielem Dankiem przyjechali kilkoma saniami powożonymi przez konie i zabrali nas wszystkich na pasterkę do Psiarek. Mieliśmy jechać do Olecka, ale ta droga wiodła przez pola i mogła być bardzo zaśnieżona, bo nie ma na niej płotków antyśniegowych, a był duży wiatr i mocno zacinało. Zakładaliśmy, że może być nieprzejezdna. Do Psiarek droga wiedzie przez las, zatem jest zaciszniej.

Wiesz, Jerzy – pisała, uśmiechając się do wspomnień – pasterka w maleńkim kościółku za lasami, wśród przyjaciół i najbliższej rodziny daje fantastyczne duchowe doznania. Przybliża do utraconej kiedyś radości ze zwykłej egzystencji. Wracaliśmy stamtąd uduchowieni, śpiewając kolędy, przy zacinającym śniegu, tonąc w zaspach. Dobrze, że zabraliśmy ze sobą plody i nalewkę na miodzie bratowej Doroty. To uchroniło nas od zamarznięcia. Dorota, której nieczęsto się coś podobało, tym razem, bardzo szczęśliwa, w kółko powtarzała córce „tak jak dawniej, tak jak dawniej...”.

Gdy wyjechaliśmy z lasu, ukazała się nam oświetlona girlandami i lampionami „Złocista Dolina”. Skąd to światło? Zamurowało nas, w ciszy dojechaliśmy do domu. Na ganku, rozświetlony różnokolorowymi barwami, stał krępy mężczyzna w puchowej kurtce. To Witek, brat Doroty, po wielkich trudach dotarł wreszcie z Teksasu do domu – kończyła maila Kasia.

Majsza weszła do gabinetu w momencie, gdy Kasia wzięła do ręki zwinięty rulon papieru.

– Co robisz?

– Zobacz, to jest projekt domu, który w imieniu inwestora zlecił Jankowi jakiś klient. Ma stanąć na działce za Endim – odpowiedziała Kasia, rozwijając duży arkusz.

– Ciekawe, kto będzie tam mieszkał. Może jakiś facet, niezwykły, roztropny, majątny i pełen zmysłowości? – zastanawiała się Majsza.

Dom był spory i jednocześnie bardzo tradycyjny. Takie klient dał Jasiowi założenia. Kasia wiedziała, że on sam wolałby zaprojektować budynek minimalistyczny, bo uważał, że nie powinna tutaj dominować stylizacja domów na niegdysiejsze wiejskie dworki.

– Popatrzcie na waszą szopę – mawiał Janek. – Jest bardzo prosta w swoich założeniach, bo taka powinna być. Ale wy nie przerobiłyście jej na dworek. I bardzo dobrze. Dzięki temu stanowi ciekawe zestawienie z domem, do którego i tak kiedyś dobudujecie piętro pod mniej niż teraz szpiczastym dachem.

Patrząc na projekt, Kasia pomyślała, że miał rację. Jej też nie podobało się takie postrzeganie wiejskiej rzeczywistości. Polska wieś nie jest tylko taka jak w powieści Reymonta. Bywa też nowoczesna i poszukująca.

– Mnie nie podobają się już takie dworki. A tobie? – zapytała wchodzącą Dorę.

– Ja bym chciała, żeby tak zostało. Nie powinniśmy się wstydzić tego, jak było dawniej. To trzeba pielęgnować, to nas wyróżnia – potwierdziła Dora. – Po to tutaj wróciłam – dodała cicho.

Tydzień po Nowym Roku, gdy większość gości rozjechała się do domów, uznały, że wreszcie nadszedł czas na zastanowienie się nad sezonem zimowym. Nie miały jeszcze fachowej kadry. Ani trenerów mentalnych, ani nawet doświadczonych psychologów. Zresztą, rozpoczęcie tego typu działalności planowały dopiero od późnej wiosny. Niemniej jednak przydałyby się jakieś pieniądze, choćby na podstawowe koszty. A na to mogłyby zarobić, organizując pobyty indywidualne właśnie. Weekendowe czy tygodniowe. Początkowo miały zamiar organizować turnusy z zabawami tanecznymi, otwartymi dla tutejszych mieszkańców. Potem uznały, że takie imprezy powinny być rzadkie.

Późnym popołudniem usiadły w salonie. Witek pojechał do Jasia, a Danek, codzienny gość, wyjechał z rana do Ełku.

– Chodźcie, dziewczyny – zainicjowała spotkanie Kasia. – Wypróbujemy, czy wino już jest dobre. – Stała z gumowym wężkiem w dłoni przy wielkiej butli pełnej czerwonego płynu. Potem odwróciła się w stronę Majki i Doroty, spuszczać jednocześnie wino do szklanego dzbanu. – A wiecie? Słyszałam nowe plotki na nasz temat. Ponoć ja uwodziłam Wróbla, a ty, Majsza, wisiałaś na jakimś facecie z mysim ogonkiem.

– A Dora, niby struta tymi bezceństwami, siedziała w kuchni i wcale nie tańczyła – dodała Majka, bo przypomniała sobie plotkę zasłyszana zaraz po Nowym Roku. Zaczęła się śmiać.

Danek z mysim ogonkiem – to określenie bardzo wyraźnie podziałało na jej i tak ponadprzeciętną wyobraźnię. Usłyszała także opinie, że do przyzwoitych kobiet nie zjeżdżaliby się tak bez specjalnych ceregieli wszyscy, ale to absolutnie wszyscy w okolicy faceci z problemami emocjonalnymi. A niektórzy to nawet dojechali tutaj spoza województwa.

– A w ogóle to jedliśmy z koryt. Jak świnie – ciągnęła Kasia. – To już potwarz, nie sądzicie? – dokończyła oburzona. Zwykle nie miała nic przeciw plotkom, uważała, że takie opowieści są skutkiem ubocznym życia. Ale plotka o korytach oburzyła ją do głębi.

– Coś mi mówi, że te opowieści pochodzą od kogoś, kto był na imprezie, bo trochę prawdy w tym jest. W korytach stały tylko owoce i warzywa, więc z tymi świniami to była przesada. Ja wisiałam na Danku, bo tylko on ma kitkę. Czy mysią? A wiecie? Jest mi tak dobrze, że niech będzie, w porządku, mogę być świnia. Nawet kiedy chcę pocałować Dankę, to robię taki świński ryjek. O, zobaczcie. – Majka chciała im pokazać go w całej okazałości. Ale nie mogła, bo zachciało jej się śmiać. Co próbowała zrobić ryjek, to jej usta wyginały się w uśmiechu.

– Patrzcie, już jest klarowne. – Kasia ustawiła pełny dzbanek pod światło. – Trzeba by było przelać je do innego gąsiora – stwierdziła, przenosząc go na stół.

– Dobra, to ja coś dorzucę – powiedziała Majsza i wyszła. Po chwili wróciła z butelką pełną złocistej cieczy.

– Co to jest? – nie kryła zdziwienia Dora.

– Nalewka z ananasów. Przygotowałam ją w tajemnicy, bo chciałam zrobić wam niespodziankę – powiedziała Majka, lejąc trunek do szklanek.

– Zaraz się upijemy – zaśmiała się Kasia.

– No i co? Jutro jest niedziela na rekonwalescencję – wzruszyła ramionami Majsza. Do swojej szklanki wrzuciła lód, a z szuflady w szafce pod zlewozmywakiem wyciągnęła słomki. Rzuciła kilka na stół. Jedną włożyła do swojej szklanki i pociągnęła spory łyk. Dorota podobnie.

– Dobrze – oceniła Kasia, moczając usta w nalewce.

– Pamiętajcie jak na praktykach, kopiąc te wstrętne doły, żeby dokopać się do trzeciorzędowego piasku, piliśmy tanie wina owinięte dla niepoznaki w mapę? – zapytała Dora. Alkohol dobrze na nią

podziałął, była rozluźniona.

– No... Mnie twój Kiciuś, całkiem pijany, wiózł rowerem. Kiedy zjeżdżaliśmy drogą z wielkiej góry, byłam pewna, że się zabijemy – przypomniała sobie Kasia.

– Potem przyjechał do ciebie Paweł i tylko oczy przecierał – zaśmiała się Majka.

– On zawsze oczy wybałuszał, jak było dużo kobiet – zachnęła się Kasia.

Dorota przyglądała im się z niedowierzaniem. Jak to? Mogą tak swobodnie o tym rozmawiać?

Majka przysunęła się bliżej Kaśki.

– Chciałabym cię jeszcze raz przeprosić za to, co było.

– Spokojnie, mamy to już za sobą. Zresztą to nie była tylko twoja wina.

Dorota, słysząc te zapewnienia, wróciła do swego zwykłego nastawienia i prychnęła. A po chwili wstała i wzburzona zaczęła chodzić po jadalni. Wreszcie nie wytrzymała i wykrzyknęła:

– To faceci są winni, bo zawsze oszukują. Im chodzi tylko o seks. Tylko czekają, żeby złowić kogoś w swoje sidła.

Majka i Kasia popatrzyły na nią przerażone. Coś w niej musiało pęknąć. Bały się emocji Dory. Zaczęły ją jedna przez drugą pocieszać.

– Nie wszyscy tacy są.

– Wszyscy – odpowiedziała im hardo, dopijając trunek. Kasia dołała jej odrobinę. – Wszyscy! – powtórzyła głośniej i zaczęła się histerycznie śmiać. Krótko, potem spoważniała.

– Kiciuś to jeszcze nie wszyscy – pocieszała ją Majsza.

– Kiciuś? On się nie liczył. Dał mi tylko córkę. Wy nic nie wiecie. – Dora naląła sobie kolejną szklankę nalewki. Wychyliła ją do połowy i głośno przełknęła. Machnęła ręką z rezygnacją. – Nie rozumiecie. Nic nie wiecie.

Kasia i Majsza milczały. Rzeczywiście, niewiele wiedziały o Dorocie. Zawsze wyraźnie dostrzegały tylko jej stosunek do Tamary, i wzajemny też, co zresztą przysłaśniało wszystko inne. Dorota nigdy nie wspominała o swoim życiu intymnym w Niemczech.

– Tam, na obczyźnie znałam kogoś wiele lat. Spotykaliśmy się, wyjeżdżaliśmy w góry. – Dora uśmiechała się do wspomnień. – W Bawarii też byliśmy razem, siedzieliśmy w knajpkach, słuchaliśmy Wagnera, jedliśmy sznycle, wielkie jak berety. Rozmawialiśmy – powiedziała głośniej. Spojrzała na Kasię, potem na Majkę. – On był w sytuacji podobnej do mojej – dodała i pojaśniała wewnętrznym światłem. Wypiękniała!

– Dlaczego nigdy nic nie powiedziałaś? Co się z nim stało? – wykrzyknęły jednocześnie.

– Było, minęło. Nie ma. Było i nie ma – zaczęła się śmiać. O ściany odbijały się suche, gardłowe tony. Potem zaczęła kaszleć.

– Poczekaj, zimna woda zmniejsza głoda – zaczęła Kasia, nalewając sobie i Dorocie wodę mineralną. Czują, że jest pijana. – To jak to, było wam ze sobą dobrze i zrezygnowałaś z niego, z uczucia? Tylko mi nie mów, że zrobiłaś to dla Tamary. To chcesz nam powiedzieć? Jesteś masochistką?! – krzyczała.

Dora wyprostowała się na krześle i spojrzała z pobłażaniem na Kasię, a potem na Majkę, która cały czas mieszała słomką w nalewce, jakby chciała rozpuścić w niej cukier.

– Nie jestem. Tamara go polubiła i on ją. – Uderzyła ręką w stół. – Nadal nic nie rozumiecie. My tylko ze sobą rozmawialiśmy. Ten układ był święty, między nami nie było erotyki, bo wydawało się nam... No, mnie się wydawało, że gdyby była, to byłoby inaczej. Kochałam go! – Dora wyrzuciła to z siebie jednym tchem. Potem opuściła głowę.

– Kochałaś go?! – Majsza wstała na równe nogi. – Tak zupełnie bez niczego?! – wykrzyknęła. – No rozumiesz, co mam na myśli? Nawet bez dotyku? A on? No co on na to? Mów zaraz! – Majka zachwiała

się i opadła na krzesło. – Bo wy nic nie wiecie – powiedziała, spoglądając to na Dorotę, to znowu na Kasię. – Najlepiej żyć ze świadomością, że liczy się tylko to, co jest tu i teraz. Nie ma po co tworzyć abstrakcyjnych punktów odniesienia – dodała. – Tu i teraz! – krzyknęła. Zatoczyła ręką szeroki łuk, potem dłonią zwiniętą w kułak uderzyła w blat. Wypełnione alkoholem szklanki podskoczyły do góry, a złota ciecz wylała się na blat. Majsza nachyliła się i zaczęła spijać rozlany trunek wprost ze stołu. Od czasu do czasu chichotała, zapewne rozbawiona swoim stanem.

– Kiedyś zostaliśmy zaproszeni na imprezę przez takich znajomych w Mainz – zaczęła Dorota. – Było dużo alkoholu. Nie pamiętam, jak to się stało, ale potem się kochaliśmy. Pierwszy raz. W hotelu, przy muzyce Wagnera – dodała cicho. – Rano, kiedy ochłonęliśmy, było mi wstyd nawet z nim rozmawiać. Oboje udawaliśmy, że nic się nie stało. Ale przecież się stało! – Znów walnęła dłonią w stół. Głowa Majki podskoczyła do góry razem ze szklankami. Zachichotała.

– Nie wiem, dlaczego tak było. – Dorota spuściła głowę.

– A on? Nie próbował rozładować tej sytuacji? – zapytała przytomnie Kasia.

– Wiesz... Nie, szybko pożegnał się i wyszedł. Nie było już tak jak dawniej.

– I co?

– Po dwóch miesiącach zorientowałam się, że jestem w ciąży. Biłam się z myślami. To straszne nie mieć w takiej sytuacji z kim pogadać. W końcu zadzwoniłam. – Dora wzięła głęboki wdech. – Przyszedł późnym wieczorem, Tamarka już spała. Usiedliśmy na kanapie jak dawniej i wtedy mu powiedziałam. – Dorota wyrzucała to teraz z siebie szybko, jednym tchem.

– Coś ty! I co? – Majsza się ożywiła. Podniosła głowę ze stołu.

– „W ciąży?”, zapytał. „Przecież między nami nic nie było”. Rozumiecie?! Kochaliśmy się, a on to zupełnie pominął. Wyparł się. To brzmi mi w uszach i niszczy do dziś! – krzyknęła Dora zachrypniętym głosem. – Pewnie miałam na twarzy wymalowane wielkie zdumienie, bo po chwili zorientował się, że chyba nie powinien tak mówić – dodała cicho i machnęła ręką. – Zresztą, bardzo szybko wyszedł, mówiąc „przepraszam”. – Dora papierową chusteczką wycierała łzy płynące jej po policzkach. Westchnęła ciężko. Wstała z krzesła i podeszła do kominka. Pogrzebaczem przewróciła na drugą stronę nadpalone polano. Powoli odwróciła się w stronę przyjaciółek. Jej twarz znów nabrała hardości. – Wiedział, że widzimy się ostatni raz – stwierdziła sucho. – Zaraz też wyprowadził się z Frankfurtu i nigdy go już nie widziałam. Następnego dnia dostałam krwotoku, poroniłam. I dobrze, bo to dziecko miałoby tak samo jak Tamara! Nie mogłabym sobie tego darować – kończyła, płacząc cicho. Spojrzała na milczące przyjaciółki. – Nie zwracajcie na mnie uwagi. To alkohol ze mnie wychodzi...

W pokoju zaległa absolutna cisza. Majka i Kasia siedziały w milczeniu. Nie spodziewały się usłyszeć od Doroty aż tak intymnych zwierzeń. Nie wiedziały, jak się zachować. Nic już nie mogło być takie samo jak kiedyś. Co mogły jej teraz powiedzieć? Jak pocieszyć?

– To było dawno temu, prawda? – zaczęła Majka. Głośno czknęła.

– Z dziesięć lat? To nie jest dawno.

Kasia i Majka przycupnęły obok Doroty, przytuliły się do niej. Kasia zaczęła odgarniać jej z czoła puszczone teraz luźno kręcone, gęste włosy. Majka rozlewała tymczasem do końca nalewkę. Do szklanek, ale i po stole.

– A to kręta – powiedziała, stojąc z pustym dzbanem w ręce. – Zabiłabym takiego od razu. – Zrobiła taki ruch, jakby chciała użyć do tego celu szklanego naczynia.

– To był Polak? – zapytała po chwili Kasia.

– Polak, ale w Niemczech mieszkał dłużej niż ja. Jakie to ma znaczenie? Teraz dla mnie liczy się Tamara, ona mi tylko została. Gdyby jeszcze i ona... Nie potrafiłabym już żyć – rozpłakała się Dora.

– Nie mów tak! – wykrzyknęła Majka. Nie utrzymała równowagi, runęła jak długa razem z krzesłem.

Próbowała kilka razy się dźwignąć, ale po wielu nieudanych próbach zrezygnowała z powrotu do pionu. Podłożyła sobie ręce pod głowę, zachichotała raz i drugi, po czym nagle głęboko zasnęła.

Dorota otarła dłonią łzy, spojrzała na Kasię. Potem roześmiały się, w jednej chwili zapominając zarówno o przykrościach minionych dziesięcioleci, jak i o trudach bieżącego dnia. Majka zaś nadal od czasu do czasu chichotała przez sen.

W drugiej połowie stycznia wszyscy goście rozjechali się do domów. Została tylko Majsza, jej urlop zdrowotny kończył się w ostatnich dniach czerwca.

Kasia wróciła na wieś, niestety, jedynie na weekend, bo w poniedziałek rano musiała się pojawić w pracy. Bardzo ubolewała, że jej zaległy urlop był już tylko wspomnieniem.

– Co planujesz? – zapytały Majkę zaraz po świętach Kasia i Dorota.

– Nie chcę już wracać do szkoły. Najlepiej jest mi z Dankiem i kiedy mogę malować.

Wiedziały, że teraz chce z życia czerpać garściami. „Ile się da, rozumiecie? Ile się da!” – powtarzała tak często, że jej wizja lekkiego życia zapadła im w pamięć jak mało co.

To nie jest moje życie – myślała Kasia – a Majsza ma prawo do popełniania błędów. Każdy ma.

Wydziwia jak zawsze. Egoistka jedna – denerwowała się Dora.

– Myślisz, że uda ci się stworzyć z nim stabilny związek? – dopytywała Kasia.

Majsza wzruszała ramionami.

– A kto mówi o stabilności? Tu i teraz. Nie on, to kto inny. Na co mam czekać?

Kto inny? Nie Danek? Co ona opowiada? – zastanawiały się Kasia i Dorota.

Zaskoczyła je. Dorota gardziła zawsze takimi poglądami. Kasia jednak, po ostatnich rozmowach mailowych z Georgiem, nieco zmieniła swój kodeks. Zarzuciła mu całkiem niedawno, nie bez pewnego zażenowania, że on niewątpliwie wynosi ponad wszystko seks i że podchodząc tak do związku, już na samym wstępie zakłada niechęć do tworzenia czegokolwiek. A kobiety oczekują jednak innej drogi dojścia do intymności.

Katleen, staram się być szczery – przeczytała wtedy w odpowiedzi. – Uwierz mi, większości facetów chodzi tak naprawdę o wskoczenie kobiecie jak najszybciej do łóżka. I kręcą, aby jej nie spłoszyć. Te wszystkie bezpłciowe, z ich punktu widzenia, spotkania i wymuszone oczekiwania dla przyzwoitości traktują, niestety, jako zwłokę. Nie ma się co dziwić, że niejeden po osiągnięciu celu ma już tego wszystkiego tak dosyć, że szybko znika. Inni, no na przykład ci, którzy na początku myśleli, że znaleźli bratnią duszę, a po pierwszej erotycznej nocy uznali, że to jednak nie było to, cierpią i dopadają ich rozterki. I też za czas jakiś znikają, jednak już w zupełnie inny sposób...

Tak, po części Georg mógł mieć rację – pomyślała wtedy Kasia. Była zdumiona swoim odkryciem. Żałowała, że doszła do tego wniosku i zgodziła się z poglądami Georga, bo jednak wolałaby, gdyby nie odzierało się bliskości pomiędzy mężczyzną i kobietą z doznań innych niż cielesne. Poglądy Georga w jej odczuciu miały sens. – Bo Paweł – pomyślała – niewątpliwie znikł z mojego życia w ten inny, według kryteriów Georga, sposób.

– Wystawiłam swoje obrazy, te z dziobatymi ptakami, w Internecie. I wiecie co? – zaszczebiotała zaaferowana Majka. – Jeszcze dwa dni do końca aukcji, a one już osiągnęły bardzo wysokie ceny. Więc chyba mogłabym zaryzykować i żyć z malarstwa. Danek mnie do tego namawia, wiecie? Chcemy razem zamieszkać w Warszawie. Byłabym bliżej Zuzy... – Zawiesiła głos. – Muszę jej udowodnić, że mam prawo do swojego życia po Jarku. Poza tym mogłabym stamtąd organizować plenery malarskie u was.

– Plenery malarskie i fotograficzne oczywiście – zawołała Kasia. – Co myślisz, Dora?

– Jak tam chcecie. Do mnie należy odpowiednie utrzymanie tych wszystkich metrów. Kto tutaj będzie, to nie moja sprawa.

– Ale podoba ci się takie towarzystwo? – zapytała Kasia.

– Świetnie było, mammo, prawda? – spytała Dorę Tamara, która właśnie zeszła na dół. Nie czekając na odpowiedź, dziewczyna wzięła karton z sokiem i prędko wróciła na strych.

– No, źle nie było. Wigilia jak dawniej. Prawie zupełnie tak samo. Matuli się podobało, nie chodziła po nocach. Widzi, że jej dom nie idzie na zmarnowanie.

– Dora, przestań! – zaprotestowała Kasia.

– Po strychu też już nie chodzi....

– Za to teraz grasuje tam nasza dzieciarnia. Wychowują się zupełnie bez nas. Zobacz, Tamara już nie ma stanów lękowych. Ten ruch tutaj dobrze jej robi. Sama wyszła wczoraj do ogrodu.

– Widziałam. Nakrzyczałam na nią, bo przecież mogę z nią wychodzić. To jest moja córka! Na kogo może liczyć, jeśli nie na matkę?

– Na siebie, Doroto. Na siebie przede wszystkim musimy liczyć – powiedziała filozoficznie Kasia. I zastanowiła się, kto komu jest bardziej potrzebny. Dorota Tamarze? Czy może Tamara Dorocie? Raczej to drugie, tego Kasia zaczynała być coraz bardziej pewna.

No dobrze! Czas działać – postanowiła Kasia po powrocie do Poznania. Wreszcie podjęła decyzję.

Najpierw weźmiemy samochód w leasing – rozpisywała sobie plan na kartce. Mijał styczeń, potem wprawdzie będzie srogi luty, ale w wiosennym marcu nie wyobrażała sobie straty dnia w autobusach do Olecka i Ełku. Bardzo szybko znalazła u sprzedawcy model, który od razu przypadł jej do gustu. Niemiecki, średniej wielkości, kilkuletni volkswagen jetta. Natychmiast nawiązała kontakt ze sprzedawcą i równolegle z biurem leasingowym. Nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie będzie mogła jeździć. Bez żadnych zawirowań wszystkie sprawy związane z zakupem i z najmem pozałatwiała drogą internetową.

Gdy pod koniec stycznia przyjechała do Mordek, srebrne auto czekało u sprzedawcy w Olecku, a w towarzystwie leasingowym – umowa najmu i wszystkie polisy ubezpieczeniowe. Już następnego dnia po swoim powrocie w Ełckie przyjechała jettą z Olecka do Mordek. Z fasonem zaparkowała pod ośrodkiem, zatrąbiła, po czym zaprosiła do samochodu Dorę oraz Tamarę i, nie dbając, że okoliczne drogi były pełne lodu, ruszyły w stronę pól. Najpierw na wzgórze za wsią, potem w dolinkę łączącą dwa jeziora, akurat skute lodem.

Jadąc polną drogą pod górkę, Kasia próbowała sobie wyobrazić lato, Majszę, Danka, motor, skóry i muzykę. Wiedziała, jakie to wszystko wywarło wrażenie na Majce. I jaką niechęć do matki ta znajomość wytworzyła u Zuzy.

– Kiedy byłaś u ojca na grobie?! – krzyczała zaraz po Nowym Roku Zuza.

– To jest moja sprawa! Mam prawo do własnego życia! – oburzała się wówczas Majsza. Ale Kasia widziała, że jest jej bardzo przykro. Jak zazwyczaj w sytuacjach trudnych i nieprzyjemnych zagryzała wargę. W końcu zaczęła się bawić tiulową falbanką przy rękawie. Rozciągała ją i naciągała, aż szew się rozszedł i cienki woal w dwóch miejscach zaczął się pruć.

– Z tym pięknišem? Łączy was tylko łóżko! – zaperzała się jeszcze bardziej Zuza.

Przypominając sobie tę rozmowę, Kasia powoli wjechała na drogę prowadzącą do ośrodka.

– Jutro rano znowu wracam do Poznania. Nie wiem, co robić. Wróbel rzeczywiście nie zapomniał o swojej propozycji... – wyznała Dorocie.

Miała mnóstwo wątpliwości. Stanowisko szefa działu kredytów w banku w Olecku było dla niej bardzo atrakcyjną propozycją, ale zmuszało do podjęcia szybkiej decyzji o przeprowadzce do Mordek. Zrozumiała ze zdumieniem, że stan zawieszenia był dla niej niewątpliwie bardzo wygodny, a podjęcie właściwej decyzji okazuje się w praktyce nie lada sztuką. W tym momencie trochę pomógł jej... czas. Jej ostatnia podróż z Poznania trwała dwanaście godzin. Pociąg z powodu śnieżycy stał kilka godzin w polu. Gdy zatrzymał się niedaleko Olsztyna, wyciągnęła z nesesera książkę i zaczęła czytać. Powieść wciągnęła ją na tyle, że zapomniała o przymusowej przerwie w podróży. Kiedy doczytała do czterdziestej trzeciej strony, spojrzała w okno i zobaczyła ten sam widok. Ośnieżone pole, ponure niebo, śpiący głęboko współpasażer naprzeciwko. Zamknęła książkę i pomyślała, że gdyby brała przykład z Pawła, wstałaby teraz i poszła poszukać konduktora. A potem wyżyłaby się na nim. Ale w pobliżu, niestety, nikogo nie było. Stare dzieje – pomyślała. Westchnęła. Zresztą, pociąg jakby na jej zamówienie zaraz ruszył. Potem zatrzymał się ponownie, tuż za Mrągowem. Do Ełku dojechała kilka godzin później i gdy wysiadła, poczuła wyrzuty sumienia. Dzidek. Skromny, darmowy, niewymagający przewoźnik. Ucieszyła się, że ich własny samochód odciąży tego zapracowanego, nieśmiałego człowieka.

– I co? – zapytała cicho Dorota, przywołując ją tym samym do rzeczywistości.

– Wiesz, mam już dość podróży – zaczęła Kasia, ostrożnie zjeżdżając polną drogą z górki za stodołą.

– Zamieszkaś z nami? Już dawno mogłaś to zrobić – zasugerowała niepewnie Dora.

– Wiem, wiem. Zamieszkać tutaj, ale najpierw muszę pozamykać swoje sprawy.

– Rozwiedziesz się z Pawłem?

– Ciągle nie wiem, gdzie on jest.

Kasia nie widziała powodów, dla których miałyby teraz regulować swoją sytuację rodzinną.

Dawniej również nie było jej na to stać.

– Sądziłam, że chcesz się przenieść do nas nie tylko z uwagi na pracę – uśmiechnęła się niepewnie

Dora.

Czy ja chcę się tutaj przenieść z innych powodów niż praca? – zastanowiła się Kasia. Wiedziała, co przyjaciółka ma na myśli. Janek. Kasia nie widziała się z nim po Nowym Roku. Chyba o nim zapomniała.

Traktowała go nadal jedynie jako przyjaciela, duchową ostoję. A może nie był jej na tyle bliski? Nawet na tyle, żeby za nim zatęsknić? A także żeby poza Mordkami o nim pamiętać? Zadumała się. Ten mój ciągły emocjonalny pragmatyzm! – uczyniła sobie zarzut. – Zresztą – wytłumaczyła sobie – on też zaraz po moim wyjeździe do Poznania, nic nie mówiąc, pojechał do Warszawy i do tej pory nie wrócił. Ot, życie!

Kasia wróciła do Poznania w niedzielny wieczór zupełnie wykończona. Nie, stop – powiedziała do siebie. – Przenoszę się tam.

Pierwszy dowiedział się o tym Piotrek.

– Nie martw się, najpierw się z tą decyzją prześpię – pocieszyła go, idąc do swojej sypialni. Nie miała siły zupełnie na nic. Oczy same kleiły się do snu. Nie mogę spędzać weekendów wyłącznie w pociągu – myślała sennie. – Bo ostatnio mój adres to Poznań–Ełk. Pociąg pośpieszny. Kiedyś powiedziałam, że zajmę się naszym przedsięwzięciem, no to chyba muszę zrobić jakiś ruch. Przeniosę się tam. W końcu też wypracuję jakieś pieniądze na życie. Ten cholerny materializm, zero szaleństwa, nieznośny pragmatyzm, szczelne zamknięcie na spontaniczność w sprawach bytowych, beznadziejne nudziarstwo – wyrzucała sobie w myślach.

Jeszcze przez chwilę kręciła się niespokojnie na łóżku, po czym zasnęła.

Obudziła się bardzo rześka i z przekonaniem, że podejmie dobrą decyzję. Wczesnym rankiem, przed pójściem do pracy, wstąpiła do rodziców i zakomunikowała im, co zamierza zrobić.

– Jezus Maria! Czyś ty całkiem rozum postradała?! To stamtąd do Poznania idzie największa migracja za pracę, a ty takie głupstwo popełniasz? Wspomnisz moje słowa: jeszcze wrócisz tutaj z płaczem – ubolewała mama.

– Mama tylko tak mówi, a naprawdę to z chęcią nieraz do was przyjedzie – pocieszał ją tata. Ale Kasia zauważyła, że i jemu nie jest wcale do śmiechu. Zafrasowała się. Zawahała. Podjęcie decyzji niesie ze sobą jakieś ofiary – pomyślała filozoficznie, zbierając się do wyjścia.

– Najwyżej tu wrócę. Jadę, bo ktoś powinien wyrównać to niekorzystne saldo migracyjne w tamtym regionie – zażartowała.

Ojciec się uśmiechnął, a Kasia pomyślała, że pierwszy raz w swoim życiu podejmuje tak poważną decyzję. Nie miała żadnej pewności, że Mordki będą dla niej właściwym miejscem, ale czuła się z siebie bardzo dumna. Tak bardzo, że zatarło się w niej poczucie panicznego lęku przed przeprowadzką.

– Nie mogę teraz i stamtąd uciec – wyszeptwała.

Rodzice zatrwożeni popatrzyli na siebie, a Georg, twórca tejże, początkowo niepopularnej ucieczkowej teorii, tryumfował zaocznie.

Był ostatni dzień lutego. Kasia wracała z pracy. Wyluzowana, wolnym krokiem szła ulicą Wodną. Zakończyła swój długoletni związek z bankiem. Stary Rynek wydawał się uśpiony, knajpki były puste, brakowało spacerowiczów. Ziąb na dworze skutecznie ich odstraszył. Lutowy mróz pomalował to miejsce inaczej, niż pamiętała je z zeszłorocznego maja. Czowała, że teraz znajduje się w innym punkcie swojego życia. Wtedy, w maju, była w matni, nie wiedziała, co robić dalej. Dzisiaj zaś niewątpliwie czuła się wolna. Stąpając ostrożnie po śliskim bruku, pomyślała o dniu jutrzejszym i od razu spadł z niej wielki ciężar, znowu zachciało jej się tańczyć.

Uśmiechnęła się do obrazu sprzed prawie roku. Granatowa garsonka trzymająca w ryzach kreatywną naturę Kasi, ciężkie, brzęczące na jej nadgarstkach srebrne bransolety, granatowe czółenka wystukujące rytm na bruku. Czardasz.

Zdumiona swoją żywiołowością i radością Kasia spróbowała przypomnieć sobie tamten taneczny krok. Wysokie czarne botki ślizgały się na cienkiej warstwie lodu, którą pokryte były kamienie. Poślizgnęła się, płosząc zmarznięte, przemykające nieśmiało po rynku, nieliczne gołębie, które szukały tu resztek pożywienia. Ostrożnie zeszała z bruku na chodnik. A potem był Kronberg – przypominała sobie, idąc ulicą Paderewskiego w kierunku placu Wolności. – Golfiści, zielona, równo przystrzyżona trawa, leniwa smuga ekskluzywnych perfum w powietrzu, znudzeni swym bogactwem goście na kawiarnianym tarasie starego zamczyska. Przekonanie o własnej marności.

Uśmiechnęła się do siebie. Po raz pierwszy tak jak do starej, bardzo dobrej przyjaciółki. Niewątpliwie zaczynała siebie lubić.

Zaczął się marzec. W Mordkach pogoda nie zmieniała się tak często jak w zachodniej części Polski. Było chłodno jak na tę porę roku. Kasia nie miała poczucia komfortu, wiosenne ubrania, które przywiozła pierwszym kursem, okazały się zbyt lekkie i marzła. Nic zatem dziwnego, że nadal codziennie rozpały w kominku i siadywały przed nim.

Znowu mieszkały w Mordkach razem. Bardzo często przyjeżdżała też Majka.

Nie zatrzymuje jej jednak ta Warszawa – pomyślała Kasia, widząc, jak pozawijana w chustę Majka siada na fotelu blisko kominka i pogrzebaczem przewraca tłący się konar. Obie z Dorą wiedziały, że Danek znalazł dla niej miejsce na sklep i galerię, a Majkę wciągnęło urządzenie lokalu. Oglądając zdjęcia z otwarcia galerii, Kasia zwróciła jednak uwagę, że na każdym z nich Majsza stoi samotnie na uboczu. Nie mogły pojechać na tę uroczystość. Ona sama rozpoczęła pracę w Olecku u Wróbla, nie wypadało na samym początku brać urlopu i gnać do Warszawy. Dora zaś nigdy nie traktowała poważnie nowego zajęcia przyjaciółki. Wymówiła się pracą przy przygotowaniu pokoi w związku ze zmianą turnusu w ośrodku. Mogła tak powiedzieć, bo najpierw przyjazd na weekend planowali pracownicy fabryki mebli z okolicy Białegostoku, a potem kilka małżeństw na dłuższy pobyt wypoczynkowy.

Danek miał w Warszawie wielu znajomych w kręgach artystycznych.

– Oj, wyobraźcie sobie – mówiła Majka po przyjeździe ze stolicy – my przy nich jesteśmy szarymi gąskami. Nawet po stroju to widać. Tam, jeżeli nie masz na sobie marki, to jakbyś nie miała żadnej wartości. I w ogóle, nie wierzyli mi, że w Częstochowie są szkoły wyższe. Makabra. Gdy opowiadałam, że swoje obrazki wystawiłam kiedyś na sprzedaż przy krakowskim Barbakanie, śmiali się, że w Krakowie nie ma żadnego Barbakanu. Że Wawel, owszem, ale Barbakan jest tylko w Warszawie.

Kasia próbowała wyobrazić sobie, jak sama czułaby się w takim otoczeniu. Tak samo jak w Kronbergu czy gorzej?

– Psiakrew! – zabrzmiało obok. Kasię wystraszył okrzyk Majki. Spoglądała na nią zdziwiona.

– Jak oni mogli pomyśleć, że ktoś, kto traci pracę, to prostak?! – zapytała wzburzona Majka.

– Jacy „oni”? – zapytała, jak zawsze rzeczowo, Kasia.

– Te snoby. Danek powiedział swoim znajomym, że Jarek, zanim zginął, stracił pracę. Dlatego oni odebrali go jak wieśniaka.

– To go broń. Powiedz, że był naukowcem, miał tytuł doktora.

– Nie potrafię dać sobie rady z tą niechęcią. Zresztą, tam mnie wcale nie zauważają. Wśród znajomych Danką czuję się przezroczyta.

– Co tak beczynnie siedzicie? – rozległo się od drzwi wejściowych, które pchnęła gwałtownie Dora. – Nieważne zresztą. Jeszcze tylko kilka dni i będziecie mogły nareszcie zacząć prace w polu. Na skrawku ziemi niedaleko jeziora posadzimy ziemniaki, bo zawsze takie świeże lepsze niż te ze sklepu.

– Żartujesz, tak? W pegeerze jestem czy w miejscu organizowania eventów dla pracowników bogatych firm? – oburzyła się Majka.

– E tam. Jeśli można zaoszczędzić, to trzeba. Poza tym na wsi powinny rosnać ziemniaki, nie wyobrażam sobie kuchni bez ziemniaków.

– A potem będziemy zbierać stonki! – zdenerwowała się Kasia. – Rób, co chcesz. Ja na pewno się tym nie zajmę.

Dla Kasi wykopki były jednym z bardziej traumatycznych wydarzeń na wsi. Jesień, błoto i rozdeptane radlonki, bo tak w Poznańskim nazywa się bruzdy, gdzie rosą ziemniaki. Kasia uśmiechnęła się z pobłażaniem dla siebie samej. Czasem zdarzało jej się używać wielkopolskiej gwary, najczęściej z konieczności, bo dla niektórych rzeczy albo czynności nie potrafiła znaleźć czysto polskich

określeń. Tak czy owak, z wykopków w jej pamięci pozostało wrażenie nieszczególnie komfortowe. Po pierwsze ziąb, po drugie brud – ręce i nogi mokre aż po kolana, a potem katar oraz ból pęcherza. A w międzyczasie – różne kłopotliwe niespodzianki na błotnym, ziemniaczanym polu. Pewnego dnia koń tak mocno poślizgnął się na rozmokłym gruncie, że nie mógł wstać. Innym razem na polu odkryto wielki głaz, który po wydobyciu z ziemi okazał się wielkim otoczakiem w kształcie ziemniaka. Teraz przydałby się taki przed „Złocistą Doliną” w Mordkach – pomyślała Kasia, bo według feng shui postawiony przed domem wielki kamień sprowadza dobrobyt i szczęście. Może też sprawiłby, że wszystkie złe moce opuściłyby „Złocistą Dolinę” raz na zawsze? Muszę koniecznie załatwić to ze skłoną do zabobonów Dorotą – zaśmiała się do siebie Kasia.

Marzec upłynął im na prozaicznych czynnościach. Kaśka rozpoczęła pracę u Wróbla, a samochód bardzo usprawnił im codzienne życie. Droga do Olecka i z powrotem zajmowała nie więcej niż pół godziny, czyli mniej niż jej droga do pracy w Poznaniu. Inny rodzaj zajęć, stanowiących dla niej nowość, absorbujące obowiązki, nowi klienci i współpracownicy – to wszystko razem sprawiło, że podchodziła do nowego zajęcia z entuzjazmem. Kiedy przedstawiono jej głównych klientów, a potem odwiedziła ich siedziby, nabrała pewności, że nie będzie się nudzić.

Kilka dni temu pojechała do jednej z większych firm w regionie, fabryki mebli spod Suwałk. Właściciel, Sławomir Wencel, był wobec niej pełen uwagi, a Kasia wobec niego – rezerwy. Nie podobały jej się próby stworzenia więzów bardzo kumpłowskich i to, jak opowiada o innych przedsiębiorcach z okolic, jak puszy się wielkością swojej firmy. Czuli, że temu klientowi, wyłącznie tak go postrzegała, chodzi jedynie o dobre kontakty z bankiem. Albo o kontrakt seksualny z nią, zresztą o równie interesownym i instytucjonalnym podłożu. Tak czuli. Jednak po chwili odrzuciła myśli o tej drugiej ewentualności i uznała, że idzie mu o okołobankowe manewry – tym bardziej że był znaczącym kredytobiorcą.

– Nie możesz wcześniej wracać z pracy? – zapytała kiedyś Dora.

– Nie, bo muszę się tam wgrzyźć – odpowiedziała wtedy krótko Kasia.

– Jestem sama. Nawet nie ma mi kto doradzić – westchnęła ciężko Dora. Ale po chwili kontynuowała, wyjawiając swoje rozterki.

Okazało się, że nie wie, jak rozumieć fakt, iż Tamara pytała o studia w Polsce. To była dla Kasi nowość. Aż wstrzymała oddech. Ucieszyło ją to, że dziewczyna zadała takie pytanie, ale przede wszystkim to, że Dorota nie udaje już wszystkowiedzącej i po prostu szuka porady. Kaśka dzień wcześniej zauważyła, że Tamara, którą zastała przed komputerem, była mocno rozdrażniona. Każdy szmer denerwował ją i rozstrajał. Rozglądała się na wszystkie strony jak wyczuwający myśliwego zajaczek, ale znać było, że coś bada, próbuje. Po prostu, maca.

– Co ty ciągle robisz przed tym komputerem? – zapytała ją kiedyś Dora, jak zawsze pełna niechęci. – To nie jest prawdziwe życie. Praca jest najważniejsza. Powłoczki na poduszki i na kołdry trzeba wymaglować, w bieliźniarce je potem poukładać – gderała. Była nerwowa, bo nazajutrz rano miała jechać do lekarza. Słyszając słowa matki, Tamara wzruszyła jedynie ramionami i wyszła. Następnego dnia po południu Kasia odebrała Dorę z centrum Olecka i z mety usłyszała:

– Konował jeden, co on może wiedzieć o chorobach młodzieży? Tutejsi nigdzie nie pracują, mają sporo czasu, więc na co mają chorować? Nie ma praktyki. Zupełnie mnie nie słuchał, wyglądało, że od dawna wie o chorobie Tamary. Dał tylko jakąś truciznę, powiedział, że jest ode mnie uzależniona i nie powinnam się jej narzucać. To co, mam ją tak zostawić?

– Spróbuj zastosować się do jego porad.

– Ona sobie nie poradzi. Nie widzisz, że jest przerażona?

– Wykupiłaś to lekarstwo?

– Własną córkę mam psychotropami truć?

– Kurczę, no daj jej to lekarstwo. Pozwól sobie powiedzieć, że ty w sprawie Tamary nie zawsze masz rację. Dobra, zgoda, ja się mądrzę, ale ty jesteś niereformowalna. Wiele osób dzisiaj ma problem ze sobą. Nerwica lękowa i, nie wypominając tobie, zaborcza mamuśka to problemy naszej cywilizacji. Spróbuj w to uwierzyć.

– Dzieci wychowuje się w pocie czoła, a one potem i tak zostawiają rodziców. Nie chcę, żeby ona mnie zostawiła jak ja swoją matkę. Historia lubi się powtarzać. – Dorota opuściła głowę. Zaczęła

płakać. – To co ja mam ze sobą zrobić? – zapytała po chwili.

– Dzieci wychowuje się dla świata, nie dla siebie – powiedziała Kasia, parkując samochód przed domem. Spojrzała na zapłakaną Dorę, pogłaskała ją po policzku. Na widok tak zapętlonej przyjaciółki serce ścisnęło się jej z żalu. – Zobacz – dodała – mnie też najłatwiej byłoby zabić samotność, osaczając Piotrka. Ciągle za nim tęsknię – zwierzyła się.

Dorota westchnęła ciężko, Kasia też, po czym posiedziały chwilę w milczeniu. Z samochodu wysiadły uspokojone. Kiedy weszły do domu, Tamara siedziała przed komputerem, ale widząc matkę, zaraz się wycofała.

– Nie wyłączaj – zawołała Kasia.

Chwilę później zrzuciła szybko płaszcz, siadła na zwolnionym przez dziewczynę miejscu i zaczęła przeglądać pocztę „Złocistej Doliny”. Nadeszło kilkanaście maili. Klientów indywidualnych nie miały jeszcze zbyt wielu. Nie martwiły się tym zanadto, nie zależało im już, bo Majsza, a właściwie Danek, zareklamowali „Złocistą Dolinę” w stolicy i na dwa miesiące do przodu miały kilka grup zorganizowanych – na konferencje i szkolenia na razie, zatem nie musiały zadbać o fachowy personel. W poczcie było kilka nowych zapytań o terminy i ceny, a na konto wpłynęły nawet zadatki na poczet wcześniejszych warszawskich rezerwacji. Kasia przeliczyła przychody, sprawdziła grafik i zorientowała się, że pozostało niewiele wolnych pokoi. Kilka dni temu przyjęła też wiadomość od Georga, że wybiera się do Mordek na kilka dni. Tamara zmieniła już nawet pościel w jego ulubionym pokoju myśliwskim. Dowiesiły tam drugie rogi jelenia, które sprezentował im Stasiu. Kaśka tym razem czekała na wizytę Niemca z radością, bo choć był prowokującym mężczyzną i zawsze ją peszył, nie mogła się uwolnić od zainteresowania nim. Spodziewała się, że przyjedzie pod wieczór, i cieszyła, że się zobaczą. Miała wszystko zaplanowane – zaprosi go do jadalni, gdy Tamara pójdzie spać, a wtedy siądą przy kominku i porozmawiają.

Mogłabym nawet poruszyć przy nim temat choroby Tamary – pomyślała. Choć nie, przy Dorocie zapewne nie będzie to możliwe. I choć pomysł wydał się ryzykowny, nie odrzuciła tej myśli, bo ciekawił ją osąd Georga teje sprawy – lubiła oryginalność w każdej postaci, a ponadto ceniła jego poglądy. Kilka z nich, mimo że, jak zwykle, dyskusyjnych, stanowiło dla niej odkrycie. Pamiętała oczywiście, że to on nazwał jej wyjazd do Mordek ucieczką. Nie dawało jej to spokoju. Ta myśl wczepiła się w jej mózg jak kleszcz, im dłużej z nią chodziła, tym więcej o tym myślała. Czy ja uciekam? – pytała samą siebie. – Czy my wszystkie uciekamy? Czy jeśli jest się wyłącznie obserwatorem życia, a nie pełnym jego uczestnikiem, to się przed czymś ucieka? Przed czym? A odwrotnie: czy jeśli tak bardzo chętnie, z całych sił uczestniczy się w życiu, to oznacza, że traci się wiedzę o życiu wynikającą z obserwacji? Myśli Kasi przerwał dźwięk telefonu. Chwyciła słuchawkę.

– Halo, no, to ja – usłyszała męski głos.

– Czyli kto? – zapytała przytomnie.

– Georg, naturalnie. Jestem w Polsce, ale dopiero w Warszawie.

– Czyli w Mordkach będziesz w nocy, jak rozumiem? – zapytała Kasia.

– Nie, zepsuł mi się samochód. Jestem zmuszony zatrzymać się w Warszawie u przyjaciółki. Potem zostanie mi jednak tak niewiele czasu, że wykluczam tym razem przyjazd do Mordek. Naturalnie chciałbym bardzo, ale może za miesiąc z Sofiją przyjadę? Katleen, proszę, uwierz mi. Bardzo chciałem.

– Nic się nie stało. Następnym razem – powiedziała Kasia, kończąc rozmowę. Udała, że nie jest jej przykro, że nic takiego się nie stało. Ale jednak. Znów poczuła to niemiłe rozczarowanie. Odwróciła się w stronę kuchni i dostrzegła Dorę. Tym razem nie wyglądała na spiętą czy zdenerwowaną. Wręcz przeciwnie – stała przy piecu ze słuchawkami na uszach, co było niezwykajne, nuciła coś pod nosem i podrygiwała w rytm sobie tylko znanej melodii. Kasia podeszła do niej, zdobyła się na odwagę

i zawołała:

– Dora, powiedz mi, bo nie mogę tego zrozumieć. Jak Sofiji nie przeszkadza to zainteresowanie Georga innymi kobietami?

Kasia miała pewność, że Sofija musiała wiedzieć o istnieniu innych kobiet w życiu Georga. Dlaczego więc do niego wraca? – zastanawiała się. Czy z tych samych powodów, dla których i ja jestem jego nieobecnością rozczarowana?

Dorota zdjęła słuchawki i wzruszyła ramionami.

– Ściga się z nim. I tyle. Po co ty się nim zajmujesz? Liczysz na coś? – zapytała, nie podnosząc głowy znad garnka z zupą pomidorową. – Tacy jak on to potencjalni kochankowie ostatniej szansy. – Dora przykryła zupę pokrywką i z łyżką w ręce podeszła bliżej Kasi. Spojrzała na nią. Machnęła ręką na znak całkowitej dezaprobaty i dodała tym swoim nieznoszącym sprzeciwu tonem: – Te wszystkie samotne Polki z Niemiec nie mają skrupułów, jeśli chodzi o facetów. – Oblizła łyżkę. – Drepczą za nimi – stwierdziła i zaśmiała się głośno z określenia, którego użyła. – Wyobraź sobie, że codziennie, od świtu do nocy, monitorują nowe oferty towarzyskie w Internecie. Takich jak one zupełnie nie darzy się szacunkiem. – Dora zamilkła. Zerknęła na schody wiodące na strych i szepnęła konspiracyjnie: – To dlatego mnie te wszystkie komputery nie pociągają, bo to nie jest normalne życie. To nie dla mnie. – Pokiwała przecząco głową. – A zresztą, większość zasad wynosi się z domu. Matka ciągle nam wpajała, jak ważne jest, żeby być porządnym człowiekiem. Dla mnie najcenniejsza była rozmowa z nią. Chciałabym umieć robić wszystko tak jak ona. A teraz moja Tamarka... Ech, szkoda mówić. Zresztą, sama widzisz, też przed komputerem siedziała.

– No fakt, jeśli chodzi o znajomości internetowe, masz rację – skwapliwie przyznała Kasia.

Bo tam – pomyślała – zupełnie nie ma tego, że ona mu się spodobała, a on jej, tego błysku, zrozumienia w oczach, zapachu, zapatrzania, że lubią się ze sobą spotykać i rozmawiać, pójść do teatru albo do opery, spacerować.

– Jak można biegać za facetem? To on powinien zdobywać kobietę, a nie ona jego. – Dora wciąż kręciła głową.

– No, może i masz rację. Dorota, czy ty wiesz, dlaczego Janka Solińskiego nie ma w Mordkach? – zmieniła temat Kasia.

– Widocznie w Warszawie ma ciekawsze towarzystwo. A co on tutaj zimą może robić? Syna tam ma, nie tutaj. Ale słyszałam, że w tym tygodniu się pojawi.

Kasia posmutniała, bo jej przeświadczenie, że nie potrafi zainteresować sobą mężczyzn, tego dnia jeszcze mocniej się ugruntowało.

Nie upłynęło dużo czasu, odkąd Katarzyna Bzdowska zaczęła pracować w banku w Olecku, a już przeszła na „ty” z Wenclem. Początkowo zlekceważyła ten fakt, bo też w istocie nie było to żadne przestępstwo. Ale, jak się szybko okazało, niedogodność, bo Sławek często przejeżdżał w pobliżu Mordek i niezapowiedziany pojawiał się w drzwiach „Złocistej Doliny”. Na początku nie miały niź przeciwko temu, ale po kilku takich niespodziankach zaczęło im to bardzo przeszkadzać, a nawet drażnić.

– Jak mam mu powiedzieć, że powinien nas uprzedzać? – myślała na głos Kasia. Czasem najchętniej skryłaby się przed natrętem gdzieś w zakamarkach domostwa. Niestety, było to możliwe jedynie połowicznie, bo przed furką parkowała zdradzający jej obecność samochód. – On o nas wie znacznie więcej niż my o nim. Mam takie poczucie, jakby myszkował po moim życiu. Wydaje mi się, że z jego powodu tracę oddech.

Mówiąc to, Kasia miała na myśli także zaproszenie na weekendowe pieczenie dzika w jego leśniczówce. Mają być wszyscy, którzy się liczą w okolicy, argumentował. Byłby też Wróblewski. „Wisi mi w kieszeni”, namawiał dalej. Nie to, że nie lubiła takich atrakcji. Lubiała. A nawet bardzo chciałyby w takiej imprezie uczestniczyć. Znakomicie pamiętała, jak bardzo dawno temu, w ciepłe majowe niedziele podobne przyjęcia w swoim sadzie na wsi urządzał jej dziadek. Nad paleniskiem opiekał się mały prosiak, w pobliżu stały stoły przykryte wykrochmalonymi, białymi obrusami. Przyjechały wtedy wszystkie ciocie i wujkowie, było kuzynostwo i kilku sąsiadów. W pamięci Kasi pozostały wielkie ukwiecone drzewa owocowe, tworzące nad głowami biesiadników bladoróżowe obłoki. Zapach czarnego bzu i twarze dzieci ze wsi przyglądających się biesiadzie zza sztachet w płocie też pamiętała do dziś. Nigdy już potem nie widziała na dziecięcych buziach tak wyraźnego oczarowania. Pomimo tak miłych wspomnień Wenclowi odmówiła jednak kategorycznie.

Kasia nie posiadała doświadczenia biznesowego, to prawda, ale intuicyjnie wyczuwała, że jest zaledwie o krok od wejścia w wir różnych zawiłych układów. A te, według niej, niewątpliwie osaczały. Odkąd odważyła się rozpocząć nowy etap w swoim życiu, najbardziej ceniła swobodę, którą wreszcie poczuła. Wolność właśnie. Powoli zaczynała czuć jej smak. Ostatnio często rozmyślała, czy w życiu bardziej chciałaby być wolna czy bogata. Na tym etapie nie potrafiła jeszcze zdecydować.

Odmawiając Wenclowi, odczuła zarówno ulgę, jak i niepokój, czy słusznie postąpiła. Na razie się cieszyła, że może zostać w domu i usiąść przed kominkiem po długiej podróży. Tak zwyczajnie – zamieszkać. Kręcąc się po pokojach, dostrzegła wiszące na słupie przy jadalni zdjęcia Dory w filcowym berecie i jej rodziców przed domem w Mordkach. Była bardzo zadowolona, że tym prezentem trafiła w gust przyjaciółki. W jadalni widziała krzątającą się Dorotę i układającą w bielizniarce pościel równo jak od linijki Tamarę. Nie było to kreatywne zajęcie, to pewne. W gabinecie, do którego weszła z myślą odizolowania się od Doroty i Tamary, od razu klapnęła na fotel przy biurku i poruszyła myszką. Komputer nie był wyłączony. Czyżbym wczoraj wieczorem zapomniała go wyłączyć? – pomyślała. Obleciał ją strach, bo wyobraziła sobie, że ktoś mógłby przeczytać jej korespondencję. Na przykład tę bardzo niedwuznaczną z Georgiem. I byłaby to, załóżmy, Tamara.

Na ekranie pojawił się tekst w języku niemieckim, a niżej w polskim. Na pierwszy rzut oka wyglądało to jak tłumaczenie. Tamara! Czyżby zaczęła szukać drogi dla siebie? Kasia się ucieszyła. W pierwszej chwili chciała podbiec do dziewczyny i pogratulować pomysłu, a Dorze szepnąć, że jest świetnie, skoro jej córka w końcu szuka dla siebie rozrywki. Ale szybko poskromiła zachwyty – Doroty niewątpliwie ta informacja mogłaby nie ucieszyć. Kasia w internetowej wyszukiwarce znalazła darmowy słownik polsko-niemiecki, ściągnęła go i zainstalowała na pulpicie. – Na pewno zauważy ikonę – pomyślała z tkliwością o Tamarze. – I sama się domyśli. Albo uzna, że ja z niego korzystam, i też zrobi

z niego użytek. Uśmiechnęła się. Była pewna, że tworząc taką rzeczywistość, nie spłoszy dziewczyny.
Na pewno nie!
Wychodząc z gabinetu, strzeliła palcami.

Stało się to kilka dni później. Kasia i Dorota długo były pod wrażeniem znaleziska z popołudnia i wydarzeń z wieczora. A mówiąc dosadniej, zupełnie nie mogły się po tym pozbierać.

Podczas generalnych porządków na strychu, przed swoimi przenosinami tam na dobre, spostrzegły, że jedna z klamr spinających wieko kufra, ta najbardziej pordzewiała, puściła. Czyli, pomimo kłódki, wieko starej skrzyni można było swobodnie unieść do góry. Dorota i Tamara patrzyły na kufer, jakby za chwilę miał z niego wyskoczyć cudownie uratowany, a niegdyś zaklęty w polny kamień pruski dziedzic z Mordek. Kasia zaś, widząc ich niepokój i podniecenie, ale jednocześnie, ku swojemu zaskoczeniu, przyzwolenie, podniosła ciężkie, skrzypiące wieko i zajrzała do środka. Na samym wierzchu leżały koronkowe cacka. Białe obrusy z bawełnianej surówki, całe w białych i złotych haftach. Kasia ostrożnie położyła je na stole. Twarz Doroty zaczęła się mienić ciepłymi uczuciami, wzruszenie i zachwyt odebrały jej mowę, a na zgorzkniałej twarzy pojawiło się uczucie radości. Wypiękniała.

Pod obrusami objawiły się niewielkie, ciężkie zawiniątka.

– Podkowa! – zawołała Kasia do stojącej nieruchomo Doroty, wyciągając zawiniątko z flanelowej tkaniny. – A nie mówiłam, że tutaj będzie? – cieszyła się, rozpakowując drugi pakunek. Ikona. Piękna, stara ikona. Wszystkie trzy wpatrywały się wzruszone w kolorowe szkiełka rozbłyśnięte od wczesnowiosennego, popołudniowego światła padającego przez okienka dachowe.

Dora podeszła nieśmiało do kufra i zanurzyła ręce w białej, muślinowej tkaninie, leżącej głębiej. Uniosła ją. Delikatna, jakby szyta z pajęczej nici, biała suknia ślubna była niezwykle strojna, a długi na kilka metrów welon oczarował je i wzruszył. Dora chwyciła go w dłonie i zaczęła się nim owijać, dotykać twarzy. Tańczyć. Wyglądało to, jakby nagle pozbyła się hamulców, które czynią nasze ruchy kanciastymi. Niewątpliwie zapomniała, że nie jest sama. Tamara początkowo przyglądała się temu beznamietnie, ale kiedy matka, owinięta białym woalem, zawirowała w tańcu obok niej, dziewczyna zachichotała. Potem jeszcze kilka razy, a w końcu zaczęła się śmiać bez żadnych zahamowań. Jej dźwięczny głos odbijał się echem po strychu, ze śmiechem podbiegła do matki, naśladując jej ruchy. Dorota chwyciła dziewczynę za rękę i wspólnie wykonały kilka tanecznych obrotów. Wreszcie zorientowała się, że zachowuje się, jakby była w narkotycznym transie, i przystanęła. Potem spojrzała na Kasię, zawstydzona się, mocno zarumieniła i odłożyła welon na oparcie krzesła. Zajrzała do kufra. Tam, na samym dnie leżała tylną stroną do góry rama. Z lustrem, a może z obrazem? Dora, zapominając o lękach sprzed kilkunastu minut, z niezwykłym namaszczeniem poczęła przesuwać dłońmi po drewnianych ornamentach. Zamknęła oczy. Delikatnie odwróciła znalezisko. Lustro było stare i zmatowiałe. W pękniętej na całej długości tafli odbiło się światło wpadające na strych przez okno dachowe i zaczęło tańczyć po ścianach. Tamara podbiegła, wzięła lustro z rąk matki i zaczęła się w nim przeglądać.

– Co ty wyprawiasz?! – wykrzyknęła Dorota, wrywając jej zwierciadło z ręki. – Pęknięte lustro i stara ślubna suknia mogą zwiastować tylko nieszczęście! To matka znowu daje nam te swoje znaki. Już sama nie wiem, co to może oznaczać! We Frankfurcie wazonik, a tutaj lustro. Nie, ja tego dłużej nie wytrzymam! Dlaczego się na nas uwzięła?! Mamo! Wszystko robię dla ciebie, tak jak mi kiedyś kazałaś! – zawołała, patrząc w górę. Najwyraźniej szukała konfrontacji. – Zostaw chociaż Tamarę w spokoju! – krzyczała bardzo głośno, aż nabrzmiały jej żyły na szyi i czole. Potem zaczęła płakać i uderzać ręką w wieko kufra.

Kasia i Tamara się przestraszyły. Uznały, że najlepiej będzie, gdy zostawią ją samą. Zeszły w milczeniu. Uciekły. Ze strychu dobiegało szlochanie Doroty. Kasia poczuła się jak bohaterka horroru o wampirach, a zgarbiona Tamara zabrała się za mycie posadzki w sieni. Szło jej lepiej niż zwykle.

Czując na swoich plecach ciarki, Kasia ubrała się w kurtkę i wyszła w pole. Było jej smutno, źle, a nawet beznadziejnie. I nawet nieśmiało zieleniące się morenowe wzgórza nie polepszyły jej nastroju. Gdy po dwóch godzinach zmęczona wróciła do ośrodka, Tamara i Dorota siedziały już przy stole i czekały z kolacją. Tak jak co dzień. Tak jakby nic się nie wydarzyło. Kasia spojrzała badawczo na Dorotę, ale na jej twarzy nie dopatrzyła się żadnych uczuć.

– Nie martw się – zainicjowała rozmowę. – Powiesimy nad drzwiami podkowę, ona zawsze przynosi szczęście. Ikonę też mamy. Jest taka ładna, lubisz przecież starocie – pocieszała ją. Za wszelką cenę chciała przerwać tę przytłaczającą ciszę.

Dorota jednak myślami była gdzie indziej. I nawet nadzór, zwykły przecież, nad Tamarą teraz nie interesował jej wcale. Siedziała apatycznie przy wystygłej herbacie, zmęczona i zrezygnowana. Po chwili Tamara, widząc matkę w tym nastroju, całkiem zdezorientowana i, jak zawsze, pełna obaw, zniknęła w pokoju na strychu. Kasia zaś, szanując stan przyjaciółki, cicho przeniosła się na kanapę, włączyła płytę z muzyką, wzięła do ręki książkę i zaczęła czytać. To znaczy, chciała zacząć. W rzeczywistości wcale jej czytanie nie szło, nie mogła się skupić. Jej myśli uciekały, najpierw w daleką przeszłość. Wyobraziła sobie matkę Dory w długim na kilka metrów welonie. Tego obrazu nie mogła wymazać, toteż nawet gdy przymknęła oczy, w wyobraźni ciągle widziała fruwały na wietrze welon i roześmianą kobiecą twarz. Im mocniej chciała się pozbyć tego obrazu, tym bardziej twarz upodabniała się do twarzy Doroty. Kasia potrząsnęła głową, otworzyła oczy.

Leżące dotąd psy nagle zerwały się i dopadły drzwi. Wyraźnie było słychać warkot silnika samochodu, a potem głośny szum ruszającego pojazdu. Kasia ściszyła muzykę. Dora też się ożywiła, wyjrzała przez firankę. I nagle zerwała się na równe nogi, po czym gwałtownie ruszyła w kierunku drzwi z okrzykiem:

– Chodź ze mną, szybko!

Kto to może być? – zdążyła pomyśleć Kasia już przy wyjściu.

– Samochód! – krzyknęła Dorota. – Nie widzę naszego samochodu!

– Postawiłam go przed domem. – Kasia nie wierzyła własnym oczom. Po samochodzie pozostało jedynie puste miejsce.

Przecież stał blisko naszego okna – myślała z przerażeniem Kasia. Trzęsła się. – Byłyśmy w domu, więc jakże to tak? Może ktoś ze znajomych zrobił nam dowcip? – zastanawiała się. Poczowała się nieswojo. Nie dopuszczała do siebie złych myśli. Chciała wierzyć, że zniknięcie auta jest jedynie nieporozumieniem. Bo dlaczego ktoś miałby kraść samochód towarzystwu leasingowemu? Tego nie mogła zrozumieć. Jednak znów bała się jak pamiętnej letniej nocy, kiedy wyczuwała w pobliżu nieproszonych gości.

– Szajse! Co za dzicz! – krzyknęła Dora. – W Niemczech coś takiego nie mogłoby się zdarzyć.

Kasia siadła przy stole kuchennym i zaczęła płakać. Nie wiedziała, co robić. Nic już zupełnie nie wiedziała. W Poznaniu miałaby w pobliżu rodziców. Ojciec na pewno by ją pocieszył.

Dlaczego nie ma go teraz tutaj ze mną? Dlaczego nie mam tu nikogo bliskiego? – rozczuliła się nad sobą. W pierwszym odruchu chciała zatelefonować do domu, ale prędko uświadomiła sobie, że mogłaby ojca jedynie zmartwić. Po chwili wahania wzięła jednak słuchawkę do ręki. Przez chwilę trzymała ją w dłoni, a potem wybrała numer Janka Solińskiego.

– Nie mam nikogo, kogo mogłabym się poradzić – zaczęła. Siłą woli powstrzymywała płacz. Westchnęła ciężko. – Ktoś ukradł nam samochód.

– Zaraz będę. Kasiu... Nie płacz...

W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi. Kasia, wycierając oczy, pobiegła do sieni. Niepewnie otworzyła drzwi.

– A mówiłam, że ta dzieciarnia z Psiarek ściągnie tutaj nieszczęście. Widziałam, jak pędzili, dwóch ich było, jak nic zez Psiarkami byli zmówieni – zaświszczała babcia zza drzwi. Jej ciemny kontur rysował się na tle granatowego nieba.

– Widziała pani dzisiaj tutaj te dzieciaki?

– Nie, ale oni są winni, bo po co by tak jeździli po waszym polu? – powiedziała szybko i natychmiast skierowała się w stronę swojego domu. Zniknęła w ciemnościach.

Dora przerwała nerwowe chodzenie po domu, stanęła przy oknie i krzyknęła w kierunku widocznych w oddali na tle granatowego nieba, słabo oświetlonych wiejskich zagrod:

– Polaczki jedne! Do pracy by się wzięli! Jak potem ma być w tym kraju dobrze?! I tu mają wprowadzić *ojro*? Kiedyś różne rzeczy na ganku na noc się zostawiało. – Dorota potrząsała głową z oburzeniem. Tamara, zaniepokojona krzykami matki, zbiegła ze strychu i stanęła obok niej. Również kiwała głową.

Dźwięk telefonu je wystraszył. Dorota podbiegła do aparatu. W tym samym czasie do drzwi zapukał Janek.

– Zginął paniom samochód? – odezwał się mężczyzna w słuchawce.

– Tak, tak, nam. Złapał ich pan, tych złodziei? – ucieszyła się Dora. Zaczęła na migi przekazywać Kasi i Jankowi pomyslną wieść.

– No właśnie udało się, możecie panie go sobie odebrać. Niestety, nie obyło się bez kosztów. Jego odzyskanie kosztowało mnie cztery tysiące. Oczywiście spodziewałbym się rekompensaty.

– Jak to? Jakie cztery tysiące? *Ojro*? – wykrzyknęła Dora.

– Daj słuchawkę – powiedział Jasiu, wyszarpując ją Dorze. – Halo, przywieź go zaraz na skrzyżowanie, przy kapliczce. Zaraz tam będę. Halo? Halo!

W słuchawce jednak rozległ się już sygnał. Tamara podeszła do płaczącej Kasi z paczką papierowych chusteczek, ale ona odtrąciła jej rękę. Wzruszyła ramionami. Wzburzony Janek sięgał po kurtkę. Przy drzwiach zawahał się, odwrócił, spojrzał na Kasię, posmutniał i powiedział:

– Mógłbym cię od jutra zawozić codziennie do pracy. Jeśli tylko będziesz chciała.

– Na ciebie zawsze mogę liczyć. Zawsze... – Kasia pierwszy raz od bardzo dawna nie chciała niczego udawać. Popatrzyła na Janka, mając nadzieję, że zaproponuje jej wyjście z tego domu. Na przykład na spacer. Teraz. Natychmiast. To nic, że to nie byłaby przechadzka dla relaksu, a ucieczka z miejsca, gdzie powstał problem. To nic. Teraz bardzo chciała uciec. Ale Janek, kierując się szybko do wyjścia, rzucił jedynie:

– No widzisz...

Po jego wyjściu Kasia poczuła się bardzo rozczarowana. Stres sprawił, że bardzo chciała być obok kogoś bliskiego. Nie rozumiała, dlaczego dotąd nie zbliżyły się z Dorą, ale wiedziała na pewno, że to przy niej najbardziej wstydziła się swoich łez i słabości. Przy Janku nie miała takich wątpliwości. Przetarła oczy.

Dorota z Tamarą siedziały przy stole. Dora, widząc minę Kasi, zaczęła bębnić palcami w blat. Tamara przeniosła się na niski taboret, rękoma objęła kolana i od razu zaczęła się kiwać. Do przodu i do tyłu. W jadalni słychać było rytmiczne skrzypienie taboretu. Kasia była u kresu wytrzymałości, te dźwięki wierciły w jej mózgu dziurę. Spojrzała na nie z niechęcią.

– Nie kiwaj się, bo mnie to drażni. Weź misia – burknęła do dziewczyny.

Tamara popatrzyła na nią, jakby zobaczyła ją pierwszy raz w życiu. Ale poszła na strych i po chwili wróciła z pluszakiem, którego mocno tuliła do piersi.

– Nie wiem – zaśmiała się zimno Kasia – może pesymizm jest zaraźliwy, a zgryzoty wpisane w ten dom. Teraz i mnie zaczyna się wydawać, że jednak coś tutaj jest nie tak – powiedziała bardziej do siebie

niż do kogokolwiek. A potem okręciła się na taborecie, zbliżyła swoją twarz do twarzy Doroty, pochyliła się jeszcze bardziej do przodu i wycelowała swój palec wskazujący w okolice jej nosa. – To przez ciebie! – wycedziła szeptem. – Kraczesz i nigdy ci się nic nie podoba! A słowa mają dziwną moc.

Potem zaś, nie patrząc na nikogo, wyczerpana siadła przy kominku i od razu zaczęła inwentaryzować wydarzenia ostatnich dni. Najpierw było polowanie na dzika. Potem go upolowali, wypatroszyli, pokroili na kawałki, które wrzucili w ziołową marynatę. Później przyszło zaproszenie od Wencla na ucztę i jej odmowa. Następnie otworzył się stary kufer, a w nim znalazły starą suknię ślubną z welonem. Wreszcie na końcu wydobyły z niego, jak się okazało, pęknięte lustro, ponoć zwiastun nieszczęścia. No i ukradziono im samochód... Spojrzała na Dorę.

– Gdzie jest teraz to lustro? – zapytała.

– A widzisz! – zachnęła się Dorota. Jej usta rozciągnęły się w szyderczym uśmiechu. – Nie wierzyłaś mi. Nie pierwszy zresztą raz. – Odchyliła się na krześle do tyłu, swobodnie splotła ręce na brzuchu i spojrzała Kasi w oczy. – Owinęłam je szczelnie szarym płótnem i wyniosłam do kosza na śmieci. Nie do naszego, do tego we wsi, żeby było daleko od „Złocistej Doliny”. Matka mnie tak nauczyła.

Podejmując przeszło miesiąc temu pracę w Olecku, Kasia nie sądziła, że napotka tak wiele problemów. Przestraszyła się też incydentu z kradzieżą samochodu. Wydawało jej się, że postępując zgodnie z etyką i zasadami, da sobie radę. Wiedziała też, że na Janka zawsze może liczyć, ale jednak nie chciałyby być od niego zależna. Wieczorem, po kradzieży pierwszy raz widziała go tak zdecydowanego i pewnego siebie. Najpierw kiedy zadzwonił ten mężczyzna, a potem, gdy bez żadnych obaw pojechał pod przydrożną kapliczkę na trasie do Psiarek.

Gdy ze „Złocistej Doliny” odjechała już policja, a Janek jeszcze nie wrócił z Psiarek, do Kasi zatelefonował Wencel.

– Kasiu, współczuję z powodu samochodu – zaczął ciepło. – Złe wieści tutaj bardzo szybko się rozchodzą... – dodał, a jej krew uderzyła do głowy. Wyczuła w jego głosie złe tony, ale pomyślała, że przecież nie miałby powodu...

Gdy Janek wrócił spod kapliczki, ucieszyła się, nieco uspokoiła. Dostrzegła jednak, że jest wściekły.

– Zostaw tę sprawę – powiedział suchym tonem, odwracając się w stronę okna. – Weźmiecie nowy samochód w leasing. Nie będziemy paktować ze złodziejami, nigdy! – Uderzył zwiniętą w kułak dłonią w parapet.

Wtedy pomyślała o nieprzedłużeniu umowy z bankiem. Już dawno policzyła zyski „Złocistej Doliny” i czuła, że nadszedł czas, by uzgodnić z Dorotą wynagrodzenie za pracę. Na razie trudno było jej znaleźć pretekst, by z nią o tym porozmawiać. Wiedziała, że Dora nie ma przymusu, by zatrudnić siebie samą w ośrodku, bo dysponuje sporymi oszczędnościami. Jest mi smutno, bo nasz układ nie jest jasny – pomyślała rozgoryczona Kasia. Nieraz porównywała swoją sytuację finansową z tą, w jakiej znajdowała się Dorota. W wielu aspektach było podobnie. Obie musiały utrzymać swoje rodziny, obie też zawsze miały stałą pracę. Kasia nawet na dużo wyższym stanowisku, w końcu przyjaciółka zajmowała się – lekceważoną przez Niemców – opieką nad staruszkami. Tak można było to określić. Rozmyślenia Kaśki przerwało pukanie do drzwi. Wystraszyła się, co ostatnio było już normą, tym razem spodziewała się ujrzeć za nimi niezapowiedzianego, jak zawsze, Wencła, a w tej części ośrodka była zupełnie sama. Po ostatnim telefonie nie wiedziała, co o tym facecie myśleć. Już od dawna wyczuwała w nim gangstera. Może na wyrost? Ukradkiem wyjrzała przez wąskie okienko na froncie domu, ale nie dostrzegła jego wielkiego auta. Śmielej zatem podeszła do drzwi wejściowych i wyjrzała przez szybę. Dostrzegła listonosza. Otwierał wielką torbę.

– Cicho u was, psy nawet nie szczekają, to gości pewnie macie niewielu.

– Mamy zajętych kilka pokoi. Od przyszłego tygodnia ma być najazd. – Ze zdumieniem zorientowała się, że najwyraźniej zaczyna się tłumaczyć. Wracając z listami do domu, pomyślała, że zbyt często ogarnia ją wstyd. To, że nie miały jeszcze wielu gości, było normalne, bo rozruch zawsze wymaga czasu. Potrzebna jest też informacja, by klienci mogli się dowiedzieć i dotrzeć, a ci, którzy już byli, zareklamować „Złocistą Dolinę” innym.

A może ja ogólnie za bardzo się wstydzę? I za często? – pomyślała. – Za katastrofę z Pawłem, za wybryki Majki, za brak oszczędności, za małą zaradność, a nawet za swoją samotność... Za brak sukcesów najbardziej – katowała siebie, otwierając po kolei listy. Koperty darła na strzępy i wyrzucała do kosza, niektóre listy wrzucała od razu do niszcarki. Te, które chciała przeczytać, odkładała na biurko. Jej uwagę przykuł krótki list leżący na wierzchu.

Niniejszym informujemy, że została Pani wyróżniona w kategorii „Spotkałam ich”. Pani propozycja

pt. „Matka” znalazła się na liście nagrodzonych fotografii amatorskich. W sprawie odbioru nagrody prosimy o kontakt mailowy lub osobisty.

W jednym momencie zapomniała o rozterkach sprzed chwili. Poczowała przypływ nowych sił. Nawet zajęcie w banku nie jawiło jej się już jako bardzo obciążające. Od razu też zmieniła radykalnie swoje nastawienie do życia. Rozparła się wygodnie w fotelu, podniosła ręce do góry, przeciągnęła się. Potem szybkim ruchem włączyła komputer i od razu weszła na stronę organizatora konkursu. Nagroda pieniężna nie była duża, starczyłaby za ledwie na bardzo krótkie wakacje, ale dodatkiem był bardzo dobry aparat fotograficzny, a także zapowiedź prezentacji fotografii w kalendarzu na przyszły rok. W jednej chwili zapragnęła, żeby skorzystać z drogi, którą wskazywał jej los.

Czasem wystarczy jedynie bacznie obserwować, jakie nowe przejścia otwierają się przed nami – pomyślała. Kiedyś wolała być obserwatorem życia, teraz coraz częściej chciała być jego uczestnikiem. – Czyli teraz muszę spróbować żyć z fotografii – z nadzieją przyjęła ten plan. Momentalnie w jej głowie pojawił się arkusz kalkulacyjny. Gdyby tak robić portrety albo prezentacje i filmy z uroczystości rodzinnych? Ile można za takie projekty dostać? Jej myśli zaczęły krążyć wokół pomysłu otwarcia niewielkiego studia w Olecku. Ucieszyła się z takiej alternatywy. A Mordki? Co się wtedy stanie z Mordkami? – zreflektowała się. Dora sama nie da sobie tutaj rady – budziły się w niej wyrzuty sumienia. Nie byłaby zdolna dopuścić do niezrealizowania przyjacielskich zobowiązań, tym bardziej że swój przyjazd awizowało wiele grup.

„Złocista Dolina” zaczynała wymagać coraz większego nakładu pracy, a tymczasem przed Kasią otwierała się nowa droga i tym samym konieczność podjęcia następnej decyzji. Albo zrezygnowanie z niej?

Kto to wie? – uśmiechnęła się do siebie.

W Mordkach czas zaczął biec Kasi bardzo szybko. Częściowo za sprawą przygotowań do przyjęcia gości, potem z powodu natłoku zajęć w banku. Ale też dlatego, że rzuciła się z entuzjazmem w wir zajęć, powiedzmy, hobbystycznych. Nie chciała rozpamiętywać, rozważać zanadto wątpliwości, co na jej nowy pomysł na życie powie Dorota, czy zrobi zadowoloną minę i czy dojdą do porozumienia. Ostatnio nie najlepiej czuły się ze sobą. Kasia dopiero niedawno pojęła, jak ważne jest bycie z kimś, kto ma podobny pogląd na życie. Odmienne zdanie bywa czasem potrzebne, może na przykład zmuszać do zastanowienia, a nawet żywiołowej dyskusji. Jednak teraz Kasia potrzebowała akceptacji swojej osoby i swoich działań. Zaczynała odczuwać brak oparcia. Pomyślała o rodzinie. O tym, że mama zaraz by zapytała z wyrzutem: „A nie ostrzegałam cię?”, a ojciec by się zmartwił. Piotrka nie chciała obciążać swoimi problemami.

Dlatego przez większą część kwietnia popołudniami i wieczorami zajmowała się fotografowaniem. Zapoznanie się ze wszystkimi możliwościami, jakie dawał nowy aparat, wymagało sporo czasu.

Od kilku dni miały też nowy pojazd. Udało im się rozstrzygnąć na swoją korzyść poprzednie zobowiązanie i zawrzeć umowę na inny samochód. Zresztą był to ten sam model, nawet trochę młodszy. Kasia często siadała za kierownicą i jeździła samotnie po okolicy. Poszukiwała ciekawych widoków i miejsc, podpatrywała ludzi i budzącą się do życia przyrodę. A gdy wieczorem wracała do swojego pokoju, czekała na nią kontrola zapisów księgowych dokonywanych przez Krysie. Potem z przyjemnością wgrywała zdjęcia do komputera, obrabiała je i katalogowała. Niektóre wklejała na stronę internetową ośrodka, dzięki czemu ich witryna była zawsze aktualna.

Dobijając targu z wydawcą kalendarza, zorientowała się, że z tego hobby można też mieć jakieś pieniądze. Tym bardziej ochoczo zajęła się dowiadywaniem, co jest aktualnie modne w tej dziedzinie sztuki. Różnorodność zajęć uszczęśliwiła ją. Za to z ubolewaniem przyglądała się, jak Dorota spędza wieczory wyłącznie na oglądaniu telewizji albo wychowywaniu nadmiernie wychowanej Tamary.

W „Złocistej Dolinie” większość pokoi była zajęta. Kilka dni temu skończyły przyjmować zapisy na okres letni. Kasia wyliczyła, że ich eventowe centrum może na dobre zakotwiczyć wśród miejsc, do których chce się pojechać. Jeśli by się tak stało, w ciągu kilku lat mogłyby spłacić Witka i rozpocząć pracę na swój rachunek. Swoje wyliczenia wydrukowała i dała kilka dni temu Dorocie, ale ta przejrzała tabele pobieżnie i wspomniała jedynie beznamiętnym tonem, że Witek zapowiada się w Mordkach na maj albo czerwiec.

– I ponoć ma dla nas jakiś nowy pomysł – dodała.

Do Mordek przyjechała też Majsza. Wniosła do „Złocistej Doliny” innego ducha. Na samym wstępie przekazała znakomitą wiadomość, że kilka warszawskich firm jest chętnych do zorganizowania w Mordkach spotkań integracyjnych, w niektórych przypadkach połączonych ze szkoleniami dla swoich pracowników. Czyli nadal nie musiałyby szukać *coachów*. Dla wielu firm optymalnym okresem byłaby jesień, także ta wczesna. Kasia podskoczyła zadowolona na krześle, a potem natychmiast wysondowała w Internecie ceny w porównywalnych gościach. Monitorowała je raz na jakiś czas. I jak zwykle policzyła zyski. Zatarła ręce. Wydało jej się, że mając taką perspektywę na najbliższy czas, Dorota zaakceptuje jej projekt zatrudnienia się na etacie, z czym do tej pory bała się do niej zwrócić. Miała do siebie żal, że nie uzgodniła tego zaraz na wstępie. No cóż, stało się – pomyślała i ciężko westchnęła. Bo pomimo całego swojego pragmatyzmu, nierzadko nie troszczyła się dość pieczołowicie o własne zabezpieczenie materialne, a to sprawiało, że później czuła się niezręcznie i, co gorsza, miała przekonanie, że jest wykorzystywana.

Majsza zaś od samego przyjazdu do „Złocistej Doliny” wydała im się nadzwyczaj małomówna.

Rozgościła się na strychu i znów, jak w ubiegłym sezonie, uciekała z samego rana nad chłodne o tej porze jezioro ze sztalugą i wywołującym u Kasi złe wspomnienia zielonym krzeselkiem. Nic więc dziwnego, że przyjaciółki nie kryły zaskoczenia. Coś musiało się stać – myślały. Codziennie bacznie przyglądały się obrazom, które Majka przynosiła z nad jeziora. Nic więc dziwnego, że Kasia dostała gęziej skórki, kiedy z wielkiego blejtramu spojrzęło na nią olbrzymie, drapieżne ptaszysko spowite w posępne szarości. Już nie we fioletowych czeluściach, tym razem w mgielnych odcieniach stali, było jednak równie mało przyjazne dla oczu i duszy.

– Przepraszam was, ale muszę się skupić, bo dostałam mnóstwo zamówień. I nie chciałabym być nieterminowa – rzuciła któregoś ranka Majsza, gdy dostrzegła w spojrzeniach przyjaciółek co najmniej kilkanaście pytań.

W końcu Kasia, mimo skrupowania, postanowiła poszukać odpowiedzi u Zuzy. Dziewczyna zbagatelizowała całą zagadkowość matki i zrzuciła wszystko na jej zapracowanie i sukces, jaki odniosła.

– A potem opowiedziała mi historię, jak to Majka pokazała kilka swoich obrazów na jakiejś zbiorowej wystawie w jakoby topowej galerii w Warszawie. Podobno tylko do niej goście podchodzili po autograf. Czy to możliwe, żeby sukces ją tak odmienił? – zapytała późnym wieczorem Kasia, kończąc relacjonować Dorze, czego dowiedziała się od Zuzy.

– Żeby jej się tylko całkiem nie przewróciło w głowie. Nigdy nie była zrównoważona psychicznie – burknęła Dorota, sprawdzając, czy okna są dobrze pozamykane. Od dnia kradzieży samochodu wykazywały zwiększoną czujność. Zmieniły zamek w bramie, Stasiu przesunął bliżej bramy psie budy, Wojtek zaś ponaprawiał i dodatkowo zabezpieczył drutem kolczastym siatkę na tyłach ośrodka. Kasia i tak kładła się spać z lękiem, że nie zaśnie, bo psy jak szczekały kiedyś, tak szczekały nadal. Ale nie czuła się samotna. Szopa była zajęta w całości, w ciągu dnia w kuchni pomagała Jurkiewiczowa, Wojtek zaś zajmował się utrzymaniem porządku w obejściu. Nawet kupiły mu jasnoczerwony kombinezon, na którym dały zrobić napis: „Złocista Dolina”.

Następnego dnia rano Kasię obudził harmider. Nie był to zwykły zgiełk, jaki czynili uczestnicy szkoleń podczas śniadania. Zegar wskazywał dopiero ósmą, a goście zjadali posiłek zawsze o dziewiątej. Kasia wygrzebała się niechętnie z łóżka, nałożyła polar i zeszła na dół. Na ławce przy kuchennym stole zastała leżącą Majszę, a nad nią pochylały się trzy głowy. Jurkiewiczowej, Doroty i Tamary. Dziewczyna stała umęczona, bo prawie gwałtem ściągnięta do pomocy przez matkę. Jak ona ma komukolwiek pomóc, skoro sama potrzebuje pomocy? – zachnęła się Kasia.

Jurkiewiczowa machała nad głową leżącej kuchenną lnianą ścierką. Dorota próbowała do zamkniętych ust koleżanki wlać wodę. Kasia otworzyła zaparowane okno. Na piecu, w dużym garnku gotowało się ze trzydzieści jajek. Kilka z nich pękło i wyciekłe ze skorup białka utworzyły w wodzie miniaturowe rzeźby. Z innego, nie mniejszego od tamtego rondla kipiało mleko. W kuchni było czuć woń mlecznej spalenizny.

– Bo wszystkie tutaj pomdlejemy. – Kasia ostentacyjnie otwierała kolejne okna. Nie znosiła zaduchu. – Coś musimy zrobić z systemem wentylacyjnym, bo te okna zawsze są zaparowane.

– Wcześniej rano zwymiotowała – zakomunikowała Kasi na ucho Jurkiewiczowa. Głową wskazywała konspiracyjnie na odzyskującą przytomność Majkę.

Kasia przejęła ster. Spojrzała na Dorę, którą najwyraźniej sytuacja zaskoczyła na tyle, że stała obok Tamary i wydawała się zagubiona w równym stopniu jak jej córka. Majsza tymczasem podniosła się na ławce, wytarła sobie pot z czoła, a na jej twarzy pojawił się delikatny rumieniec i lekki jak grymas uśmiech.

– Coś ci leży na żołądku? Gadaj! – poleciła Kasia bez ogródek. Majsza jedynie wzruszyła ramionami. Wypiła duszkiem pół szklanki wody. – Czy pod żołądkiem?

Kaśka przypatrywała się jej badawczo. Dorota spojrzała na Kasię z wyrzutem, że przy dziecku wygłasza niemoralne sugestie, i pośpiesznie odesłała Tamarę na strych. Jurkiewiczowa sama dyskretnie usunęła się na bok i zaczęła na stołach w jadalni ustawiać talerze i sztuce. Koszyczki z pieczywem już stały.

– Przesłuchanie robicie? Źle się czuję.

– Nie ma co, trzeba wołać Frankowskiego! – odezwała się w końcu Dorota, chwytając za telefon.

– Jeśli mówię, że mi przejdzie, to mi przejdzie. Nie wołajcie mi tutaj nikogo. Jestem zmęczona, a muszę jeszcze sporo namalować. Chociaż wy dajcie mi spokój – poprosiła Majsza, po czym upiła kilka łyków zielonej herbaty. Skrzywiła się z niesmakiem, wstała od stołu, do kieszeni swetra wrzuciła dwa herbatniki i tak wyposażona skierowała się do swojej artystycznej samotni. Przy drzwiach zawahała się i, odwróciwszy głowę, dodała: – Za kilka dni przyjedzie po mnie Zuza i razem zawieziemy obrazy do Warszawy.

– Dużo tej... do końca ci zostało? – zapytała jeszcze Kasia, ale za Majszą zamknęły się już drzwi. Chciała powiedzieć: „tej malarskiej traumy”, ale ugryzła się w język. Bo jeśli ptaszyska miały wzięcie, to nie było co o gustach, choćby tak niespotykanych, dyskutować. Teraz należało objąć artystkę opieką, karmić dobrze i dopilnowywać, żeby jadła witaminy, a nie same herbatniki. A od czasu do czasu dyskretnie sprawdzać, czy przybrała na wadze i czy tworzy dzieła równie, a najlepiej jeszcze dużo bardziej chodliwe niż przed objęciem opieką.

Kilka dni później Kasia przechadzała się po domu rozpromieniona. Nie było w niej ani trochę zwykłej porannej nerwowości. Bardzo, ale to bardzo uradował ją wczorajszy telefon od cioci Steli. Ponadto Majsza poddała się terrorowi i zaczęła zjadać regularnie śniadanie i obiad. Była teraz dużo szczuplejsza nawet niż na studiach.

Wiadomość, że ciocia Stela doceniła ich działalność w Mordkach, była dla Kasi bardzo miła. Oczywiście od razu zainteresowała ją informacja, że niedaleko Wielkopolskiego Parku Narodowego, blisko Stęszewa, jest do kupienia kawałek ziemi. Najbardziej jednak zaskakujące było to, że chciał ją sprzedać stary Czerwonka. Tato Kasi, gdy chciał dokuczyć mamie, zwykle żartował, że gdyby nie on sam i jego konkretne, zdecydowane działania w kwestii zamążpójścia, mama na pewno nazywałaby się dzisiaj bardzo pospolicie – Czerwonkowa. Po prostu. A nie, jak obecnie, po szlachecku, Bzdowska.

Ciocia Stela była podekscytowana możliwością kupna ziemi. Relacjonowała Kasi przez telefon, że sprawa transakcji jest prawie pewna. Stary Czerwonka pozostaje nadal w stanie kawalerskim, choruje i nie zależy mu na zarobieniu na tym dużych pieniędzy. Według niej, zaskakujące było to, że chce się jej pozbyć. Ale trzeba kuć żelazo i tak dalej, i tak dalej.

– Ziemia wprawdzie leży ugiorem – kontynuowała ciocia – ale w dużej części styka się z jeziorem Dymaczewskim. Kasia od razu zlokalizowała w myślach to miejsce. Pamiętała z dzieciństwa tajemniczy, zalesiony niewielki cypel, na którym, jak powiadali starsi mieszkańcy wsi, kiedyś zatrzymywały się tabory cygańskie.

– Jeśli będziesz się oddalać od domu, zabiorą cię Cyganie – straszyl wiele lat temu żywołową Kasię dziadek.

Kasia przypomniała sobie też, że z tą ziemią stykała się łąka dziadka. Obrazek jej jako dziewczynki, leżącej na łące, moczającej nogi w strumyku, patrzącej w bezchmurne niebo, obudził w niej marzenia. Zawsze chciała mieć wciętą w pasie, aksamitną, czerwoną sukienkę z koronką na dole i taftową wstążką w talii, a na nogach białe rajstopy i czarne, połyskujące w słońcu lakierki. Zreflektowała się, że będąc dzieckiem, a potem nastolatką, miała mnóstwo marzeń, ale nigdy nie starała się ich zrealizować. Do tej pory wystarczało jej, że są, ale teraz chciałyby je urzeczywistnić. Nauczyła się tego tutaj, w Mordkach. Przełamała się. Częściowo na skutek decyzji o przeprowadzce, zmianie pracy, po całkowitej przemianie swojego życia.

– Dobrze – powiedziała. – Przyjadę na pewno w przyszłym tygodniu. Wtedy porozmawiamy.

– Powiadomiłam też o tym twoich rodziców. Terenia bardzo zapaliła się do pomysłu – dodała zaaferowana ciocia.

Kasia od razu, jak zwykle w takich sytuacjach, zaczęła sondować ceny ziemi rolnej, a także łąk i pastwisk w Wielkopolsce. W Internecie znalazła różnorodne oferty, ale wyszło jej od razu, że w tak atrakcyjnym miejscu, bo w pobliżu lasu i jeziora, nie kupi ziemi za bezcen. Ponadto teren leżał bardzo blisko Poznania i jednocześnie w pobliżu miasteczka, w którym znajdowały się sklepy. Westchnęła rozczarowana, bo wyliczyła, że, niestety, nie będzie jej stać na ten zakup. Wybrała numer telefonu rodziców.

– Kasiu, dziecko, miałam właśnie do ciebie dzwonić. Z tym przyjazdem w sprawie ziemi nie musisz się śpieszyć, bo już się z Czerwonką umówiliśmy. Za tydzień, jak dożyjemy, pojedziemy do niego razem z ojcem. Przypuszczam, że pieniędzy nam też wystarczy.

– Mamo, ale właśnie chciałam ci powiedzieć... – zawiesiła głos. – Ja nie mam dużej kwoty – wyrzuciła z siebie, zdobywając się na odwagę. Odetchnęła głęboko.

– To nie dorobiłaś się przy tej ruskiej granicy. Gdybym miała na ciebie liczyć finansowo, daleko bym

nie zaszła. Ja zawsze mam jakieś oszczędności, na Czerwonkowe hektary może wystarczy. A swoją drogą, po co ty tam jeszcze siedzisz? Nie potrafię cię zrozumieć.

Kasia w rozmowach z mamą zazwyczaj omijała niewygodne tematy. Ten o pracy w „Złocistej Dolinie” był niewątpliwie konfliktogenny, wątek towarzysko-matrymonialny też nie był przyjemny, a rozważania o oszczędnościach Kasia starała się zbyć milczeniem. Nie za bardzo też wychodziła im rozmowa o ubiorach czy gustach, bo mama Kasi lubiła żywe i słoneczne kolory, a Kasia granat i inne odcienie niebieskiego. Ale Bzdowska tolerowała u córki miodowy zimowy płaszcz z obszyciami z rudego lisa. Kasia zaś kupiła to okrycie wyłącznie dlatego, że było uszyte z bardzo dobrej gatunkowo tkaniny i wpadło jej w oczy podczas wiosennych przecen. Ponadto działo się to dzień po tym, jak w poznańskim banku wypłacono roczne nagrody.

Kasię ze smutnych rozmyślań wyrwało dopiero głośne wołanie mamy.

– Halo! Halo!

– Ale w konkursie dla fotografów dostałam nagrodę – wyszeptała w końcu.

– Tak, ale za nią też ziemi nie kupisz – usłyszała jeszcze Kasia. Potem cicho nacisnęła przycisk „off” i usiadła na ulubionym, zabytkowym fotelu, twarzą do wielkiego okna, za którym roztaczał się widok na spowite wiosennym słońcem wielkie rynnowe jezioro. Tak – pomyślała – tam też byłby pokój z oknem od samej ziemi, żebym, siedząc równie nisko jak tutaj, mogła się cieszyć przyrodą. Obserwowałabym, jak po moich wielkich drzewach hasają nieulegające żadnej melancholii wiewiórki, a w wąskim, porośłym trzciną jeziorze pluskają się dzikie kaczki i gęsi. W innym miejscu o zachodzie słońca miejscowi rolnicy poiliby swoje bydło i konie.

To piękne mieć marzenia – pomyślała Kasia.

Kilka dni później w banku gruchnęła niespodziana wieść. Dyrektor Wróblewski dostał wypowiedzenie, wprowadzie ustawowe, ale bez prawa świadczenia pracy. I nie minęła godzina, jak opróżnił swoje biurko i odjechał sprzed banku swoim nowym passatem. Jakież było zaskoczenie Kasi, kiedy do opuszczonego dyrektorskiego gabinetu zaczął się wprowadzać niepozorny pracownik działu organizacyjnego, Stefan Borejko. I od razu, jakby miał w tym długoletnią praktykę, zrobił odprawę kierowników działów. Kasia w sprawie kredytów dostała wolną rękę. Po piętnastu minutach zadzwonił Wencel z gratulacjami, chciał przyjechać renegecjonować kredyty. Od razu, za kilkanaście minut.

Nie potrafiła z nim rozmawiać. Wprowadzie nie zaglądał już do „Złocistej Doliny”, ale obcując z nim, zawsze czuła presję. Wiedziała, że Wencel nie zakłada, iż ktoś mógłby mu czegoś odmówić. Kasia grzecznie się wykręciła, ale natychmiast poczuła lęk. Nie miała w banku z kim na ten temat porozmawiać. Wyczuwała od samego początku, że nie jest traktowana jak „swoja”. Wielu z jej współpracowników pracowało tam od dawna, z założeniem dotrwania do emerytury, kilkoro innych miało nadzieję na awans. Teraz, kiedy Wróblewskiego zwolniono, ona, jako jego protegowana, poczuła się jeszcze bardziej izolowana. W głębi duszy cieszyła się jednak z takiego obrotu sprawy, bo decyzję o nieprzedłużeniu umowy z bankiem już podjęła. Odpadał jej zatem czynnik emocjonalny, bo pożegnania z przyjaciółmi zawsze były dla niej bardzo trudne.

Gdy po pracy wróciła do Mordek, nie zatrzymała się przed ośrodkiem, ale podjechała pod dom Solińskich. Janek bardzo się ucieszył z odwiedzin, ale w miarę jak relacjonowała mu rozwój wydarzeń w banku, markotniał. Gdy zaś opowiedziała mu o telefonie Wencla, od razu zaczął ją przestrzegać, żeby uważała, bo Wencel jest na Pojezierzu Ełckim bardzo wpływową osobą. Zasugerował, żeby jednak się z nim spotkała, ale nie podejmowała żadnej decyzji.

– Kto wie, czy Wróblewskiego nie wyrzucili właśnie w związku z kredytami Wencla... – zastanawiał się. – Bo ktoś mu je dawał. Czy ty musisz, Kasiu, pracować w tym banku? Nie masz dość zajęć w „Złocistej Dolinie”? – zapytał w końcu. Dostrzegł bowiem, że swoimi ostrzeżeniami jeszcze bardziej wystraszył Kasię.

– Mam, ale trzeba z czegoś żyć – powiedziała i pomyślała, że koniecznie musi wreszcie porozmawiać z Dorą.

– Nie chcę cię martwić, ale zewsząd słyszę, że jeszcze chwila i Wencel będzie bankrutem, a ty masz się podpisać pod kolejnym kredytem dla niego?

– Pomyślę przez weekend. Muszę pojechać do Poznania.

Kasia nie sądziła jednak, by wyjazd mógł zmienić cokolwiek w kwestii jej przyszłości w Mordkach. Pomyślała ze smutkiem, że najpewniej przez weekend będzie się nadal martwiła, tyle że w innym miejscu.

– Mógłbym cię podrzucić do Warszawy.

– Ojej. Byłoby super – ucieszyła się.

– Kasiu... – Janek odwrócił się w jej stronę i spojrzał na nią z góry. Jak zwykle zmrużył oczy. Obydwoje patrzyli na siebie dłużej niż zazwyczaj.

Kasia nie miała, choćby niewielkiej, bezczelności, pożądanej, a nawet dodającej pewnego pieprzu w takich jak ta sytuacjach. Nie znała się na facetach ani nie miała śmiałości w znoszeniu pewnych barier czy w przechodzeniu na inny, bardziej intymny etap znajomości. Uciekała w kumpelstwo, bo na tej płaszczyźnie czuła się dużo bardziej bezpiecznie. Teraz jednak nie uciekała spojrzeniem w bok, a nawet uśmiechnęła się do Janka w obiecujący sposób. Wiele obiecujący. Janek się zmieszał, ale po chwili odzyskał pewność siebie i powiedział lekko zachrypniętym głosem:

– Bardzo się martwię o ciebie.

Wracając do „Złocistej Doliny”, Kasia przypomniała sobie poplątane na swojej i innych gości sztychach zwoje serpentyn sylwestrowych. Teraz czuła podobne pęta. Po powrocie z Poznania rozmówi się z Dorotą, postanowiła. Wieczorem przy drzwiach wejściowych postawiła swój spakowany do podróży neseser.

– Jedziesz gdzieś? – zapytała zaskoczona Dorota.

Kasia zaś poczuła wyrzuty sumienia. Miała już na końcu języka wiadomość o ziemi i Czerwonce. O rodzicach i cioci Steli. Powstrzymała się jednak, pomna, że przedwcześnie ujawnione marzenia nigdy jeszcze się jej nie spełniły. Jeśli coś z tego wyjdzie, to powiem – postanowiła.

– Do Poznania. Janek podrzuci mnie do Warszawy.

Kasia wiedziała, że powinna wcześniej skonsultować z Dorą swoje plany. Zazwyczaj tak było, ale tym razem wypadki ułożyły się w taki ciąg, że nie miała nawet ku temu okazji.

– Pociągów nie ma?

Dorota spojrzała na Majkę, a ta zaczęła się głośno śmiać. Kasia zaś pomyślała, że rano, wtedy gdy zasłabła, trzeba było rzucić jakiś temat z podtekstem ze sfery damsko-męskich skłonności, a nie faszerować jej lekami nasercowymi. Widać, czego jej brak – prychnęła Kasia.

– Pomaga mi. Dzięki temu złapię ekspres i będę w domu dużo szybciej.

Kasia spojrzała na Dorotę i Majkę, ale ich miny świadczyły o tym, że jej nie wierzą. O kurczę, po co ja im się tłumaczę? – pomyślała. – Janek mi się bardzo podoba, lubię go i będę z nim robiła, co mi się tylko będzie chciało. No, może nie wszystko!

Uśmiechnęła się do siebie, poszła na strych, z szafy wyciągnęła najbardziej seksowny z kompletów nocnych, jakie miała, zawinęła go w worek foliowy ze sklepu spożywczego – jedyny, jaki znalazła. Potem zeszła na dół i tak zakamuflowany pakunek wrzuciła na sam wierzch neseseru. Zasuwała suwak. Dorota i Majka omiotły pakunek obojętnym spojrzeniem, po czym wróciły do oglądania „Co z tą Polską”.

Wyruszyli następnego ranka. Kasia wrzuciła swój neseser do terenówki i ułożyła się wygodnie na przednim siedzeniu, tym samym nastawiając się psychicznie na wielokilometrową wyprawę. Janek ruszył ostro. Bardzo szybko dojechali do Ełku, a stamtąd od razu skierowali się na drogę wiodącą na południe.

Kasia początkowo walczyła ze snem, ale w końcu się poddała i zdrzemnęła na kwadrans. Ruch był niewielki. Kilkadziesiąt minut później, gdy wyjechały już wszystkie możliwe samochody dostarczające towar do sklepów, jako wytrawny kierowca skupiła się jednak na obserwowaniu drogi.

Janek nigdy nie był rozmowny, natomiast ona nie potrafiła długo trwać w przytłaczającej ciszy. Zaczęła więc opowiadać mu o sobie i swojej rodzinie. A potem, że Piotruś od dawna powinien się uczyć do matury, a tymczasem z tego, co Kasia wie od rodziców, niezbyt mu to wychodzi, bo ma dziewczynę i w ogóle zrobił się bardzo towarzyski. Nie to, żeby mu nie ufała. Ufa mu nadal, a przynajmniej tak jej się wydaje, kocha go bardzo, bardziej niż kiedy byli razem. Ale... Spojrzała na Jasia i zamilkła, bardzo zawstydzona swoimi zwierzeniami. Towarzysz podróży milczał, od czasu do czasu jednak zerkał na nią.

– Tęsknisz...? – zapytał cicho.

A ona odebrała to jako zachętę do dalszych zwierzeń, a także jako zainteresowanie jej sprawami. Nie lubiła mówić o sobie, zawsze przecież uciekała w tematy ogólne, co nieraz wyglądało jak pouczenie. Szczególnie Dorota tak to odbierała. Teraz jednak Kasia brnęła dalej. Woląta to niż milczenie, jakie zapadało co chwilę między nimi. Dobrze jest, gdy mamy się komu wygadać – uśmiechnęła się Kasia. Potem spojrzała na Janka z ukosa, podejrzliwie, ale na jego twarzy dostrzegła wyłącznie szczere zainteresowanie. Z radością wróciła do tego, na czym skończyła.

– Wiesz... – Odchrząknęła i zaczęła ponownie: – Piotruś nie jest jeszcze przecież dorosły...

A ona zostawiła go samego tylko dlatego, że chciała udowodnić sobie, że w Mordkach może zmienić swoje życie. Jednak nie chciała wszystkiego burzyć. W efekcie teraz ma poczucie, że zmarnotrawiła swoje życie osobiste, żeby sprawdzić się w zawodowym. I dzisiaj nie ma pewności, czy dobrze zrobiła, bo może to wszystko od początku nie powinno tak wyglądać? Często przytłacza ją, że tutaj nie ma się komu wyzalić.

– Nie mogę szczerze porozmawiać z Dorą. Ona ma zupełnie inne doświadczenia, nie rozumie mnie. A Maja? To cud, że mogłam się na nowo z nią odszukać.

– Nie rozumiem. – Janek potrząsnął głową. – Byłem pewien, że się bardzo przyjaźnicie.

– Teraz już tak. Stare dzieje.

Kasia spłoszyła się. Spojrzała na Janka. Wyczuł jej zawahanie w głosie i zamilkł. Włączył radio. Kasi zrobiło się głupio. Zmieszała się. Janek był jej przyjacielem. Odkąd go poznała, udawniał jej to zawsze, a teraz, po tych kilku godzinach jazdy, kiedy opowiedziała mu o sobie już prawie wszystko, a jednocześnie bez pointy... Nie, on musi mnie zrozumieć! Tylko wtedy to będzie mogło mieć sens... – pomyślała.

– Stare dzieje, bo kilka lat temu Paweł, to znaczy mój... – zawahała się – były mąż, zakochał się w Majce – zaczęła, kręcąc się niespokojnie na fotelu. Wszystko zaczęło ją swędzieć. Sięgnęła do schowka. Otwierając plastikową klapkę, poczuła, że Janek dotyka delikatnie jej przedramienia. I nie cofa ręki. Zesztywniała. Ale też poczuła ulgę. Tym razem nie zamierzała się bronić przed mocą tego dotyku. Przeciwnie, teraz chciała być najbardziej bezbroną kobietą na świecie. Siedziała nieruchomo, bała się poruszyć. Nie miała odwagi ani pomysłu, jak dać mu w podobny sposób znać, że ona tego chce, że też jest na „tak”. Na bardzo duże TAK!

Janek cofnął rękę. Dojeżdżali właśnie do Warszawy. Kasia już żałowała, że stało się to tak szybko. Chciałaby być z nim długo. Dużo, dużo dłużej.

– O której masz pociąg? – zapytał Janek, znowu dotykając jej ręki. Czuła przede wszystkim ciepło, bezpieczeństwo i było jej z tym bardzo dobrze. Zarumieniła się.

– Ostatni za pół godziny. – Mówiąc to, spojrzała na zegar na desce rozdzielczej. Zwilżyła usta.

– Za pół godziny?! – wykrzyknął Janek. Chwycił kierownicę dwoma rękami. Pochylił się nad nią i przyśpieszył. Widząc to, Kasia zamilkła.

– Nie mamy szansy zdążyć! – powątpiewał, gdy dojeżdżali do centrum. – Wszędzie jakieś remonty. To przez ten objazd się tak grzebaliśmy, zazwyczaj dojeżdżam dużo szybciej.

– Ojej, najwyżej prześpię się w hotelu i pojadę rano – wzruszyła ramionami. Spojrzała w bok. Janek zwolnił.

– Bałem się, że śpieszysz się do Piotrka – wytłumaczył się. Spojrzał na Kasię. Milczała. – A może dasz się zaprosić na kolację? – zapytał po chwili. Ożywił się. – Od razu teraz moglibyśmy pojechać na Stare Miasto. Jest ciepło, odstawię samochód na parking, pospacerujemy. Zjemy kolację... – namawiał. Oczy mu błyszczały.

Kasi zaś wcale nie trzeba było namawiać.

– Świetny pomysł – ucieszyła się.

Bardzo jej się to spodobało. Przeczesała ręką włosy. Poprawiła klipsy w uszach i zaczęła nawijać na palec złoty łańcuszek, który miała na szyi. Wyprostowała się. Kilka godzin jazdy w wymuszonej pozycji dawało o sobie znać. Janek spojrział na nią, zmrużył oczy. Za chwilę jednak znowu skupił się na jeździe. W mieście był bardzo duży ruch, światła samochodów oślepiały. Kasia nigdy nie lubiła jeździć o zmierzchu. Zerknęła na Janka. Ich spojrzenia się spotkały. Kiedy wzięła głębszy oddech, pomyślała, że teraz najbardziej chciałaby być bardzo blisko niego. Bliżej niż teraz. Poczowała podniecenie. Nie uważała, że myśli źle, ani też nie czuła tęsknoty za synem czy rodzicami. Zaś spóźnienie na pociąg do Poznania przyjęła jako dar od losu. Prezent, który sprawił, że czuła, iż nie może już się doczekać dalszego biegu wydarzeń.

Wjeżdżali właśnie do centrum Warszawy.

Tymczasem rankiem, ledwo za Kasią zamknęły się drzwi, do „Złocistej Doliny” zapukała Zuza. Jak zwykle przywiózł ją Dzidek, który jednak tym razem był w podłym nastroju. Kierownictwo Zakładu Naprawczego w Ełku zapowiedziało dalsze redukcje, rysowała się przed nim perspektywa utraty pracy. Dora wprawdzie zaproponowała mu zajęcie w Mordkach, ale on to przemilczał. W końcu powiedział na odjezdnym:

– To byłaby ostatnia deska ratunku. Co to, pracy sobie sam nie znajdę? – I odjechał.

Majsza zaś spakowała swoje obrazy w dwie płaskie paczki i, już bez zawodowych zobowiązań, oddała się całkowicie towarzystwu. Najpierw zamieniła kilka słów z Tamarą, jednak widząc, że dziewczyna jest jeszcze bardziej zablokowana niż latem, zrezygnowała, rzucając tylko w jej kierunku grzecznościowe zaproszenie do Warszawy.

– Zuza będzie też do twojej dyspozycji – dodała, żeby ośmielić dziewczynę.

Zuza zaś w obliczu takiej perspektywy syknęła w kierunku matki, nogą pod stołem kopnęła ją w kostkę i szeptem zakomunikowała:

– Ani mi się waż. Co ja będę z nią robiła? Przecież jej w tym stanie nie można absolutnie pokazać w cywilizowanym świecie. Wstydu tylko bym się najadła.

Majka była zdruzgotana brakiem empatii u córki. Zuza, im dłużej mieszkała poza domem, tym mniej była podobna do siebie jeszcze sprzed roku. Już chciała jej odpowiedzieć złośliwie, ale Dorota wniosła słuchawkę telefoniczną, trzymając ją w taki sposób, jakby miała trąd, i obwieściła:

– Danek.

Zuza wzruszyła ramionami i prędko wybiegła z pokoju.

Majka zaś zaczęła się Dankowi tłumaczyć:

– Nie mogę jeszcze, mam pełne ręce roboty. To ty przyjedź do mnie. Brakuje mi ciebie.

Ta rozmowa ją rozstroiła. Usiadła przy stole, oburącz chwyciła się za głowę i zaczęła płakać. W pokoju były tylko ona i Dorota.

– Może pojedź jednak do tego lekarza – zaczęła nieśmiało Dora.

– Daj spokój, już mi lepiej. Rzeczywiście bardzo mi Danka brakuje. Ale brakuje mi go tutaj, a nie w Warszawie. Tam jestem sztucznie wczepiona. – Skrzywiła się, jak do płaczu. – Wiesz co? Ze mnie jest taki klasyczny przykład awangardy małego miasteczka. Nawet gwarę małomiasteczkową lubię.

– Jak mówisz „gwara”, to zaraz na myśl przychodzi mi budowlaniec Paweł. Słyszałaś, jak on mówi na psy? Kejtry.

– A na taksówkarzy – dryndziarze.

Powiedziawszy to, Majka zaczęła się głośno śmiać.

– Drynda to chyba w ogóle na samochód mówił.

– Nie. O swoim mówił próchno. Dobrze, że Kaśka nam czasem coś przetłumaczy.

Majka znowu zaczęła się głośno śmiać, bo przypomniało jej się, że Paweł o jakiejś tęgiej kobiecie mówił, że wyglądała jak lebera. Co pomyślała o kejtrze w dryndzie, która jest próchnem prowadzonym przez kobietę podobną do lebery, to dostawała kolejnego ataku śmiechu. Dorota jej wtórowała. Nagle śmiech Majszy umilkł. Dorota spojrzała na nią i zobaczyła, jak blada osuwa się na stół. Przestraszyła się, od razu chwyciła słuchawkę i wezwała doktora Frankowskiego. Ten doradził, żeby doraźnie dać jej glukardamid i położyć blisko otwartego okna. Dorota w takim stanie rzeczy straciła głowę. Biegała po kuchni, szukając lekarstwa, a potem z krzykiem po „Złocistej Dolinie”. Wkrótce w kuchni pojawili się wszyscy pracownicy. Z biura wyszła też ruda Krysia, która spojrzawszy na leżącą na stole Majszę, nieznośnym sprzeciwu tonem obwieściła wszem wobec:

– Według mnie jest w ciąży.

Wyciągnęła z torebki kosmetyczkę pełną różnorakich medykamentów, wysypała je na stół i zaczęła szukać odpowiedniego leku. Po kilku minutach znalazła opakowanie ziołowych tabletek uspokajających. Tymczasem Majka podniosła się na ławce i głęboko odetchnęła. A z nią wszyscy. Krysia spojrzała na zmartwioną Zużę i pocieszyła ją:

– Ciesz się, dziewczyno, będziesz miała braciszka. Jak nic, będzie braciszek, bo mamie nic urody nie odebrał.

– W jakiej ja niby jestem ciąży?! – krzyknęła słabym głosem Majsza. – Chyba zgłupiałaś!

– Będiesz miała dziecko? – Zuza stała przed matką z opuszczonymi wzdłuż ciała rękoma. Chwilę później wybiegła.

Frankowski przyjechał po kilkunastu minutach. Majka już doszła do siebie, była jednak osłabiona. Siedziała przy stole, pijąc herbatę. Lekarz wyciągnął aparat do mierzenia ciśnienia, słuchawki i wyprosił wszystkich z kuchni. Dora z Tamarą przeszły do jadalni, po chwili dołączyła do nich Krysia.

– To wszystko mija po kilku miesiącach – zwróciła się w stronę Tamary, która mogła, według niej, nie znać objawów ciąży.

– Ale przecież koleżanka jest wdową – zachnęła się Dorota.

– Wdową może i jest. Ale ma narzeczonego, niejedną ją z nim widział. To i ciąża może się przyplątać.

Frankowski wyszedł z kuchni. Usłyszawszy rozmowę, uśmiechnął się tylko i uspokoił je w kwestii dotyczącej ewentualnego zwiększenia liczby mieszkańców „Złocistej Doliny”.

– Na ciążę pani Szalek musi sobie jeszcze trochę zapracować. Dałem skierowania na badania krwi. Moim zdaniem, a przynajmniej objawy na to wskazują, to może być anemia. Z wywiadu wiem, że spotkała ją tragedia, ostatnio była zapracowana. Widzę, że pani Szalek nie dba też o regularne odżywianie się. To wszystko mogło bardzo obciążyć organizm. Poza tym mamy przedwiośnie.

– Panie doktorze, mogłabym z panem doktorem zabrać się do Olecka? – krygowała się Krysia. – Pani Doroto, to ja jutro dokończę księgowanie. Jeszcze mi tylko wyciągi bankowe zostały – rzuciła na odchodnym.

Frankowski z Krysią odjechali, a psy wróciły do bud po zwyczajowym obszczekaniu gości. Dorota wyciągnęła z szafki mały kubek, wbiła do niego dwa żółtka, potem wysypała cukier i wszystko to razem zaczęła ucierać. Gdy masa była już utarta, zapytała Majkę:

– Chcesz same żółtka z cukrem czy dodać do tego jeszcze kakao?

– Kogel-mogel! – zawołała Majka. – Ostatnio robiłam go dla Zuzki, gdy miała ze dwa latka. Daj z kakao. Zuza! Zuza! – zawołała.

– Czy ona nie poszła na spacer po okolicy? Dawno jej nie widziałam. Codziennie będę ci ten kogel-mogel robiła.

Dora z upodobaniem przyglądała się, jak Majka zajada. Gdy skończyła wybierać masę łyżeczką, przejechała jeszcze palcem, z którego wylizała wszystko, potem umyła w zlewie ręce.

– Zrób te badania, ale ja wcale nie wierzę tutejszym konowalom. W Niemczech służba zdrowia jest na dużo wyższym poziomie. O szajse, że zapomniałam o Tamarze! Jej też mogłam to samo zrobić! – wykrzyknęła Dorota, nie przerywając biegu po kuchni.

Zbliżała się pora obiadu. Jurkiewiczowa poustawiała rano na stołach naczynia, w piekarniku zaś czekały gotowe do podgrzania mięsa. Dora przygotowała wielki garnek z wodą do sparzenia klusek śląskich.

– Zobacz, a ten rudzielec od razu mi dziecko w brzuch wcisnął! – wściekała się Majka. – Bardzo zaufaną macie tę księgową! Ona was przerobi na mielonego! Ze słoniną! Gdzie jest ta Zuza?!

– Widziałam ją wysiadającą z autobusu w Olecku – włączyła się do rozmowy przybyła Jurkiewiczowa. – Nawet się zdziwiłam, bo szła jakaś taka nieobecna. Wołałam ją, ale nie reagowała. Trochę się wystraszyłam, czy tutaj w Mordkach coś się nie stało. No. To kluski już będę podgrzewać. Widzę, że mięsa są ciepłe. Dzisiaj dam surówkę do obiadu, bo goście już mają dość tych brokułów i kalafiora.

– Jakiego kalafiora? Gdzie szła? – dopytywała się zdenerwowana Majsza. – To rudzielec! Teraz niech naprawia, co między mną a moim dzieckiem popsuka. Braciszkiem straszyć! Zaraz ją objadę z każdej strony! – pomstowała, chwytając telefon. – Co pani narobiła, że moja córka ode mnie uciekła! – krzyknęła do słuchawki Majsza. Po czym zaczęła żałośnie płakać.

Krysia ze Stasiem od razu rozpoczęli poszukiwania dziewczyny. Na rowerach objechali każdy zakątek miasta, każde miejsce publiczne, parki i teren przyległy do jeziora. Wypytywali o dziewczynę mieszkańców. Potem Stasiu uprosił sąsiada, żeby zawiózł go do Ełku. Do poszukiwań włączył się też Wojtek. Pojechał w stronę Psiarek, bo wprowadzie Zuzę widziano w Olecku, ale stamtąd mogła autobusem pojechać i tam. Znała Psiarki, choćby z pasterki. Gdy zapadł wieczór, w „Złocistej Dolinie” panował bardzo przygnębiający nastrój. Wreszcie, koło dwudziestej pierwszej, w kuchni odezwał się ostry dźwięk telefonu. Majsza podbiegła i chwyciła słuchawkę.

– Zuzka?! To ty?! Powiedz, że to ty. Chcę, żebyś to była ty – zaczęła płakać. Niestety, nikt się nie odezwał. Zrezygnowana i zapłakana Majka chciała przerwać połączenie, ale jeszcze raz zawołała: – Halo, halo!?

– Mamo – usłyszała cichy głos dziewczyny. – Mamo, bardzo cię przepraszam. Nie przypuszczałam, że możesz być chora. Boję się o ciebie.

– Dziewczyno! Obiecuj mi! Obiecuj, że nie zostawisz mnie, nawet gdybym była w ciąży. Gdzie teraz jesteś?

– Chciałam wrócić do Warszawy... Jestem w Olecku. Zostanę na noc u pani Krysi i pana Stasia.

– Już dobrze. Jestem bardzo zmęczona. Do jutra, córeczko.

– Przyjadę pierwszym rannym autobusem. Przepraszam, mamo. Przepraszam.

W poniedziałkowe popołudnie Kasia wysiadła z ekspresu z Warszawy na stacji Poznań Główny. Podróż minęła jej niespodzianie szybko, bo przez prawie trzy godziny jazdy przypominała sobie wydarzenia wczorajszej nocy. Jak po zjedzonej w knajpce na Starym Mieście kolacji spacerowali nad Wisłą i opowiedziała mu o sobie już prawie wszystko. Jak Jaś przyciągnął ją do siebie i jak wtedy zniknęły wszystkie wątpliwości, jakie miała w drodze do Warszawy. Nie broniła się zupełnie przed tym, co tej nocy musiało nastąpić. Przed niczym się nie broniła. Każdy jego dotyk, nawet najlżejszy, czuła wyraźnie. A on, najpewniej czując to samo, pieścił jej ramię, dotykał jej dłoni, wplatał swoje palce. Potem przysunął do siebie i mocno przytulił. Kasia poczuła się przy nim słaba i mała. Była oszołomiona. Bardzo chciała, żeby nie przestawał jej dotykać, sama też przytulała się do niego.

W końcu chwycili się za ręce i, śmiejąc się pełną piersią, pognali przed siebie. Po kilkudziesięciu metrach biegu i potem po kilku minutach jazdy samochodem znaleźli się przed blokiem na Ochocie. Janek zaparkował samochód przed obskurnym blaszakiem. Sklep starej daty, jakby z dawno minionej epoki, absolutnie niczym nie zachęcał do wejścia, ale był jeszcze czynny. Przed wejściem, na rozsypującym się murku siedziało dwóch wątych pijaków. Pili piwo z jednej butelki.

– Poczekaj chwilę w samochodzie, muszę coś jeszcze kupić. Albo chodź ze mną.

Kasia pozostała jednak w aucie. Przyglądała się, jak mężczyźni przed sklepem sprawiedliwie obdzielają się napojem. Pierwszy z nich upił dwa łyki, potem dał butelkę drugiemu. Ten powtórzył tę czynność. Kasię rozczulił ten widok, ale potem pomyślała, że chyba ma jakiś problem z postrzeganiem tkwiących w alkoholowym nałogu mężczyzn. Bo powinni ją niewątpliwie niesmaczyć. Uśmiechnęła się na wspomnienie tapeciarza Kazia.

Janek wybiegł ze sklepu, trzymając w jednej ręce wielką torbę solonych orzeszków, a w drugiej puszkę szprotek w oleju.

– Nic ciekawszego nie było, a ja mam w domu tylko wino – śmiał się, wskazując na szprotki.

Kiedy znaleźli się w jego kawalerce, oboje, już nadzy, nie mieli żadnych wątpliwości. Ani przez moment się nie wahali. Chemia pojawiła się między nimi dawno, nad Wisłą, a może już w Mordkach? Kto to wie...

Wsiadając do tramwaju numer pięć na Głogowskiej, Kasia uśmiechnęła się do siebie. Fantastycznie jest nie mieć absolutnie żadnych wyrzutów sumienia – zaśmiała się. Nadal czuła nastrój tamtego wieczoru, a potem nocy. Walce Straussa – jedyna płyta, jaką znaleźli. Wino. Orzeszki solone. I szprotki. A pomiędzy tym szalona miłość do rana. Niewątpliwie, tej nocy poczuła się jeszcze bardziej wolna.

Co powiem mamie? – zastanowiła się nagle. Każde jej tłumaczenie będzie niewiarygodne. Nie była przygotowana, nie miała pomysłu. Po prostu. Znowu zaczęła się śmiać. Spłoszona rozejrzała się po tramwaju, nikt jednak nie zwracał na nią uwagi.

Przed domem rodziców, kiedy już nieco ochłonęła, a raczej przywołała się do porządku, wróciła do rzeczywistości. Przypomniały jej się i nie dawały spokoju damskie, domowe klapki na wysokim koturnie, elektryczna szczoteczka do zębów i flakon z perfumami. Sama nawet chciała sobie takie same kupić. „The one” Dolce & Gabbana. Wczesnym rankiem, gdy szykowała się do wyjazdu z Warszawy, spostrzegła je u Janka w łazience. Przyjęła, że należą do byłej żony, a on tego nie zdementował, gdy nieśmiało zapytała. Rzekł wtedy krótko:

– To przeszłość. A przyszłość to ty, Kasiu.

A jej z takim zapewnieniem było nieprzyzwoicie dobrze. A może łatwiej? O nic więcej już nie pytała.

Zatrzymała się przed kamienicą rodziców, wyciągnęła telefon i wybrała numer Janka. Po kilku

sygnałach, gdy nie odbierał, wyłączyła się. Nagle ogarnął ją smutek. Przypomniała jej się sytuacja Doroty. „Przecież między nami nic nie było”. Gdy kierowała się na schody prowadzące do domu rodziców, komórka zaczęła wibrować. Zadzwoił jednak! Oddzwonił!

– Wszystko dobrze?

– Słuchaj... co do Warszawy... Proszę, nie mówmy Dorze.

– Dlaczego?! – wykrzyknął.

– Bo się boję, co ona powie. Kurczę, czuję się teraz tak, jakbyś był jej facetem.

– Bo sobie to wmówiłaś. Lubiłem ją, ale kiedyś. Jesteś ty.

– A co ja jej powiem?

– Powiedz jej, że wczoraj trafiłaś na kogoś w swoim życiu – zaśmiał się Jasiu.

– Łatwo ci żartować. A jak zapyta, kto to? Nie, nie mogę jej tego powiedzieć. Powie mi jak zwykle coś przykrego.

– To od razu jej powiedz, że wczoraj natknęłaś się na mnie przypadkiem.

– Jasiu, czy to był przypadek?

– Przecież wiesz, że nie. Ale skoro boisz się powiedzieć prawdę... Kasiu, dziękuję, że jesteś...

Wracaj szybko do Mordek.

Rodzice przyjęli tłumaczenie Kaśki ze zrozumieniem.

– To chyba ostatnie pieniądze wydałaś na hotel? – zapytała mama, ale nie czekała na odpowiedź. Od razu zaczęła Kasię referować, że oszczędności, które zgromadzili, mogą wystarczyć na kilka hektarów ziemi. W końcu była to tylko ziemia rolna, a nawet częściowo pastwisko, póki co. Kasia zdziwiła się i spojrzała na ojca. Kilka hektarów? Przecież to będzie kosztowało majątek, miała już przecież sporą wiedzę na ten temat.

– Katarzyno, jakoś inaczej wyglądasz. Mniejsza z tym, sprzedałam biżuterię po babci, razem z tym inkrustowanym pudłem. Jestem pewna, że pochwaliliby mnie za to. Co tam biżuteria, ziemia jest więcej warta, właściwie tam się wychowałam. Gdyby to mnie ojciec przepisał swoje gospodarstwo, na pewno by się nie powstydział, a tak Tadzik je pomarnował.

– Ojej, mamó – zaproponowała Kasia. – Wujek jest bardzo miły, nie każdy ma wszystkie zdolności.

– Jeśli nie ma zdolności, to mógłby się wreszcie swojej Steli podporządkować, a tymczasem jej okoniem ciągle staje. Kto to widział, żeby swoją szyję tak dyskredytować?

– Przy wyborze prezentu dla mnie niewątpliwie był jej bardzo podporządkowany – parsknął śmiechem ojciec. Kasia mu zawtórowała.

– Was to nie można przekonać. W każdym razie, chcemy razem z ojcem, żebyś była bliżej nas. To wprawdzie nie ośrodek, jak to szumnie nazywacie, szkoleń, ale kawałek ziemi już jest – i to nie przy ruskiej granicy, tylko w centrum cywilizowanej Polski. Jeśli zaciśniemy pasa, to i gościniec postawimy, a jeśli nie, to tylko zamieszkamy. Do wszystkiego, co mamy z ojcem, dochodziliśmy, oszczędzając wyłącznie z pensji. Kasiu, ty na tych Mordkach wyjdiesz jak ciocia Stela na ślubie z Tadzikiem, zobaczysz. Też miał mieć hektary, a w końcu okazało się, że to morgi były, przez co dziadek Steli musiał większe wiano dać, krzywdząc nas wszystkich. I po co, skoro Tadzik i tak tego nie pomnożył?

Kasia zaczęła się śmiać, bo pomyślała sobie, że wzięwszy pod uwagę względy majątkowe, najlepiej być jedynakiem. Mama spojrzała na nią badawczo. Kasia promieniała jak nigdy.

– A może ty kogoś tam masz? – spytała Bzdowska. – Pan Georg jeszcze przyjeżdża do Mordek? A starej Solińskiej syn wrócił już z Warszawy? – Kasia się zawstydziała, zaś jej mama, nie doczekawszy się odpowiedzi, machnęła jedynie ręką i powiedziała: – Najpierw należy zakończyć to, co nie jest zakończone. Uregulować to, co nieuregulowane.

– Tyle lat... To nie ma już znaczenia. Nawet nie wiem, gdzie go szukać.

Gdy następnego dnia jechali na wieś, po drodze mama opowiadała, jak spędzała swoją młodość. Co niedzielę były zabawy, spotkania, majówki. We wsi mieszkało mnóstwo ludzi, mama miała wielu kolegów, koleżanki.

– Adoratorów – dopowiedział ojciec. – Jak Czerwonka. Dopiero ja musiałem to całe towarzystwo rozgonić, dzięki czemu sam na placu boju pozostałem i mamie dałem inne, lepsze życie niż jej rówieśniczki miały na wsi – wzruszył się.

– Prawie wszystkie już poumieraly – ze smutkiem wtrąciła mama.

– No widzisz, Tereniu, jaki interes zrobiłaś, wybierając mnie?

Kasia z przyjemnością przysłuchiwała się przekomarzaniom rodziców. Przez szyby samochodu obserwowała okolicę. Wjazd do wsi po brukowanej drodze. Kiedyś wydawała jej się taka szeroka, a teraz sprawiała wrażenie ścieżki przez sad. Drzewa owocowe zwieszały się nad drogą, co rusz gałęziami pacając dach samochodu. Poczuli mdły zapach czarnego bzu. Na wsi nie było widać nikogo. Ojciec zaparkował przed bramą do gospodarstwa Czerwonki, zaraz obok drewnianego stojaka na konwie z mlekiem. Ciężka brama ze starych desek była pełna drzazg. Zaskrzypiała, gdy wchodzili.

Z domu wyszedł Czerwonka. Wysoki, wyprostowany mężczyzna w granatowej, watowanej kufajce i spodniach jak do jazdy konnej.

– Ty, Tereniu, lepiej tak sobie wyglądasz, ale Wojciech coś wychudzony... – przywitał ich przy wejściu.

Kasia zachichotała pod nosem. Nie tak dawno, zaledwie wczoraj, mama ubolewała, że gdziekolwiek się pojawia, zawsze słyszy, że lepiej wygląda, a ojciec jakoby jest chudszy.

– Gdyby tak było, musiałabym już zakładać na brzuch obręcz. To co, ojciec przy mnie głodem przymiera? Jak to niektórzy ludzie potrafią nieprecyzyjnie się wyrażać!

Czerwonka poprowadził ich za przycupniętą stodołę, skąd roztaczał się widok na okolicę: łąkę, pole, półwysep i jezioro. Stali tam długo w ciszy, każdy ze swoimi myślami, a raczej wspomnieniami i marzeniami. Czerwonka westchnął ciężko, machnął ręką z rezygnacją i wierzchem dłoni wytarł oczy.

– Zdrowie już nie to. Nie daję rady.

– Ciesz się, Władku, że w dobre ręce pójdziesz – pocieszała go Bzdowska. – Nie na zmarnowanie. Wyjdiesz sobie tutaj, za stodołę, i popatrzysz, jak na twojej ziemi coś powstaje. Nad brzeg jeziora przyjdiesz, posiedzisz, z nami o starych dziejach porozmawiasz...

– Wielu chciało ją kupić, dawali bardzo duże pieniądze, w rękę wciskali. A po co mi staremu pieniądze? – Czerwonka podrapał się i przesunął kapelusz na tył głowy. Jasne czoło kontrastowało z ogorzałymi od słońca i wiatru policzkami. – Ziemię chce się dobrze wydać, tak jak swoje dziecko. Też się pewnie martwiliście, żeby córka przy mężu źle nie miała. A jak w dobre ręce poszła, to jakby kamień z serca spadł. Jedno dzieło życia za mną...

Bzdowska i Bzdowski spojrzeli na siebie, Kasia spuściła oczy, a Czerwonka dalej mówił, nie chciał ich wypuścić. Zaprowadził do koni, tam opowiadał, jak bardzo chciał, a właściwie wymagał, żeby półwysep nadal porastały stare drzewa. Jak Cyganie kiedyś przyjeżdżali taborami, a potem, gdy wyjechali, oni wszyscy, mali jeszcze byli, biegali i szukali skarbów. Raz to nawet kawałek złotem haftowanej tkaniny znaleźli, a kiedy indziej szyfonowy szal. Takie to kolorowe czasy były zaraz po wojnie. Kasia się uśmiechnęła. O nie, nie bawię się, mnie mój dziadek nimi straszyl – pomyślała.

– A kiedyś to nawet sam nocowałem nad wodą pod gołym niebem. Słysząc było tylko kumkanie żab i śpiew świerszczy – wspominał dalej Czerwonka. – To mi do szczęścia wystarczało.

Pożegnał się z nimi przy schodach do domu i kuśtykając, odprowadził do furtki. Umówili się na spotkanie następnego dnia u notariusza. Ojciec zaproponował, że pojedzie po niego, ale Czerwonka odmówił. Stwierdził, że sam przyjedzie, że tak dawno nigdzie nie jeździł powozem i że konie się ucieszą, bo będą mogły sobie trochę pobrykać, bo notariat jest niedaleko. I że dzisiaj już wytrzepie kurz z tapicerki na siedzeniach w bryczce. A wreszcie, że teraz cieszy się, bo ten kawał łąki i pole nad jeziorem odda swoim.

Dzień później, wcześniej rano, w Stęszewie pod Poznaniem, przed biurem notariusza Bzdowscy czekali na Czerwonkę. Mama Kasi, w jasnobezowym kapeluszu i dawno nienoszonym klasycznym prochowcu z popeliny, co chwilę odkłaniała się przechodniom. Widząc to, ojciec pocałował ją w rękę.

– Zobacz, Tereniu, a mówiłem, że od tamtych czasów nic się nie zmieniłaś?

Bzdowska się zarumieniła i poprawiła kapelusz.

– No co ty, Wojciechu, nie zachowała się już nawet ta taftowa, błękitna sukienka, którą tak lubiłeś...

Wreszcie zza zakrętu wyłoniła się bryczka zaprzęgnięta w dwa konie. Jeden siwy, drugi brązowy, z rozwianymi grzywami, smagane batem pędziły drogą co sił w nogach. Słysząc było stukot kopyt, a z końskich pysków leciała para. Zaś Czerwonka ubrany jak do jazdy konnej, w bryczesach i kraciastej kurtce, stojąc pewnie w bryczce, coraz mocniej ścisnął lejce i wołał na całe gardło: „Wio!”. Przed notariatem konie, ściągnięte gwałtownie lejcami, stanęły. Potem, gdy je już solidnie przywiązał,

uśmiechnięty i wyprostowany, wspierając się na lasce, zgrabnie wysiadł ze staromodnej bryczki.

– To koniska leniwe, nie nadwerężały się ostatnio, mało u nas było uroczystości. Ostatnio zaprzęgałem je z pięć lat temu, matkę wtedy grzebałem. Teraz mało okazji. Na wsi nie ma ślubów, tylko pogrzeby nas czekają. Mnie potem same nie powiozą. Człowieka samotnego to nawet pogrzebać nie ma kto.

Gdy wchodzili do notariusza, Czerwonka się zawahał, przystanął. Podrapał się po głowie. Odwrócił się w stronę Bzdowskich i zaproponował:

– Bryczkę z końmi bym wam pośmiertnie darował... – przerwał, znowu się zawahał, zmiął w rękach kraciatą czapkę z daszkiem. Spoglądał na Bzdowskich i uśmiechał się niepewnie. – Nie miałby kto mnie do mogiły powieźć. Konie stare są, ale nie mógłbym samych ich na świecie zostawić. Wierne mi były...

Kilka dni później, w sobotę po obiedzie, znowu spotkały się we trójkę w jadalni w Mordkach. Kasia wróciła z Poznania, Majsza nadal przebywała w „Żłocistej Dolinie”. Już dawno miała wrócić do Warszawy, ale Dora się uparła, że powinna jeszcze odpocząć. Badania lekarskie potwierdziły diagnozę Frankowskiego. Zuza, wracając do Warszawy, zabrała ze sobą cztery obrazy, a resztę, której nie dała rady dźwigać, nadała na poczcie. Danek zakomunikował im wczoraj, że klienci byli bardzo zadowoleni.

Kasia wysłuchiwała opowieści o chorobie Majki, a potem sama zrelacjonowała, jak minęła jej podróż z Poznania. Mówiła też, że nie spodziewała się, iż za fotografię umieszczoną w kalendarzu można dostać całkiem spore pieniądze. Nie chciała mówić o ziemi. Dlaczego? Był to z jej strony zwykły instynkt samozachowawczy czy niechęć do chwalenia się? Właściwie sama nie wiedziała, co ją powstrzymuje.

Jej rodzice dobili targu. Uśmiechnęła się na myśl o pięknej zielonej łące w niecce przy jeziorze. W takiej trawie chciałoby się bez końca kulać i leżeć. Gdyby ją krótko przyciąć, niczym nie odbiegałaby od tej w Kronbergu. Poczła się, jakby już teraz stała się zamożną właścicielką pól golfowych. W jej świadomości powstało przekonanie, że od tej chwili w jej życiu może być już tylko lepiej, poczuła też siłę do poukładania na nowo swoich spraw. Najpierw uzgodni z Dorotą kwestie formalne, potem odszuka Pawła i załatwi z nim rozwód. Prawdopodobnie można dokonać tego zaocznie.

I spotka się z Jankiem. Tego ostatniego nie mogła się doczekać. Tęskniła. Bardzo chciała być teraz z nim. Gdy zadzwonił telefon, poderwały się wszystkie. Dora, bo taki miała zwyczaj. Majsza, bo spodziewała się zarówno Zuzy, jak i Danki. Kasia zaś czekała na przyjazd Janka z Olsztyna. Potem najchętniej wymknęłyby się do niego. Już czuła się podekscytowana. Słuchawkę chwyciła Majsza, ale zaraz dała ją Kasi, mówiąc:

– To do ciebie.

Kasia, widząc jej minę, domyśliła się, że to musi być Janek. Ale w słuchawce usłyszała damski głos. Dora i Majsza przyglądały się, jak na jej twarzy malują się skrajne uczucia, od euforii do całkowitego przygnębienia. Kasia cały czas milczała. Słuchała.

Ta kobieta zabiła jej radość sprzed chwili! Słowa: „Nie powinna się pani angażować w ten związek. On panią jedynie unieszczęśliwi”, utkwiły w jej mózgu, wydawało jej się, na zawsze. Gdy próbowała monosylabami dowiedzieć się czegoś więcej, ta zaczęła opowiadać, że tworzą z Jankiem trudny związek, ale spotykają się w Warszawie, na przykład na początku stycznia, pod koniec stycznia, dwa tygodnie temu.

– Wymieniać dalej? Nie wierzy mi pani? A może uwiarygodnię się, jeśli powiem, że zawsze spotykamy się w jego kawalerce na Ochocie, a numer telefonu do pani dostałam od Danki.

Kasia była zdruzgotana, straciła ochotę na jakiegokolwiek udawanie. Usiadła ciężko za stołem. Kłębiliły się w niej żal, smutek i ból. Potem przyszła złość, a następnie ogarnęło ją znowu poczucie krzywdy. Wściekłość na siebie samą, niesmak z powodu kłamstwa i majstrowania przy jej uczuciu oszołomiły ją. Podobnie jak bezsilność i chęć odwetu. I wreszcie poczucie kolejnej klęski uczuciowej. Potem znowu pojawiła się nadzieja, że przecież ta kobieta mogła kłamać. Przypomniała sobie jednak szczoneczkę do zębów w kawalerce na Ochocie. Powróciło uczucie zawodu. Wtedy znów przypomniała sobie, jak bezpieczna była przy Janku, jak wspaniale się czuła. Zreflektowała się, że dobrze się stało, że to ostrzeżenie nie pojawiło się później, gdyby była jeszcze mocniej zakochana. Mocniej? – zastanowiła się.

– Czy można bardziej?

Wstała bez słowa i zaczęła się kręcić po domu. Najpierw zrobiła sobie herbatę, ale chwyciła kubek tak niezdarnie, że całą wylała na podłogę. Dora bez słowa pochyliła się nad posadzką ze szmatką do wycierania. Kasia tymczasem zaczęła się ubierać do wyjścia, ale zaraz z powrotem odwiesiła sweter na

wieszak. Ponownie założyła okrycie, tym razem wiatrówkę, wyszła na dwór, po chwili jednak zawróciła i rzuciła kurtkę na ławkę. Majka od razu wyczuła, w czym rzecz.

– Walcz z nieproszoną, jak ci na nim zależy – doradziła. – Umiesz. Kiedyś wygrałaś! Poza tym walka o faceta nie jest żadną niestosownością, a boję się, że tak uważasz.

Kasia zastanowiła się nad tym, co powiedziała Majka. Znowu włożyła kurtkę, przystanęła przy drzwiach.

– A może poszłybyście ze mną na spacer? – zapytała żałośnie.

Dorota i Majka szybko przyszykowały się do wyjścia. Na drodze w stronę Psiarek Majka znowu powtórzyła to samo, co wcześniej, tym razem dobitniej:

– Nie wiem, na co czekasz! Ten spacer to wybieg, przecież sama wiesz. Nie zastanawiaj się, walcz, jeśli jesteś pewna swego! Nie musisz zaprzeczać, że to nie jest miłość. Jak on na ciebie patrzył! Pożądanie, ale poza tym jakaś taka miękkość, że widząc jego minę, bardzo ci pozazdrościłam. Wracaj do „Złocistej Doliny”, nie przejmuj się nami, telefonuj, rozmawiaj, wyjaśniaj. Walcz!

Dorota przystanęła oburzona. Wzruszyła ramionami, po czym zapytała beznamiętnie:

– Jak możecie się tak wymieniać facetami? Nawet na tym odcinku nie macie umiaru. – Spojrzała z dezaprobatą na Majkę. Jeśli o nią chodziło, od dawna wiedziała, jakie ta ma tendencje. Ale przecież Kasia nie potrafiła postępować tak bezkompromisowo. Zerknęła na przygarbioną Kasię. – Po co brnąć w to wszystko? To chodzi o Solińskiego? Wiem, że o niego. Okłamał cię? Mało miałaś złych doświadczeń? Myślałaś, że będzie inny? Same na własne życzenie pakujecie się w kłopoty. Życie to nie sałatka owocowa.

– A co? Kawalek mięcha? A może worek ziemniaków? – Majsza zatrzymała się na poboczu drogi. Ze złością zdmuchnęła denerwujący kosmyk włosów, którym wiatr łopotał w okolicy jej nosa. – Przestań wreszcie! – krzyknęła w stronę Doroty, gdy upięła włosy. – Pozwól, że będziemy same decydować o swoich sprawach. Zwłaszcza intymnych. Bo one dotyczą tylko nas. Wszystko wyolbrzymiasz. Wszystko, Dorota. Już dawno miałam ci to powiedzieć i bardzo mocno się zastanawiam, dlaczego tego nie zrobiłam. Ale nie, wiem dlaczego. Bo się bałam ciebie, jak jasna cholera! Psiakrew z tym wszystkim! – krzyknęła jeszcze głośniejszym głosem, kopnęła przydrożny kamień i puściła się pędem przed siebie.

– A ty nie krzywdź innych! – zawołała za nią jeszcze Dora. Podniosła z drogi mały kamyczek i rzuciła nim daleko w pole.

– Kogo masz na myśli?! – Majka zatrzymała się kilkanaście metrów przed nimi. – Bo jeśli chodzi o Kasię, to już dawno sobie to ułożyłyśmy – odkrzyknęła. Stała zdezorientowana obok dzikiej gruszy, obsypanej bladonoróżowymi kwiatami.

Dora i Kasia podeszły bliżej.

– Dziwię się jej nieustająco.

Dorota zbliżyła się do Majki, spojrzała na Kasię z pobłażaniem, parsknęła śmiechem, a potem jak zwykle wzruszyła ramionami. Urwała gałązkę z drzewa, obejrzała ją, oczyściła z przejrzałych kwiatków. Spojrzała w dal, na zieleniące się pola, potem odwróciła twarz w stronę Majki i rzekła:

– A niech ci będzie. Powiem ci, bo z Jarkiem jednak już nic nie uzgodnisz...

– Co masz na myśli? Co z Jarkiem? – Majsza nagle odwróciła się, spojrzała na Kasię, która bawiła się długim kijem znalezionym na polu.

Stały na wzgórzu za domem. Jak na dłoni widać było „Złocistą Dolinę” i kilkanaście samochodów zaparkowanych przed płotem. Zapatrzyły się przed siebie. Dora uśmiechała się drwiąco, w końcu się odezwała:

– Tak naprawdę to ty go zabiłaś. Nikt inny.

– Przestań! Coś ci się poprzestawiało? Musisz na siłę udowodnić, że jestem zerem? – Majka była

oburzona. Trzęsa się.

Kasia zaś nie potrafiła, a może nie chciała znaleźć sposobu, żeby powstrzymać to, co musiało teraz nastąpić. Była zniesmaczona swoją dotychczasową oględnością. A może było i tak, że dzisiaj także ona miała ochotę uczestniczyć w tym konflikcie? Oczyszczającym być może.

– Mnie się nic nie poprzestawiało. Wiem doskonale, co mówię. Zginął, bo jechał do ciebie, żeby ci udowodnić, że jest coś wart. *Szajse!* Bo znalazł tę cholerną pracę, żeby starczyło na twoje zachcianki! Śpieszył się do ciebie.

– Co ty mówisz?! – Majsza zaczęła szarpać Dorotę za sweter. – Co ty mówisz?! – rozpląkała się. – Kaśka, ty coś rozumiesz?

– Ponoć dostał jakąś pracę, tak mówili sąsiedzi – odpowiedziała w końcu Kasia. Spuściła głowę. Majka odwróciła się na pięcie.

– Wyjeżdżam, bo tutaj nie da się normalnie żyć. Też nie mogę patrzeć, jak konsumujesz córkę! Każesz jej dla własnej przyjemności być taką samą jak ty! Wszyscy muszą być tacy jak ty! Psiakrew, już na sam twój widok jestem podenerwowana!

– Zostań, Maja, nie możemy się tak rozstać. Zbyt wiele nas łączy – poprosiła Kasia. Zdenerwowała się. Bo to, co Dorota powiedziała Majce, nie było uczciwe. Umówiły się, że kiedyś jej o tym powiedzą, ale nie w złości ani po to, żeby dokuczyć. Kasia westchnęła i spojrzała na widoczne z daleka obejście Solińskich. Nie było przed nim samochodu Janka.

– A ty co? Zrewanżowałaś się? – krzyknęła Majka do Kasi i puściła się biegiem w stronę pól.

Kasia była zdruzgotana, wstrząsnęła nią ta rozmowa. Nie czuła się winna. Też odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem poszła w stronę „Złocistej Doliny”. Wbiegła do swojego pokoju i nie zastanawiając się wcale, od razu włączyła komputer. Zaczęła pisać e-maila do Georga. Wiedziała, że spośród wszystkich znajomych jedynie jego jej problem nie zdziwi ani nie zgorszy.

Usiadła wygodnie twarzą do swojego ulubionego widoku za oknem i zaczęła pisać bardzo spontanicznie, mocno bębniąc w klawiaturę. Że przecież jeszcze niczego w Mordkach nie dokonała, a już jest tym wszystkim bardzo zmęczona. Że może znalazła się teraz na niebezpiecznym zakręcie, bo nie ma ani czasu, ani już nawet chęci, by smakować życie. Że czuje się, jakby była jedynie maszyną wypełniającą zwykłą życiową trywialność. I teraz jej marzeniem jest, żeby natychmiast stąd wyjechać, najchętniej gdzieś daleko... Znowu westchnęła. Bo tutaj, w Mordkach, nie może już nawet zebrać myśli.

Nie wiem, co mam robić. Czy mógłbyś mi coś doradzić? Kasia – zakończyła.

Było jej bardzo ciężko. Przez to wszystko zrezygnowała z pomysłu, żeby porozmawiać z Jankiem. Nie dała mu szansy na wytłumaczenie się. Nie potrafiła.

Maja nie miała racji, mówiąc, że już raz wygrałam walkę o faceta – pomyślała Kasia. Doskonale wiedziała, że to nieprawda, bo można było powiedzieć, iż tę walkę jedynie odsunęła w bliżej nieokreśloną przyszłość. Ta pozorna wygrana była wyłącznie iluzją, bo to Paweł zdecydował o wszystkim i wyjechał. Uciekł od nich obu.

Wyłączając komputer, spostrzegła przez okno, jak Maja wrzuca dwie walizy do bagażnika, wsiada do taksówki, ogląda się, patrzy na eventowe wspólne dziecko, po czym zatrząskuje drzwiami samochodu i odjeżdża. Kasia przesunęła fotel w okolice okna i odprowadziła wzrokiem taksówkę wjeżdżającą na górkę, a potem znikającą za zakrętem drogi prowadzącej do Ełku. Nad jeziorem szkoląca się grupa odbywała tymczasem ćwiczenia w parach. Śmiali się. A jej zrobiło się bardzo smutno. Westchnęła ciężko, wstała i wyszła do kuchni. Tam postawiła czajnik na rozgrzanej płycie pieca, poczekała, aż woda

się zagotuje, po czym zaparzyła herbatę i z pełnym kubkiem siadła ciężko za stołem. Do kuchni zajrzała Dora. Usiadła obok Kasi, spojrzała na nią.

– Nie dałybyście sobie tam rady – powiedziała cicho. – Tamara bardzo dużo widziała, nie powinna, była dzieckiem... Nie wiesz nawet, ile razy ją samą, tylko z dziwkami musiałam w domu zostawiać. To jak mogę ją teraz opuścić?

– Musisz. Ona powinna żyć samodzielnie. I zrób to szybko, bo za chwilę może być za późno. Majka miała rację, poszukaj sobie jakiegoś innego hobby – wzruszyła ramionami Kasia.

Gdy to mówiła, czuła, że teraz jest już jej najzupełniej obojętne, czy Dorota zmieni coś w relacjach z córką czy nie. Zmęczyły ją obie, zubożyły na problem. Wszystko ją tutaj umęczyło. Najbardziej ze wszystkiego chciałyby móc w tym momencie uciec z tej samotni, gęstej od wyrazistych uczuć. Miejsca, w którym czuła, że jest zbyt mocno sama ze sobą. Jednak od siebie samej uciec stąd nie miała już dokąd. Zabrakło jej teatru, kina, filharmonii – miejsc ucieczki, jakie serwuje jedynie duże miasto. Pełna orkiestra i kilka chórów naraz, obecność w pewnym oddaleniu od siebie dałyby jej w takich okolicznościach niewątpliwie egzystencjalny oddech.

Spojrzała na Dorotę, jakby obwiniała ją o wszystko złe, co ją tutaj ostatnio spotkało. O Wenclę, o swoją nieudaną próbę znalezienia własnego miejsca, o nietrafione, bezsensowne uczucie do Janka. O wyjazd Majki..., tak, o to najbardziej.

– Dobrze ci radzę, choć wcale nie musiałabym. Poszukaj sobie jakiegoś antidotum – powtórzyła jeszcze raz z wcale nieukrywaną niechęcią.

Dorota wstała, zaczęła sapać ze złości. Jej szczupłe ciało naprężyło się jak do skoku. Przez głowę Kasi przebiegła błyskawiczna myśl, że Dora będzie się z nią szarpać. Ta jednak opadła bez sił na krzesło, spojrzała na stojącą ciągle Kasię i powiedziała tonem tak beznamiętnym, że aż wyniosłym:

– A wy co? Udajecie artystki jakieś. Życie trzeba sobie poukładać, a nie rozmiękać na drobne. Też nie mogę patrzeć, jak sama nie wiesz, czego chcesz. Wymądrzasz się, jakbyś miała do tego moralne prawo. A nie masz.

Kasia bardzo dobrze rozumiała, co Dorota chce powiedzieć. I że może to mieć swoje umocowanie w rzeczywistości. Bo gdy się człowiekowi wydaje, że już, już dosięga jakiegoś małego uniesienia, uczuć, nieskrępowanej miłości po prostu – wtedy najczęściej owo wymarzone szczęście w najmniej oczekiwanym momencie umyka jak gaz z otwartej butelki z mocno mineralizowaną wodą sodową.

Kasia spuściła głowę, zwiesiła ramiona, przygarbiła się. Nie mogła przywołać w swojej głowie żadnych pocieszających myśli. Choć powinna pamiętać, że przecież ostatnio odniosła kilka sukcesów, w wielu momentach dała sobie najzwyczajniej radę, rozbiła skorupę, w jakiej żyła wiele lat, miała nadal dokąd wrócić, Piotruś jest dobrym dzieckiem, kupili ziemię od Czerwonki, a z Majką też wszystko sobie ułożą... W podłym nastroju usiadła ciężko przed komputerem i beznamiętnie zaczęła czytać wiadomość od Georga. Jedyłą pociechę dzisiejszego dnia.

Witaj, Kasiu. A może wsiądź w samolot i polec na kilka dni do Agadiru. Będę tam prawdopodobnie od przyszłego piątku, więc nie zginiesz, a będziesz miała czas i na refleksję, i na kilkudniową ucieczkę od zgiełku i marazmu dnia codziennego. Będzie Ci ciepło, może rozpieścisz zmysły... Jeśli byłaby taka potrzeba, mógłbym Cię odebrać z lotniska w Rabacie bądź w Agadirze. Dowolnie. Uściski. Georg

Od razu, bez namysłu w wyszukiwarce lotów wpisała Warszawa – Agadir, dla jednej osoby, od połowy przyszłego tygodnia, bilet w dwie strony. Po dłuższej chwili wyświetliło się kilka bardzo skomplikowanych połączeń.

Zrobiła się już sobota, tymczasem w „Złocistej Dolinie” gęsto było od lepkich uczuć. Do toksycznej relacji między matką i córką doszła wzajemna niechęć Doroty i Kasi. Kasia, mimo emocjonalnego osamotnienia, nawet nie próbowała się rozmówić z Jankiem. Po co? I tak powie mi jedynie to, co będzie chciał powiedzieć – myślała. – Gdyby chciał, powiedziałaby mi o niej przedtem.

Kiedy tylko wrócił z Olsztyna, przyjechał do „Złocistej Doliny”, Kasia jednak wymówiła się bólem głowy i prędko pożegnała. Opowiedziała mu jedynie, że sprawę kredytów Wencla wziął na siebie pełniący obowiązki dyrektora banku Borejko. Potem, w ciągu dnia jeszcze kilkakrotnie próbował zaprosić ją na przejażdżkę, ale wytłumaczyła się nawałem pracy. Umiejętność brania ludzi na dystans nie sprawiała jej nigdy najmniejszego kłopotu. Jednak gdy odjeżdżał sprzed „Złocistej Doliny”, poczuła, jakby na jej sercu siadł atleta i bardzo długo nie schodził. Żeby znaleźć choć małe pocieszenie, wyciągnęła mapę Maroka, a potem w internecie oglądała egzotyczne obrazki stamtąd. Casablanca, Marrakesz, Fez. Pełnia egzotyki. Kuszący, nieznany jej świat. I równie kuszący ten trzeci. Georg.

Po wyszukaniu połączeń lotniczych do Agadiru i długim namyśle, odpisała mu jednak krótko:

Gdybyś spędzał ten czas gdzieś bliżej, niewykluczone, że przyjechałabym tam na kilka dni. Kasia

Poczuła, że tym samym oczyściła grunt wokół siebie z chwilowych niejasności. Podjęła dwie trudne decyzje. Nie chciała też przeżywać kolejnych uniesień, choć, trzeba przyznać, miała na nie wielką ochotę. W ramach zapomnienia. Czy odwetu. Pozostało jej uregulowanie spraw z Dorotą. Teraz, zaraz – pomyślała, dodając sobie animuszu.

Poszła do kuchni. Dorę zastała siedzącą przy zupełnie pustym, świeżo wypolerowanym stole. Pachniało pastą do podłóg. Kasia poślizgnęła się i w desperackim odruchu oparła o krzesło z Dorotą. Potem ostrożnie usiadła obok.

– Wiesz... – zaczęła. – Jesteśmy już znani, mamy pełne rezerwacje na pół roku z góry, w końcu pojawiły się też jakieś zyski. Czy nie nadszedł czas, żeby zwiększyć obsadę?

– Kiedyś też mi się tak wydawało, ale teraz, gdy Witek wraca, czy ja wiem? Najlepiej będzie, jeśli poczekamy na niego. W końcu tylko on wkładał tutaj pieniądze.

– Witek wraca i ty mi dopiero teraz o tym mówisz?

– Chodziłaś taka naburmuszona...

– Wyobrazasz sobie, że będziemy się tutaj we trójkę o siebie ocierać?

– Spodobało mu się, że osiągamy zyski. Widzisz, co się porobiło w Stanach, dolar zleciał na łeb. Masz jakieś podsumowania? Będziemy musiały się rozliczyć.

Czasem dobrze jest poprzyglądać się, jak życie tworzy dla nas scenariusz – pomyślała Kasia. Ostatnie wydarzenia sprawiły, że mało czemu się już dziwiła. Nie ma co ukrywać, podświadomie była przygotowana i na czarny scenariusz. Niejednokrotnie nawet wygodnie odpuścić życiu, nie siłować się, a jedynie skorzystać z podpowiedzi. Czowała, że ta prowokuje ją właśnie do podjęcia szybkiej decyzji. Nie tutaj, nie z Dorotą, bez Janka. A gdyby przyjąć, tak dla podreperowania własnego samopoczucia, że ten sezon w Mordkach był zaledwie kolejnym etapem jej życia? Wtedy byłoby jej dużo łatwiej wyjechać.

Kasia wiedziała, że musi stworzyć miejsce dla siebie od podstaw i prędko wyprowadzić się z Mordek. Przeszła z kuchni do biura, jak zawsze siadła na krześle przed wielkim oknem. Westchnęła. Była przybita i zmęczona okolicznościami, ale mimo to pochyliła się nad pustą kartką. Początkowo malowała na niej kółka, trójkąty, łączyła je liniami łamanymi, potem tak powstałe obrazki zaczęła

wypełniać bladzielonym kolorem. Wreszcie zmiażdżyła kartkę i rzuciła na podłogę. Na nowej wypisywała dobre i złe strony pobytu w Mordkach. Że przyjazd tutaj pozwolił jej się otworzyć na zmiany. Pobudził jej mobilność zawodową. Zainteresował możliwością połączenia ulubionych zajęć z zarabianiem na życie. Sprawił, że stała się odważniejsza. Żeby sprawdzić, czy tak jest w istocie, należałoby znów uciec, natychmiast jeszcze raz spróbować życia na nowo. Daleko stąd nabrać dystansu. Jeśli raz podjęło się decyzję o zmianie miejsca zamieszkania, potem jest już dużo łatwiej. Ale nie chciałyby zmieniać swojego życia w nieskończoność, wystarczyłoby jej, aby na jakiś czas oddalić się od problemu, by go lepiej rozwiązać.

Zabrała się za sprzątanie biurka. Wśród szpargałów i zapisanych kartek znalazła film od Jurka Bzdowskiego o uciekinierach z Polski Ludowej, staruszkach, po wojnie osiadłych w Kanadzie i Stanach Zjednoczonych Ameryki. Wielu z nich było żołnierzami Armii Krajowej. Włożyła płytke do komputera i zaczęła oglądać film. Wzruszyła ją tułaczka tych ludzi. Nabrała przekonania, że jej świat tylko w niewielkim stopniu wywrócił się do góry nogami, tym samym zdystansowała się do swoich problemów. Bardzo żałowała, że film trwa niespełna trzydzieści minut, apatycznie śledziła napisy końcowe. I naraz wydało jej się, że dostrzegła imię i nazwisko swojego męża. Przesunęła film do tyłu. Tak – pomoc przy składaniu materiałów do filmu – Paweł Rybak. Od razu wysłała do Jerry’ego maila.

Czy Paweł Rybak, który pomagał Ci przy „Uciekinierach”, ma jakieś związki z Poznaniem? Czy ta osoba wyjechała z Polski siedem lat temu? Kasia

Spojrzała na zegar. Było po czternastej, w Edmonton wczesny ranek, na pewno jeszcze śpią, jest weekend – pomyślała. Była bardzo niespokojna, odczekała chwilę przy komputerze, co chwilę odświeżając pocztę. Nie doczekawszy się, wyłączyła go i wyszła do kuchni.

– Muszę coś zrobić ze swoim życiem. Najbardziej ze wszystkiego teraz chciałabym żyć z fotografii – powiedziała na głos.

Dorota poruszyła się za wahadłowymi drzwiami do jadalni. Wzruszyła ramionami.

– Czy ty wiesz, czego chcesz? Jakies zdjęcia wymyśliłaś. To, że Witek chce się z nami rozliczyć, nie znaczy, że masz się stąd wyprowadzać. Nadal jesteś moją współpracowniczką.

– Przestań. To zdjęcie z babcią Kondratowicz akurat bardzo się spodobało.

– Nie mogłaś sąsiadki jakoś upoznać, robiąc jej zdjęcie? Jak to wygląda? Że tutaj ludzie nawet do fotografii nie mają się w co ubrać! – gderwała Dorota.

Kasia poczuła natychmiastową konieczność ucieczki. Miała tego wszystkiego po dziurki w nosie. Marudzenia. Osaczania. Przytłaczania. Nastrojów depresyjnych. Krytyki. Nic nie powiedziawszy, wzięła czasopisma i kalendarz, w którym ukazała się fotografia, i postanowiła pójść do babci, która nic jeszcze o tym wszystkim przecież nie wiedziała. Idąc pustą, wiejską drogą, ze smutkiem spostrzegła, że na górce, przed domem Solińskich stoi terenówka Jasia. Był w domu. Kasia nadal go unikała.

Babcia Kondratowicz posadziła ją przy okrągłym stole przykrytym kordonkową serwetą. Wniosła do pokoju szklankę z jasnobrązowym parującym płynem.

– Kawkę zrobiłam. Dać z mleczkiem? Mam świeże od krowy.

Kasia mieszała płyn w nadziei, że jeszcze się zaparzy, babcia tymczasem oglądała kalendarz i gazetę, szybko wertując strony. Te, na których były jej fotografie, szybko przebiegła wzrokiem. Kasia wzięła jej kalendarz z ręki i pokazała stronę ze zdjęciem.

– To. Wbiega pani do domu. To zdjęcie spodobało się wydawcy najbardziej. W pani jest mnóstwo prostolinijności i widać, że bardzo pracowicie spędziła pani swoje życie.

Kasia oglądała ten obrazek zawsze z jednakową przyjemnością. Uśmiechnęła się do babci.

– To też ja? – zapytała staruszka pokazując na gazetę, w której opublikowano ten sam, nagrodzony fotogram.

– Jakby pani chciała, jeszcze kilka mogłabym zrobić. Będzie mi bardzo miło.

Kobieta myślała chwilę, potem podniosła gazetę do góry i oglądała swoje zdjęcie bliżej światła. Założyła nawet grube staromodne okulary. Następnie podeszła do szafy.

– Muszę znaleźć swój najlepszy kostium. Włosy inaczej poczeszę. Mam ładne ubrania, z wełny setki jeszcze krojone.

W ciężkiej dwudrzwiowej szafie nie było miejsca. Ubrania wisały ściśle jedno obok drugiego, niektóre opakowane w gazety, inne w foliowe worki. Babcia wyciągnęła dwa z nich, zaczęła delikatnie rozchyłać szpalty starej gazety. „Głos Mazur” z 1967 roku. Gdy poruszyła szarym kostiumem, po pokoju zaczęły fruwać mole. Próbowała wytrzepać ubranie, ale w powietrze wzbił się kurz i kilkanaście następnych fruujących szkodników, niezwykle żywotnych pomimo naftaliny, której zapach poniósł się po domu.

– A sio! A sio! – wołała babcia. Biegała po pokoju, goniąc mole. Kasia przyłączyła się do polowania.

– Takie dobre ubrania pojadły – ubolewała staruszka chwilę później, kiedy oglądała podziurawioną spódnicę.

– Gabardyna! – Kasia zatrzymała się. – Gdy byłam mała, moja mama nosiła płaszcz z tego materiału. Był wcięty, rozkloszowany, obsyty skórą ze srebrnego lisa. Lubiłam się przytulać do niej, ocierać buzię o ten miękki kołnierz. Mama mi na to nie pozwalała, mówiła, że mam tłustą buzię i przez to mole jej cały płaszcz zjedzą – śmiała się Kasia. – Piękny był – dodała z rozrzewnieniem, patrząc na drugi z wyciągniętych z szafy, miodowy. – Tak jak ten kostium. Kołnierz ma przepięknie skrojony.

– Nutrię pod szyją nosiłam. Mąż miał dobraną pelisę. Jak szliśmy pod rękę do kościoła, cała wieś patrzyła.

Kasia wróciła do „Złocistej Doliny” pełna bardzo pozytywnych emocji. Choć obiecała pomóc Dorze w przygotowaniu kolacji dla gości, najpierw zalogowała się w swojej poczcie. Wiadomość od Jerry’ego sprzed dwóch godzin dostrzegła od razu, pełna emocji zaczęła ją pośpiesznie czytać. Drżała.

Tak, to jest ta sama osoba. Przekazałem Pawłowi, że o niego pytałaś. O maleńki Wszechświecie, czyż nie jesteśmy twoimi dziećmi!? Uradowany z cudownych przypadków. Jerry

I wtedy straciła rozeznanie, co z tą wiedzą zrobić. Jak to, zamieszkał w Kanadzie? Aż w Kanadzie? Na drugim, tym bardziej oddalonym od Polski, krańcu świata? A z drugiej strony, jak mocno naszym życiem kieruje przypadek! I co teraz? – pomyślała.

Na pulpicie wyświetliła się informacja o nadejściu maila od Pawła Rybaka. Dłuższą chwilę walczyła z niepewnością i strachem. Z kanadyjskiej kartki z pozdrowieniami kiwały do niej głowami dwa białe łabędzie. Podpływały w jej stronę na chwilę, potem zawracały i razem harmonijnie płynęły pewien odcinek, później pluskały się radośnie w stawie. Dziobami zrywały lilie wodne, znowu podpływały w jej stronę, tym razem trzymając śnieżnobiałe lilie. Z głośników płynęła ballada w wykonaniu Joan Baez. Załącznikiem był krótki list. Przeczytała go od razu.

Piotrek bardzo się ucieszy z tej wiadomości – pomyślała, naciskając ikonę „prześlij dalej” do „Mój Piotruś”. Potem zdecydowanym ruchem chwyciła słuchawkę i bez dłuższego namysłu połączyła się z Jasiem Solińskim. Teraz dopiero zrozumiała, że przecież sama też nie powiedziała mu całej prawdy

o sobie.

– Janku, przepraszam. Wiesz, to, co ci powiem, zabrzmiało, jakbym zerznęła cytaty z telenoweli, ale jeśli chodzi o nas, ja naprawdę potrzebuję czasu. Oboje mamy coś do załatwienia, prawda? Pod koniec maja muszę wrócić do Poznania.

No i nadszedł koniec maja. Kasia nie przedłużyła umowy z bankiem, oni też specjalnie jej nie namawiali do zmiany decyzji.

Witek wpadł na kilka dni, przejrzał rozliczenia, potem oznajmił, że mają działać tak dalej, bo wszystko jest jak najbardziej OK. Interes kwitnie, aż dziwne, że nie upadł, bo przecież nie miały za sobą żadnych kursów na temat specyfiki *small businessu*. Kasia przekonała Dorotę, żeby zgodziła się zaprosić na ten ostatni majowy weekend Majkę. Wprawdzie ostatnio były między nimi jedynie nieporozumienia, niektóre nawet spore, ale po co rozstawać się w gniewie? Dora w końcu się zgodziła, mówiąc krótko:

– Skoro chcesz, to ją zaprosz. Przynajmniej płuca oczyści sobie po tej zadymionej spalinami stolicy.

Majka przyjechała następnego dnia. Czyli od razu. Wsiadła pod furtką z żółtego seicento.

– Ja jestem mała, on też jest mały. Na początek wystarczy. Zaparkuję wszędzie, a i tak jadąc, widzę wyłącznie tyły mijających mnie samochodów. Dora, mówię ci, spraw sobie też takie auto.

Był piękny, słoneczny dzień. Wzięły leżaki i poszły nad jezioro. Rozłożyły się pod drzewem na skarpie. Przed sobą miały kawałek piaszczystej plaży, a wokół wielkie trzciny. Kasia położyła się na trawie, Dora z Tamarą stały obok, przyglądając się, jak jakiś beżpański pies barszkuje w wodzie. Potem Majsza położyła się na leżaku, twarz przykryła czerwoną, bawełnianą chusteczką. Gdy pytała Kasię o plany na najbliższą przyszłość, chusteczka wchodziła jej do ust. Kasia odpowiedziała, że chciałaby studiować fotografię, a tak w ogóle nadal fotografować i nawet z tego żyć.

– Poszukam czegoś dla siebie. Może pomyślę o ślubach?

– Mało ci jednego? – zażartowała Majsza.

– Świetny dzień – włączyła się Dorota. – Czemu nie zaprosiłaś tutaj Piotrka? Tamara miałaby z kim porozmawiać. Zuza też mogłaby przyjechać.

– Nie chciał, zakochał się po uszy. Mój malutki Piotruś nie potrzebuje już mamusi – zaśmiała się Kasia.

Dorota spojrzała na Tamarę, jakby przeproszała za Piotrka, i chwyciła ją za rękę. Dziewczyna jednak wyrwała się i pobiegła na górę, a za chwilę zniknęła im z oczu.

– Wiecie, gdyby nie wy, nigdy nie byłabym zorganizowana tak jak teraz. Z tej galerii zrobił się całkiem rzutki biznes. Z Dankiem nadal się spotykam, ale nie mieszkamy już razem, bo tak jest o wiele lepiej – stwierdziła Majsza.

– A tego bym się po tobie nie spodziewała. To dla mnie nowość – zaśmiała się Kasia.

– Więź dusz mam z Waligórą. Czasem przyjeżdża do mnie, ale to też nie to.

– A co na to Zuza?

– Pewnego dnia przyjechał, żeby mi się oświadczyć – zaczęła opowieść Majsza. Uśmiechnęła się do wspomnień. – Wszedł do domu, kryjąc coś za plecami.

Początkowo Majka nie spostrzegła w jego zachowaniu niczego dziwnego. Zaprosiła go do pokoju, a sama w kuchni włączyła czajnik. Jednocześnie do filiżanek wrzuciła torebki z herbatą waniliową. Nie śpieszyła się. Gdy wróciła do pokoju, Waligóra czekał na nią, klęcząc z bukietem z czegoś na kształt ozdobnej kapusty w ręce.

– Kto mu doradził taki bukiet? – kpiła Majsza.

Biedak chyba za długo czekał w pogotowiu. Kiedy Majka postawiła na stole herbatę i udawała, że nie wie, o co mu chodzi, próbował wstać, ale coś mu przeszkoczyło w kolanie czy lędźwiach. Nie mógł powstać z klęczek.

– I co, podnosiłaś go? – zachichotała Kasia.

– Nie, wróciłam do kuchni po cukier. – Majsza spojrzała na Dorę. – Pomyślcie, co on by czuł,

gdybym go podnosiła. Jak miałabym to zrobić? Chwycić go pod pachami czy za pośladki? – zaczęła się śmiać jeszcze głośniej. – Na to wszystko przyjechała Zuza – dodała. Machnęła ręką. Nie mogła się uspokoić. Śmiały się zresztą wszystkie.

– I co? Ona go wreszcie podniosła?

– Nie, jakoś sam w międzyczasie wdrapał się na krzesło. Może się Zuzy wystraszył i wykrzesał z siebie resztki sprawności? Od niej zresztą miałam sporo do wysłuchania: że musiałam widocznie z nim flirtować i tym samym dać nadzieję tak poważnemu człowiekowi.

– No tak, on ma przeszło sześćdziesiąt lat – uśmiechnęła się Kasia.

– Wście... – zaczęła cicho mówić Majka – wyniki krwi też już mam dobre...

– Skoro tak szczerze rozmawiamy, to i ja wam coś powiem – po chwili zaczęła Kasia. – Zgodziłam się na przyjazd do Polski Pawła. Te lata przemieszkał w Kanadzie, teraz wraca... Ale nie wiem, czy dobrze zrobiłam...

– No nie! Nie mów, że go przyjęłaś! – wściekła się Dorota. – Z takim brakiem szacunku do samych siebie to wy za daleko nie dojdziecie. Co ci takiego powiedział, że wszystko mu zapomniałaś?

Kasia spuściła głowę, zaczęła skubać trawę. A potem zrywać dmuchawce. Majka ją naśladowała. W ręce trzymała już spory bukiet. Głośno nabrała powietrza do płuc i zaczęła dmuchać. Dźwięki, jakie przy tym wydawała, w tej zapadłej głuchoj ciszy zdawały się mieć większą moc. W powietrze wzbijały się białe, pierzaste fragmenty dmuchawców. Obie z Kasią obserwowały, jak wznoszą się, a potem powoli opadają na trawę.

Następnego dnia Majsza i Kasia postanowiły wyjechać z Mordek. Utwierdziły się w przekonaniu, że z Dorotą nie da się normalnie żyć. I poczuciu, że tak połamanej życiowo osobie nie uda się funkcjonować w Polsce. Ubolewały nad tym, jadąc do Warszawy. Odbierały to jako poczucie osobistej klęski, bo co do Dory i Tamary miały wyłącznie pesymistyczne wizje. Widziały, że Dorota zmierza do ściany. Wiedziały, że jeśli chodzi o nią, to nie udało im się nic.

– Co będzie dalej z Tamarą? – Majsza zwróciła się w stronę Kasi.

– Powinna od niej uciec.

– Tak jak my teraz – zaśmiała się Majsza.

– Właśnie! Dokładnie tak samo – zgodziła się z nią Kasia.

Część trzecia:
Gdyby po Kasi stronie był tylko mąż...

Na początku czerwca Kasia wróciła do Poznania na stałe. Nie chciała roztrząsać powodów powrotu. Okazało się jednak, że mama i tak lepiej je znała:

– To było wiadome od samego początku. Co ty chciałaś znaleźć na tym wschodzie? Masz jakieś pieniądze na życie? Uda ci się ich w banku przebłagać, żebyś z powrotem dostała posadę? Dobrze, że Pawłowi pozwoliłaś wreszcie na powrót. Bo jak to wyglądało? Nie znam gorszego statusu dla kobiety niż porzucona mężatka.

To nie tak – pomyślała Kasia. Zgodziła się na przyjazd Pawła do Polski, ale wyobrażała sobie, że to będą jedynie odwiedziny. Piotr wprawdzie miał nadzieję na powrót ojca na stałe, ale Kasia w tej sprawie niczego jeszcze nie przesądziła. Zastanawiała się, jak to wszystko się ułoży. Im bliżej było jego przyjazdu, tym bardziej była rozdrażniona.

Kilka dni później, czekając na samolot rejsowy na lotnisku na Ławicy, nie czuła nic. Bardzo chciała, żeby jej decyzja okazała się słuszna. Niewątpliwie była zdroworozsądkowa. Wyjeżdżając z Mordek, zamknęła tamten okres linią cienką jak pajęcza nić. O Janku myślała zawsze. Rano, gdy wstawiała i spoglądała w okno, bo już, już spodziewała się go ujrzeć w oddali. Albo przy swoim pomoście. W południe przywoływała obrazek, jak wraca konno z pola, a wieczorem i nocą kochała się z nim i tylko z nim. Nie potrafiła o nim zapomnieć. Z rozmyślań wyrwał ją Piotrek, wskazując na pasażerów wysiadających z samolotu. Kasia przyglądała się wychodzącym z sali odpraw. Paweł był ostatni. Nic się nie zmienił, tylko nieco posiwiał. Chwilę później stanął obok w taki sposób, że objął i ją, i syna jednocześnie. Piotrek, sam bardzo szczęśliwy, szukał tego samego również w oczach matki. Niestety, nie potrafił odnaleźć w nich nic.

Kasia usztywniła się i powiedziała jedynie krótko:

– Cześć. Masz wszystko? – Spojrzała na dwie wielkie walizy. – To jedźmy na Święty Marcin.

Po drodze z lotniska Paweł był bardzo ożywiony. Opowiadał, że wyjechał do Kanady do kolegi i od razu wsiąkł tam na dobre. Już w Polsce miał wszystko zaplanowane: że trochę popracuje, znajdzie jakiś lokal, pójdzie na tamtejsze studia. Mieszkał w Toronto, ale po kilku miesiącach pojawiła się oferta pracy w firmie komputerowej w Edmonton. W ten sposób znalazł się jeszcze o kilkaset kilometrów dalej od Polski. Podczas drogi z lotniska spoglądał z zaciekawieniem na zmiany, jakie zaszły w mieście.

– O! Nie ma już kina „Bałtyk”. Pamiętasz, Kasiu, jak kilka lat temu oglądaliśmy tam „Forresta Gumpa”?

– Nie ma, teraz jest hotel „Sheraton”.

– Uwierzcie mi, im dalej na zachód, tym gorzej – powiedział. – Ale dzięki temu, że było trudno, zaparłem się i skończyłem informatykę. Trochę pieniędzy zarobiłem, nie będziecie się musieli już więcej martwić. – Chwycił Kasię za rękę. Piotr udał, że tego nie widzi. Był bardzo zadowolony.

– Jak długo planujesz zostać? – Kasia cofnęła rękę.

Taksówka zatrzymała się przed kamienicą.

– Najdłużej, jak tylko będę mógł – powiedział Paweł, otwierając Kasi drzwi samochodu.

Wieczorem, po kolacji, we trójkę usiedli przy ławie. Paweł wyciągnął z walizki kilka płytek, położył je obok Kasi.

– Cała Kanada – powiedział, wkładając jedną z nich do odtwarzacza.

Na ekranie telewizora obrazy zmieniały się w rytm muzyki fortepianowej. Surowość przyrody, jednocześnie piękno wpychającej się wszędzie natury widoczne były w każdym obrazie. Mnóstwo niespotykanych w Polsce zwierząt chodzących po ulicach. Nieskazitelne w swej surowości góry, zima i klonowy syrop. Ot, cała Kanada, jak podsumował Paweł. Kasia się zamyśliła. Czy tak wyobrażała

sobie swoją przyszłość? Z Pawłem pożegnała się bardzo dawno temu w niemiłych okolicznościach. Jeśli niedawno zaczęła go szukać, to i tak nie w związku z sobą, a bynajmniej nie z potrzeby serca.

– Pamiętasz, jak nam było dobrze? Nasz ślub? Był taki upalny październikowy dzień...

Kasi zrobiło się smutno. Spuściła głowę, nie odezwała się, zaczęła pocierać oczy, a potem szybko wybiegła z pokoju. Za drzwiami rozplakała się na dobre. Uświadomiła sobie, że straciła kawał życia. Wiedziała, że godząc się na powrót męża, jedynie w części postąpiła słusznie. Czy nie była to znowu tylko albo aż ucieczka od Janka? Unik przed podjęciem ryzyka, jakie zawsze niesie ze sobą uczucie, albo uchylenie się przed ewentualnym ciosem, jakim byłaby okrutna prawda o Janku i tamtej kobiecie.

Obaj zauważyli łzy na twarzy powracającej do pokoju Kasi. Paweł podszedł bliżej.

– Wzruszyłaś się... – powiedział, przyciągając ją do siebie. Kasia zeszytniała. Nie mogła i nie chciała teraz pozwolić na tę czułość. Wyplątała się z uścisku i podeszła do okna. Tam znowu zaczęła płakać z żalu, że ten ślub się odbył. Paweł, odbierający to zupełnie inaczej, ucieszył się. Przysunął się bliżej.

– Ojciec, pozwól mamie побыć chwilę samej – zatrzymał go Piotrek. – Nie widzisz, że nas zaskoczyłeś? Dla mnie zawsze będziesz ojcem. Nawet cieszę się, że się znalazłeś, bo gdybym brał ślub, to kto miałby popryskać mnie święconą wodą? Ale matka to matka. Zostawiłeś ją kiedyś.

Kasia wybiegła z pokoju. Usiadła przy komputerze, włączyła go i zaczęła przeglądać zdjęcia z Mordek. Drgnęła, gdy klapnęły drzwi. Roześmiany Paweł wskazał na pokój, z którego przyszedł.

– Pouczył mnie. Jak ty chłopaka wychowałeś? – zaczął się śmiać jeszcze bardziej. Objął Kasię. Pewnie dotykał jej ciała. Piersi, pośladków. Kasia gwałtownie uwalniała się z uścisku. Zaczęła mówić ostrym tonem:

– To nie moja wina, że musiałam wychowywać go sama. Zostaw mnie! Zobacz, jaki jesteś! Tak sobie wpadasz po kilku latach i masz pewność, że od razu wpakuję ci się do łóżka? Zapewniam cię, że nie masz podstaw, żeby tak myśleć.

– To nie byłoby takie głupie.

– Wybacz, ale nic z tego.

Odwróciła się plecami. Odczekała, aż wyjdzie. Zaniósła się płaczem.

Kasia próbowała mieszkać z Pawłem. Nie mieli jednak sobie nic do powiedzenia. Nie interesowało jej, jak żył, co robił, co zamierza. Wmówiła sobie, że i na to potrzebuje czasu, ale na co dzień drażniło ją wszystko, co się z nim wiązało. Nie kontaktowała się z Jankiem, za to bardzo często go sobie wyobrażała. Przypominała, przeglądała zdjęcia. Janek w żółtej puchowej kurtce cumujący łódź na oblodzonym pomoście. Innym razem za kierownicą, skupiony na jeździe. Potem u nich w „Złocistej Dolinie”, na kolacji z naleśnikami w roli głównej... Znowu zaczęła płakać.

Wiedziała już, że dokonała złego, ale rozsądnego wyboru.

Paweł wrócił dość majątny, dzięki czemu Kasia nie czuła przymusu poszukiwania pracy. Cynicznie korzystała z jego pieniędzy i oddawała się swojej pasji. Nie rozstawała się z aparatem fotograficznym. Dokupiła kilka obiektywów, statyw i najdroższy z możliwych program komputerowy do obróbki zdjęć. W ten sposób ratowała swoje emocje. Zdawała sobie jednak sprawę, że powinna znaleźć pracę na etat i to szybko, choćby dla higieny ich ułomnego związku czy też żeby nieustająco nie wpadać na siebie w domu, mniej się spotykać. W takim stanie ducha nie było jej trudno wieść dialog z Georgiem. Wiadomości od niego, zawsze z erotycznym podtekstem, ożywiały marazm, w jaki popadła. Dawały zapomnienie. Znosiły udrękę przemyśleń i rozpamiętywania. Na chwilę. Na czas tej wirtualnej rozmowy. To musiało pobudzić jej zagubione zmysły.

Pewnego wieczoru, miesiąc od powrotu Pawła, weszła do jego łóżka. Kochali się. Bardzo długo i w całkowitym milczeniu. Nie potrafiła sobie odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak się stało. Zaskoczyło ją, że bez uczuć, z tych czysto fizycznych aktów czerpała dziwną przyjemność. Dla Pawła był to jednak czytelny sygnał, że ich sytuacja się normalizowała, a nawet się poprawiała jakościowo w stosunku do tej sprzed lat, jeszcze sprzed kryzysu. Wcześniej to on musiał zabiegać o seks.

– No widzisz – powiedział, gdy się ubierała. – Nie mogłaś tak od razu?

Kasia wzruszyła tylko ramionami. Bardzo cierpiała. Pomimo że od tamtej nocy regularnie sypiała z Pawłem, zawsze myślała o Janku, a swoje erotycznie nastawienie podsyciała, wiodąc wirtualne rozmowy z Georgiem. Ten, zachęcony, zaczął jej zadawać konkretne pytania. Czy mieszka sama, bo on mógłby wrócić do kraju i zamieszkać w Poznaniu.

Mieszkam teraz z mężem. Ale uwierz mi, to nie jest prawdziwy związek. I to jest moja trauma dnia dzisiejszego.

Zwierzyla się. Musiała. Wysłała maila, spodziewając się błyskawicznej porady. Chciała, żeby Georg teraz był dla niej online. Odpowiedź przyszła błyskawicznie.

Kasiu, nie mogę zrozumieć Twojego związku. Powiedz mi, czy gdybyś zdecydowała się ze mną kochać, wyprosiłabyś męża z domu i zaprosiłabyś mnie, czy powiedziałabyś mu, że idziesz do koleżanki i spotkalibyśmy się w hotelu? Georg

Przeczytała. A potem jeszcze raz. I zawstydzila się, że tym precyzyjnym pytaniem wyprowadził ją z egzystencjalnych bezdroży, po których od kilku miesięcy błądziła. Nawet, jak teraz zrozumiała, z pewną lubością. Jeszcze długo zastanawiała się nad odpowiedzią. A potem zaczęła pisać.

Jeśli nie byłoby Sofiji ani innych przyjaciółek, a po mojej stronie byłby tylko mąż... Wtedy

spotkalibyśmy się w hotelu, a mojemu mężowi powiedziałabym, że idę do kochanka.

I w tym momencie zdała sobie sprawę, że Georg zrobił jej wielką przysługę. Zmusił do zebrania myśli. Jeśli po mojej stronie byłby tylko mąż... – powtarzała sobie jeszcze długo. Potem ponownie siadła do komputera i dopisała jeszcze jedną myśl.

Georg, dziękuję. Uzmysłowiłeś mi, że jeśli bardzo się chce, to można. Napiszę, jak wszystko poukładam. Kasia

Od tej chwili Kasia już wiedziała, że życie uczuciowe, jakie dotąd wiodła, w dłuższej perspektywie będzie zbyt wyczerpujące. Ale nie była jeszcze w stanie podjąć jakiegokolwiek decyzji, bo każda wymagała poniesienia ofiar, a na to nadal nie była gotowa.

Mail od Jerry'ego Bzdowskiego przywrócił ją do smutnej, nierozstrzygniętej rzeczywistości.

Kasiu, Pawle, przyjmijcie moje serdeczne gratulacje z powodu zejścia się na nowo. Pełna rodzina to najcenniejsze dobro w tym zagubionym świecie. Uściski. Jerry

To nie jest jeszcze takie pewne. Pozdrawiam. Kasia

Była połowa czerwca następnego roku, gdy Kasię zaskoczył telefon od Janka. Ubiegłego lata wyjechała z Mordek, niczego mu nie obiecując. On wówczas też o nic nie pytał. Zakładała, że to, co się między nimi wydarzyło, potraktował jedynie jak epizod, przecież nie szukał z nią kontaktu. Tym bardziej dziwiła się, gdy kilkanaście razy próbował się z nią połączyć. Kiedy kolejny raz w jej telefonie wyświetlił się jego numer, odebrała. Powód, dla którego dzwonił, był niesłychanie intrygujący. Parcela za polem Endiego w Mordkach. Wyczuła, że Janek dowiedział się, kto ją kupił, jednak podczas rozmowy kluczył i zachowywał się nader tajemniczo. Tym samym ciekawość Kasi doprowadzona została do granic. Kończąc, Janek rzucił tylko krótko:

– Przyjedź. Sama się przekonasz.

Po tak enigmatycznym zaproszeniu od razu podjęła jedyną możliwą decyzję – że jedzie w Ełckie. Nie miała wprawdzie ochoty na spotkanie z Dorotą, domyślała się, że obie z Tamarą znalazły wreszcie zrozumienie u Witka. Przez rok nie kontaktowała się z nimi. Pokusa wyjazdu była jednak olbrzymia.

Dwa dni później Kasia wysiadła na dworcu w Ełku, a potem przed stacją kolejową wsunęła się do zielonego cinquecento. Jak sezon temu do „Złocistej Doliny” zawoził ją Dzidek. Kasia była przekonana, że dowie się czegoś już od niego, on jednak wskazał na gardło, co miało oznaczać, że nie może mówić. Na potwierdzenie zachrypiał:

– Ale mnie wzięło.

Następnie pokręcił głową ze zdziwieniem, że to choróbsko akurat jemu musiało się przyplątać. W samym środku lata, podczas kiedy zimę i deszczową jesień przeszedł bez kataru.

Przy wejściu do „Złocistej Doliny” zastała Witka. Gdy zauważył, że rozgląda się po obejściu, wyjaśnił krótko:

– Wyprowadziła się jakieś dwa tygodnie temu. Wróciła do Niemiec.

A później, gdy siedli za wielkim stołem przy filiżankach z kawą, zaczął snuć opowieść.

– No i tak sobie pomieszkiwaliśmy razem. Nie było łatwo. Najpierw jakoś nam to wychodziło, ale potem było już tylko coraz gorzej. Wtedy pamiętam, jakieś półtora miesiąca temu, akurat był komplet gości, nawet cztery osoby musieliśmy ugościć w części domowej. Duża firma z branży reklamowej. W Warszawie takie mają z czego żyć, a i na rozrywki nie szcędzą grosza... Zależało mi, żeby jakoś to wszystko z nimi wypadło. Tamara wróciła wtedy późno z Białegostoku. Martwiliśmy się o nią, bo nigdy przedtem nawet nie wychodziła bez opieki. A wtedy uparła się, że sama tam pojedzie. Wcześniej zjadła te swoje leki. No więc Tamara przyjechała jakoś pod wieczór. Gdy Dora ją zapytała, skąd wraca, spojrzała dziwnie, tak spod oka, i warknęła tylko, że z Wariatkowa. Zaraz też poszła na strych. A potem się zaczęło. Przez dwie noce na przemian płakała i krzyczała. Myśleliśmy, że całkiem się zmarnowała. A jaki wstyd przed gośćmi...

Kasia westchnęła.

– Nerwy mi puściły, no i powiedziałem coś, czego nie powinienem. Nie wiem dlaczego, bo unikam konfliktów, jak mogę. Z kłótni to ja zawsze najbardziej słaby wychodziłem. Coś z moimi emocjami jest nie w porządku, że nie umiem się kłócić na argumenty. Zaraz zaczynam się denerwować. No i stało się. Wyrzutem: „Jak ją wychowałeś?”, odbezpieczyłem bombę. Ale ona po mnie jeździła! Wypomniała mi wszystko. Dziewczyna zeszła wtedy na dół i powiedziała, że musi stąd wyjechać. Dora dała jej lekarstwo, myślała, że jej przejdzie. Ale Tamara się uparła i po tygodniu sama wyjechała do Krakowa. Dorota miotła się z tydzień. Gdy nie było od Tamary żadnego sygnału, choćby, że żyje... choćby to... rozchorowała się, dostała gorączki, ale schodziła na dół. Ona nie umie odpuścić. Kiedy zostaliśmy sami, to już bardzo szybko się wszystko posypało. A wszystko przypieczętowała nasza nocna rozmowa.

Kasia patrzyła w okno. Po chwili odwróciła się w stronę Witka i bezradnie rozchyliła ręce. Machnęła ręką.

– Siedzieliśmy wtedy bardzo długo, rozmawialiśmy. Ona chciała tej rozmowy, nawet zbliżyliśmy się na chwilę do siebie. To była bardzo ciepła noc, piliśmy piwo. Ale w miarę upływu czasu znowu się spięła, jak to ona. Zaczęła mi doradzać, że powinienem sobie kobiety poszukać, twierdziła, że źle żyję i tak dalej. W kółko mnie strofowała. Jak to ona. Początkowo nic nie mówiłem, ale ona ma taki szczególny dar, tak długo moralizuje i komenderuje, aż człowieka szlag trafia. Powiedziałem raz, żeby zmieniła temat, nic to nie dało, potem drugi, ale ona nic sobie z tego nie robiła. Jak w tak piękną noc można było słuchać jej zrzędzenia? Nie wytrzymałem i zapytałem, czy chce znowu i nasze relacje rozpieprzyć. Zapytała szorstko, co mam na myśli. Chciałem się wycofać, ale nalegała. Byłem tak roztrzęsiony emocjonalnie, że nalałem sobie do kufla piwa i wypilem je duszkiem. Powiedziałem, że moje małżeństwo też się przez nią rozpadło. Bo wtrącała się w nasze sprawy, ciągle miała coś krytycznego do powiedzenia.

– Przez ten czas nie odzywała się do nas – wtrąciła Kasia. – Ani do mnie, ani do Majki. A my czekałyśmy, aż jej to minie, bo ona czasami potrzebowała jakiegoś takiego odejścia na bok. Potem do nas wracała.

– Kasiu! Ona przyjechała tutaj, żeby nami dyrygować, wtrącać się w osobiste sprawy. Ze wszystkimi jest skłócona. Jej się wydaje, że jest najlepsza, najmądrzejsza, że ma misję, jakoby od naszej matki, trzymać razem rodzinę. Ale najpierw niech poukłada swoje sprawy. Tamary o mało co nie straciła... Wiesz, w naszej rodzinie jest coś takiego, że większość z nas nie może ułożyć sobie życia osobistego. Może dlatego, że odkąd byliśmy mali, zawsze chcieliśmy stąd uciec. Nieważne gdzie, do świata, po prostu. I tak uciekamy do dziś...

– To się porobiło. Gdzie ona jest teraz? – Kasia kręciła głową.

– Opiekuje się samotną Frau Sztompke. To jej sąsiadka z Frankfurtu. Śmieję się, bo pamiętam, że Dorota kiedyś bardzo się jej bała. Mówiła, że Frau Sztompke jest rasową hitlerówką, wredną Szkopką. Ale, patrz, kiedy Niemka zachorowała, Dora bez ceregieli do niej pojechała. Potem staruszka wyzdrowiała, ale tak zostało. A Tamara jest w Krakowie na wakacyjnych studiach dla młodzieży o polskim pochodzeniu... Nie powiem, trochę się do tego przyczyniłem...

Bez Dory nie jest już tutaj tak jak dawniej – pomyślała rozczarowana Kasia. W kuchni nadal uwijała się Jurkiewiczowa, Stasiu – teraz na odwyku – został kierowcą, Krysia jak i przedtem była księgową, zaś Wojtek – ogrodnikiem. Nadal pił, ale gdy trzeźwiał, zapewniał, że przestanie i załatwi sprawy z Zochą.

Kasia poszła na wzgórze, skąd chciała zadzwonić do Majki. Z górki patrzyła na pola, jezioro oraz „Złocistą Dolinę” z wielkim neonem, w dolince, a obok niej kilkanaście samochodów. Psy szczekały, jak kiedyś. Słysząc było wybijający się jazgot Lady i tubalny głos Endiego: „Zamknij mordę, Lady”.

Kasia zaczęła się śmiać. Tak jak kilkanaście miesięcy temu – pomyślała, wchodząc na sam szczyt wzniesienia. Z czułością zaczęła się rozglądać po okolicy. Kilkaset metrów w bok, za obejściem Endiego, wyrósł wielki pomarańczowy dom, przed nim stał równie wielki amerykański samochód. Kasia ucieszyła się, że zaraz dowie się, kto tam mieszka. Dom dobrze wkomponował się w puste miejsce za Endim, a kolorem elewacji wprowadził w tutejszą monotonię trochę wesołości. Domu babci Kondratowicz Kasia początkowo nie mogła poznać. Ściany były pobielone, zielsko wypielone, okna wymienione. A na ławeczce przed nim siedziała drobnitka babcia Kondratowicz. Towarzyszyły jej dwie nastoletnie dziewczyny. Córki? – pomyślała Kasia. – Nie, za młode – uznała, schodząc w dół, w kierunku „Złocistej Doliny”.

Janek pojawił się wcześniej, niż zapowiadał, było wczesne popołudnie. Sprawnie zaparkował samochód przed płotem i wszedł na ganek. Kiedy ją zobaczył, podbiegł, zatrzymał się obok, po czym

zrobił ruch, jakby chciał odgarnąć kosmyk włosów z jej czoła. Potem ożywiony zaczął jej opowiadać okoliczne plotki. Dowiedziała się, że babcia Kondratowicz odkryła, iż ta słynna Zocha dwadzieścia lat temu była gospodynią u proboszcza z Psiarek, Wojtek się wtedy w niej zakochał, ale proboszcz wyswatał ją z organistą z Ełku. Wyszła za niego i zdaje się, że nadal tam mieszkają, bo on ciągle jest tam organistą.

– To kto zamieszkał w tym wielkim domu? – zapytała Kasia bardzo oficjalnie.

– Córki babci Kondratowicz!

– Pogodzili się? – Kasia kręciła głową.

– Chyba tak, bo babcia powiedziała tylko na ich widok: „Ogródek czas wypielić”. A wtedy one roześmiały się z ulgą i od razu zabrały do pracy. Wiesz, Kasiu, jej wnuczki opowiadały mojej mamie, że wtedy, gdy dostały ten list z Polski z fotografią swojej babci, to wiedziały już, że ich rodzice kupią bilet do Polski. Wiem, że to ty im wysłałaś...

„One way ticket” – zadumała się Kasia. Szczęśliwy tylko w jedną, tę prawidłową stronę...

Następnego dnia Kasia musiała już wracać do Poznania. Janek odwoził ją do Ełku. Bardzo tego chciał, a ona nie potrafiła mu odmówić.

– Wiesz, sprzedałem kawalerkę w Warszawie. Nie mam tam już żadnych interesów, ostatnio byłem tam sam w lutym. Nie była mi potrzebna – mówiąc to, przyglądał się Kasi.

Widać było, że chce jej powiedzieć coś więcej, ale po chwili posmutniał i zamilkł, a i ona nie zareagowała na jego słowa. Za późno – pomyślała w tym czasie. Znowu czuła, że zaraz będzie płakać. Spojrzała za okno, po czym uniosła rękę, wskazując na pole. Zachwyciła się. Poprosiła, żeby zatrzymał auto. Podobnie jak rok temu, lato było suche, w zbożu kwitły modraki, a na poboczu drogi – całe mnóstwo maków. Dalej łubin. Nigdy wcześniej nie widziała takiej ilości maków naraz. Wyciągnęła aparat z futerału i zaczęła je fotografować, robiąc przy tym różne pozy. Miała zamówienie na kwiaty. Od tamtego lata poczyniła znaczne postępy w dziedzinie fotografii. Jasiu stał za jej plecami.

– To jest bardzo ładne – mówiąc to, zaglądał jej przez ramię. Kasia przechyliła głowę i uśmiechnęła się do niego. Spojrzała na zdjęcie i pomyślała, że niewątpliwie ma rację, maki zdawały się poruszać na lekkim wietrze. Była bardzo zadowolona z efektu, a on, ośmielony jej uśmiechem, zdobył się na odwagę: – Kasiu... nie wiem, jak to przyjmiesz. Czy przyjmiesz. Ale muszę ci powiedzieć, że cię kocham. Chyba od zawsze. Nie wiem, jak przeżyłem ten rok bez ciebie...

Powoli odwracała się w jego stronę. Chciała powiedzieć to samo, ale spuściła głowę. Tylko. Za późno – pomyślała znowu, kierując się w stronę samochodu.

– Jest mi z tym dobrze. – Janek przyglądał się Kasi. – Kiedy będzie ci smutno, to pomyśl o tym małą chwileczkę.

Nie mogła się powstrzymać. Zaczęła płakać. Łzy płynęły jej po policzkach. Po chwili wahania podeszła do niego, dotknęła ręką jego twarzy, musnęła po policzku. Odwróciła się i prędko wsiadła do samochodu. Janek też usiadł za kierownicą. Samochód ruszył z piskiem opon, piasek z pobocza wzbił tuman kurzu. Drogę do Ełku pokonali w przytłaczającym milczeniu. Zatrzymali się dopiero przed dworcem.

– Jak Sieraków – uśmiechnęła się Kasia.

Janek spojrzał na nią pytającym wzrokiem. Milczał.

– W Sierakowie byliśmy we trójkę na praktykach z geomorfologii.

– A w Mordkach spotkałem kobietę swojego życia – mówiąc to, patrzył na nią w sposób, jakby widzieli się ostatni raz.

Kasia wzięła jego dłoń, oparła o nią swój policzek.

Odeszła. Wsiadła do pociągu. Otworzyła okno na korytarzu, spojrzała na dworzec, peron, na niego. Pomyślała, że w Poznaniu w mieszkaniu zastanie Pawła, poczuła ukłucie w sercu. Zakręciło jej się w głowie, wzięła głęboki oddech i znowu zaczęła walczyć z napływającymi do oczu łzami. Pociąg zagwizdał, potem ruszył, a ona siłą woli zmusiła się do uśmiechu. Pokiwała Jankowi ręką na pożegnanie, po czym gwałtownie zatrzęsła okno. Weszła do pustego przedziału i ciężko opadła na siedzenie. Zaczęła płakać.

Kasia wróciła do Poznania w bardzo podłym nastroju. Nic jej nie wychodziło. Odświeżyła jedynie wspomnienia i nastroje stamtąd. Mama, której bardzo podobało się, że znowu zeszli się z Pawłem i od roku mieszkali razem, przyglądała się jej i kręciła głową.

– Musiałś tam znowu pojechać? – zapytała w końcu.

– Tamto to nie to samo co tutaj – odpowiedziała filozoficznie.

Mama pokręciła głową. Przyglądała się córce. Kasia zaś, nie wiedzieć czemu, pierwszy raz od niepamiętnych czasów zaczęła się jej zwierzać. Będąc w wieku szkolnym, rozmawiała z mamą na tematy, jak jej się wówczas wydawało, intymne. Wtedy jeszcze wierzyła, że prawdziwe uczucie może zmienić nawet bieg rzeki. W ostatniej klasie szkoły podstawowej bardzo podobał jej się Andrzej z VIII b. Pochwaliła się. Zresztą wówczas obwieszczała o tym całemu światu. Nie znalazło to zrozumienia u mamy, a nawet dostała reprimendę. Że najpierw ma wywiązać się z obowiązków, zwłaszcza wobec szkoły i rodziny, a dopiero potem może myśleć o zbytkach, bo takie uczucie w tym wieku to zbytek.

Dzisiaj Kasia była niewątpliwie w innym wieku, a Janek był dla niej ważniejszy niż stu Andrzejów. Ilekroć starała się znaleźć powód, dla którego powinna zostać z Pawłem, trafiała na mur. Przyzwoitość, tak najkrócej mogłaby opisać tę przyczynę. Jednakże, kwalifikując to w ten sposób, także posłużyłaby się wyłącznie skrótem.

– Nie mogę z nim żyć, bo mnie opuścił i potem zupełnie o nim zapomniałam. Jest mi obcy.

Wiedziała, co mówi. Odkąd Paweł był w Poznaniu, spróbowała z nim wszystkiego, na czym mogliby ponownie budować jakąś jedność. Im częściej spotykali się w łóżku, tym bardziej zdawała sobie sprawę, że ma poczucie, że jest niewierna. Niewierna sobie, sprzedająca swoje uczucie i – co najważniejsze – niewierna Jankowi. Nadal jednak spotykali się w łóżku, potem kochali się w milczeniu, po czym Kasia szła do siebie. Jeszcze nie wiedziała, czy w ten sposób karze siebie czy jego. A może obu mężczyzn?

– Wcale ze sobą nie rozmawiamy – dokończyła.

– Ale wrócił do ciebie.

– Nie chcę z nim być. Nie mogę.

Mówiąc to, Kasia myślała o Mordkach, o Jasiu, o jego wyznaniu. Uwierzyła mu i bardzo często przypominała sobie tamten wyjazd. Dzisiaj już wiedziała, że nie powinna odjechać.

– Jak możesz w ten sposób z nim postępować? To ojciec Piotrka. Zrobiłabyś mu tym krzywdę. Nieporozumienia są wszędzie.

– Dzisiaj to nie ma znaczenia. Wyjechał, zostawił i mnie, i Piotra. Zresztą, mieszkał tam z jakąś Wenezuelką!

– Córeczko, o co ci chodzi? Miał wrócić na kolanach? Gardziłabyś nim wtedy.

Kasia się zastanowiła. Nie, nie potrafiłaby żyć z kimś jedynie ze współczucia.

– Pozwól mu wrócić, nie bądź taka zapiekła. To po twoim ojcu. Kiedy się swego czasu obraził, dwa miesiące ze mną nie rozmawiał.

Kasia uśmiechnęła się, bo doskonale wiedziała, że to mama, a nie ojciec, była inicjatorką jakże częstych cichych dni. Kasia stawała się wtedy emisariuszem między milczącymi rodzicami. Słynne „Zapytaj matkę, co chce teraz oglądać” albo „Powiedz ojcu, że w kuchni czeka na niego zaparzony urosan” przywoływały jej myśli o własnym małżeństwie. Bo nawet te ciche dni jej rodziców tworzyły między nimi bardzo silne więzy, podczas gdy jej na Pawła nie chciało się nawet gniewać. Niepotrzebnie przyjechał – wyrzucała sobie co noc. Po krótkiej intymnej chwili w jego łóżku narzucała na siebie wdzianko i wychodziła z pokoju, jak zawsze bez słowa.

– Nie jestem zapiekła. Przestań, nic nie wiesz...

– Wiem, wiem, mam oczy i widzę, że robisz błąd. Zaufaj mojemu doświadczeniu.

Kasia zachnęła się. Zdenerwowała na matkę. Bo – pomyślała – bardzo łatwo jest zajrzeć komuś po łebkach w życie i na tej podstawie budować podwaliny miłości własnej.

– On kochał Majkę. I nadal kocha...

– Kogo kocha?

– Majkę Szalek. Z tego powodu rozstaliśmy się kilka lat temu.

– Majkę? Katarzyno, chyba nie chcesz powiedzieć, że twój mąż zostawił cię dla twojej przyjaciółki?

– Tak właśnie było.

– Jak to? Jak mogłaś mu na to pozwolić? Co ja teraz ludziom powiem, rodzinie?

Kasia zaczęła się śmiać. Od razu tenże śmiech skojarzyła z podobnym, histerycznie brzmiącym Dory. Dzisiaj już wiedziała, że na miłość Pawła do Majki nie mogła wtedy mieć żadnego wpływu. Wtedy wstydziła się walczyć.

– Ja mam się wstydzić?

– To ciebie nie chciał. Twoje uczucie odrzucił.

Teraz Kasia wybuchnęła płaczem. Słowa matki ją zraniły. Siedziała z głową schowaną w dłoniach i powtarzała w kółko:

– Nie mów tak, nie mów.

Po chwili otrząsnęła się. Mama siedziała przy stole i patrzyła na córkę z wyrzutem. I wtedy Kasia uświadomiła sobie, że nie jest możliwe, żeby udało się jej wszystkich uszczęśliwić. Że życie z Pawłem nie ma żadnego sensu. Po raz któryś już poczuła się wolna, bo wyrzuciła z siebie największą tajemnicę swojego życia. Pomyślała, że mama musi wreszcie zrozumieć, że ta „przyzwoitość” i te „konwenanse” mają dwa odcienie i że według kodeksu mamy przyzwoitość w jej sytuacji wymagałaby wybaczenia w imię trwałości, jaką jest rodzina. A z punktu widzenia Kasi – odejścia. Ta trwałość oznaczałaby mnóstwo poświęceń, takich jak odrzucenie miłości czy wspólne życie bez bliskości, zażyłości, intymności. I bez zaufania. Tym samym bez przesłania.

Wyszła z domu. Gdy usiadła na ławce w parku Chopina, postanowiła zadzwonić do Janka. W tym momencie komórka zaczęła wibrować. Majsza. Kasia bardzo się ucieszyła.

– Kaśka, muszę ci szybko coś powiedzieć, tylko mi nie przerywaj. Danek mi powiedział, że ubiegłego lata podał twój numer telefonu temu cynicznemu babsztyłowi, z którym kiedyś był Janek. Zerwali dawno temu, ale on jej jeszcze jakiś czas pomagał, bo zachorowała albo tylko tę chorobę udawała. Ja daję sobie odciąć język, że udawała, ale Danek twierdzi, że rzeczywiście była chora. Facetów można oszukać, zawsze będą chcieli takiej pomóc. Mniejsza z tym. Ona nie chciała się z jego odejściem pogodzić. Ostatnio Danek jej przetłumaczył. I odpuściła. Jest twój, Kaśka.

Kasia zaczęła się śmiać. Powietrze, przez które ostatnio oglądała widnokrąg, niewątpliwie stało się teraz zdecydowanie bardziej przejrzyste i rześkie. Umościła się wygodnie na parkowej ławce. Rozejrzała się wokół, uśmiechnęła do siedzącej niedaleko pary. Wzięła głębszy wdech i poczuła, jak znów prostuje się, a na duszy robi się jej leciutko. Czuła się jak piórko. Piękne bladoróżowe piórko. Znowu zachciało jej się żyć!

Później zdarzenia potoczyły się błyskawicznie. Zaraz, jakby na życzenie, zadzwonił Janek, a Kasia zapragnęła powiedzieć mu wszystko, z czego od dawna chciała mu się zwierzyć.

– Janku, wiesz... Czy mogłabym... Bardzo proszę, nie odmawiaj mi teraz... zaprosić cię...

– Do Poznania? Nigdy nie chciałaś, żebym tam cię odwiedził. Już wsiadam w samochód – zawołał wesoło.

– Bo muszę teraz, natychmiast z tobą porozmawiać...

– Wsiadam w samochód i zakładam słuchawki telefoniczne na uszy...

- Dłaczego jesteś tak daleko?
- Jestem bliżej, niż myślisz...
- Ja też, już bliżej nie można. Kocham cię.
- Kasiu, ja ciebie też! Ale ja dłużej.

Milczała, ale to milczenie było jednym wielkim pytaniem.

- Zadzwoń, kiedy będę wyjeżdżał.

Była pewna, że podjęła słuszną decyzję. Dzięki tej wierze znalazła odwagę na uregulowanie reszty swoich spraw.

– To wszystko nie tak – powiedziała do mamy kilkanaście minut później. Dotarła do mieszkania i w pierwszym odruchu postanowiła porozmawiać z nią przez telefon. Słuchawka była mokra od potu. Kasia się denerwowała. – Dawno temu dałam Pawłowi bardzo dużo czasu. Czekałam na niego – tłumaczyła się. – Potem wyjechał i nawet nie wiedziałam, gdzie jest. Ale też nie przestawałam czekać i w sumie ugruntowałam w sobie ten stan. Trzeba wiedzieć, czego się chce. Mamo! Ile lat mi przeleciało? Nie można czekać w nieskończoność. Teraz między nami nie ma już nic, nie ma żadnej rozmowy, współpragnień.

- Nie jestem z ciebie zadowolona. Oj nie!

– Jutro Paweł wróci z Warszawy i od razu mu powiem, że chcę rozwodu. Ale najpierw porozmawiam z Piotrkim. Mamo, Janek jest taki... taki silny i bezradny zarazem...

Kasia zaczęła się śmiać, z ulgą odłożyła słuchawkę i lekko oparła się na fotelu. Włączyła płytę z muzyką, dźwięki ostrego rocka dodały jej siły. I jeśli jeszcze po jej głowie bląkały się strzępy niedobrych myśli, to ta głośniejsza muzyka zagłuszyła je ostatecznie.

- Mamo, ja wszystko słyszałam.

Kasia wystraszyła się jak pewnej nocy, gdy została przyłapana na pisaniu maila do Georga. Piotrek kucnął przed nią.

– I wiesz, jestem dumny, że mam mamę, która jest ponad tym wszystkim. Że umie wybaczać, bo cioci Majce wybaczyłaś i ojcu też. Z ojca też będą ludzie, bo w sumie umiał wyjechać, usunąć się.

- Piotrek, co znaczy, że wszystko słyszałeś?

- No, fajnie, że kochasz Janka, od razu wiedziałem, że coś z tego będzie.

Kasia przytuliła się do syna. Po chwili Piotrek wstał i spojrzał na nią z góry. Uśmiechnął się i wskoczył jej na kolana. Oboje zaczęli się śmiać, tym bardziej że jej malutki przecież nadal Piotruś śmiesznie podskakiwał na jej obolałych nogach. A Kasia, pomimo ciężaru, bardzo chciała tę chwilę zatrzymać jeszcze długo. Bardzo długo.

– Wiesz, faceci są fajnym wynalazkiem. Nie gmatwają, a wręcz przeciwnie, upraszczają... A teraz złaż z moich kolan, bo już ich zupełnie nie czuję – śmiała się.

- Nie to co Zuza i Tamara, nie?

Wtedy zadzwonił Janek. Piotr, ciągle się śmiejąc, wyszedł z pokoju.

- Kasiu, możemy rozmawiać, mam już słuchawki na uszach. Właśnie wyjeżdżam z Racotu.

- Skąd? Racot jest blisko Poznania!

- Byłem oglądać konie. Mówiłem przecież, że jestem bliżej, niż myślisz...

- Janku, wiesz co...?

- Mów, Kasieńko, mów mi wszystko.

- Jedź bardzo ostrożnie. Bo cię bardzo kocham...

Dwa tygodnie później Majsza wróciła z pleneru malarskiego na Sycylii. Od razu zaczęła przez telefon opowiadać Kasi, jakie znajomości tam nawiązała.

– Międzynarodowe! Wyobraź sobie, międzynarodowe! – powtarzała w kółko. – Nawet sprzedałam mój obrazek, przedstawiający pustą, wysuszoną słońcem uliczkę Palermo. Włoch, który go kupił, długo mi się przyglądał spod czarnych, krzaczastych brwi, a potem nie chciał mnie odstąpić, aż zaczęłam się bać, bo przez cały plener widziałam go w pobliżu. Dorota miałaby co komentować – zaczęła się śmiać. – Kontaktowała się z tobą? – zapytała po chwili.

– Nie, ale wysłałam do niej kartki. Na święta, na imieniny, na urodziny. A jedną nawet z widokiem Poznania zupełnie bez okazji jej wysłałam.

– Do mnie też się nie odzywa. Mnie już przeszło, już nie czuję do niej żalu. Miała wiele racji. Wierzę, że jej też przejdzie...

– Szkoda by jej było, w sumie jest nam bardzo bliska. Tyle że taka zagubiona. My też przecież błądzimy... Maja, wiesz... Rozwodzę się z Pawłem. Wiem, że to musi być dla ciebie bardzo zaskakujące. Myślisz pewnie, dlaczego teraz, dlaczego nie wtedy... Bo teraz jestem odważniejsza. Bo teraz umiem już ryzykować. Bo teraz wiem, że rozstania i zmiany to nic strasznego. Majka, ty chyba już nie jesteś z Dankiem?

– Nie, ten związek mnie wypalał. On żyje za szybko. Tak naprawdę to ja jednak potrzebuję stabilizacji. Wsparcia. Cały czas poświęcam galerii, nie mam czasu na uczucia. Cieszę się, że interes kwitnie. Teraz, kiedy pomyślę o pracy w szkole, ciarki mnie przechodzą. Ale ciągnie mnie do Częstochowy, wracam tam co jakiś czas... Jarkowi pomnik postawiłam.

– Kocham Janka. Nie będę już więcej przy tym uczuciu majstrować. Zrozumiałam, że on jest i kumplem, i bratnią duszą, i kochankiem. W gruncie rzeczy mamy te same priorytety. Chcemy tego samego. Zamieszkamy na wsi, trochę się zapożyczymy, ale z nim warto nawet wejść w kredyty.

– A Paweł? Co na to powiedział? – zapytała Majka.

– Nic. Milczał. On wie o tobie, o tym, co się stało... O nas...

Cisza.

– Majka, jesteś?

– Tak, słucham, co mówisz – powiedziała po chwili bardzo cicho.

Epilog

Dwa lata później.

Kasia dostała od Doroty kartkę. Przeczytała:

Mam teraz w swoim życiu zły okres. Witek sam zarządza „Złocistą Doliną”, matka jednak nie chciała, żebym została w Polsce. Tym sposobem dla mnie Mordki przestały już istnieć. Tamara studiuje w Polsce, nadal się leczy, właściwie nie wychodzi z akademika bez lekarstw. Umarła Frau Sztompke, zostawiła mi swoją kawalerkę. Przed śmiercią powiedziała: „Komu ją mam przekazać? Frau Borecka, proszę ją przyjąć ode mnie”. Teraz trzymam ją dla Tamary. Będzie miała gdzie mieszkać, jak wróci do Niemiec. Nie wiem, jak sobie beze mnie daje radę... A ja jestem tutaj, w Marburgu, żeby pooddychać naprawdę świeżym, leśnym powietrzem. Bo mi teraz najbardziej potrzebne jest właśnie powietrze i niemieckie zwyczaje, gospodarność, porządek, rygor... Klinika znajduje się w samym śródeczku lasu. Poza tym Marburg to prześliczne stare miasteczko akademickie, więc jest mnóstwo staroci, co lubię. Może przyjechałybyście do mnie na kilka dni? Dorota

Kasia bardzo się ucieszyła. Miała ochotę natychmiast pojechać do Hesji. Poczowała euforię. Wybrała numer Majki.

– A wiesz... Dorota nas zaprasza – zaczęła bez wstępu.

– Wiem, dostałam kartkę.

Majka również była podekscytowana wyjazdem, już nawet poczyniła przygotowania. Opowiadała, że malutkiego synka zostawi z Pawłem. W końcu jego ojciec ma już doświadczenie. Z Piotrkim – zachichotała Majsza. Kasia również była pewna, że Janek nie będzie miał nic przeciwko. Obie zaś zastanawiały się, czy nie poznała kogoś, przecież nigdy przedtem nie wyjeżdżała do sanatorium. Niewątpliwie coś musiało ją przełamać.

– Polecimy razem czy osobno? – zapytała rzeczowo Kasia.

– Wiesz, ja mam z nią złe doświadczenia. Przyjadę do Poznania i polecimy razem. Tylko szybko, bo nie ma na co czekać.

– Kiedyś nie mogłyśmy sobie pozwolić na lot samolotem, pamiętasz? – wspominała Kasia. – Teraz tylko Dorota musi pomyśleć o sobie. Zobacz, ty malujesz, ja fotografuję. Pomyślałybyśmy kiedyś, że tak się stanie?

– Nie. Może Dorota tego nam zazdrości? Wiesz, ona myśli, że nie dała sobie tutaj rady, ale na pewno do tego się nie przyzna. Poza tym jej się wydaje, że teraz wybrała dla siebie lepsze miejsce do życia.

– Jestem pewna, że uciekła na chwilę i niebawem wróci. Zresztą tu czy tam... Czy to dzisiaj ma znaczenie?

– Ona wie, jak ułożyły się nasze poplątane losy? – zaśmiała się Majka.

– Na każdej kartce wysyłanej do niej zawsze umieszczałam kilka słów o nas. Wie, że odważyłam się jeszcze studiować fotografię, swoją drogą za chwilę ją skończę. Czas leci. Pochwaliłam się jej też, że Jaś i ja kończymy budowę dużego, dwurodzinnego domu ze stajnikami na ziemi od Czerwonki. Moi rodzice też się tutaj niebawem przeprowadzą, ale jego matka na razie została w Mordkach. Janek sprzedał tam prawie wszystko, został tylko niewielki kawałek gruntu i dom. Z Dorą w sumie ze dwa razy rozmawialiśmy telefonicznie. Maja, nie dziw się, ale to ja do niej telefonowałam, ona mnie prosiła, żebym ci o tych rozmowach nie wspominała. Skoro teraz nas jednocześnie zaprasza, to znaczy, że raczej

zaakceptowała to wszystko.

– Ja też kilka razy z nią rozmawiałam. Pamiętam, kiedyś zadzwoniła, bo dokuczyła jej samotność i nie miała się komu wyzalić. Ciebie się trochę bała. Ale każda nasza rozmowa kończyła się kłótnią. Twierdziła, że zginęłabym w jej świecie z takim lekkim podejściem do życia. Też prosiła, żeby ci o tym nie mówić... – Majka zaczęła się śmiać.

– Zaraz wyślę do niej zwrotną wiadomość – wtórowała jej Kasia – że przylecimy do Frankfurtu w przyszły weekend. Skoro nas wreszcie zaprasza.

– Nie musisz, już wysłałam.

Strona redakcyjna

Copyright © Iwona J. Walczak, 2012
Copyright © Wydawnictwo Replika, 2012

Wszelkie prawa zastrzeżone

Projekt okładki
Iza Szewczyk

Zdjęcie na okładce
Copyright © istockphoto.com/ LesleyJacques,
Copyright © istockphoto.com/ CathrynGallacher

Przygotowanie wersji elektronicznej
Mateusz Czekala

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7674-957-0

Wydawnictwo Replika
ul. Wierzbowa 8, 62-070 Zakrzewo
tel./faks 061 868 25 37
replika@replika.eu
www.replika.eu

Spis treści

Część pierwsza: Szczęście ma zapach wanilii

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43

44

45

46

47

48

Część druga: Złocista Dolina

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65

66

67

68

69

70

71

72

73

74

75

76

77

78

79

80

81

82

83

Część trzecia: Gdyby po Kasi stronie był tylko mąż...

84

85

86

87

88

